



DWA
MIASTA

MONIKA KOWALSKA

LWOWSKA
KOŁYSANKA

MONIKA KOWALSKA

DWA
MIASTA

LWOWSKA
KOŁYSANKA



Zapraszamy na www.publicat.pl

Projekt okładki
ANNA SŁOTORSZ / ARTNOVO.PL

Fotografie na okładce:
© Aleks/Adobe Stock
© Vlad Ivantsov/Adobe Stock
© tansy/Adobe Stock
© Taras/Adobe Stock
Domena publiczna (polona.pl)

Koordinacja projektu
ALEKSANDRA CHYTRÓŃ-KOCHANIEC

Redakcja
ELŻBIETA SPADZIŃSKA-ŻAK

Korekta
ANNA KURZYCA

Skład
LOREM IPSUM - RADOSŁAW FIEDOSICHIN

Polish edition © Monika Kowalska, Publicat S.A. MMXXI (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved

ISBN 978-83-245-8479-6

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



Książnica

jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24

tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00

e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: ksiaznica@publicat.pl

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Wstęp

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Zakończenie

Tamtym pokoleniom

Wstęp

„Pamiętaj, dziecko, sklep Barabasza był tuż za rogiem. Po chleb kulikowski chodziło się do piekarni »Kłos«, rano można było kupić jeszcze gorący, posypany czarnuszką. Za sztreką, na wzgórzach, rósł krzak dzikiej róży. W czerwcu obsypywał się bladoróżowym kwieciem. Widzieliśmy ten krzew z okna naszego domu. Mieszkaliśmy przy samych torach na Nowym Zniesieniu. Na Nowym, pamiętaj. Bo Stare Zniesienie znajdowało się dalej, za torami, za Górką Baczewskiego, tam gdzie stara cerkiew. Chodziłam do szkoły przy kinie »Wanda«, na początku wojny spadła na nią bomba...”

Takich i podobnych babcinych opowieści wysłuchiwałam przez całe dzieciństwo. To była bajka o Lwowie, mieście jej młodości, mieście początku, ale i końca.

Lwów wydawał mi się wówczas równie niedostępny jak Księżyc. Wysoki Zamek bardziej czarodziejski niż Szklana Góra. Hotel George elegantszy niż pałac księcia. Właściwie nie do końca byłam pewna, czy to miasto z opowieści babci i jej dwóch młodszych siostr kiedykolwiek istniało naprawdę.

Bardzo wcześnie przyswoiłam sobie topografię północno-wschodnich krańców Lwowa, układ ulic, adresy sąsiadów. Szóstym zmysłem odbierałam senną atmosferę tamtych peryferyjnych terenów. Ze zdjęć znałam twarze koleżanek i kolegów babci, czarno-białe portrety uśmiechniętych ludzi pozujących na tle zieleni zniesieńskich ogródków. „Pamiętaj – mówiła babcia – to jest Helka – bardzośmy się koleżankowały, to Marysia, to ksiądz Józek. Tutaj jest w mundurze, bo go powołali do wojska, wiesz, wojna... Zapamiętasz?”

Pamiętałam. Długo pamiętałam, a przynajmniej tak mi się wydawało. Ale kiedy dorosłam i postanowiłam napisać o nich wszystkich, nagle imiona i zdarzenia zatarły się... Wpadłam w rozpacz. Co z tego, że miałam zdjęcia, skoro w większości nie potrafiłam rozpoznać, kogo one uwieczniają? Która to Helka, która Marysia? Czy to kościół na Nowozniesieńskiej, czy może ten na Podzamczu? Nie zapytałam, kiedy jeszcze był na to czas. A może i pytałam, tylko odpowiedzi ulotniły się z pamięci?

Obiecałam sobie, że jednak wydobędę tych ludzi i tamte miejsca z niebytu pozółkłych fotografii, nadam imiona bezimiennym twarzom, dodam kolorów odświętnym sukienkom i kapeluszom. Ofiaruję im drugie życie, na chwilę wrócę im ich Lwów, ich przedmieście, ich domy. Przecież pamiętam, jak się żyło na Zniesieniu. Tam zawsze świeciło słońce. Tam najpiękniej kwitły czereśnie, tam się najlepiej bawiono, najgłośniej śpiewano. Przecież Lwów jest częścią mnie. Przecież ja też jestem jego częścią. Tęsknota za dawnym Lwowem jest moją tęsknotą.

I oto są. Lwowianie. Znowu młodzi, piękni, pełni marzeń i nadziei. Powrócili do miasta na wzgórzach tylko na moment. Zaraz nastąpi koniec ich świata. Ale jeszcze nie w tej chwili...

Monika Kowalska

Rozdział I

Przepelniona dziewiątka z piskiem i zgrzytem zatrzymała się na przystanku przy Wołyńskiej, wypuszczając ze swego wnętrza zmęczonych urzędników, sklepikarzy, nauczycieli i innych drobnych ciułaczy zamieszkujących tę część Lwowa. Robotnicze przedmieście Żółkiewskie stopniowo wypełniało się ludźmi wracającymi z pracy. Radość z wolnego sobotniego popołudnia powoli przenikała do świadomości ludzi, a ciepłe wrześnie słońce kładące się na chodniku pomarańczowobrazowymi plamami obiecywało naza jutrz piękną niedzielę. Koniec tygodnia oznaczał spacer Wałami Hetmańskimi albo piknik na stokach Kajzerwaldu. Jeśli pogoda pozwalała, lwowianie chętnie spędzali też czas wolny w którymś z kawiarnianych ogródków, przy kufelku piwa słuchając, jak jakiś pajac za pieniądze lwowską gwarą bałaka dla śmiechu monologuje przed publiką. Miasto kochało zabawy na wolnym powietrzu. Okazji do tańca nie brakowało, w parkach i lokalach organizowano chętnie zabawy taneczne, na których muzykanci wygrywali sztajery, a różne panny Manie i Franie wywijały do nich z kawalerami. Potkańcówki odbywały się w restauracjach i kawiarniach w okolicach Rynku, ale również na peryferiach – w zamarstynowskich czy kleparowskich mordowniach. Imprezy różniły się od siebie tym, że w sercu miasta bawiono się spokojnie i z klasą, a na obrzeżach... No cóż, bawiono się „po batiańsku” i często do pierwszej krwi. Zależy, co kto lubił i gdzie kto mieszkał.

W każdym razie lwowiaci uwielbiali się spotykać i spędzać razem czas. Sobotnie popołudnie zawsze zapowiadało święto. W każdą pogodną niedzielę czy dzień świąteczny centrum miasta tętniło życiem. Wystrojone rodziny przechadzały się po Wałach, spacerowały w parku Stryjskim, po stokach Cytadeli lub wdrapywały się na Wysoki Zamek, ewentualnie, jak pan

Dulski, na kopiec Unii Lubelskiej usypany z inicjatywy Franciszka Smolki tuż obok.

Adela Szuba o tej porze też miała już wolne. Dziś skończyła wcześniej pracę w ochronce na Żółkiewskiej i wróciła do domu w samo południe. Z rodzicami i dwiema młodszymi siostrami mieszkała w dwupiętrowej kamienicy na Szczepanowskiego, ulicy biegnącej tuż przy kolejowej sztrece, jak lwowiacy nazywali kilkutorową linię kolejową przecinającą miasto od jego północno-wschodnich krańców aż do dworca Lwów-Podzamcze. Przed kilku laty, zanim jeszcze Zniesienie dołączono do Lwowa, ulica ta nazywała się Słoneczna.

Matka przywitała ją z roztargnieniem, wkładając jej do ręki puste metalowe wiadro.

– Dobrze, że jesteś, polecisz do Bułgarów i węgierek przyniesiesz, powiedła na zimę trzeba smażyć – zakomenderowała. – Iwan obiecał dać całe wiadro.

– A pieniądze?

– Zapłacimy, jak będzie pensja ojca. Iwan o tym wie, ugadałam się z nim dziś rano.

– A Józka nie może polecieć? – Adela spróbowała negocjować, choć wiedziała, że z matką dyskusji nie ma. – Głodna jestem...

Julia przerwała na chwilę wyparzenie słoików i odwróciła się od kotła ustawionego na gorącej blasze pieca. Spojrzała na najstarszą córkę z surowością.

– Józka jest w szkole, Nelka zresztą też. Obiadu jeszcze nie ma, a chleba już nie ma, skończył się. Pomóż mi trochę, chyba o wiele nie proszę? Po co te dyskusje? I nie wzdychaj mi tu! – dodała na koniec, choć Ada nie zdążyła jeszcze westchnąć.

Wobec takiego postawienia sprawy dziewczyna wzięła niechętnie wiadro i wyszła na korytarz. Zzuła z nóg wyjściowe (i jedyne) trzewiki, zamieniając je na rozczłapane chodaki, a potem ruszyła wolno po schodach w dół, specjalnie tłukąc wiadrem o poręcz. Na złość matce, a co! I z głodu, bo

matka nawet suchej skórki od chleba jej nie dała, a przecież zawsze suszyła resztki w bratruze, żeby przerobić na panierkę do sznycli.

Ada miała żal do matki za zimne traktowanie. Julia rzadko się śmiała i prawie nigdy nie żartowała, a córki chowała surowo. W młodości uczyła gospodarstwa w szkole w okolicach rodzinnego Jazłowca i do dziś nie wyzbyła się nauczycielskiego tonu. Adela nie miała wątpliwości, że panienki jej nie cierpiały. Pewnie niejednej postawiła niską notę za to, że krzywo obrzuciła obrus albo zaplanowała złe menu na proszony obiad...

Cóż matce szkodziło uśmiechnąć się od czasu do czasu? Albo powiedzieć coś miłego? Wciąż najeżona, twarda, jakby... jakby gotowa odeprzeć cios, którego ciągle się spodziewała. Wciąż napięta. Tylko dla ojca miała dobre słowo. Gdy znajdował się w pobliżu, łagodniała, nawet głos jej się zmieniał – cichł, stawał się melodyjny. Patrzyła na niego z miłością, co do tego Ada nie miała wątpliwości. I z oddaniem. Głównie z oddaniem...

– Jak jakiś wierny pies... – powiedziała na głos Adela i aż przystanęła na drewnianym stopniu, zdziwiona swoim nagłym odkryciem.

– Nie pies, tylko kot! Kot tu naszczał, nie czuje czy co?! – wydarła się dozorczyńni Teresa Oblatowa, stając w drzwiach swojego mieszkania na parterze. – Śmierdzi, aż się rzygać chce! To pewnie jakieś parchate cudo, co to wasza Nelka dokarmia. Jej sierściuchy sikają po kątach i pchły roznoszą... Powiedz swojej siostrze, że ja te cholerne kocury potruję w końcu! Potruję! I rumoru nie rób tym wiadrem, bo mi głowa pęknie! Tu jest porządna kamienica...

Adela nie wytrzymała jazgotu sąsiadki i w bramie odwróciła się do niej, wywalając język.

– No nie, do matki na skargę pójde, jak Boga kocham! – oburzyła się Oblatowa. – Bo ty z tych wszystkich Szubów najgorsza, nosa zadzieras, jakbyś jaki powód miała... Królowna przeklęta! – I nie bacząc na to, że bruka własną robotę, dozorczyńni charknęła potężnie i splunęła z mocą w ślad za wychodzącą Adelą, a potem poczłapała na poddasze zdać relację Julii.

Tymczasem z drugiego mieszkania na parterze wybiegł młody chłopak, jasnowłosy, przeraźliwie chudy i wysoki.

– Ada, poczekaj! – Dogonił dziewczynę i złapał ją za łokieć. – Idę z tobą. Wolne już masz?

– Nie mam. Mam – odpowiedziała z roztargnieniem, zdenerwowana tym, co się przed chwilą stało. – To znaczy mam wolne od berbeciów w ochronce, ale od matki wolnego nikt mi dać nie chce... Kacper, jak ja już mam wszystkiego dosyć!

Blondyn wsunął kciuki pod brązowe szelki, strzelił z nich i wyprostował się, przez co wyglądał na jeszcze wyższego, niż był w rzeczywistości. Przyjrzał się ukradkiem Adzie. Nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że ta chuda dziewczuszka, z którą jeszcze niedawno buszował w krzakach porastających trawiaste wzgórza za wiaduktem, w ostatnim roku tak wypiękniała, nabrała kobiecych kształtów.

– Mam na to radę, Adunia, tę samą, co zawsze – oznajmił. – Wyjdź za mnie, a wszystko się zmieni... Oferta wciąż aktualna.

Dziewczyna spojrzała na niego z drwiną.

– Niby co się zmieni? Wyprowadzę się z poddasza na parter i będziemy mieszkać we trójkę z twoją matulą, która mnie nienawidzi?

– Ale przynajmniej pani Julia się od ciebie odczepi. I pracować nie będziesz musiała, nie pozwolę na to. Z pensyjki mechanika jakoś wyżyjem, zobaczysz... A może nawet dostaniemy własny lokal w kolejarskich domkach na Gródeckiej?

– Ooo, ofertę rozszerzasz? – zadrwiła. – I co? Matulę byś zostawił? W to wiary nie dam, Kacper. A jak pilnie żony potrzebujesz, daj ogłoszenie do „Ilustrowanego Kuriera”. Ze zdjęciem. Albo lepiej nie.

– I znowu kosz – zasępił się komicznie chłopak. – Jak ręki nie chcesz dać, to chociaż wiadro daj, poniosę...

Kacper chował się z siostrami Szubównymi na jednym podwórku. Lubili się od dziecka, spędzali razem całe dnie. Kradli jabłka z sadu u grekokatolickiego księdza Olega (bo u własnego katolickiego proboszcza przecież grzech) albo, stojąc na kładce nad sztreką, rzucali kamieniami w przejeżdżające w dole pociągi. Wspólnie włązili do mulistego stawu, pozwalając,

by pijawki oblażyły im łydki, a potem z piskiem i krzykiem odrywali je od skóry i wrzucali do szklanych flaszek. Sprzedawali potem to obrzydlistwo na Krakidałach lub na bazarku przy rogatce Żółkiewskiej, a zarobione groszówki równo dzielili między siebie. Każdy „dzień targowy” kończył się w geszefcie u Icka, gdzie Kacper kupował kawałek chałwy, Józka resztki gałganków, bo wiecznie obszywała swoją jedyną lalkę, a Adela gazetę, bo lubiła wiedzieć, co się dzieje na świecie i w mieście. Nelka z nimi nie chodziła, bo i chodzić jeszcze wtedy za bardzo nie umiała.

I wszystko było zupełnie zwyczajne i proste aż do czasu, kiedy Ada i Kacper skończyli szkołę powszechną. Wtedy dawny przyjaciel zaczął smalić do niej cholewki i zrobił się strasznie namolny. Każde spotkanie kończyło się próbą uzyskania od Ady całusa, a następnie irytacją, bo zamiast słodkiego „buzi” dostawał po buzi. Józka, czując, że jest w tym towarzystwie piątym kołem u wozu, dyskretnie acz zdecydowanie przestała uczestniczyć w spotkaniach. Adela próbowała jeszcze ratować przyjaźń, zabierając ze sobą na podwórko jako przyzwoitkę najmłodszą siostrę. Ale Nela miała jedną wadę: uwielbiała jeść i za kawałek wędzonej szpyrki czy kiszki gryczanej uczyniłaby wszystko. I w zamian za wałówkę robiła to, czego żądał Kacper, a mianowicie usuwała się chętnie w kąt podwórza, by wsuwać rzeczony specjały, którymi ją przekupywał sąsiad z parteru. Wszystko to irytowało Adę i w końcu poddała się, woląc rozluźnić przyjaźń niż dać się omamić Kacprowi, do którego nic nie czuła. Chłopak, widząc, że niewiele wskóra, przyjął inną taktykę: postanowił przeczekać niechęć przyjaciółki. Wierzył, że jeśli zawsze będzie krążył gdzieś w jej pobliżu, ona wreszcie ulegnie. I będzie jego, mówiąc melodramatycznie. Na razie jednak nic na to nie wskazywało.

Powietrze zapachniało dymem z ogniska. Młodzi, zatopieni we własnych myślach, nie zauważyli nawet, że doszli w końcu do ogrodów usytuowanych na wschód od ostatnich zabudowań Zniesienia. Owe rozległe zielone tereny zwane Pomiarkami kilkanaście lat temu zajęli prywatni ogrodnicy. Wielkie działki, z których uprawy można było wyżyć, wzięli we władanie również bułgarscy osadnicy, którzy przybyli tu po pierwszej wojnie, a także

Ukraińcy i Polacy pochodzący przeważnie z okolicznych wsi, ale także z Podola, Polesia. Wielkie miasto, do którego przed laty przyjechali za chlebem, wchłonęło ich i przygarnęło, lecz zajęć dla chłopów z dziada pradziada oferowało niewiele. Własna działka stanowiła dla nich ratunek, a także namiastkę roli, do której przywykli, którą kochali i którą potrafili uprawiać. Niektórzy dorobili się słusznym pieniądzy i stać ich było na wybudowanie murowanych domów na Podzamczu, a nawet kupno kamienicy w mieście.

Nawiasem mówiąc, „sprawa bułgarska” wywołała we Lwowie i właściwie w całej Galicji mnóstwo kontrowersji. Cudzoziemcy znad Morza Czarnego zaczęli przybywać do Polski w końcu lat dwudziestych. Osiedlali się we Lwowie, ale również w Krakowie, Nowym Sączu i Przemyślu. Żyli z uprawy ziemi, bo ogrodnictwo jakby mieli we krwi. Początkowo nikomu nie przeszkadzali – osiedlali się w pobliżu ziemi, którą uprawiali, a grunty dzierżawili najgorsze, takie, jakich żaden Polak by nie chciał. Jakimiś sobie tylko znanymi sposobami przekształcali owe nieużytki w żyzne i plonujące obficie ogrody. Szczególnie udawały się im kalafiory, pomidory, kapusta i owoce. Bułgarzy, naród spokojny, żyli w swoim towarzystwie, w politykę się nie mieszała. Ale i tak zaczęli niektórym przeszkadzać. Stowarzyszenia i związki ogrodnicze zarzucały im nieuczciwe zaniżanie cen warzyw. Ludzie woleli kupować od Bułgarów, bo oferowali lepsze i tańsze towary. Polscy ogrodnicy zaczęli natomiast nawoływać do bojkotu Bułgarów, a nawet do wydalenia ich z kraju. Oskarżali ich o szerzenie komunistycznej propagandy, choć nikt im nie udowodnił niczego poza czytaniem bułgarskich gazet drukowanych cyrylicą. Może się to komuś skojarzyło z sowieckimi piśmami, kto wie?

Iwan Bolijczew, zasiedziały na Zniesieniu Bułgar, był szefem tutejszych terenów działkowych. Przybył do Polski jako jeden z pierwszych i zdążył już we Lwowie zapuścić korzenie. Decydował, kto dostanie ogród, a ludzie radzili się go również, co sadzić i siać oraz w jakiej ilości. Nikt nie wiedział, czy w rodzinnych stronach uczył się ogrodnictwa, czy pokończył jakieś szkoły. Wszyscy za to wiedzieli, że Iwanowi zbiory zawsze się udają. W przeciwieństwie do rodzonych dzieci: syn, również Iwan, siedział w ciu-

pie za rozbój, a córka Agnieszka trudniła się najstarszym zawodem świata. I choć zarówno matka, jak i ojciec głośno na nią wyrzekali, wszyscy wiedzieli, że nie mieli nic przeciwko temu, by klientów przyjmowała w ich domu – Proświtna 9, wejście od podwórka.

– Szczęść Boże! – przywitała się Ada ze starszym mężczyzną. – Matka mówiła, że ma pan dla mnie śliwki.

– I nie kłamała. – Iwan zszedł kilka stopni niżej z drabiny, która stała oparta o powykręcaną ze starości jabłoń. – Idź, narwij sobie, ile chcesz. O, tamta śliwa najśodsze ma owoce... – Wskazał konkretne drzewo.

– Zapłacimy jak...

Iwan podniósł spracowaną rękę do góry, uciszając tym samym dziewczynę.

– Już mi pani Julia powiedziała, kiedy zapłaci, i więcej na ten temat rozmawiać nie zamierzam – powiedział. – Weź no, panna, kawalera i rwijta, ile udźwigniecie.

– Jakbym wiedział, że tak będzie, tobym drugie wiadro zabrał – oznajmił z żalem Kacper, potrząsając drzewem. – Auć! – wrzasnął, gdy deszcz owoców w odcieniu czarnego fioletu posypał się na jego głowę.

– Dam ci słoik powideł, żebyś nie czuł się stratny – obiecała wielkodusznie Ada.

– Mnie nie chodzi o powidło. To dobre dla dzieciaków. Wino chciałem nastawić.

– Do Monopolu daleko nie masz – zaśmiała się, mając na myśli zakład znajdujący się za terenem szkoły. – Śliwownicę też tam pędzą.

– A skąd ty to niby wiesz?

– Ja wszystko wiem – odparła Ada, rzucając w Kacpra zgniłą śliwką.

– No i co zrobiłaś? Koszulę mi pobrudziłaś. Jedyłą czystą. Matula mnie zabije. Do kościoła chciałem w niej jutro iść!

– Do kościoła? We wczorajszej koszuli?

– Przecież jest dzisiaj!

– Ale jutro będzie już wczorajsza...

Kacper rwał dalej, zaciskając ze złości usta. Nie mógł powiedzieć Adelci, że po prawdzie to on tylko dwie koszule posiada, w tym jedna jest zacerowana na łokciu... Choć zarabiał nieźle jako młodszy mechanik taboru kolejowego, a zapowiadało się, że w przyszłym roku zostanie majstrem, to jednak był jedynym żywicielem rodziny. Matka Kacpra, milcząca, smutna wdowa po Ukraińcu, prała po ludziach, dostając za to grosze, a w domu miała jeszcze jedno dziecko, „małą” Melanię, jak ją wszyscy nazywali. Śliczna, eteryczna Melka, zgrabna i wiecznie uśmiechnięta, choć starsza od Kacpra, była jak dziecko, bo niedorozwinięta umysłowo. Matka całymi dniami trzymała ją w domu, bała się, że córka idiotka któregoś dnia wróci do domu z brzuchem. Kobietę o umyśle dziesięciolatki każdy mógł przecież wykorzystać. Kilka lat temu zdarzyło się już, że zaciążyła, nie wiadomo z kim, nie wiadomo gdzie. Matka wtedy do baby po zioła chciała iść, lamentując, że się przez Melę na wieczne potępienie wystawia, ale natura sama rozwiązała problem. Kilka tygodni później płód z Melki wypłynął. Rabanu przy tym narobiła w wychodku, przerażona ilością krwi dookoła. Pech chciał, że matki tego dnia w domu nie było, prała u państwa gdzieś na Kopernika. Zawodzącą i zbrukaną we krwi i ekskrementach Melanię znalazła wtedy Julia Szubowa, matka Adeli. Zabrała do siebie, obmyła, uspokoiła, a potem sprowadziła do niej położną, która mieszkała na Uciętej i przyjmowała na świat najpierw Józkę, a potem Petronełę. Ona Melę opatrzyła i powiedziała, jak postępować z nią dalej. Gdy córki i mąż Julii wrócili po południu do domu, zastali „małą” sąsiadów śpiącą na wyścielonej miękką kołdrą skrzyni przy piecu.

– Dlaczego ona ma moją Arlette? – zapytała Nela.

Rzeczywiście, dziewczyna przytulała do siebie lalkę zawiniętą w jakiś gałgan.

Julia przygarnęła najmłodszą do siebie i łagodnym głosem wytłumaczyła, że mała Melania teraz tej lali bardzo potrzebuje.

– A tobie uszyjemy nową, ładniejszą – obiecała. – Józia mi pomoże, prawda?

Córki Julii czuły, że stało się coś złego. Ada, początkowo zazdrosna o matkę i o uwagę, którą poświęca głupkowatej siostrze Kacpra, gdy później z grubsza dowiedziała się, o co chodzi, pierwszy raz poczuła dla Julii coś w rodzaju podziwu.

Tamtego dnia mieszkańcy Szczepanowskiego 12 załatwiali potrzeby fizjologiczne w sąsiednim podwórku, bo Paweł, mąż Julii, napisał kredą na drzwiach ubikacji, że się zapchała i jest nieczynna. W ten sposób nikt nie dowiedział się o wstydzie Melki.

– Pani Suczajowa, wychodek trzeba posprzątać po małej – oznajmiła Julia, gdy matka Kacpra wróciła wieczorem do domu. – I niech pani lepiej na przyszłość córki pilnuje, bo takich, co gotowi skrzywdzić to biedne dziecko, jest wielu.

Suczajowa w lot pojęła, co Julia ma na myśli. Zabrała Melę do domu, zakasała rękawy i, odmawiając w duchu dziękczynne modlitwy za taki obrót sprawy, dłońmi popękanymi od mydlin i gorącej wody wzięła się do porządkowania budki z serduszkiem. Od tamtej pory nie wypuszczała Melki samej za próg.

Kiedy wiadro zapełniło się po brzegi śliwkami, Ada z Kacprem poszli podziękować Bułgarowi. Iwan tymczasem znikł na chwilę w krzywej budzie, która służyła za składzik narzędzi, a latem także za daczę. Wyniósł stamtąd wielki kawon.

– To dla pani Julii. – Wręczył owoc Adzie. – Ostatni w tym roku, słodki pewnie, specjalnie pod szkłem go trzymałem. Matka będzie wiedziała, za co go jej daję.

– Dziękuję, ale wielki! – Adela oblizła się mimowolnie, bo uwielbiała kawony, a ich czerwony, słodki miąższ uważała za rarytas. Nieczęsto mogła sobie pozwolić na kawałek, bo owoce na bazarku były dość drogie. A tutaj, na wschodzie Polski, kawony udawały się wybornie dzięki gorącym i słonecznym latom. Kiedy Ada dawno temu usłyszała w szkole, że bogowie olimpijscy raczyli się nektarem i ambrozją, od razu pomyślała, że pokarmy te musiały mieć smak arbuza. To przekonanie zostało jej do dziś.

W drodze powrotnej Kacper uparł się, że będzie niósł i śliwki, i kawon. Ponieważ towar sporo ważył, na Szczepanowskiego dotarł krańcowo wyczerpany...

– Cóż tak długo? – Matka przywitała Adę wymówką.

Przy kuchennym stole siedziała już Nelka, zajadając ze smakiem ususzoną w piekarniku chlebową piętę.

– A to co? – zapytała, wskazując na kawon.

– Prezent od Iwana dla mamy. Powiedział, że mama będzie wiedzieć, za co...

Julia zastygła w pół ruchu. Spojrzała na ogromny owoc z odrazą, po czym chwyciła go i jednym ruchem wyrzuciła przez otwarte na oścież okno. Nela i Ada spojrzały na nią ze zdziwieniem.

– Nie kazałam ci przyjmować prezentów. – Julia mówiła, nie patrząc na Adę, ale oczywiste było, że słowa skierowane były do niej.

– Przecież za śliwki i tak nie zapłaciłam...

– Ale zapłacimy, jak będziemy mieli...

– Taki wielki kawon się zmarnował... – powiedziała Nela z żalem, wychylając się przez okno. – Dlaczego go mama wyrzuciła?

Ale nie doczekała się odpowiedzi, bo z podwórza dał się słyszeć gderliwy głos dozorczyń.

– Wariaty tu mieszkają! Te Szuby gorsze od Ukraińców! Co ja gadam, i od Żydów gorsze! Zabilibyście mnie przecie! Wariaty, powiadam...

Julia, nie zważając na krzyki, zamknęła okno i ponownie zakrzętnęła się przy piecu. Pogrzebaczem odsunęła fajerkę, postawiła na ogniu rynienkę i zamieszała w niej energicznie drewnianą warząchwią.

– Adela, siadaj, kartofle z cebulą zjesz. Zaraz dojdą. A potem po pościel polecisz migiem, zanim pralnię zamkną. Muszę przed wieczorem pooblekać kołdry... I kupisz chleb w Kłosie, bo tam na kredyt mamy.

Dziewczyna zgodziła się z taką chęcią, że matka spojrzała na nią podejrzliwie.

– A ja mogę z Adelcią? – Nelka odezwała się błagalnie, przełykając z trudem twarde resztki chleba i szykując się na pochłonięcie smażeniny.

– Nie możesz. My będziemy drylować węgierki.

Pulchna buzia dziesięciolatki wykrzywiła się w podkówkę.

– Nie rycz, patrz, mama już nakłada kartofli. – Adela wiedziała, czym zająć uwagę siostry.

Piętnaście minut później biegła piaszczystą drogą wzdłuż torów. Zwykle nadkładała drogi i chodziła do Żółkiewskiej wybrukowaną ulicą Nowozniesieńską, bo szanowała swoją jedyną parę trzewików, które służyły jej na każdą okazję. Tym razem jednak trochę się jej spieszyło. Po pierwsze, ale nie najważniejsze, musiała przecież odebrać pościel z pralni, a zamykali dziś o trzeciej. A po drugie... Po drugie, Adela chciała popatrzeć na swojego Abła. Tylko spojrzeć, bo na nic innego przecież nie miała nadziei. Po to nosiła bieliznę aż do pralni Zniesieniczanka, choć do Błysku na Nowozniesieńskiej miała dużo bliżej, by mieć okazję do spotkania z tym młodym mężczyzną. I choć ono nigdy jeszcze nie nastąpiło, przecież nie było to niemożliwe. A Adela lubiła pomagać losowi.

Szła szybko. Po kilku minutach z ulgą dostrzegła w końcu mur okalający Fabrykę Baczewskiego, oznaczało to bowiem, że jest niemal u celu. Odbiła od torów i wyszła na ulicę. Ponieważ jezdnia była pusta, sprężystym krokiem przeszła przez sam środek skrzyżowania Żółkiewskiej i Wołoskiej, starając się na kocich łbach energicznie otrzepać buty z piachu. Obejrzała się na fabryczny zegar. „Dziesięć po pół do trzeciej... Może on jest już w domu?” – pomyślała, wchodząc do pachnącego mydlinami wnętrza pralni.

– Dzień dobry, pani Cieślakowa – przywitała się z rumianą żoną właściciela zakładu.

Spocona kobieta spojrzała na nią znad blatu, na którym prasowała śnieżnobiałe, sztywne od krochmalu gorsy koszul. Ich stos, idealnie poskładany, leżał obok, na nieczynnej prasie do maglowania.

– Zara podejść. – Sapnęła w taki sposób, że Adela zdziwiła się, kiedy z jej ust nie wyleciał kłęb gorącej pary jak spod żelazka. – Muszę tylko mi-

gusiem tą koszulę dokończyć, bo już boraksem natarłam.

– Trochę mi się spieszy – rzuciła zniecierpliwiona Adela.

I wtedy ruchy Cieślakowej spowolniły się w widoczny sposób. Mruczając pod nosem coś o niewychowanych młodych, ze złością rozprostowała mokrą bieliznę i ułożyła ją na roboczym blacie, tak by nie zrobiły się fałdki. Potem przyłożyła gorące żelazko i przesuwiała je po materiale równo i uważnie. I bardzo powoli.

Nie wiadomo, jak długo stałaby jeszcze Adela, przyglądając się skomplikowanym czynnościom wykonywanym przez Cieślakową, gdyby nie to, że u Baczewskiego skończyła się pierwsza zmiana i pracownicy tłumnie wylegli na ulicę. Kilka osób postanowiło odebrać bieliznę i w pralni utworzyła się kolejka. Na widok klientów żona właściciela odstawiła żelazko i podeszła do lady.

– Kwit – wycedziła przez zęby i Adela podała jej wysłużony kartonik z numerem zamówienia.

Cieślakowa wzięła go palcami białymi od mączki do krochmalenia i z półki za ladą zdjęła równo złożony stosik białej pościeli.

– Zrobiłam, co mogłam – oświadczyła, kładąc go przed Adelą. – Ale białe toto już nie będzie, moja panno – dodała na wypadek, gdyby reszta klientów w kolejce jeszcze się nie zorientowała, że krytykuje jakość pościeli Szubów.

Adela położyła na ladzie czterdzieści groszy, popatrzyła hardo na Cieślakową i zabrała pakunek.

– A w Błysku jakoś ostatnio doprali – odszczeknęła się na koniec, przyrzekając sobie w duchu, że więcej jej noga tu nie postanie. – Widocznie nie oszczędzają na mydle...

Wyszła z ulgą na ulicę. Dobrze wiedziała, że pościel miała swoje lata, sama łątała ją wielokrotnie pod czujnym okiem matki. W domu na wszystkim się oszczędzało, kupno płótna na nowe prześcieradła było sporym wydatkiem. Osobistej bielizny nie oddawało się u nich do pralni nigdy właśnie z powodu jej opłakanego stanu. Adela donaszała halki po matce, po Adeli

donaszały Józka i Nelka. Cerowało się te rzeczy i niczego wstydlivego w tym nie było. Jeśli ubrania były czyste i w miarę całe, nadawały się przecież do użytku. Adela wolała myśleć, że powodem takiego stanu rzeczy nie była bieda, a gospodarność.

Westchnęła i przycisnęła pościel mocniej do siebie. Wolnym krokiem poszła w stronę Dojazdowej, choć przecież mogła wrócić krótszą drogą wzdłuż torów. Ale pragnęła przejść pod kamienicą, w której mieszkał on...

Do uszu Adeli dobiegła muzyka. A więc był w domu. Grał. Może komponował? Przeszła na drugą stronę Żółkiewskiej, stanęła przy rogatce i spojrzała w otwarte okno balkonowe mieszkania na pierwszym piętrze w domu naprzeciwko. Ciemnowłosego młodego mężczyzna siedział przy pianinie i, nie patrząc na klawisze, grał. Nawet z takiej odległości potrafiła dostrzec jego silne ramiona, szczupłe, piękne dłonie, ciemne, lśniące od pomady włosy i zdecydowany profil...

Kochała się w nim jak dawniej Polda w Kiepurze. Tylko przyjaciółka była w lepszej sytuacji, bo miała fotos, na którym obiekt jej uczuć został uwieczniony. Oraz kilka innych podobizn wyciętych z gazety, jak choćby tę, na której tenor śpiewa dla lwowiaków zgromadzonych pod balkonem hotelu George. Ada fotografii swojego muzyka nie miała.

Pierwszy raz zobaczyła go kilka miesięcy temu w ochronce. Z okazji nocy świętojańskiej kierowniczka urządziła dla maluchów zabawę i jakimś cudem udało jej się ściągnąć na nią artystów z teatru. Abel akompaniował aktorom, grał na skrzypcach, potem siadł do fortepianu. Po pierwszych taktach Adela przepadła z kretesem... Uwielbiała muzykę, miała dobry słuch, śpiewała w chórze przy kościele na Zniesieniu. Ten przystojny mężczyzna o nieobecny wyrazie twarzy, który wydobywał z instrumentów piękne dźwięki, wydał się jej ideałem. Przez całą zabawę wpatrywała się w niego i starała się ściągnąć go wzrokiem, jednak bezskutecznie. Nie zauważał jej, drobnej pomocnicy nauczycielki w granatowym, mało twarzowym fartuchu... Może to i lepiej, bo tamtego dnia miała we włosach resztki bułki maczanej w mleku, którą podczas podwieczorku wtarł jej Zenuś Zdobyłak, trzylatek.

Ada szybko wywiedziała się, gdzie mieszka Abel. Przez całe lato nadkładała drogi, żeby znaleźć się w tej okolicy. W ciepłe, letnie dni muzyk, ćwicząc, otwierał okiennice balkonowe i kawałek ulicy napełniał się jego grą. Tak jak teraz...

– A będziesz ty cicho, grajku utrapiony, dziecko dopiero co uśpiłam! – W oknie na parterze obserwowanej kamienicy pojawiła się głowa przyozdobiona papilotami poskręcanyymi z gazety. Widocznie znużona matka stroiła się już na niedzielę. – Żydowina przeklęta...

Abel podszedł do okna i zamknął okiennice.

– Dziękuję ci bardzo, raszpło niewydarzona – wymruczała pod nosem Ada, ruszając przed siebie.

Sobota rozgościła się już na Żółkiewskiej na całego. Mijając kawiarniany ogródek lokalu prowadzonego przez Abrahama Fleischmana, Adela zauważyła eleganckich panów, którzy, inaugurując wolne popołudnie, zasiedli przy stolikach, licytując się przy brydżu i rozpijając butelczyny. Małżonki szanownych panów zapewne w pocie czoła pastowały w mieszkaniach parkiety i piekły marmoladniki, przygotowując się na niedzielę. Jutro i one, umęczone, ale szczęśliwe i wystrojone, zaznają świątecznej rekreacji, paradując w swoich najlepszych toaletach u boku mężów po lwowskiej promenadzie, zwanej z włoska corso. „Może i mnie uda się jutro gdzieś wyskoczyć?” – rozmarzyła się. Postanowiła w drodze powrotnej zajść do Poldy i Otylki, swoich przyjaciółek, i omówić plany na niedzielę.

– Adela! Adela, czekaj! – usłyszała nagle za sobą.

Odwróciła się i zobaczyła, że od skrzyżowania z Wołoską na białej, zdezelowanej kozie pędzi do niej Józka. Rower dostała od taty. Przywiózł go pociągiem z rodzinnego Obroszyna, podreperował i ofiarował średniej córce, która postanowiła nim jeździć do szkoły, we własnym mniemaniu zadając tym szyku.

– Czemu się tak drzesz? – skarciła siostrę Adela. Kilka osób przyglądało się im ciekawie.

Zasapana Józka zeskoczyła z damki niemalże w biegu.

– Idziesz do domu? – zapytała rozgorączkowana.

– Tak, i tobie proponuję to samo – odparła Adela. – Matka powidła smażę, może coś nam skapnie? Jeszcze do piekarni zajdę...

– Adunia, muszę ci coś pokazać – wysapała Józia. – Ale nie tutaj. Za dużo ludzi...

– Dwóję dostałaś czy jak?

– To coś gorszego niż głupia dwója – wyszeptała dziewczyna łamiącym się głosem.

Zaniepokojona Ada spojrzała na siostrę i zauważyła, że ta z trudem powstrzymuje łzy. Przyspieszyła więc kroku. Kiedy obie znalazły się u końca Nowozniesieńskiej, Józia oparła rower o ogrodzenie i z koszyka przy kierownicy wyciągnęła puszkę po czekoladkach z Branki. Podała ją siostrze.

– Co ty mi tu dajesz? Cuksy? – Adela zdjęła wieko puszek i zajrzała do środka.

Po czym elegancko zemdlą.

Posterunek policji na Zniesieniu mieścił się w małym budyneczku z drewnianym gankiem. Okolica była wiejska, to i posterunek wiejski. Posterunkowy Feliks Wnuk nie mógł się nadziwić, jak spokojny trafił mu się dyżur. Od rana zgłoszono tylko jedną kradzież. Takie chwile w tej dzielnicy zdarzały się bardzo rzadko. Co prawda gorszą robotę mieli na pewno policjanci z Kleparowa, bo tam bandycka batiarnia działała regularnie, ale Zniesienie też do spokojnych dzielnic nie należało. Przyłączone do Wielkiego Lwowa zaledwie osiem lat wcześniej, gromadziło mieszkańców ubogich – ciężko pracujących robotników, kolejarzy, sklepikarzy czy urzędników niższego szczebla. Naród przeważnie był napływowy, ludzie pochodzili spod miasta albo i z dalszych rejonów, co można było poznać po mowie. Obywatele zamieszkujący tereny na północ od sztreki nie bałakali, w przeciwieństwie do rdzennych lwowiaków. Choć prawdziwe grandy na Zniesieniu zdarzały się rzadko, jednak policja też miała tu co robić. Najczęściej wzywano posterunkowego do drobnych kradzieży, na przykład bielizny ze sznurka na podwórzu, czasem ktoś komuś wyrwał torebkę, ktoś kogoś pobił... Raz zdarzył się

falszerz monet. Zabójstwa popełniano tu nieczęsto, jak już to samobójstwa. Młode kobiety, z biedy lub z powodu złamanego serca, trwały się gazem, czadem, wieszaly, łykały luminal... Mężczyźni wykazywali się mniejszą inicjatywą, przeważnie wybierali sznur. Choć pamiętał jednego, który położył się na sztrece i przejechała po nim luxtorpeda do Tarnopola. Nie było co zbierać...

Posterunkowy zabił muchę, która już od dłuższej chwili łąziła po księdze raportów, przeciągnął się i zaczął rozpinać mundur, bo upał dawał mu się we znaki. Ułożył nogi na biurku, rozparł się na drewnianym krześle i zamknął oczy. Postanowił się zdrzemnąć. Jednak już po chwili z tego błogiego stanu wyrwały go odgłosy skrzypiącej furtki. Przez brudne okna zobaczył dwie dziewczyny wchodzące po schodach. Rozpoznał starszą z nich, Adelę Szubównę, córkę kolejarza ze stacji Lwów-Podzamcze. Błyskawicznie wstał i zapiął mundur, wyprostował się i wygładził ubranie. Ta mała zawsze mu się podobała, lubił dziewczyny o zielonych oczach, a w dodatku wygadane i inteligentne. A ta druga to chyba jej młodsza siostra, Józka, zdaje się. Adela, gdy była młodsza, często zachodziła na posterunek zapytać o to czy owo... Miała dziwne zainteresowania jak na dziewczynę, bo zajmowały ją zbrodnie. Im bardziej krwawe, tym lepsze. A we Lwowie takich nie brakowało... Pamiętał, jak kilka lat temu przynosiła „Ilustrowany Kurier” czy „Tajnego Detektywa”, gdy jeszcze wychodził, i wskazując zdjęcia poćwiartowanych ciał czy stołów sekcyjnych ze zwłokami zadawała pytania o szczegóły. Jakby Feliks mógł je znać po półrocznym kursie przeszkalającym... Ale odpowiadał cierpliwie, często zmyślając, by zrobić na niej wrażenie.

Tym razem jednak, ledwo spojrział na nią, wiedział, że stało się coś złego. Szubówna była blada i przerażona, choć spokojna. Za to jej siostra rozpląkała się, kiedy tylko przekroczyła próg posterunku.

– Niech pan patrzy – odezwała się starsza z dziewcząt lekko ochryłym głosem. – Niech pan patrzy, co mojej siostrze podrzucono dziś w szkole.

To mówiąc, położyła na stole puszkę po słodyczach. Obie dziewczyny przyglądały się Feliksowi wyczekująco. Młodsza łąkała cicho, skubiąc pasek

od sukienki.

Policjant zdjął wieczko i zajrzał do środka.

– Jasny gwint! – zaklął.

W środku na śmierdzącej słomie leżała kupka zakrwawionego, sinawego mięsa. Dopiero kiedy posterunkowy dostrzegł małe paluszki, zdał sobie sprawę, na co patrzy. Dziewczyny przyniosły mu szczątki ludzkie. Niemowlęce, mówiąc precyzyjnie.

– Skąd to macie? – zapytał groźnie, przez co Józka znowu zaniósła się płaczem. – Będę musiał was przesłuchać, rozumiecie?

Starsza kiwnęła głową.

Feliks przystawił do biurka dwa zydle dla dziewczyn, a sam zasiadł po drugiej stronie. Westchnął i wyjął z szuflady pusty druk zgłoszenia. Zanim przystąpił do jego wypełniania, jego wzrok padł na puszkę czekoladek z fabryki Branka. Nałożył na nią wieczko i szybkim ruchem schował do szafki.

– Podać nazwisko, imię, adres zamieszkania, imię ojca, rok i miejsce urodzenia... – zażądał służbowym tonem.

– Szuba Adela, Szczepanowskiego dwanaście, urodzona we Lwowie czternastego kwietnia tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku, z ojca Pawła. – Odpowiedziała tak szybko, że policjant nie zdążył zapisać.

– A to niepełnoletnia jeszcze... – podsumował. Jeśli tak, nie mógł do niej smalić cholewek, bo to przecież nie licowało z powagą urzędu...

Adela popatrzyła na niego nieco zdziwiona, więc szybko się zreflektowała.

– A siostra? Dane poproszę...

– Szuba Józefa... – dukąła Józia, zanosząc się szlochem. – Adres ten sam... Urodzona ósmego maja tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego z ojca tego samego... Też we Lwowie...

– Przebieg zdarzenia?

Siostry popatrzyły na siebie. Zaczęła mówić Adela, jako że była już teraz bardziej opanowana.

– Józka dziś pod koniec lekcji pakowała zeszyty i znalazła pod blatem ławki tę puszkę... Ucieszyła się, bo myślała, że to prezent od Wincentego, w którym się ko... Znaczą od kolegi. Schowała czekoladki do teczki, żeby koleżanki nie widziały... Bo nie chciała się z nimi dzielić, tak? – upewniła się Ada, a Józka kiwnęła głową.

– Dlaczego Józka pomyślała, że... – Feliks spojrział w notatki – że to Wincenty podrzucił?

– Bo jego ojciec pracuje w Brance... – odparła Józka. – Już kiedyś przynosił czekoladki.

– Co było dalej?

– No... Wsiadłam na rower i odjechałam spod szkoły...

– Gdzie ta szkoła? – chciał wiedzieć posterunkowy.

– Na Świętego Marcina... Za rogiem zatrzymałam się i zajrzałam do środka i... i... – Przerwała i zacisnęła mocno powieki, jakby to mogło pomóc w wymazaniu z pamięci tego, co zobaczyła.

– Dlaczego świadek nie zaniósł dowodu rzeczowego na najbliższy komisariat, tylko przyjechała z nim aż na Zniesienie? Przecież Świętego Marcina to nie mój rejon! – Feliks Wnuk postanowił wykazać się profesjonalizmem i przybrał ton godny wnikliwego śledczego.

Chyba zrobił odpowiednie wrażenie, bo dziewczynka znowu się rozpłakała.

– Ja... Ja... Nic nie zrobiłam... Przestraszyłam się... – szlochała. – Chciałam do domu, nie wiedziałam, co robić!

Adela wstała poirytowana i wzięła siostrę za rękę.

– A pan wiedziałby na jej miejscu, jak postąpić? – zapytała ostro. – Dobrze widziałam pana minę, gdy pan zobaczył tę rączkę... A co dopiero dziewczynka? Przecież miała chyba prawo stracić głowę!

Posterunkowy zmieszał się nieco. Puścił uwagę Adeli mimo uszu i badał sprawę dalej. Dowiedział się jeszcze, że Józka po drodze do domu wypatrzyła Adelę i w ustronnym miejscu zaprezentowała jej zawartość puszek.

– I Adelia zemdlą... Ale na sekundę... A potem przyszliśmy do pana...

Wnuk skończył pisać protokół, kazał dziewczynom przeczytać go i podpisać.

– Co teraz będzie? – Starsza z sióstr spojrzała na niego poważnie. – Kto robi takie rzeczy?

Feliks nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, tym bardziej że dziewczyna nie sprecyzowała, czy chodzi jej o to, kto takie rzeczy podrzuca dzieciom, czy kto zabija noworodki.

– Wróćcie teraz do domu – rzucił wymijająco. – I dziś się już nigdzie nie oddalajcie, bo możecie być jeszcze potrzebne. A ja podejmę czynności...

W tym samym momencie drzwi posterunku otworzyły się z trzaskiem i do środka wpadł wysoki i chudy jak szczapa chłopak.

– Ada, co z tobą? – Przypadł do dziewczyny. – Polda przyleciała do twojej matki, podobno ktoś widział, że zasłabłaś na ulicy... Szukałem cię po całym Zniesieniu, wreszcie na policję postanowiłem...

– Uspokój się, Kacper. Już wszystko dobrze.

– Co się stało?

– Chodźmy już. Zaraz wszystko ci opowiem.

Wnuk przyjrzał się młodemu i rozpoznał w nim syna Ukraińca, który kilka lat temu został zamordowany na Zamarstynowie. Pamiętał tę sprawę. Młodzieniaszek najwyraźniej czuł do Adeli miętę, co policjant skonstatował z niezadowoleniem.

– Odprowadź, synu, te panienki do rodziców – zwrócił się do Kacpra, choć ze względu na kilka zaledwie lat różnicy między nimi na pewno nie mógłby być jego ojcem. – Jak się czegoś dowiem, zajdę do was na... – zerknął do protokołu – ...Szczepanowskiego.

W drodze powrotnej do domu Józia wciąż szlochała, a Adela próbowała znaleźć słowa, by opisać przyjacielowi potworność, która spotkała dziś jej siostrę. Gdy zbliżali się do sztreki, spostrzegli w oddali postać stojącą na drodze. Dziewczyny rozpoznały w niej matkę, Ada zdziwiła się, jak bezradnie wyglądała... Zauważywszy ich wreszcie, Julia Szubowa puściła się biegiem w ich kierunku.

– Jesteście zdrowe? Całe? Gdzie rower? – dopytywała, dopadłszy do nich. – Ada, dlaczego Józka płacze? Na litość boską, odezwijcie się któraś...

W skromnym mieszkaniu przy Szczepanowskiego panowała atmosfera podsztyta nerwowością. Wydarzenia dzisiejszego dnia sprawiły, że Szubowie poczuli się zagrożeni. Widmo niepewności zawisło nad szczęściem rodzinnym tym straszniejsze, że nienazwane. Czy coś im groziło? Czy ktoś im groził? Nie wiedzieli. Ale wszystko było możliwe. Takie przecież czasy... W mieście niby panował spokój, niby nacje żyły w symbiozie, ale przecież wszyscy pamiętali, kto z kim walczył o Lwów niespełna dwadzieścia lat temu. Zgoda między Ukraińcami i Polakami wydawała się krucha jak tafla stawu zamrożonego podczas pierwszych zimowych mrozów. A w mieście żyły przecież i inne nacje: Żydzi, Białorusini, Ormianie, Rosjanie... Ludzie nienawidzili się z powodów narodowościowych, religijnych i tych zwykłych, codziennych. Szubowie nikomu na odcisk nie nastąpili, żyli w zgodzie z sąsiadami, cieszyli się ich szacunkiem. Dobrze im było we Lwowie. Aż do teraz.

Julia zdjęła z pieca biały emaliowany dzbanek, w którym z szumem zagotowała się woda. Wsypała do wrzątku dwie kopiaste łyżeczki herbaty, zamieszała i przykryła napor pokrywką z niebieskim uchwytem. Postawiła dzbanek na stole, na ukruszonym żółtym kaflu, który służył za podstawkę.

– Zaraz się zaparzy – powiedziała, lecz jej słowa nie wzbudziły żadnej reakcji w osobach zebranych w pomieszczeniu.

Na skrzyni przy drzwiach do sypialni siedziała Józia. Już nie płakała, ale jej wzrok był pusty, a ona sama jakby zastygła w oczekiwaniu. Ada zajęła krzesło najbliższej młodszej siostry. Ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w okno ponad głową Kacpra, który przycupnął przy niej na niskim zydelku, za swoją matką i siostrą siedzącymi bliżej stołu. Julia wiedziała, że Adela zastanawia się nad całą tą sprawą. Nie lubiła, gdy coś nie szło po jej myśli lub wymykało się jej spod kontroli... Nie reagowała wtedy złością, nie płakała z bezsilności czy strachu. Nie Ada. Ona robiła wszystko, by zapanaować nad sytuacją.

Tylko Nelka zdawała się nie całkiem świadoma potworności, która zdarzyła się ich rodzinie. Przyniosła warcaby i rozłożywszy je na szerokim parapecie, ogrywała raz po raz ojca.

Paweł z roztargnieniem popatrywał na czarno-białą planszę i przesuwiał pionki bez zaangażowania. Zastanawiał się, co zrobiłby temu gnojkwowi, który tak przestraszył Józkę, gdyby go dorwał. Wincenty... Jak mu tam? Jarekko chyba, zasłużył na baty. I jeśli rodzony ojciec mu ich nie zafunduje, to on chętnie go wyręczy...

Julia spojrzała z niepokojem na zacięty wyraz twarzy męża, a potem na puste słoiki ustawione równo na kredensie. Pomyślała, że powinna dokończyć drylowanie węgierek i choćby kompotów narobić, bo szybciej się z nimi uwinie niż z powidłami. I mniej cukru pójdzie. Chętnie zajęłaby ręce robotą, może umysł zmęczony gonitwą myśli też by trochę odpoczął. Ale jak się teraz za to brać?

– Ja się napiję, jeśli można. – Suczajowa przysunęła swoje krzesło bliżej stołu. – Chodź, Melka, czaju dostaniesz – zwróciła się do córki.

– A cukru nie ma? – upomniała się dziewczyna.

– Już daję, oczywiście. – Julia rzuciła się w stronę kredensu i wyjęła z niego cukiernicę na wysokiej nóżce.

Wdzięczna była sąsiadce, że się odezwała, bo dłużej już nie zniosłaby tej napiętej ciszy panującej w pełnej ludzi kuchni.

– Dwie łyżeczki Julia pozwoli? – zapytała Mela, przechylając głowę z wdziękiem godnym pięciolatki.

– A osłódź sobie, dziecko, ile chcesz... – odparła Julia, przemawiając łagodnie.

Od tamtego dnia, kiedy znalazła Melanię w wychodku, czuła się za nią odpowiedzialna. Zawsze zwracała się do niej głosem pełnym czułości lub łagodnie napominała, jakby córka sąsiadki była jej czwartym dzieckiem. Choć właściwie, szczerze mówiąc, dla własnych dziewcząt nie zawsze tę czułość w sercu znajdowała...

Szubowa włączyła radio, z którego popłynęła muzyka zupełnie nieodpowiednia do panującego w mieszkaniu nastroju. Adela zamrugła ze zdziwieniem oczami, jakby rzewna, miłosna pieśń z głośnika obudziła ją z głębokiego snu.

– Jak myślicie, ile czasu to jeszcze potrwa? – zapytała, patrząc na ojca.

– Co potrwa? – zdziwił się, odsuwając od siebie warcaby.

– No... Jak długo będą wszystko wyjaśniać?

– Obawiam się, że długo – skwitował Paweł ze zniecierpliwieniem. – Może do późnej nocy, a może kilka dni nawet...

Nie wypowiedział na głos swoich najgorszych obaw: że może do tego czasu lepiej, by Józia nie chodziła do szkoły... A oni wszyscy powinni na siebie bardzo uważać. Możliwe, że ktoś próbował ich zastraszyć, zniszczyć. Ktoś, kto pamiętał, co wydarzyło się niemal dwadzieścia lat temu, ktoś, kto wtedy płakał i cierpiał. Przez niego. Może teraz właśnie przyszedł czas, żeby zapłacić za tamto? Poczucie stabilizacji, które budowali z Julią od czasu przyjazdu do tego miasta, właśnie tego dnia legło w gruzach. Przy sobocie po robocie, psiakrew...

Spojrzał na żonę, która zaczęła zapalać lampę naftową, żeby przegonić panoszący się po kątach zmierzch. Mogła włączyć górne światło, ale w świetle żarówki wszyscy czuliby się bezbronni. Za to lampa pozwalała się otulić blaskiem jak ciepłym kocem. Dawała schronienie. Julia dobrze to rozumiała, potrafiła odczytywać uczucia z ludzkich dusz jak wytrawny psycholog. I za to ją kochał. Zapragnął nagle przytulić się do niej i zrobiłby to, gdyby nie obecni w mieszkaniu Suczajowie. Nagle poczuł zniecierpliwienie. Wcześniej była z nimi jeszcze koleżanka Ady, Helka, ale na szczęście już sobie poszła. A ci Suczajowie? Po cóż oni tu tak długo siedzą? Kacper, wiadomo, pilnuje Ady, bo on strasznie za nią... Ale Antonina? Pewnie pilnuje Kacpra. I cieszy się z ich nieszczęścia, bo taką ma naturę. Życie ją okropnie doświadczyło, więc miło jej, gdy komuś gorzej się wiedzie.

Szlagier wygrywany przez orkiestrę radiową przerwał gwizd lokomotywy i turkot pociągu przejeżdżającego po sztrece.

– Siódma piętnaście do Podwołoczysk – odezwał się machinalnie Paweł, bo jako kolejarz z Podzamcza rozkład jazdy pociągów miał we krwi. Zresztą każdy w tej części Nowego Zniesienia przylegającej niemal do torów orientował się w czasie głównie dzięki pędzącym w dal pociągom. – Późno już, a ja jutro mam pierwszą zmianę... – W ten zawołowany sposób zachęcał sąsiadów do wyjścia.

– Ja też bym może skończyła zaprawy robić. Jutro niedziela, *robotać* nie wypada – podchwyciła Szubowa.

Suczajowa z niezadowoleniem odstawiała fajansową filiżankę na stół, oblewając reszką herbaty obrus w niebieską kratę. „Trzeba zaprać, jak tylko wyjdą” – przeleciało przez głowę Julii, bo gospodarność była jej drugą naturą.

– To my już pójdziem, chodźta, dzieci – burknęła sąsiadka, niezadowolona, że niczego ciekawego się już dziś nie dowie.

– Może śliwek chcecie trochę? – Julia próbowała udobruchać Antoninę, która z ociąganiem otwierała drzwi na korytarz. – Na kompot na niedzielę...

– Idzie! Idzie! Posterunkowy! – krzyknęła z przejęciem Nelka, wyglądając przez okno.

Paweł również spojrział na ciemniejącą o zmierzchu ulicę. Mała miała rację, do bramy ich kamienicy zbliżał się Feliks Wnuk.

Suczajowa, wyczuwając szansę, zaczęła się ociągać z wychodzeniem. Aż drgnęła z radości, gdy na korytarzu dały się słyszeć zdecydowane kroki policjanta, a po chwili rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść! – odezwał się Paweł, wstając z miejsca.

Posterunkowy otworzył tak energicznie, że prawie potracił Suczajową. Jednakże mimo to postanowiła zostać.

Poproszono policjanta, żeby usiadł, Ada naląła mu herbaty. Julia zajęła miejsce obok zdenerwowanej Józki.

– Właściwie nie macie się czym przejmować – odezwał się wreszcie Feliks. – Ta część sprawy, która was dotyczy, rozwiązana. Ja ją rozwiązałem – uściślił, prostując się na krześle.

Kacprowi wydało się, że policjant patrzy przy tym na Adele, jakby szukając w jej oczach uznania. To go rozgniewało.

– Ten smarkacz z Podzamcza – funkcjonariusz spojrzął do notatek – Wincenty Jaremko chciał Józefie zrobić głupi kawał. Namówiła go do tego niejaka Krystyna Zielecka...

– Krycha?! Ta kwoka? – jęknęła Józia.

– ...która, znając łakomstwo koleżanki, czyli twoje – tu Feliks spojrzął na średnią Szubównę – i jej słabość do Jaremki, kazała mu zapakować do puszek po czekoladkach znalezione, cytując: „u świń”, szczątek noworodka...

– Matko Boska. – Julia przeżegnała się. – Jak to u świń?

– Jakiego noworodka? – równocześnie zapytała Adela.

– Ale co ja jej zrobiłam? Mamo... – Józia rozplakała się, a z nią dla towarzysztwa i Nelka.

– Z tej małej to dopiero świnia! – ekscytowała się Suczajowa. – Kto widział, żeby dziecko takie rzeczy wymyślało? Na miejscu jej matki ja bym ją...

Paweł, korzystając z zamieszania, usiadł w fotelu, wypuszczając z ulgą powietrze. „Więc to nie o tamto chodzi. Więc na razie jest dobrze. Jest bezpiecznie. Na razie...”

Policjant wyraźnie zaczął się niecierpliwić. Miał nadzieję na spokojną sobotę, a tu nie dość, że musiał babrać się w podmiejskim, nie przymierzając, gównie, to na koniec znalazł się wśród rozemocjonowanych i wrzeszczących bab.

– Cisza! – zażądał urzędowym tonem. – Zielecka mieszka przy Janowskiej, tam dużo ludzi trzyma tucznik – tłumaczył. – U nas zresztą też przecież... I mała znalazła tę... rączkę, jak szła z babką do chlewu nakarmić świnię pomyjami. Babce nic nie powiedziała.

– Ale skąd rączka w chlewie? – drążyła Ada, choć już się domyślała. Przecież nie od dziś czytała uważnie gazety, a w mieście niejedno się działo.

– Ano to właśnie ustalamy – rzucił posterunkowy, wstając. – Jakaś matka wyrodna pozbyła się kłopotu w ten sposób.

– Świnia – powiedział z mocą Kacper, patrząc policjantowi w oczy – wszystko zeżre.

Zabrzmiało to jak zaczepka. Wnuk poprawił mundur i odwzajemnił wrogie spojrzenie. Wiedział, że wyrostkowi chodzi o Adelę. I choć dziewczyna niezbyt go interesowała, odkąd poznał Manię od rzeźnika, postanowił trochę się z gówniarzem podroczyć. W końcu to w połowie Ukrainiec, na pewno coś ma na sumieniu...

– Pójdę już. Wincenty Jaremko manto dostał od ojca, więc już na pewno nie będzie ci dokuczać – zwrócił się do Józki. – Zielecka też na dupie przez całą niedzielę nie usiądzie... Nie przejmuj się, mała. A jakby co, przyjdź do mnie. – Wychodząc, mrugnął do Szubówny porozumiewawczo, co dodało jej poczucia bezpieczeństwa.

Gdy zamknął drzwi, wszyscy umilkli. Strach, napięcie i oczekiwanie złych wieści zmęczyły ich. Melka nie próbowała ukryć ziewania, ale Antonina najwidoczniej dopiero się rozkręcała.

– Znałam ja taką jedną, pracowała na Nowym Świecie, służącą była u państwa – zaczęła opowiadać. – Ze wsi do miasta przyjechała, spod Stanisławowa chyba. Brudas z niej był, kołtun jeden pod chustką nosiła... Ale i tak się panu spodobała. Chyba tylko po temu, że młoda była, jędrna. Rok nie minął, a brzuch jej urósł, więc wszyscy wiedzieli, że zaciążyła. I nagle się tego brzucha pozbyła. Pyta się jej kucharka, gdzie dzieciak? A ona, że oddała na wieś, swoim. Ale miesiąc później sumienie nie wytrzymało i powiedziała kuchcie, że świniom malca rzuciła, żeby się pozbyć kłopotu...

– Pani Suczajowa, późno już – przerwała jej Julia, patrząc na przerażenie malujące się na twarzyczce Melki. Dość już mieli łez, dość już mieli na dzisiaj strachu i nerwów.

– Idziemy. – Kacper wziął matkę pod rękę.

– A co to ja miałam jeszcze? A, wiem, Julia mi śliwek obiecała dać... – przypomniała sobie kobieta.

Kiedy wreszcie Kacper z siostrą i matką sobie poszli, Szubowie odechnęli z ulgą. Julia położyła najmłodszą spać, a dwie starsze córki zaprzęgała do pomocy przy robieniu przetworów. Józia wciąż na nowo przeżywała wydarzenia dzisiejszego dnia, na przemian to żałowała roweru, który zniknął z Nowozniesieńskiej, to żaliła się na koleżankę, narzekała i dziwiła się, że kobiety potrafią w taki okrutny sposób postąpić z własnymi dziećmi. Julia tłumaczyła jak umiała, choć jej serce też nie potrafiło zrozumieć zadawania tak okrutnej śmierci. Przecież są odpowiednie instytucje, które się niechcianym dzieckiem zaopiekują, tu, we Lwowie, sporo nawet, są bezdzietne małżeństwa... Zrozpaczone samotne matki nierzadko dawały nawet ogłoszenie do gazety: „Z powodu braku środków do życia oddam pod opiekę chłopca siedmioletniego...”. Ale ona też słyszała nieraz o takich tragicznych przypadkach. I choć bardzo dobrze rozumiała strach tych kobiet, dzieciobójstwa wytłumaczyć nie potrafiła.

– Musimy się spieszyć, bo nas północ zastanie – poganiała dziewczyny. – Cukru nie sypcie za dużo, bo drogi! Tylko tyle, żeby się kompot nie zepsuł.

– A Melce jakoś nie żałowałaś – zauważyła Adela sucho.

Paweł nie mógł sobie znaleźć miejsca w mieszkaniu. Chodził po kuchni, to pił wodę z czajnika, to pogryzał resztki smażonych kartofli z obiadu, snuł się z kąta w kąt, aż wreszcie oznajmił, że idzie się przejść.

– O tej porze? Dokąd? – wyrwało się Julii. – Po tym wszystkim mógłbyś zostać z nami... Do pracy rano idziesz.

– Muszę... Muszę się przewietrzyć – powiedział, nie patrząc żonie w oczy. – Właśnie po tym wszystkim. Zresztą jak tu spać, harmider jak w ulu...

Wyszedł szybko, a gdy Ada spojrzała w okno, zobaczyła jego sylwetkę w słabych światłach przy sztrece. Przeszedł przez tory w stronę Górki Baczewskiego. Wiedziała, że ojciec lubił samotność. Pewnie dlatego, że w domu nie miał bratniej męskiej duszy, tylko same baby...

– Może tata poszedł szukać roweru? Albo porachować się z Wincentym? – zastanawiała się Józka. – Ale by było! Należy mu się, durniowi, śmierdzielowi jednemu!

– Bzdury gadasz! Szybciej, dziewczyny – popędzała córki Julia. – Padam z nóg... Spać nam trzeba.

Szubowa zalewała słoiki gorącą wodą i z trudem powstrzymywała łzy. Domyślała się, dokąd poszedł mąż...

Zasypiając później we wspólnej z dziećmi sypialni, nasłuchiwała kroków Pawła. Ada jeszcze nie spała, zdradzał ją nierówny oddech.

– Mamo – szepnęła – czy ty się czasem boisz?

Julia podniosła się z łóżka, w którym spała z Petronelą, i podeszła do posłania dwóch najstarszych córek. Z trudem usiadła na podłodze i delikatnie ścisnęła dłoń Ady.

– Boję się – odparła cicho. – Taka moja natura. Dużo w życiu przeszłam i nie ufam losowi. Długie lata byłam sama... Przyzwyczaiałam się już do niepewności. Ale nie chciałabym, żebyście wy żyły w ciągłym strachu. Czemu pytasz?

– Bo... bo kiedy zobaczyłam tę... rączkę... Dziś bałam się chyba po raz pierwszy w życiu, mamo. Trudno żyć w świecie, w którym dzieją się takie rzeczy.

– Nie masz wyjścia. Nie mamy wyjścia. To jedyny świat. Najgorszy, ale i jedyny... A takie rzeczy działy się zawsze i zawsze dziać się będą.

Józka przeciągnęła się w pościeli i otworzyła oczy.

– A ja się najpierw bałam, a potem się wściekłam – oświadczyła szeptem. – I tak mi zostało. Nie wiem jeszcze, co zrobię tym... tym... A boję się tylko jednej rzeczy na świecie. Wiecie, czego? Krzaka dzikiej róży, tego powyginanego, który widać z okna za nasypem, na wzgórzu...

Ada zachichotała.

– Wiem, dlaczego... Pamiętam, jak mama nas nim straszyla, mówiąc, że to mała, która przyjdzie i nas zabierze, gdy będziemy niegrzeczne – kończyła. – Też się go zawsze bałam...

– Często w nocy wydawało mi się, że zaraz zobaczę długie ręce tej strasznej małpy, jak sięgają po mnie przez otwarte okno... – kontynuowała

Józka.

– Mamo?

– Tak, Adelka?

– A właściwie dlaczego małpa?

Julia uśmiechnęła się.

– Jak miałam pięć lat – zaczęła opowiadać – miałyśmy nianię, która mówiła nam, że najstraszniejszym zwierzęciem na świecie jest małpa. Podobno widziała jedną w jakiejś objazdowej menażerii. Człowiek, który ją karmił, wszedł do klatki i niania widziała, jak małpa rzuca się i rozszarpuje mu gardło. A że niania więcej egzotycznych zwierząt w życiu swoim nie widziała, zostało jej przekonanie, że małpa to najstraszniejsza bestia, z którą i biblijny Dawid by sobie nie poradził...

– Mamo, a opowiedz coś ze swojego dzieciństwa – poprosiła Józia. – Bo ty przecież żyłaś w poprzednim wieku, prawda?

– Tak, i to całkiem długo w nim żyłam. Co wam opowiedzieć?

Kiedy godzinę później Szubówny spały ukołysane historiami matki, do domu wrócił Paweł. Julia słyszała, jak kładzie się w kuchni na amerykance, którą mu pościeliła. To dobrze. Dziś nie chciała, by ją dotykał, choćby nawet przez grubą pierzynę.

Niedzielny ranek rozpoczynał się leniwie i obiecywał ciepły ciąg dalszy dnia. Ulica Szczepanowskiego i pobliska Wniebowstąpienia budziły się powoli. Jeden po drugim odzywały się koguty w przydomowych kurnikach, w podwórkach niewysokich kamienic skrzypiały drewniane drzwi wygódek, stukały żeliwne ramiona pomp napełniających wiadra zimną wodą. Choć słońce wstało już dobrą godzinę temu, nad zielonymi wzgórzami okalającymi Lwów wciąż unosiła się przejrzysta mgiełka, która nadawała krajobrazowi lekko senny charakter.

W kamienicy pod numerem dwunastym było jeszcze cicho. Tylko w mieszkaniu na pierwszym piętrze otworzyły się drzwi. Na klatkę schodową wyszedł Paweł. Na krótkie jasne włosy wcisnął kolejarską czapkę, a na-

stępnie schował do teczki owiniętą w gazetę pajdę starego chleba ze smalcem. Świeżego nie było, bo Adela nie kupiła.

– Szkoda, że przy niedzieli nie możesz pospać – odezwała się cicho Julia, wysuwając się za nim na korytarz.

– Służba nie družba – odparł. – Za to w następnym tygodniu będę miał wolne.

– Pojedziemy za miasto? – zapytała z nadzieją, bawiąc się warkoczem gdzieniegdzie przetykanym srebrnymi nitkami. – Dziewczynki się ucieszą... Ja też... Po tym wszystkim, co się stało, należy się nam rozrywka.

– To się jeszcze zobaczy – odparł, choć wiedział, że jak jego żona coś sobie umyśliła, to już raczej rzecz jest postanowiona.

Przez nasyp kolejowy przejechał pociąg.

– Szósta trzydzieści siedem do Tarnopola – stwierdził. – Idę, bo się spóźnię na zmianę. – To mówiąc, pocałował lekko żonę w policzek i zaczął schodzić po drewnianych schodach.

– Z Bogiem! – rzuciła za nim Julia.

Weszła do kuchni, zamykając cicho drzwi. Miała jeszcze trochę czasu, zanim obudzą się córki i trzeba będzie zająć się robieniem śniadania i szykowaniem do kościoła. Podeszła do kredensu i z drewnianej papierośnicy wyciągnęła skręcony przez męża papieros. Potem usiadła przy stole, otworzyła okno i zapaliła. Wydmuchując dym, zerknęła na pustą przedmiejską ulicę. W oddali zobaczyła sylwetkę męża znikającą za zakrętem. Szedł szybko, bo do dworca kolejowego, gdzie pracował, było daleko, a czasu rzeczywiście zostało niewiele. Lepiej nie narażać się kierownikowi, jeśli nie chciało się pracować w każdą niedzielę do końca miesiąca...

Poza tym na Szczepanowskiego nic się jeszcze o tej porze nie działo. Julia zapatrzyła się więc w stronę Wysokiego Zamku, gdzie wyłaniająca się spod rzednących mgieł zieleń stawała się coraz bardziej soczysta. Na zboczach żółciły się też kwitnące krzewy, chyba mimozy. Julii nagle zdało się, że czuje ich duszny zapach. „Wtedy, gdy poznałam Pawła, też już pachniało jesienią...” – pomyślała ze wzruszeniem.

– Mama znowu pali? – usłyszała za plecami pełen pretensji głos Ady. Zawsze, gdy córka była niezadowolona, zwracała się do niej w trzeciej osobie. – Przecież można to na korytarzu robić albo przed domem, a nie w mieszkaniu! Duszę się od dymu!

– Na ulicy palą tylko ulicznice – odparła Julia, gasząc papieros i wyrzucając go przez okno. – A gdzie „dzień dobry”, córeczko?

– Dzień dobry – burknęła Ada.

Julia zamknęła okiennice i przyjrzała się najstarszej córce, która była już ubrana w swoją najlepszą sukienkę i starannie uczesana, słowem – gotowa do wyjścia.

– A gdzie ty się wybierasz? Przecież msza dopiero o dziewiątej? – zapytała.

– Idę dziś do jezuitów na siódmą – odparła. – Chcę się wypowiadać jak człowiek przy porządnym konfesjonale, a nie klękając przy krześle księdza w przedsionku. Zdaje mi się wtedy, że wszyscy słuchają moich grzechów. Spowiedzi powszechnej robić nie zamierzam. I organów porządnych chcę posłuchać.

Julia uśmiechnęła się pod nosem. Znała upodobanie najstarszej córki do kościelnych przepychów, śmieszyło ją ono. Adela lubiła patos podczas mszy, zapach kadzidła i błysk złotych nici w ornatach. A na Zniesieniu kościół dopiero się budował, nabożeństwa odbywały się w skromnym drewnianym budyneczku obok, a ostatnio w ledwie zaczętej, niezadaszonej bocznej nawie tego nowego budynku. Może i brakowało w nim podniosłej atmosfery, ale przecież nie brakowało Boga...

– Och, Ada – westchnęła. – Ty do teatru się wybierasz czy na modlitwę?

– Co też mama wygaduje? – Dziewczyna spłonęła rumieńcem i widać było, że nie posiada się z oburzenia, że matka posądza ją o tak niskie pobudki.

– Dobrze już, dobrze... – Julia ugodowo poklepała córkę po ramieniu. – Módl się, gdzie chcesz i jak chcesz. Tylko narzuć coś jeszcze na siebie, bo się chyba za bardzo wyletniłaś. Pamiętaj, że już wrzesień.

Dziewczyna popatrzyła niechętnie na wełnianą chustę przerzuconą przez oparcie krzesła. Tkanina była sprana, nijakiego koloru i pocerowana w dwóch miejscach. Choć matka upierała się, że wciąż daje okrycie, gdy zimno, i nie trzeba jej wyrzucać, Ada miała inne zdanie na ten temat.

– Mnie zawsze gorąco, proszę mamy – powiedziała i wybiegła na korytarz.

Julia o czymś sobie przypomniała. Otworzyła okno, wyciągnęła z kieszeni podomki kilka monet i wychyliwszy się, krzyknęła do najstarszej córki:

– Adela! Chleb u Żyda kup, jak będziesz wracać! – To mówiąc, rzuciła córce pieniądze.

Dziewczyna pozbierała je z chodnika i ruszyła w tę samą stronę, co kilka minut wcześniej jej ojciec.

Julia stała jeszcze chwilę przy oknie. Już chciała je zamknąć, gdy zobaczyła szczupłego chłopaka wybiegającego z bramy obok. Rozpoznała w nim Kacpra. „Pewnie też poczuł, że musi do Piotra i Pawła na mszę pójść, jak moja Ada...” – stwierdziła w duchu, uśmiechając się pod nosem.

Chowali się razem z Adelką, od dzieciństwa lubili się bardzo. Kacper dorosły już, dwa lata od Ady starszy, teraz cholewki do niej smalił. Na mecha- nika się uczył, ostatnio podobno dostał stałą posadę, Antonina chwaliła się, że przynosi do domu regularnie pensję. Miły chłopak, ale przecież dziecko jeszcze! Tacy z Adelą młodzi...

Julia wpadła w zadumę, myśląc o swojej młodości. Gdzie ona? Przepadły jej najlepsze lata i nie powrócą... Nie mogła ich nawet ofiarować Pawłowi, bo poznała go później, dużo później...

Julia z domu Podhorecka, szósta i najmłodsza córka Ludwika i Pauliny, urodziła się w majątku ziemskim pod Jazłowcem. Paulina rodziła mężowi córki rok za rokiem i wyczerpana tym zmarła, zanim Julia skończyła trzy lata. Ojciec, który samotnie stanął przed koniecznością wychowania i wy- dania za mąż sześciu córek, popadł w rozpacz i z tej rozpacz zaczął pić

i hulać. Przynajmniej taki powód stoczenia się podawał swoim dzieciom. Więcej czasu zresztą spędzał we Lwowie w słynnym hotelu George, grając w karty i topiąc smutki w alkoholu, niż przebywając w rodzinnych dobrach. Dziewczynkami zajęły się bliższe i dalsze ciotki, którym podjęcie takich kroków dyktowało poczucie obowiązku. Rozdzieliły między siebie małe Podhoreckie według możliwości zapewnienia im bytu. Julia trafiła pod skrzydła Jadwigi, kuzynki ojca, która miała kamienicę w Jazłowcu.

– Nowoczesna panna musi dbać sama o siebie i tego musisz się nauczyć w tych niepewnych czasach – powtarzała Julce ciocia Jadzia. I miała rację.

Julia zresztą głęboko w to wierzyła. Nauczyła się przede wszystkim, że nie należy ufać mężczyznom. Ani ojcu, który przyjeżdżał tylko wtedy, gdy go sumienie bardzo gryzło, i zasypywał córkę prezentami: wstążkami do włosów, sukienkami, lalkami oraz owocami w cukrze, ani wujaszкови Bernardowi, który, gdy ciotki nie było w domu, brał Julcię na kolana. Trzymał ją i przyciskał do siebie, mimo że się wyrywała z całych sił, aż się spocił i dostawał zadyszki. Kiedy zorientowała się, co właściwie jej robi, znienawidziła go z całego serca i gdy tylko zanosilo się, że ciocie nie będzie, zaszywała się gdzieś w ogrodzie albo na strychu. Potem zaczęła uciekać do miasteczka. Snuła się po wąskich uliczkach, zaglądała do ogródków otaczających domki na peryferiach. Z każdą taką wyprawą posuwała się dalej i dalej, aż pewnego razu dotarła na kraniec Jazłowca, w miejsce, gdzie łączył się z wsią Browary. Tu było już biednie, że hej. Płoty krzywe, kałuże na drodze, niskie domki kryte strzechą opadającą na malutkie okienka jak przydługa grzywka na oczy.

W jednym z ogródków stała dziewczynka w jej wieku. Miała na głowie czerwoną chusteczkę zawiązaną pod brodą, ubrana była w spraną i pocerowaną sukienczynę.

– Czego się gapisz? Chcesz dostać? – zaczepiła ją nieznajoma zza płotu.

Mała Podhorecka dostać nie chciała, ale nie wiedziała też, co odpowiedzieć. Pogapiła się więc trochę, aż w końcu postanowiła zawrócić do miasta. Odwróciła się i zrobiła kilka kroków. Wtedy silny kopniak w plecy powalił ją na ziemię.

– Myślisz, żeś lepsza, bo masz krajkę w warkoczach? – krzyknęła tamta, szarpiąc ją za włosy i zrywając z nich seledynową kokardę, najnowszy upominek od ojca. – O, patrz! Już nie masz!

Julia wypluła piach, który dostał się jej do ust, gdy niespodziewanie upadła. A potem wstała, zacisnęła pięść i wymierzyła cios prosto w szczękę obdartej dziewczuchy. Tamta ze zdziwieniem dotknęła ust, w których kąciku pokazała się krew.

– Dośka! Dośka! A żeby cię! Coś panience zrobiła?

Na progu chaty pojawiła się kobiecina w fartuchu, z rozsznurowaną na piersi koszulą i zakutany w płótno oseskiem. Najwyraźniej karmiła właśnie dziecko i czynność tę przerwała, bo niemowlak z wściekłości darł się wniebogłosy. Kobieta, nie przejmując się tym głośnym protestem, wyskoczyła na drogę i złapała obdartuskę za ucho. Dziewczynka syknęła z bólu, ale nie próbowała się wyrywać.

– Najmocniej przepraszam, jakieś dydko w nią wstąpiło. – Kobieta przemawiała do Julii tonem pełnym skruchy, nie wypuszczając ucha córki z żelaznego uścisku. – Nic się panience nie stało? Stokrotnie przepraszam, stokrotnie...

Ponieważ kolano Julii mocno krwawiło, kobiecina uparła się, że je opatrzy. Chwilę później dziewczynka siedziała przy stole w ubogiej, ale czystej izbie. Naprzeciwko niej zajęła miejsce jej prześladowczyni, a dosłownie z każdego kąta przyglądało się jej jakieś dziecko. Przynajmniej jedno.

Kiedy krwotok został zatamowany, kobieta na nowo przystawiła noworodka do piersi. Julię natomiast napoiła mlekiem prosto od krowy.

Bieda w chacie aż piszcziała. Jednak wszystko lśniło czystością, w oknach wisiały wykrochmalone zazdrostki, podłogę z desek ktoś niedawno wyszorował piaskiem, bo lśniła bielą drewna. W kącie izby stał piec chlebowy, od którego było gorąco, widocznie piekły się w nim pachnące bochenki. Julia wiedziała, że piec chlebowy jest w tej okolicy wyznacznikiem statusu społecznego – jego brak oznaczał skrajne ubóstwo. A więc tutaj nie było jeszcze tak tragicznie.

Kobieta bez przerwy mówiła, poprawiała najmłodsze dziecko przy piersi, wolną ręką rozdawała starszym gotowane kartofle w mundurkach, wycierała nosy, podciągała gacie, jeśli trzeba było.

Kiedy Julia podniosła się i powiedziała, że musi już iść, kobieta spojrzała w stronę okna.

– Zmierzcha się, gdzie panienka będzie po ćmoku sama iść. Dośka odprowadzi! – Uparła się, choć Julia protestowała.

Długo szły w ciszy po piaszczystej drodze.

– Przepraszam – bąknęła w końcu tamta. – Nerwa mnie złapała. Potrzebowałam komuś przyłać. Bazyl zawsze ode mnie dostaje w takich razach, bo i tak mu się należy, ale gdzieś się akurat pędrak zawieruszył... Wtedy tyś się nawinęła...

– A czemu cię nerwa wzięła? – zaciekawiała się Julia.

Tamta długo nie odpowiadała. Kopnęła wściekle kamyk, który leżał na drodze, a potem pożałowała, bo szła na bosaka.

– Bo matka mi rzekła, że znowu za pół roku legnie w połogu! Siedmioro nas będzie miała! A ja chciałam nowe buty na zimę dostać. Teraz już nic z tego...

Szły w ciszy.

– Ja też mam sporo rodzeństwa – wyznała w końcu Julia. – Jestem szóstą, najmłodsza.

– Ale pewnie paniny rodziców stać na dzieci, a moich ni cholery!

Wtedy Podhorecka opowiedziała jej o swojej sytuacji. Nowej znajomej humor się trochę poprawił. Powiedziała, że nazywa się Eudoksja, ale wszyscy mówią na nią Dośka, bo nikt chyba spamiętać nie może tego imienia. Matka ma zasadę, że dziecko dostaje miano po świętym, który narodzinom patronuje. Na swoje nieszczęście urodziła się w dniu, któremu patronowała Eudoksja, i tyle.

– Zobaczymy się jutro? – zapytała z nadzieją Julia, gdy doszły do rynku.

– Jak chcesz, możemy.

Od tamtego dnia Eudoksja z Browarów stała się najbliższą przyjaciółką Julii, a uboga chata jej drugim domem. A może i pierwszym.

Gdy Julia skończyła dwanaście lat, ciocia Jadwiga oznajmiła jej ze łzami w oczach, że ojciec zadłużył majątek i decyzją sądu trzeba go sprzedać, by spłacić wierzycieli.

– A w dodatku – kontynuowała ze smutkiem – z rozpaczy Ludwik postanowił sobie odebrać życie i powiesił się na bramie stajni w waszym majątku...

Julka nie płakała, gdy usłyszała tę smutną wiadomość. Bo czy jej życie po śmierci ojca miało się zmienić? I tak nigdy nie dbał ani o nią, ani o pozostałe siostry u innych krewnych. Nawet wiadomości od nich miewała rzadko, bo rodzina nie pilnowała, żeby między dziewczynkami wytworzyły się jakieś silniejsze więzi... Jednak cały czas do pogrzebu Julka zastanawiała się, w jaki sposób ojciec mógł się obwiesić na bramie? Zrozumiałaby jeszcze, gdyby na żyrandolu albo na jabłoni w ogrodzie, ale na bramie?

Po skromnej uroczystości pogrzebowej, która odbyła się w rodzinnym majątku, dziewczynka wraz ze starszą siostrą Marią pobiegła obejrzeć ową bramę stajenną.

– Patrz, Maryniu! – powiedziała, wskazując palcem na zaokrągloną futrynę. – Tam jest wbity hak! A więc to tak...

– Ktoś miał na ojca haka... I w ten sposób skończył – podsumowała chłodno Maria, która też nie pałała do ojca uczuciem.

– Ale po co to żelastwo ktoś wbił w sam środek bramy? – drażyła sprawę Julia. – Przecież teraz wrota się nie mogą zawrzeć...

Po latach jakiś życzliwy wyjaśnił siostrze, że panu Ludwikowi ktoś dopomógł się obwiesić na owym haku, i to prawdopodobnie nie jedna osoba, lecz kilka. I być może kawał żelaza wbity został w środek futryny specjalnie na tę okoliczność. To wyjaśniałoby także, dlaczego ksiądz bez słowa sprzeciwu pochował samobójcę na miejscowym cmentarzu. Rodzina wolała, by Ludwikowi śmierć z własnej ręki przypisywano, niż grzebano się w jego ciemnych sprawkach i szukano zabójców.

Na szczęście dla Julki ciocia oddała ją do szkoły przyklasztornej prowadzonej przez niepokalanki. Z dala od namolnego wuja Bernarda dziewczyna poczuła się pewniej. Tym bardziej, że rok później w tej samej instytucji umieszczono i Marynię. A w każde wakacje i wolne dni biegała do Browarów, do Doški.

W szkole szybko mijał rok za rokiem. U niepokalanek panny uczyły się geografii, francuskiego, rachunków, historii, niemieckiego i religii oczywiście. Poza tym szycia, prowadzenia gospodarstwa i ogólnie życia. W krew weszła Julii codzienna modlitwa i uczestnictwo we mszy, choć wszystkie te obrzędy traktowała raczej jak obowiązek niż szczerą powinność. Gdy ukończyła szkołę, miała osiemnaście lat i zastanawiała się, co dalej ze sobą począć.

– Trzeba ci za mąż pójść – wymyśliła zapobiegliwa cioteczka. – Tylko za kogo? Młodzi szukają majątnych panien, starzy zajęci... Może wdowiec?... O tak, to jest myśl! Wdowiec o posag nie będzie dbał, i dobrze, bo go nie masz. Za to możesz ofiarować mężczyźnie swoją troskę i opiekę. Nad nim i nad jego dziećmi...

– Dziećmi? – przestraszyła się Julia. – Jakimi dziećmi, ciociu?

Ciotka Jadwiga machnęła ręką zniecierpliwiona.

– Jego dziećmi przecież – wyjaśniła ogólnie. – Zanim swoje urodzisz...

W ten sposób ciotka poinformowała Julię, co zamierza i jaki jest na tym świecie los panny bez majątku.

Kandydat na męża znalazł się aż we Lwowie, zwanym przez Austriaków Lembergim. Był nim dość zamożny dyrektor na kolei, inwalida. Miał podobno własny domek z ogródkiem i jedną córkę, zamężną już.

Julia bardzo była ciekawa wielkiego miasta, bo dotąd nie podróżowała, więc całym jej światem był Jazłowiec i rodzinny majątek, obecnie znajdujący się w obcych rękach. Uznając, że małżeństwo to interes, postanowiła wyciągnąć z niego korzyści. Czyli cieszyć się Lwowem, kiedy się już w nim znajdzie.

– Ale ci zazdroścę, miasto wielkie zobaczysz – mówiła Dośka. – Tam są tramwaje, ludzi mrowie, sklepy piękne... Jak mnie mameczka za mąż nie wyda, to do Lwowa ucieknę na służbę – marzyła.

W celu zapoznania „młodych” ze sobą cioteczka zaprosiła absztyfikanta na kilka dni do Jazłowca. Julia stwierdziła z ulgą, że nie jest on jeszcze całkiem stary, nawet szczupły i postawny, ale lekko kulejący, co trochę przeszkadzało w odbywaniu spacerów nad urokliwą rzeką Olchowiec. Dziewczynie na owych spacerach nie zależało, ale ciotce i owszem, gdyż twierdziła, że w cudnych okolicznościach podolskiej przyrody Julia zdoła skutecznie oczarować pana dyrektora konwersacją. Julka konwersowała chętnie, z tym że raczej bez udziału narzeczonego, bo pan Jan w odpowiedzi na pytania o Lwów przytakiwał lub zaprzeczał, ewentualnie zamyślał się i chrząkał znacząco. Jednak patrząc na nią, z zadowoleniem skubał wąsa, co być może było dobrym znakiem.

Dziewczyna głęboko zastanawiała się, czy pan dyrektor czuje do niej cokolwiek, bo wydawał się obojętny zarówno na jej przymioty fizyczne, jak i umysłowe. Na te ostatnie nawet bardziej, jeśli wziąć pod uwagę, że nie zdarzyło mu się chyba odpowiedzieć na żadne zadane przez nią pytanie.

Jednak wszystkie te niepokoje okazały się daremne. Ciocia Jadzia stwierdziła bowiem, że skoro Maria jest starsza od Julii, najpierw jej się należy mąż. Kandydatowi było najwyraźniej obojętne, kogo powie przed ołtarz, bo przystał na tę zamianę.

Ślub, bardzo skromny, odbył się miesiąc później.

– Sprowadzę cię do nas, przyrzekam, kochana moja! – łkała przy pożegnaniu Marynia.

Julię życie nauczyło, że nie warto robić sobie nadziei, więc jej sobie nie robiła. Jak się okazało, całkiem słusznie, bo pan Jan ponoć nie chciał słyżeć, by zamieszkała przy nich. O czym donosiła Marynia w listach skrapianych obficie łzami.

Ponieważ czasy były naprawdę ciężkie, wdowców poszukujących młodych ubogich żon zdarzało się niewiele. Mówiąc prawdę, Julii nie przytrafił się już ani jeden. Skończywszy dwudziesty rok życia, poczęła się zastana-

wiać, czy nie pójść na służbę, tak jak to kiedyś planowała Eudoksja. Dośka już wtedy poszła za mąż za Kazka, co się z nim w stodole pokładała. I choć pola dużo nie miał, trzeba było ślub brać, bo z tego pokładania brzuch Dosi urósł.

Podhorecka wiedziała na pewno, że jeśli się na ten krok zdecyduje, poszuka pracy gdzieś we Lwowie lub dalej, w Krakowie. Jednak uczynne siostry niepokalanek zaproponowały jej wikt i zakwaterowanie w zamian za pracę w szkole. Miała prowadzić kurs szycia i gospodarstwa domowego w młodszych oddziałach, na co oczywiście chętnie przystała.

Powoli mijał rok za rokiem. Zakonnice namawiały Julię gorąco, by wstąpiła do niepokalanek. Proponowały pominięcie sprawy posagu ze względu na jej ciężką sytuację. Jednak Julia czuła, że życie zakonne nie jest dla niej. Wiedziała, że to jeszcze nie koniec. Że coś się jeszcze zdarzy... Wciąż przecież na coś czekała.

Dziewczęta przychodziły, dorastały i odchodziły do swoich rodzin, przyszłych mężów... A ona, „pani od szycia”, uważana przez uczennice za surową, lecz sprawiedliwą, tkwiła w miejscu. I starzała się, co czuła coraz dotknij.

Brakowało jej bratniej duszy, przyjaciółki od serca. Dośka zajęta była przy swoim nowym gospodarstwie i mężu. A Julia, większość życia spędziwszy w klasztorze, nie miała żadnych znajomości w Jazłowcu. Rodzone siostry, prócz jednej tylko Marii, z którą była najbardziej związana, nie dbały o nią, ale i o siebie wzajemnie też raczej nie. Julia to rozumiała, każda z nich chciała przetrwać. Po prostu. Ona też.

Wielka Wojna, która ogarnęła Europę, przyniosła niepokoje również w rejonie Buczacza. O Podole walczyli Austriacy, Polacy i Ukraińcy. Okropne to były lata, pełne strachu o życie. W klasztorze podczas wojny utworzono szpital dla żołnierzy, a także sztab wojskowy. W 1916 roku, kiedy w wyniku działań wojennych Jazłowiec został mocno zniszczony, dom niepokalanek, w którym schroniło się sporo mieszkańców miasteczka, wyszedł z tego bez szwanku. Ludzie mówili, że widzieli Panią Jazłowiecką

unoszącą się nad budynkiem, ręce rozkładającą nad nim, jakby chciała go ochronić...

W 1918 roku, kiedy odrodziła się Polska, na wschodzie wciąż jeszcze nie było spokojnie. Lwów wykrwawiał się w walkach o polskość, wysyłając na śmierć swoje Orleńskie – młodych ochotników, wśród których byli studenci, robotnicy, urzędnicy, uczniowie, chłopcy i dziewczęta. Prowincja też się biła.

W lipcu 1919 roku Jazłowiec znalazł się nagle w samym środku krwawej zawieruchy. Oddziały ukraińskie walczące o niepodległość oblegały klasztor. Julia przeżyła w tamtych dniach chwile prawdziwej grozy. Godziny spędzone na modlitwie w towarzystwie sióstr zakonnych i uczennic przygotowały ją na najgorsze. Klęcząc w kaplicy przed figurą Matki Boskiej, zastanawiała się, czy to już naprawdę koniec? Czy tyle tylko miała na tym świecie do zrobienia? Ściegi pokazywać? Oczka od guzików obrzucać, fastrygę zakładać? Na pewno czeka ją coś jeszcze, jakiś dalszy ciąg...

Modląc się w ciemnej kaplicy, zastanawiała się, czy przeżyje, gdy Ukraińcy wedrą się do klasztoru? Słyszała o ich okrucieństwie i o tym, co robią z kobietami. Wiedziała, że ani ona, ani niepokalanki nie zdołają uratować dziewcząt przed zdziczałymi żołnierzami... Siebie również nie zdołają uratować... Bała się też o Dosię. Czy żyła ona i jej maleństwa? Julia prosiła o szybką śmierć dla siebie i dla innych.

Tymczasem w krwawej bitwie stoczonej u podnóża klasztoru polscy ułani odparli atak Ukraińców. Jazłowiec był uratowany.

Julia wciąż pamiętała, jak po bitwie na polach dookoła klasztoru zaroilo się od kruków zlatujących się do ciał poległych. Czerniejące od ptaków niebo śniło jej się jeszcze przez wiele lat...

Życie powoli wróciło do normy. Wdzięczne uczennice ufundowały ułanom sztandar, a pułk przyjął nazwę Ułanów Jazłowieckich. Gdy zapanował spokój, żołnierze przenieśli się do Lwowa. Do Jazłowca wróciła senna atmosfera. Julia wróciła do szycia. I do życia też.

Wielka Wojna pochłonęła wiele istnień. Przeważnie mężczyzn, co dotkliwie odczuły kobiety. Po 1918 roku, kiedy Polska znowu pojawiła się na

mapach świata, zamieszkiwały ją głównie niezamężne kobiety. I w dodatku bez szans na zmianę stanu cywilnego z powodu braku żyjących kandydatów w odpowiednim wieku.

Ciotka i wuj pomarli, swojej podopiecznej nic nie zostawiając w spadku. Uważali zapewne, że dość już otrzymała od nich za ich życia. Julia została więc starą panną bez grosza przy duszy. W tamtych powojennych czasach, kiedy brakowało mężczyzn, bywało tak często. Jednak starsze Podhoreckie jakoś zdołały znaleźć mężów, tylko ona nie... „To wszystko dlatego, że siedzę w tym klasztorze” – piekliła się w duchu, obrębiając równiutko obrus na zajęciach z gospodarstwa domowego.

W końcu przyszła tamta wiosna 1920 roku. Kwitły czeremchy, potem bzy. Pachniały, otumaniały... Julia skończyła trzydzieści dwa lata.

I wtedy zdarzył się cud. Ten, na który tak czekała całe życie.

W soboty po południu wychowanki przeważnie rozjeżdżały się na niedziele do domów. Na dziedziniec klasztorny wjeżdżały powozy i bryczki, robiąc tumult i zamieszanie. Julia pomagała dziewczętom zapakować się z rzeczami do pojazdów, bo nierzadko zabierały z sobą bieliznę do wyprania. Narażała się przy tym na zaczepki woźniców, którzy wiedzieli, jaką poślednią funkcję pełni w klasztornej szkole i uważali, że mogą ją bezkarnie obrazić.

– Panna jesteś z każdym rokiem coraz piękniejsza! – śmiał się służący, który odwoził do domu czwartą z kolei uczącą się w klasztorze córkę swoich państwa. – A pupcia wciąż jędrna jak jabłuszko, choć tyś już niemłoda... – Mężczyzna wykorzystał moment nieuwagi i złapał Julię za rzeczoną część ciała.

– Zabieraj łapy! – krzyknęła oburzona, wymierzając mu siarczysty policzek.

Woźnica odskoczył, przeklinając.

– Nie lepszaś od zwykłej dziewczki, a uważasz się za Bóg wie kogo! – wrzasnął.

I tak się rozsierdził, że zamachnął się na Julię batem. Ona odruchowo zasłoniła twarz ręką i zamknęła oczy.

– Odstąp, mówię ci! – krzyknął ktoś.

Atakujący znowu zaklął.

– Uciekaj, młokosie, i pozwól mi się z dziewczką policzyć! – wydzierał się woźnica.

Ale młody człowiek trzymał go mocno za ramię.

– Przepróż, prostaku, panią, bo cię tym batogiem prześwięcę! – warknął.

Woźnica zmiarkował, że to nie przelewki, i przeprosił, a potem odjechał, wzniecając na dziedzińcu tumany kurzu. Julia zobaczyła w dali zdziwioną twarz swojej uczennicy siedzącej w powozie.

– Nic pani nie jest? – usłyszała.

Odwróciła się powoli. Przed nią stał młodzieniec ubrany w mundur wskazujący, że jest jeszcze studentem. Wysoki, postawny, przystojny, a przede wszystkim młody. I to bardzo.

– Dziękuję, już wszystko w porządku – odparła. – Bardzo dziękuję... Sama nie dałabym mu rady.

– Chamidło jakieś... Oj, przepraszam najmocniej za słowa – zreflektował się mężczyzna. – Na imię mi Aleksander. Aleksander Stecki – przedstawił się, wyciągając dłoń.

Julia uścisnęła jego rękę, wypowiadając swoje imię.

– Przyjechałem po siostrunię – wyjaśnił.

– Po Mariannę zapewne – domyśliła się, kojarząc nazwisko. – Zaraz ją przyprowadzę...

Odwróciła się i poszła w kierunku internatu, w którym mieszkały dziewczęta. Przemierzając mroczne korytarze budynku, uśmiechała się do siebie...

Jeszcze nigdy, tak jak tamtego roku, świat nie wydawał się Julii Podhoreckiej taki piękny. Ptaki śpiewały głośniejszym niż zwykle, kwiaty jabłoni i wiśni pachniały intensywniej, a trawiaste łąki nad toczącym leniwie swe wody

Olchowcem były bardziej zielone niż w poprzednich latach. A może po prostu w poprzednich latach Julia nigdy tak często nie spacerowała nad brzegiem tej leniwej rzeczki. W dodatku z mężczyzną.

Aleksander zjawiał się u niepokalanek dość często. A to przywiózł siostrzyczkę po krótkich wakacjach w domu, a to dowiózł jej lżejsze ubrania, bo matka kazała, a to podręcznik do arytmetyki, bo zostawiła w domu przez roztargnienie. Zawsze starał się odszukać pannę, która się dziewczynkami zajmowała, i zamienić z nią kilka słów lub nawet jedynie uśmiechów. W końcu raz przyjechał bez pretekstu i zaprosił ją na spacer.

Julia mogła swobodnie wychodzić z klasztoru, ale robiła to nieczęsto, bo i nie miała ze światem zewnętrznym żadnych kontaktów i żadnych w nim interesów. Czasem zaszła do Browarów do Eudoksji, częściej, gdy ta powiła kolejną córeczkę. Julia trzymała ją do chrztu i czuła się w obowiązku czasem ją odwiedzić i sprawdzić, czy zdrowo rośnie.

Pierwszy spacer w towarzystwie młodego Steckiego właściwie minął w ciszy. Zamienili kilka zdań. On opowiadał, że studiuje we Lwowie na politechnice, ona, jak ją białe siostry przygarnęły. Choć mówić jej o tym było bardzo ciężko.

Julia była podekscytowana sytuacją, czuła przyspieszone bicie własnego serca i bała się, że i on je słyszy. Nigdy nie była sam na sam z mężczyzną, wyjąwszy te kilka razy, gdy się z nią miał pan Jan żenić. Ale wtedy była młodsza i miała nadzieję, że dzięki małżeństwu coś się w jej życiu zmieni. A teraz w spotkaniach z Aleksandrem żadnego interesu nie miała. Widywała go dla czystej przyjemności, dla tego uczucia przyspieszonego pulsu, ciepła powstającego w okolicach serca. Obserwowała siebie, myślała, że to całkiem przyjemne tak iść u boku mężczyzny, młodego i przystojnego. Dziwiła się, że nie jest onieśmielona, przecież gdyby ktoś spytał, z jakiego powodu się z Aleksandrem widuje, nie potrafiłaby podać racjonalnego wytłumaczenia.

Z czasem zaczęli rozmawiać więcej, szczerzej i śmielej. Coś się między nimi rodziło, jakaś więź, może przyjaźń. Julii znowu zachciało się żyć.

– Ja bardzo chciałam panu podziękować za tamto – pewnego razu zdobyła się na odwagę – za to, żeś się pan za mną wstawił, nie dał obrazić...

Przystanąła, spuszczając skromnie wzrok i nie wiedząc, co mogłaby jeszcze powiedzieć. On też się zatrzymał.

– Kobiecie zawsze należy się cześć i szacunek, ale prostactwo się tym nie przejmuje – odparł. – Nie mogłem przecież przejść obojętnie. Nie znoszę, gdy się kobiety obraża. A już najbardziej piękne kobiety...

Zaczerwieniła się jak bohaterka romansów, które czytywała w młodości. Jak pensjonarka. No cóż, nigdy nie przeżywała takich uniesień. Ale we własnych oczach nie czuła się śmieszna. Myślała sobie, że wreszcie przyszła kolej na nią i teraz jej się porcja tych przeżyć należy.

Poszli dalej, rozprawiając o tym, co się dzieje na świecie. Przynajmniej o tym jakieś zdanie miała, bo gazety czytywała z zainteresowaniem.

Wieczorami w swojej klitce przy klasztorным internacie przyglądała się własnemu odbiciu w lusterku. Ciepłe światło lampy naftowej było bardzo łaskawe dla kobiety – łagodziło rysy, zmiękczało cienie, ukrywało pierwsze małe zmarszczki. Stwierdziła z zadowoleniem, że jeszcze jej uroda nie przeminęła. Że teraz rozkwitła dojrzałą pełnią. Aleksander był jak słońce, w którego promieniach rozwinęła się jak róża. Podobało jej się to. Próbowała sprawić, by dla niego wyglądać jeszcze bardziej atrakcyjnie. Inaczej upinała gęste włosy, usta nacierała wonną maścią, by błyszcząły i były pełniejsze.

Gdy na łąkach nad Olchowcem zaczęły kwitnąć maki, pocałował ją po raz pierwszy. Wysokie trawy kryły ich przed oczami innych, trzymały sekret. Oddała pocałunek, czując się naprawdę szczęśliwą. To było spełnienie jej marzeń, jej snów, które śniła tej wiosny każdej nocy. Chciała czuć to co inne kobiety, inne kochanki. I teraz czuła. Zaczynała romans, z premedytacją i rozmysłem.

Od tamtej pory całował ją coraz częściej, coraz śmieiej. Dla niego rozpuszczała włosy, by mógł w nich zanurzać niecierpliwe palce. Dla niego rozpiniała guziki wysoko zapinanych bluzek, by mógł gorącymi wargami wyznaczać nowe szlaki na jej szyi i dekolcie. Dla niego kładła się na won-

nym ziele, zamykała oczy i pozwalała mu błądzić dłońmi po swoim ciele, budzić pragnienie... Dla niego to robiła i dla siebie.

Za pierwszym razem nie odczuła rozkoszy. Zbyt się bała, że ktoś ich podejrzy. Aleksander był niecierpliwy i sprawił jej ból. Potem przeproszał. Dla niego to też był pierwszy raz.

Tamtego wieczoru długo nie mogła zasnąć. Zaznała pełni, której pragnęła, odkąd poznała Steckiego, ale czy było warto? Co teraz będzie? Czy będzie ją szanował po dzisiejszym razie? I właściwie – co dalej?

Nie miała złudzeń, że się z nią ożeni, o nie. Nie najmłodsza, bez grosza przy duszy, bez majątku, nie była dobrą partią dla młodego studenta, syna zarządcy majątku miejscowego ziemianina. Nawet nie zakładała, że Aleksander przedstawi ją rodzicom. Między nimi od początku wszystko było jasne – ona chciała poczuć się kobietą, on chciał kobiety. Żadne z nich nie udawało, że jest inaczej. Nic jej nie obiecywał, ona na obietnice nie czekała.

Jedno Julia wiedziała – w Jazłowcu zostać już nie może. Nawet nie o to chodziło, że siostry pewnie domyślały się, co się tam dzieje wśród traw nad Olchowcem – delikatnie każdej niedzieli sugerowały jej spowiedź – ale o to, że ona się dusiła w tych klasztornych murach. Już w tamtych strasznych chwilach podczas wojny, gdy Jazłowiec był oblegany przez wojsko, myślała ze smutkiem, że może umrzeć, nie zaznawszy nawet życia. Teraz go zakosztowała i poczuła apetyt na więcej. Chciała do miasta, do Lwowa. Pragnęła poznawać ludzi, coś zmienić, coś poczuć – ból, radość, cokolwiek. Czuła, że jeśli nie teraz, to nigdy.

Następne dni spędziła na obmyśleniu planu działania. Z prasy wycinała ogłoszenia o wolnych etatach dla służby, notowała adresy. Napisała do Maryni, zawiadamiając ją, że pewnie wkrótce się zobaczą i prosząc o udzielenie tymczasowego schronienia. Siostra, zraszając list obficie łzami, jak to miała w zwyczaju, odpisała, że Jan się nie zgadza jej przyjąć, ale jej przyjaciółka na kilka dni lub nawet tygodni ją może przygarnie. Ale żeby się Julia zastanowiła, czy to dobra decyzja, żeby opuszczać biały klasztor? I co siostrzyczki na to?

Siostrzyczki nie miały pojęcia, co Julia zamierza. Na razie nic im nie mówiła.

Aleksander przyjechał jeszcze kilka razy. Szli nad rzekę, kładli się w trawie. Oboje tego chcieli. Julia bała się, że źle się to dla niej skończy, ale pragnienie rozkoszy, którą w końcu od niego dostawała, było silniejsze. On zresztą nigdy nie kończył w niej, zawsze uważał. Była mu za to wdzięczna. Taki dobrze wychowany młody człowiek...

– Jesteś piękna – mówił jej, gdy już było po wszystkim.

Gładził jej mleczną skórę i patrzył pożądliwie na dwa dołeczki w dole pępka, które tak lubił, na pełne piersi, których jej rozpuszczone włosy nie zdołały zasłonić.

– Jesteś prawdziwą kobietą, moją pierwszą.

– A ty moim pierwszym – śmiała się.

– Co będzie dalej?

Wzruszyła ramionami, zakładając białą płócienną halkę.

– Nic nie będzie. Przecież wiesz o tym tak dobrze jak i ja.

Usiadł i wziął się do zakładania koszuli.

– Mogłabyś przyjechać do mnie, do Lwowa. Znalazłbym ci mieszkanie...

Spojrzała na niego ze złością.

– Jak śmiesz? Mam być twoją utrzymanką? Zresztą – zaśmiała się – z czego byś mnie utrzymywał? Proszę, przestań. Wiemy oboje, że nic z tego nie będzie.

– Julio, jesteś okrutna.

– Nie, praktyczna. Tego mnie życie nauczyło.

Spotkali się jeszcze ze dwa razy, potem Stecki wyjechał na miesiąc do Wiednia.

Wakacje się kończyły. Julia właściwie była spakowana – zresztą jej skromny dobytek nie wypełnił nawet całej walizki – a przede wszystkim zdecydowana wyjechać. Siostry niepokalanki już zawiadomiła, nie odwozili jej od powziętej decyzji.

Najbardziej żałowała jej Eudoksja. Wiele łez wylała, gdy się dowiedziała, że Julię ciągnie do Lwowa.

– Może ci znajdziemy jakiego gospodarza tutaj u nas? – kombinowała. – Wdowiec najlepszy, bo ziemię po żonie nieboszczce ma, więc posagu mu nie trza. Baby do dzieci taki potrzebuje. No i do łoża. – Zaśmiała się, zadowolona z własnego dowcipu.

– Już to kiedyś, Dosiu, słyszałam – odparła Julia, przypominając sobie teorie cioci Jadzi. – Dziękuję ci za te wspaniałe rady, ale nie skorzystam. Nie potrafię na roli pracować, jakoś mi do tego nieśpieszno. Do miasta chcę.

– Zrobisz po swojemu. Ale jak ci tam źle będzie, Julka, to wracaj. Zawsze się gdzieś u nas przytulić możesz, przeczekać...

– Będę pamiętać, kochana. – Julia przytuliła się do przyjaciółki i długo nie mogła wypuścić jej z ramion. – Napiszę, gdy tylko będę mogła.

Tamtego popołudnia, gdy wracała od Dosi, bardzo się spieszyła. Do szkoły po wakacjach zjeżdżały uczennice, a ona przecież musiała dziewczęta rozlokować w sypialniach i pomóc im się rozpakować. Po raz ostatni.

Gdy weszła na dziedziniec, podbiegła do niej Marianna Stecka, siostra jej kochanka.

– Już przyjechałaś, Marianno? – ucieszyła się na jej widok Julia. – Jak ci przeszły wakacje?

Ale Marianna nie miała szczęśliwej miny, wręcz tonęła we łzach. Podhorecką ogarnęły złe przeczucia.

– Panno Juliooo – szlochała, przypadłszy do niej. – Mamcia poszła do matki przełożonej skarżyć się na panią...

Właściwie jej to nawet nie zdziwiło, brała pod uwagę możliwość, że wszystko się wyda. Poczowała wstyd, że odbywa się to w ten sposób.

– Aleksander napisał mamci, że panią kocha – mówiła dziewczynka, a Julia gładziła jej kruczoczarne włosy, takie jak włosy brata. – Bo rodzice chcieli, żeby w Wiedniu studia dokończył. Ale on się sprzeciwił. Mamcia

się bardzo zdenerwowała, krzyczała, że z pani stara bałamutnica. Ale ja panią kocham i Alka kocham...

– Gdzie twoja mama?

Marianna wytarła nos w rękaw. Tak jej na pewno w klasztorze nie uczono.

– U matki przełożonej. Jak tylko zajechałyśmy, zaraz do niej pobiegła...

– A twój brat?

– Z Wiednia wraca. Niedługo będzie.

Julia jeszcze raz przytuliła podopieczną, zabrała jej bagaż i odprowadziła do sypialni. Sama zajrzała do swojej. Otworzyła walizkę i wrzuciła do niej jeszcze kilka drobiazgów, zabrała z wieszaka przy drzwiach okrycie, torebkę i wyszła. Idąc po raz ostatni klasztornym korytarzem, uśmiechała się do siebie. Panienki patrzyły za nią zdziwione, stojąc w drzwiach swych sypialni. Gdy znalazła się na dziedzińcu, odwróciła się i raz jeszcze spojrzała na budynek klasztorny.

– Dziękuję, biała pani – wyszeptwała. – Za wszystko ci dziękuję. Za schronienie, za dobroć twoich służebnic, za Dosię, za to, że takie miękkie były trawy na nadrzecznych łąkach. Za tamto życie.

Bo nie miała wątpliwości, że zaczyna nowe.

Miała wyrzuty sumienia, że ucieka bez pożegnania z tymi, które jej tyle dobroci okazały. Ale nie widziała potrzeby, by im się tłumaczyć z tego, co się między nią i Aleksandrem wydarzyło. Cóż one o tym mogły wiedzieć? Bała się również spotkania z rozwścieczoną panią Stecką. Winną nie czuła się wcale.

Co do Aleksandra... Nigdy w nim nie była zakochana. Nic mu nie obiecywała, on jej też. Myślała, że wszystko między nimi jest jasne. Nie rozumiała, skąd teraz ten jego afekt, z którego w dodatku postanowił się zwierzyć matce... To mu tylko komplikowało życie. Na co mu ta miłość, no na co? Liczyła, że dojdzie do rozumu, tylko musi minąć więcej czasu. Może jednak większy z niego dzieciak, niż jej się wydawało?

Do stacji dotarła zaraz po zachodzie słońca. Musiała czekać na żonę zawiadowcy, która sprzedawała bilety, żeby do niej zeszła.

– Jeden do Lwowa – powiedziała, podając pieniądze.

– Dziś już nie pojedzie – poinformowała ją kobieta. – Po pierwszej w nocy dopiero odchodzi osobowy.

– Niech będzie, nie szkodzi – uparła się Julia.

Zabrała karteluszek i usiadła na ławce na peronie. Czekala.

W nocy obudził ją zawiadowca. Zresztą nie musiał tego robić, przecież świst i gwizd lokomotywy i tak by ją otrzeźwił. Wsiadła do wagonu trzeciej klasy, zajęła miejsce na twardej ławce. Pociąg szarpnął i ruszył. Jechała w świat...

Od strony nasypu kolejowego rozległ się przeciągły sygnał lokomotywy. „Siódma dwadzieścia do Tarnopola” – pomyślała Julia, otrząsając się ze wspomnień. Czas budzić Nelkę i Józkę. Wstała ciężko z krzesła i poszła w kierunku sypialni. Po wczorajszych wydarzeniach żal jej było zrywać dziewczynki. Sama też czuła się zmęczona. I stara...

Ciepły bochen kupiony w piekarni u Szmula przyjemnie grzał dłonie. Dobrze, że Żyd handlował przy święcie, więc było gdzie kupić świeże pieczywo po mszy. Adela przyciskała bochen do cienkiej sukienki, starając się w ten sposób choć trochę rozgrzać. Pomimo ciepłej niedzieli trzęsa się z zimna. Zaledwie godzina spędzona w pięknym, lecz wychłodzonym kościele jezuitów wystarczyła, by zmarzła do szpiku kości.

Wiara Adeli była głęboka, ale wymagała porządnej oprawy. Dziewczyna zdawała sobie z tego sprawę. Matka może miała trochę racji, mówiąc, że Ada do kościoła przychodziła jak do teatru, popatrzyć i poprzeżywać. Ale przecież w tym barokowym przepychu wnętrza Piotra i Pawła objawiała się potęga Boga. Adela czuła to mocno.

Jako mała dziewczynka marzyła, żeby wstąpić do jakiegoś konwentu. Do karmelitanek na przykład. Miały we Lwowie piękny klasztor...

Widziała siebie w habicie, całe dni spędzającą na modlitwie. Z opowiadań matki wiedziała, że ona młodość spędziła wśród zakonnicy, i zazdrościła jej tego. Dziwiła się, że matka nie wstąpiła do klasztoru.

Lecz Adela nie miała najmniejszych szans na wykupienie się do konwentu. Złożenie ślubów trzeba było opłacić wielką sumą, a jej rodziny nie było na to stać. Choć ostatnio jakoś rzadziej o tym myślała. Częściej na przykład o piekielnie przystojnym Ablu...

Zresztą Adela tak naprawdę wolałaby być księdzem. Żałowała czasem, że nie urodziła się mężczyzną. Ksiądz przy ołtarzu był jak aktor, patrzyły na niego tłumy wiernych. Miał rząd dusz, miał posłuch, był pośrednikiem między człowiekiem i Bogiem. Miał władzę.

Zawiał mocniejszy wiatr i Adelę znowu przeszedł zimny dreszcz. Z żalem pomyślała o wełnianej chuście pozostawionej przed wyjściem z domu na oparciu krzesła. „Trzeba było jednak po nią wrócić... I cóż z tego, że brzydka – zganiła się w myślach. – Matka jak zwykle miała rację...”

Ruszyła szybciej słoneczną stroną ulicy, walcząc z pokusą, by skubnąć choć krztynę brązowej, zapewne chrupiącej smakowicie skórki chleba. Wiedziała, że matka może się gniewać z tego powodu do wieczora. Dla niej najważniejszy był porządek i czasem byle co wyprowadzało ją z równowagi. Nadgryziony chleb mógł zepsuć niedzielę wszystkim domownikom, a tego Adela nie chciała. Postanowiła więc wytrwać mimo zapachu drażniącego nozdrza. Szła przez Stare Miasto, ciesząc się wolnym dniem.

Na wysokości opery usłyszała za plecami przeciągły gwizd. Pomyślała, że jakiś batiar się do niej przyczepił. Znała tych niebezpiecznych łobuzów, którzy uwodzicielski urok mieli tylko w piosenkach. Nie miała ochoty na prostacki podryw, więc nie oglądając się za siebie, przyspieszyła kroku.

– Ada, gdzie tak lecisz?! Poczekaj!

Chodnikiem biegł ku niej Kacper Suczaj.

– Ach, to ty! – ucieszyła się na widok kolegi. – A gdzieżeś tu zawędrował?

– Byłem u Piotra i Pawła na mszy.

– Co ty powiesz, ja też! – Zaśmiała się. – I jak to możliwe, żeśmy się nie spotkali?

Chłopak przemilczał, że specjalnie wolał usiąść tak, żeby na Adę móc bezkarnie patrzeć.

– A jakoś widocznie możliwe – odparł wymijająco i wyjął z kieszeni odświętnej (jedynej zresztą) marynarki papierową torebkę. – Cebularza od Szmula chcesz? Jeszcze ciepły.

Ada uśmiechnęła się na widok pieczywa. Tego jej było teraz trzeba! Ucieszył ją ten prezent bardziej, niż gdyby Kacper wręczył jej bukiet czerwonych róż.

– Potrzyj. – Podała chłopakowi bochenek i odgryzła kawałek ciepłej bułki posypanej makiem. Smakowała jak zawsze wspaniale. Szmul wypiekał najlepsze cebularze w całym mieście.

Po chwili zreflektowała się, oderwała kawałek i podsunęła koledze.

– Nie, ja już jadłem – skłamał. – Jedz sama.

Wiedziała, że powiedział nieprawdę, bo niby skąd miał mieć pieniądze na dwie bułki? Matka z jego własnych pieniędzy wydzielala mu tylko skąpą tygodniówkę. Tym bardziej doceniła ten wielkoduszny gest.

Szli dalej w milczeniu. Kacper co chwilę ukradkiem zerkał na sąsiadkę. Jej uśmiechnięte oczy – i nie tylko one – śniły mu się po nocach. Budził się z tych snów w spoconej, zmiętej pościeli, nierzadko wykrzykując jej imię. Wiedział o tym, bo matka, z którą dzielił izbę, niejednokrotnie robiła mu z tego powodu wymówki. Stara Suczajowa nie lubiła Adeli i Kacper się temu nie dziwił. Dziewczyna była wyniosła, zdecydowana i szorstka w obyciu. Zawsze głośno mówiła to, co myślała. Zresztą matka bała się i innej rzeczy. Że syn ożeni się i już nie będzie utrzymywać jej ani Melki.

– Jak tam u was po wczorajszej chryi? Doszliście do siebie? – chciał wiedzieć Kacper.

– Spokojnie, choć Józka boi się pójść jutro do szkoły.

– Matka przed spaniem się rozgadała o wszystkich znanych jej przypadkach kobiet, które zabiły własne dziecko... Słuchać już tego nie mogłem,

a Melka się rozpląkała ze strachu. Wiesz, ona...

– Wiem – przerwała szybko Ada.

Jednak tragedia młodej sąsiadki, choć przecież poruszająca, nie wydawała jej się tak ekscytująca jak zbrodnie z pierwszych stron gazet. Na przykład sprawa Rity Gorgon, którą żyły Lwów i cała Polska kilka lat temu. Gorgonowa, niańka dzieci poważanego lwowskiego architekta Zaremby i jednocześnie jego kochanka, została oskarżona o zamordowanie swojej podopiecznej. Sąd uznał oskarżoną za winną zbrodni, choć sędziowie nie mieli ani jednego mocnego dowodu jej winy. „Ilustrowany Kurier Codzienny”, który opisywał szczegóły zbrodni, zamieszczał wywiady ze służbą i znajomymi Zarembów oraz relacjonował słowo w słowo proces, rozchodził się na pniu.

Teraz, po drodze do domu, zastanawiała się, jak wygląda kobieta, która pozbyła się dziecka. Jak wygląda zabójczyni? Nagle poczuła, że musi, po prostu musi to odkryć!

– Może byśmy po południu przeszli się na Wysoki Zamek? – zaproponował Kacper.

Dotarli właśnie do przystanku tramwaju, który miał ich dowieźć na Żółkiewską.

– Może byśmy się przeszli... – odparła Ada z zadumą. – Ale teraz. Teraz – dodała zdecydowanie.

Suczaj uśmiechnął się od ucha do ucha. Nie przypuszczał, że jego propozycja spotka się z takim entuzjastycznym przyjęciem.

– Jak sobie, Aduś, życzysz. – Zadowolony zrobił w tył zwrot i ruszył w stronę zamkowego wzgórza.

– Ej, ej – zatrzymała go dziewczyna. – Nie w tę stronę. Czekaemy na tramwaj.

– Tak? – zdziwił się Kacper i stanął zdezorientowany. – Na Wysoki Zamek chcesz tramwajem? No dobrze...

– Oj, ty ciągle swoje! – zirytowała się. – Jedziemy na Janowską. Zobaczyć ten chlew.

Na przystanku zatrzymał się tramwaj. Ada pociągnęła Kacpra za rękę i po chwili oboje stali w ścisku w wagonie, trzymając się skórzanych uchwytów zwisających z góry. Ada co rusz wyglądała przez okno.

– Nie chcę przegapić przystanku... – wyjaśniła. – Raz tu tylko byłam z ojcem na pogrzebie. Józka też pojechała z nami i pokazywała mi wtedy, gdzie mieszka Kryśka Zielecka...

– Ale po co chcesz tam jechać? Zwariowałaś chyba. Choć zapewniam cię, że moich uczuć do ciebie to nie zmienia.

– Muszę wiedzieć, jak ona wygląda. Wczoraj zobaczyłam najokropniejszą rzecz w życiu... Kosteczki wystawały z tego strzępka... mięsa. I małe paluszki, paznokietki takie... Kacper, dzieci w naszej ochronce, te najmłodsze, mają niewiele większe łapki... – Ada szybko otarła łzy wierzchem dłoni i złapała się uchwytu, bo tramwaj bujał. – A ona... Ona nie dała szansy temu dziecku. Zabiła je. Chcę wiedzieć, jak wygląda potwór.

Kacper uznał, że nie ma sensu tłumaczyć Adeli, jak małe jest prawdopodobieństwo, że spotkają tę wyrodną matkę. A jeśli nawet, to po czym ją poznają? Przecież ona może mieszkać zupełnie gdzie indziej...

– Twoja matka się wścieknie – chwycił się ostatniej deski ratunku.

Adela przez chwilę milczała.

– Moja matka – odezwała się cicho, a zgrzyt tramwaju tłumił dodatkowo jej głos – zrozumie mnie. Tego akurat jestem pewna. O, teraz musimy wysiąść.

Janowska przywitała ich w pełnym słońcu. O porannym chłodzie Ada zapomniiała już dawno. Teraz grzały ją emocje.

Okolica nie była raczej wytworna. Domy, choć dużo wyższe i okazalsze niż na Zniesieniu, wyglądały na mocno zaniedbane. Przedmieście Janowskie znane było z dużej nekropolii, na której chowano biedotę, więc i biedota tu mieszkała.

Dziewczyna stanęła niepewnie przed jedną z kamienic.

– To chyba tutaj.

Kacper popatrzył na budynek z powątpiewaniem.

– Niby gdzie te świnie trzymają według ciebie? Na pierwszym piętrze? Czy na strychu?

Adela pchnęła ciężkie, obłazące z farby drzwi do bramy i weszła do ciemnej sieni. Pachniało jak zwykle w takich miejscach moczem i wilgocią, a także chłodem ciągnącym z piwnic. W słabym świetle wpadającym przez brudne okienka umieszczone nad bramą migotała niewyraźnie czarno-biała posadzka.

– I co teraz? – zapytał Kacper.

Dziewczyna rozejrzała się i przy skrzynkach pocztowych dostrzegła spis mieszkańców.

– Zielecki... – przeczytała cicho. – Trzecie piętro.

– Chcesz tam pójść, zapukać i powiedzieć po prostu, w jakim celu przyszłaś?

Lecz Adela ruszyła już przez sień wprost do drzwi na podwórze. Wyszli na wiejskie niemalże tyły kamienicy. W podwórku znajdowały się odgródzone od siebie małymi płotkami mikroskopijne ogródki. Za nimi było widać jakieś niskie budy.

– No, to jesteśmy w domu – ucieszyła się Adela.

Ruszyli w stronę zabudowań. W jednej z szop faktycznie odkryli cztery świnie. Adeli zrobiło się trochę słabo na myśl, co się tu stało dwa czy może trzy dni temu...

– Co dalej? – Kacper był już zniecierpliwiony.

– Poczekamy, zobaczymy...

Usiedli na chyboczącej się ławeczce przed jedną z bud. Młody Suczaj łakomie zerkał na bochen chleba, który trzymała Ada. Jakby z nią nie pojechał, jadłby już zapewne rosół z kluskami, który co niedzielę gotowała matka...

Nagle na podwórze wybiegł chudy i przeraźliwie piegowaty chłopiec.

– Ej, ty – zaczepiła go Ada. – Chcesz zarobić?

Mikrus przyjrzał się Adzie i Kacprowi.

– No – potwierdził, wycierając nos w rękaw.

– Powiedz, wiesz, co się tu w chlewie stało tak ze dwa dni temu? Co Kryśka znalazła?

– No. – Tym razem chłopak kiwnął również głową i zaświeciły mu się oczy. – Zieleckich świnie zjadły dziecko, blee... Nikt od nich mięsa tera nie kupi...

Ada skrzywiła się, bo ten aspekt sprawy dotąd nie przyszedł jej do głowy. Mały miał rację...

– A wiesz, kto to dziecko... No wiesz? – badała dalej.

Chłopak wsadził sobie palec do ucha i zaczął się intensywnie drapać.

– A ile zarobię? – zainteresował się.

To była drażliwa kwestia, bo żadne z nich nie dysponowało sumą, która mogłaby skusić chłopaka. Właściwie nie dysponowali żadną sumą.

– A ile byś chciał? – zapytał Kacper, wkładając kciuki pod szelki.

– Dacie na bilet na Pogoń, to powiem.

Kacper głośno wypuścił powietrze.

– Bilety na mecz majątek kosztują! Chcesz nas oskubać? Ty nie powiesz, to kto inny powie... Chodź, Ada, idziemy.

– Dobra, nie chcę na bilet. – Dziecko najwidoczniej było gotowe na negocjacje. – I tak zawsze na drzewo przy stadionie wchodzę... Dasz mi swoje szelki i będziemy kwita.

– Chyba zwariowałaś! – oburzył się Kacper.

– Czekał, nie idź. – Adela zaczęła zatrzymywać chłopca, który już obracał się na pięcie. – Kacper, dawaj te szelki. No dawaj, proszę cię!

Wtedy dowiedzieli się tego, o czym wiedzieli wszyscy na Janowskiej. Noworodka nie pozbyła się matka, tylko ojciec. A kara go nie spotka, bo to... miejscowy policjant.

– No i masz swoją dzieciobójczynię – mruzczał niezadowolony Kacper.

Wracali na Zniesienie piechotą, a on musiał spodnie podtrzymywać, gdyż z braku szelek co chwilę opadały mu na biodra.

– Zwęzę ci je po obiedzie – obiecała Ada. – I tak miałyśmy z matką szyć dzisiaj. Józka i Nela rosą jak na drożdżach. I wiecznie trzeba przedłużać sukienki, przerabiać na nie moje rzeczy...

Zaczęła rozmyślać o tym, czego się dowiedzieli. Tym bardziej, że teraz jeszcze zwątpiła w istnienie sprawiedliwości... Bo kto się odważy oskarżyć policjanta? Nikt się o to biedne dziecko nie upomni... A ta kobieta... Zgodziła się tak po prostu, żeby on zabrał małeństwo i...? Ada wolała myśleć, że tamta nie miała nic do gadania.

– To wszystko takie straszne – powiedziała bardziej do siebie niż do kolegi.

– Straszne – potwierdził. – Ale to sami ludzie takie straszne rzeczy robią sobie nawzajem. Mojego ojca kumple od kieliszka zabili, Mełę ktoś z sąsiedztwa skrzywdził przecież... Ech, szkoda gadać.

Adela zapomniała, że jej przyjaciel też tyle złego doświadczył. Zmagał się z tym od lat... Poczwała dla niego coś w rodzaju czułości. Ostrożnie złapała go za rękę. Kacper spojrzał na nią zdziwiony. Ścisnął delikatnie jej dłoń, nie wierząc, że to się dzieje naprawdę.

Szli wzdłuż torów, nic już nie mówiąc. Przed kamienicą Adela puściła rękę Kacpra, skinęła mu głową i poszła do mieszkania odprowadzana niechętnym wzrokiem Suczajowej, czekającej na syna w bramie.

W domu oczywiście wybuchła awantura. Matka wykrzykiwała, że odchodziła od zmysłów, gdy wrócili z kościoła, a jej jeszcze w domu nie było, że Ada jest nieodpowiedzialna, daje zły przykład siostrze i kłamie.

– Chciałam, żebyś ojcu obiad zaniósła, czekałam na ciebie i czekałam, w końcu Józkę musiałam posłać! Miałaś iść do kościoła, a gdzie poszłaś naprawdę? – piekliła się. – Widziałam, że Suczaj się za tobą wymknął rano...

– Mamo, co ty chcesz powiedzieć? – Ada spojrzała na matkę surowo. – Nic złego nie zrobiłam.

Julia usiadła przy stole, chowając twarz w dłoniach.

– Denerwowałam się – wyszeptała. – Szalałam z niepokoju. Nie można ci ufać... Jesteś nieprzewidywalna, dziecko...

– Ja? Ja nieprzewidywalna? – broniła się zaciekle dziewczyna. – A kto wczoraj wyrzucił przez okno wielkiego kawona? Mało Oblatowej nie trafiłaś! To jest według ciebie normalne? – syknęła do matki.

Julia nie odezwała się do niej do końca dnia. Ciągłe wracały do niej obrazy z przeszłości. Trudne początki we Lwowie. Tak bardzo by chciała, aby jej córki miały łatwiejsze życie i nie popełniły jej błędów...

Dworzec Główny we Lwowie, ukończony na początku dwudziestego wieku, należał do największych w Europie. Nowoczesny, z przeszklonym dachem nad peronami. Robił wrażenie na podróżnych.

Takiego właśnie wrażenia doznała Julia Podhorecka, wysiadając nad ramię z wagonu trzeciej klasy. Oświetlone, zamknięte szklanym dachem perony wyglądały jak sale balowe w królewskim pałacu.

Onieśmielona rozglądała się dookoła, ściskając w ręku walizkę. O tej porze niewielu podróżnych spacerowało po dworcu. Ci, którzy wysiedli z tego samego co ona pociągu, śpiesząc się, poszli przed siebie. Ona zastanawiała się, co zrobić i w którą stronę się udać. Zaspana, zmęczona, zaczynała żałować, że bardziej nie przemyślała tego kroku. Usiadła na wąskiej ławce, sięgnęła do torebki, aby spojrzeć na adres Maryni zapisany na karteczce i plan miasta, który jej siostra przysłała. Już zawczasu Julia zaznaczyła na nim, gdzie siostra mieszka i jaką trasą ma do niej pójść z dworca.

Zjawił się jak spod ziemi. Niski, rozczochrany obdartus w prującym się kaszkiecie.

– Co tu pani szanuwna sama robi? Moży jakoś pomóc? – zapytał, pokazując w uśmiechu zepsute zęby.

– Nie trzeba, dziękuję – odparła krótko.

– Pani tak si mni ni boi. – Usiadł obok, obejmując ją ramieniem. – Ja dla bezpieczeństwa z panią zostanę.

Julia wstała gwałtownie, uwalniając się od namolnego batiara i zapachu wódki, który ją owionął, jak tylko tamten otworzył usta. Rozejrzała się spaniekowaną po peronie, szukając kogoś, kto mógłby jej pomóc. Nikogo jednak nie zauważyła.

– Niech mnie pan zostawi! – krzyknęła, przyciągając do siebie walizkę i odchodząc kawalek.

Obdartus uśmiechnął się krzywo. Wstał.

– Ja ci, dziunia, tę walizkę pomogę nieść – zakomunikował i w jednej chwili już był przy niej. Wyrwał jej bagaż i zaczął uciekać.

– Stój, stój! – wołała z rozpaczą.

W pierwszym odruchu rzuciła się za nim, ale zdała sobie sprawę, że nie ma żadnych szans. Przystanęła zrozpaczona, przyciskając do siebie mocno torebkę. Przynajmniej tego jej nie ukradł, dokumentów i adresu.

Chuligan dobiegał już do schodów, gdy nagle drogę zastąpił mu wysoki młodzieniec w mundurze kolejarskim. Wymierzył pięścią w szczękę obdartusa i tamten gwałtownie zatoczył się do tyłu. Wykorzystując chwilę ogłuszenia, młodzieniec wyrwał bandycie walizkę.

– Zjeżdżaj, gadzie, bo policajka zawołam! – warknął na niego.

Tamten otarł rękawem podartej kapoty nos i posłusznie zbiegł po schodach, klnąc przy tym, na czym świat stoi.

Kolejarz podszedł do Julii, oddając jej walizkę.

– Niech pani uważa następnym razem, bo niebezpiecznie jest zawierać przypadkowe znajomości w tym mieście – napomniął.

– Żadnych znajomości nie zawierałam – oburzyła się. – To on się przyczepił. Bardzo... Bardzo panu dziękuję, ta walizka to cały mój dobytek – dodała.

Młody człowiek się roześmiał.

– Naprawdę? Wszystko ma pani w tej jednej małej walizce? To niewiele chyba?

Podhorecka spuściła oczy zawstydzona.

– Ale właściwie, gdybym ja miał cały swój dobytek spakować do walizki, więcej by tego nie było! – dodał wesoło. – Pani kogoś we Lwowie wizytuje?

– A skąd pan wie, że ja nie stąd?

– O! Przecież od razu to widać. – Zaśmiał się. – Rodowita lwowianka nie patyczkuje się z batiarnią, nie dyskutuje, tylko od razu po mordzi wali! A pani próbowała grzeczniutko załatwić sprawę. Z nimi grzeczniutko si ni da!

– Dziękuję, następnym razem będę walić po mordzie. – Uśmiechnęła się.

Chłopak przyjrzał się jej uważniej. Spodobała mu się ta panna. Narowista i postawna, widać, że dojrzała już, nie młódka. Nawet zmęczenie malujące się na jej twarzy nie zaćmiło blasku jej zielonych oczu.

Zdjął czapkę i skłonił się lekko.

– Ja si pani nie przedstawił. Nazywam się Paweł Szuba. Pracuję na tym dworcu.

– Julia Podhorecka. – Odwzajemniła uśmiech. – Przyjechałam z Jazłowca. Przed godziną. – Zawahała się. Zapytać go o drogę do Maryni czy raczej nie ryzykować? Postanowiła, że spróbuje.

– Zielona ulica? Pewnie, że wiem, gdzie jest. Trzeba było pani Julii jechać aż na Dworzec Łyczakowski, stamtąd dwa kroki już. A tak całe miasto mamy do przejścia!

– Jak to mamy? – Wciąż była ostrożna.

– Bo ja panią odprowadzę do siostruni – poinformował ją, składając głęboki ukłon. – Jak raz już zem panią uratowałam, to nie pozwolę, żeby się znowu jakaś tragedia zdarzyła.

– Nie trzeba, naprawdę nie trzeba...

Ale młody człowiek się uparł. Powiedział, że za pół godziny kończy nocną, więc pójdą sobie spacerkiem. A najlepiej poczekają na pociąg, podjadą na Łyczaków. Będzie za niecałą godzinę.

– Zaprowadzę panią do bufetu, napije się pani herbaty, odpocznie sobie, a ja zdam zmianę i się odmelduję. I jak tylko dopełnię obowiązków, zaraz

po panią przyjdę – zdecydował.

Zaprowadził ją do dworcowej restauracji. Chciała mu powiedzieć, że nie ma pieniędzy, ale nie było to potrzebne. Gdy wprowadził ją do bufetu, od razu zagadał do stojącego za barem wąsatego mężczyzny.

– Maniuś, herbatki pani naparz, a migiem. Wszelkie koszta na mnie zapisz.

– Jeszcze mi, Szuba, za poprzedni miesiąc nie oddał – naburmuszył się tamten.

– Przecież ci nie ucieknę, oddam, oddam, spokojna twoja nieuczesana...

Tamten pomarudził, ale herbatę podał. Paweł przyniósł ją Julii do stolika.

– I niech pani pamięta, jak się ktoś przyczepi, to...

– ...od razu walić w mordę – dokończyła, a on się uśmiechnął i zakładając czapkę, wyszedł do hali dworca.

Siedząc przy stoliku, Julia poczuła dopiero, jak bardzo jest zmęczona i głodna. Ileż to już godzin nie spała? Dużo... Gorąca herbata działała usypiająco i postanowiła choć na chwilę zamknąć oczy.

Marynia na pewno się zdziwi, gdy ją zobaczy. Spodziewała się jej dopiero za kilka tygodni. Ale przecież chyba znajdzie dla niej miejsce? Przecież Jan się nie sprzeciwi, gdy będzie chciała zostać kilka dni. Tylko kilka dni, potem coś sobie znajdzie. Zresztą przyjaciółka Marii ma jej wynająć pokój. Może już jest wolny. Może nie będzie chciała zapłaty za pierwszy miesiąc z góry?

Zastanawiała się, czy dobrze robi, zawierając temu kolejarzowi. No ale chyba można było mu ufać? W końcu chodził w mundurze i robił wrażenie porządnego. Do tego przystojny, jasnowłosy, z wąsikami i niebieskimi, wesołymi oczyma. Dobrze mu z tych oczu patrzyło...

Nagle poczuła, że ktoś dotyka jej ramienia. Ocknęła się, zerwała i wymierzyła na oślep... Usłyszała brzęk tłuczonej szklanki i syk bólu.

– O jasny gwint... Ale ma pani cios...

Przed nią stał Paweł Szuba, trzymając się za szczękę.

– O Boże, najmocniej przepraszam – wydukała przerażona. – Ja myślałam, że to znowu ten batiar...

– No ale trzeba przyznać, że się pani szybko uczy i ma dobre odruchy. Na szczęście nie trafiła pani dokładnie w punkt. To co, idziemy? Bo nam zwieje pociąg.

Julia podniosła się i pozbierała swoje rzeczy.

– Szuba, a kto mi za szklankę zapłaci? – żółdkował się wąsaty barman.

– Spokojno, spokojno, oddam ci, Maniu, oddam... – zapewnił, ciągnąc za sobą Podhorecką. – Strasznie ten Maniu wyrywny. Już oddawać. Ja mogi, ali z czego? – Zaśmiał się.

Poszli razem na peron i wsiedli do pociągu, który podjechał w kłębach pary.

Julia ciekawie przyglądała się miastu, które rysowało się w oddali. Na jego dachach wstające słońce zapalało blaszane błyski, wyostrzało strzeliste wieże świątyń.

– Wielki jest Lwów – powiedziała zamyślona.

Szuba poczuwał się do roli przewodnika.

– Wielki – przyznał. – A ile tu kościołów, ile cerkwi... A tam, te wysokie trzy wieże pani widzi? To kościół Elżbiety. Najwyższy w mieście. Za nim święty Jerzy. A tam znowu ratusz... A tam katedra łacińska...

– A te wzgórza tam? – zainteresowała się Julia.

– To Wysoki Zamek i kopiec Unii. Tam się spaceruje.

Pomyślała, że chciałaby się budzić co rano i patrzeć na ich zieleń. Przypominały jej rodzinne strony, za którymi bynajmniej jeszcze nie tęskniła, ale... Trochę Jazłowca we Lwowie.

Gdy wysiedli na Łyczakowie, ogarnął ją strach. A co, jeśli krewnych nie ma w domu? Mieli pod Lwowem domek. Odkąd Staś, synek Maryni, pojawił się na świecie, często spędzali czas na wsi. Co, jeśli wyjechali?

– Coś pani tak ucichła? – zagadnął Paweł, kiedy szli ulicą Świętego Piotra wzdłuż cmentarza Łyczakowskiego.

Julia westchnęła. Nie chciała mówić temu miłemu człowiekowi, że tu nikt na nią nie czeka i nikt tu jej nie chce, i właściwie nie wie, co z nią dalej będzie.

– Trochę się boję tego miasta... Kamienice wielkie, ulice brukowane i ludzi pełno. Tramwaje pędzą, auta i dorożki... Straszno mi jakoś.

– Przyzwyczaj się pani. Ja też tu niedawno całkiem nowy byłem. Gdyby pani wiedziała, co się tu działo, jak żeśmy tu Polskę robili! Wojna na ulicach, tyle ludzi zabitych. I ja do takiego miasta przyjechałem. Mój tatuś, co walczył ze mną ramię w ramię...

– Pan walczył?

– Każdy Polak walczył. Ojciec tu za tym murem leży. Bohaterem został.

Szli długo. Julia patrzyła, słuchała, wahała to miasto. Zastanawiała się, czy ją przyjmie do siebie, czy odrzuci? I co w takim wypadku przyjdzie jej począć?

W końcu dotarli do domku z ogródkiem. Z komina szedł dym, więc Julia miała nadzieję, że ktoś tam jednak w środku jest.

– To tutaj, panie Pawle. – Zatrzymała się i wyciągnęła do niego rękę. – Bardzo za wszystko dziękuję. Jest pan dobrym człowiekiem. Bez pana bym zginęła...

– Poznać panią było wielką przyjemnością. – Ukłonił się i uścisnął jej dłoń odrobinę dłużej, niż wypadało. – Czy mogę mieć nadzieję jeszcze panią spotkać?

– Nie wiem, może... – Julia denerwowała się spotkaniem z siostrą i nie bardzo była w stanie się skupić na tym, co mówi kolejarz. Patrzyła niespokojnie w stronę furtki.

– Gdyby potrzebowała pani pomocy, znajdzie mnie pani na dworcu. Wystarczy zapytać u zawiadowcy o Szubę – deklarował.

– A więc do widzenia. – Pożegnała się i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę furtki. Patrzył za nią, jak otwiera ją i wchodzi do ogródka pełnego różanych krzewów, a potem dzwoni do drzwi wejściowych i w końcu znika za nimi.

„Co za kobieta” – pomyślał z uznaniem i założywszy z powrotem czapkę, ruszył ulicą przed siebie. Kiedy godzinę później dotarł na Gródecką i położył się spać w łóżku w wynajmowanym pokoju, śniły mu się jej zielone oczy.

Julia patrzyła na Marynię i nie poznawała jej. Czy naprawdę ta pulchna kobieta o twarzy pełnej drobnych zmarszczek jest jej siostrą? Nie widziały się tyle lat! Po ciąży Maria straciła wąską kibić, a jej rysy nabrały ciężkości. Ale zielone oczy Podhoreckich wciąż świeciły dawnym blaskiem.

– Szkoda, Julko, żeś mnie nie uprzedziła o wizycie – mówiła szybko Marynia. – Odkąd się Staś na świecie pojawił, nasze życie przewróciło się do góry nogami. Ja wszystko teraz planować muszę. No cóż, zaraz śniadanie podam. A ty się może pójdziesz odświeżyć? Pokażę ci, gdzie.

Weszły po schodach na górę. U ich szczytu był mały pokoik o spadzi-
stych ścianach.

– Tutaj możesz się na razie zatrzymać – mówiła siostra. – Ale tylko na kilka dni. Jan jest... Jan uważa, że to nie wypada, żebyś u nas mieszkała. Bo on przecież ciebie miał brać za żonę, zanim mnie wziął.

Julia uśmiechnęła się mimowolnie. Czyżby szwagier myślał, że ona na niego jakieś sidła chciała zastawić?

– Tu masz miednicę i wodę, tu ręczniki. Odśwież się i zejdz. Siądziemy do stołu razem. Potem Jan jedzie do dyrekcji, do Stasia przyjdzie piastunka, a my będziemy mogły spokojnie porozmawiać.

Piętnaście minut później Julia schodziła na dół. Usłyszała rozmowę, która toczyła się przy stole.

– Niech sobie Julia szuka innego lokum – żądał stanowczym tonem Jan. – Ja jej utrzymywać nie mam zamiaru.

– Janku, to przecież rodzina. Najbliższa mi siostra – prosiła Marynia.

– Rodzina, rodzina... Dużą masz przecież rodzinę, niechże się do innych siostr zwróci o pomoc. Źle jej było u niepokalanek? Zachciało się wielkiego świata, a ja na tym stracę...

Julia weszła do jadalnego i rozmowa ucichła. Jan smarował chleb masłem.

– Witaj, szwagierko – przywitał ją bez uśmiechu. – Jakże niespodziewana wizyta!

– Mnie też cię miło zobaczyć – odparła, siadając przy stole. – Nie nakładaj mi, Maryniu, nie jestem głodna. Bardziej śpiąca. Chciałam ci tylko, Janie, podziękować za miłą gościnę i zapewnić, że zniknę, jak tylko znajdę sobie coś innego.

Słyszając to, Jan uśmiechnął się szeroko i humor od razu mu się poprawił. Julia posiedziała jeszcze chwilę, po czym resztkami sił wdrapała się po schodach na górę, w ubraniu położyła się na łóżku i zasnęła jak kamień.

W szwalni Katarzyny Meyerowej zatrudniano dwanaście kobiet. Julia już od tygodnia przychodziła do pracy na siódmą i szła z jedną krótką przerwą aż do piętnastej trzydzięci. Roboty było moc, pani Meyerowa zaopatrywała w stroje liturgiczne lwowskie i podlwowskie parafie. Takich pięknych materiałów Podhorecka w życiu nie dotykała: fioletowe, złote i zielone brokаты na ornaty, gładkie jedwabie na stuły, delikatny adamaszek na komże... Zdawało jej się, że szyje królewskie stroje, a nie kapłańskie szaty.

Jak na razie dość jej się we Lwowie szczęściło. Okazało się, że przyjaciółka Maryni nie tylko odstąpiła Julii pokój, ale również znalazła jej posadę. Meyerowa była bowiem jej szwagierką. Tak więc miała kąt do spania i pracę, aby na ten kąt zarobić.

Marynię bardzo taki stan rzeczy ucieszył, bo trochę jej ciążyła ta sytuacja. W dodatku od matki przełożonej przyszedł list, w którym opisywała nieprzyjemną historię z panią Stecką i nagłe zniknięcie Podhoreckiej. Marynia te wieści zatrzymała dla siebie, bała się dzielić nimi z Janem. Gdyby szanowny małżonek się dowiedział, że Julia miała romans, zabroniłby jej utrzymywać z siostrą kontakt.

Julia cieszyła się Lwowem. Po pracy, by nie siedzieć samotnie w ciemnym pokoju, chodziła na długie spacery. Była już na Wałach Hetmańskich, na szerokiej jak rzeka ulicy Legionów, na Rynku, a przede wszystkim zwie-

działa kościoły, owe perły lwowskie. Bawiło ją, że chodzi w tłumie ludzi anonimowa i nieznajoma. Zaczepiana przez lwowskich uliczników już się nie bała, ucinała krótko i zdecydowanie wszelkie propozycje podrywu. Kilka razy odważyła się przejechać tramwajem, spodobało jej się.

Zachęcona dobrą passą pewnego dnia kupiła kruche ciastka z cukrem i postanowiła pójść na dworzec, by podziękować swojemu wybawicielowi.

Teraz już dworzec jej nie przerażał. Nie ze strachem, a z ciekawością przyglądała się nieprzebranym tłumom na peronach. Były tam dobrze ubrane kobiety niosące eleganckie skórzane walizki, baby dźwigające kosze, z których kaczkę czy gęsi ciekawie wystawiały główki, rodziny z dziećmi, uczniowie gimnazjów...

Z niemałym trudem odszukała Pawła. Lecz kiedy już jej się to udało, była tak zadowolona, że prawie rzuciła mu się na szyję.

– Sama pana znalazłam! – pochwaliła się. – Chciałam podziękować... Taka byłam wtedy zagubiona...

– Bardzo się cieszę, że panią widzę – powiedział poważnie. – I mam nadzieję, że już mi się pani nie zgubi.

Cisza, która zapadła między nimi, wcale nie była kłopotliwa. Każde z nich zastanawiało się, czy będzie jakiś ciąg dalszy. I co powiedzieć, żeby nie popsuć tej chwili.

– Może przejdziemy na ty – zaproponowała w końcu. – Julia jestem.

Uśmiechnął się.

– Paweł. Julia i Paweł – powiedział powoli. – Ładnie.

Potem Podhorecka wręczyła mu paczkę ciastek, a on musiał wracać do pracy. Umówili się w następną niedzielę pod fontanną z nimfą na lwowskim Rynku.

Od tamtej niedzieli spacerowała już tylko z nim. Pokazał jej miasto, ale też udzielał bardzo praktycznych rad, na przykład gdzie najtaniej zjeść, podziewać buty, gdzie u handelesa kupować ubrania z drugiej ręki.

Pewnego razu powiedział jej wprost, że wciąż o niej myśli, że śnią mu się jej zielone oczy i że życia sobie bez niej nie wyobraża. I choć nie próbował jej całować, nawet dotykać, pożąda jej. I czuje, że kiedyś będą razem. I co by powiedziała na to, żeby wzięli ślub.

A ona posmutniała.

– Jestem od ciebie dwanaście lat starsza – wyszeptała. – Za chwilę zwiędnę. Ja stara, ty młody. Co z nas za para? Śmieszna...

– Lepiej śmieszna niż smutna. – Wziął ostrożnie jej dłoń. Wskazujący palec prawej ręki miała szorstki od materiału przesuwającego się pod igłą maszyny do szycia. – Sama jesteś, ja też sam. Razem raźniej. Mam dobrą pracę, a jak się ożenię, dadzą nam mieszkanie. Pomyśl o tym, proszę. Dziś nie odpowiadaj.

Miło jej było, że się podoba akurat temu mężczyźnie. Schlebiało jej to. Ale czy go kochała? Lubiła, ot co. Na pewno go nie pożądała, bo chyba tego rodzaju uniesień na razie była syta. Może właśnie dlatego obiecała, że się zastanowi. Bez pośpiechu, bez tej gorączki, która kochankom miesza zmysły ze zdrowym rozsądkiem.

Następnej niedzieli już była pewna, że tego chce. Była tylko jedna rzecz, o której Paweł wiedzieć musiał.

– Ja... Ja już nie mam wianka – wyznała mu, gdy stali obok ruin Wysockiego Zamku.

Popatrzył na nią zdumiony.

– Ja ci nie uplotę, bo i nie umiem...

– Ech, nie udawaj, że nie wiesz, o co mi chodzi, Paweł! Nie jestem już... panienką – dokończyła nieco ciszej, gdyż rodzina z dwójką dzieci oglądająca panoramę Lwowa zainteresowała się ich rozmową i chłopcy przyglądali się im bez skrępowania.

– Nie jesteś dziewczyną, tak? – upewnił się. – No, ja myślę! W twoim wieku...

– Paweł! Jak możesz? – Była bliska płaczu.

– Julko, dziewczicą to może sobie być Maryja. A taka kobieta z krwi i kości jak ty jest... Jest... – szukał słowa – ...no, prawdziwą kobietą z krwi i kości. Moją kobietą. Bo rozumiem, że się na moją propozycję zgadzasz?

Kiwnęła głową.

Podskoczył do góry i wydarł się jak wariat.

– A teraz ja też ci wyznam swoją tajemnicę. Też nie jestem... panienką. Już ci powiem, jak tak sobie szczerze rozmawiamy. Na wojnie mi się zdarzyło... Kilka razy. Wiesz, jak się nie wie, czy się jutra dożyje, to się korzysta z tych paru godzin, które być może człowiekowi jeszcze zostały. Ale jestem zdrowy! Przysięgam. – Położył rękę na sercu.

Podhoreckiej lzy pociekły po policzkach. Od śmiechu rozboleł ją brzuch.

Wieczorem Ada zostawiła siostry przy radiu, które nadawało jak zwykle w niedzielę wieczorem Wesołą Lwowską Falę, i wymknęła się chyłkiem z domu. Postanowiła wyjść na spotkanie ojcu, który o tej porze wracał z dniówki na Podzamczu. Chciała się przed nim wygadać, pożalić na matkę i niesprawiedliwość tego świata.

Zawsze miała z nim dobry kontakt, może dlatego, że jego obecność w domu była dla nich świętem. Paweł wciąż pracował, czasem Szubówny śmiały się, że dworzec jest jego drugim domem, a może nawet i pierwszym. Ojciec odzywał się rzadko, ale jak już coś powiedział, Adela czuła, że nie na darmo otwierał usta. Szanowała go.

Wieczór był wietrzny, chmury gromadzące się na niebie sprawiały, że zmierzch zapadał bardzo szybko. Czuło się, że pogoda się zmienia, że to już koniec lata.

Dziewczyna tym razem zabrała z domu ciepłą chustę, więc mogła się nią otulić, broniąc się przed zimnymi podmuchami. Szła wzdłuż sztreki w stronę rogatki Żółkiewskiej, do przystanku tramwajowego. Okolica była wyludniona, ludzie kryli się w domach, przy ciepłych piecach, w których podpalali na wieczór pierwszy raz po lecie.

Na pustej Żółkiewskiej paliły się już latarnie. Gdzieś na granicy mroku i światła rzucanego przez jedną z nich Adela spostrzegła kobietę i mężczyznę. Ich sylwetki wydały jej się znajome. Stali blisko siebie, nie potrafiła stwierdzić, czy się przytulają. Na pewno rozmawiali, ona głaskała go po twarzy. Gdy zauważyli, że Ada zbliża się do przystanku, schronili się szybko w pobliskiej bramie. „Pewnie robią coś nieprzyzwoitego” – oceniła.

Nadjechał tramwaj, robiąc hałas, a potem odjechał. Wśród tych, którzy wysiedli, nie było jednak ojca. „Dziwne... – pomyślała. – Może spóźnił się na przystanek i idzie z Podzamcza pieszo?” Zastanowiła się, czy wyjść mu naprzeciw. Już prawie zdecydowała, że tak zrobi, gdy nagle z bramy, w której przed chwilą znikła para, wyszedł mężczyzna i ruszył w stronę sztreki. Adela zmartwiała. To był przecież ojciec... Boże, to ojciec!

Nie zauważył jej, pochylił głowę, postawił kołnierz kolejarskiej marynarki i powolnym, miarowym, tak dla niego charakterystycznym krokiem minął bramę fabryki Baczewskiego i skręcił w mrok Szczepanowskiego.

Adeli zrobiło się słabo. Co ojciec robił z tą kobietą? Kim ona była? Choć roztrzęsiona, zdecydowała się opuścić plamę mroku, w której się skryła, i przejść na oświetloną stronę ulicy Żółkiewskiej.

Postanowiła wrócić do domu. Najdłuższą drogą, jaką się dało, przez Nowozniesieńską. Ze strachem myślała o chwili, gdy wejdzie do mieszkania, w którym przy stole ojciec będzie jadł kolację. Matka na pewno siądzie przy nim, patrząc mu wiernie w oczy i podsuwając z czułością najlepsze kawałki, jak to ona. A łakoma Nelka jak zwykle spróbuje się wcisnąć na ojcowskie kolana i wydebić choć parę kęsów. Ojciec zrobi srogą minę i uda, że się na nią gniewa, a potem wybuchnie śmiechem. Znała scenariusz na pamięć. Rodzinna sielanka... Nie, nie chciała tego oglądać, nie teraz! Teraz potrzebowała spokoju, potrzebowała iść przed siebie, przyzwyczać się do myśli, że jej ojciec... Jej nieskazitelny ojciec jest kłamcą.

Rozdział II

Kamienica na rogu Żółkiewskiej i Kąpielnej na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie solidnej. Jednak gdy nacisnęło się żeliwną secesyjną klamkę i pchnęło ciężkie, malowane brązową farbą drzwi, by wkroczyć do ciemnego korytarza, wrażenia były mniej przyjemne. Jasnobrązowa lamperia pokrywająca ścianę wzdłuż schodów wiodących na piętro odłaziła płatami, demaskując czarne od wilgoci mury. Żarówka wisząca nad drzwiami, mająca rozjaśnić mroczny korytarz, co chwilę gasła i rozbłyskiwała, potęgując nieprzyjemne wrażenie, którego nie był w stanie rozwiać nawet kolorowy witrażyk z roślinnym motywem umieszczony nad wejściem.

Smutnej brzydoty miejsca Adela nie zauważała już od kilku dobrych tygodni. Przyzwyczała się, zresztą bywała w dużo bardziej zaniedbanych kamienicach, choćby na Krakidałach. Gdy z obskurnego korytarza dziewczyna przechodziła szybko na prawo, do pomieszczeń ochronki dla dzieci z rodzin robotniczych, robiło się jej trochę raźniej. Tu było przynajmniej jasno i ciepło, wielkie okna, wychodzące na skromne podwórko na tyłach posesji z piaskownicą i dwiema huśtawkami, rozświetlały dwie pomalowane na białą sale, w których na co dzień przebywały dzieci. Teraz, przed szóstą rano, było tu jeszcze pusto.

Ada przez kuchnię przeszła do pomieszczenia dla pracowników, przywitała się z pucułowatą kucharką, panią Władysławą zwaną przez wszystkich Dziunią, zdjęła podniszczone palto, którego założenie wymusiła dzisiejsza prawdziwie jesienna aura, i przebrała się szybko w roboczy granatowy fartuch. Rozcierając zmarznięte dłonie, spojrzała w kwadratową taflę lusterka zawieszonego nad stołem i stwierdziła z niezadowoleniem, że ma dziś wyjątkowo niestaranną fryzurę. No tak, wychodziła z domu w pośpiechu, nie

chcąc pobudzić sióstr i rodziców. W szczególności nie miała ochoty natknąć się na ojca. Westchnęła, z torebki wyjęła kościany grzebyk, który w sierpniu Kacper kupił jej na odpuszcie w Winnikach, i zaczęła układać nad czołem czarne niesforne kosmyki, spinając je szpilkami do włosów.

– Kawę parzę, napijesz się? – zapytała kucharka, wkładając grzałkę elektryczną do blaszanego kubeczka z wodą.

– Joj, poproszę – odparła z ochotą Ada, kończąc toaletę. Możliwość popijania prawdziwej kawy za miejskie pieniądze była jednym z przywilejów, którymi cieszył się personel tej instytucji. – Lato się skończyło, co, pani Dziuniu? Ciepłe rzeczy trzeba z szafy wyciągnąć...

– Nawet mi, dziecko, nie przypominaj. – Władysława zalała wrzątkiem kawę z „Prawdziwą Francka” w dwóch białych blaszanych kubkach i zamieszała łyżeczką. – Muszę moim chłopakom nowe buty na zimę obstalować, kapoty jakieś cieplejsze... Ja w swoim płaszczu czwartą zimę się jakoś przekatulam, łaty na łokcie ponaszywam, żeby jak człowiek wyglądać. Skąd na to wszystko brać? – Stroskana pokręciła głową. – Romkowi i Zdziszkowi u handelesa kupię używane, bo i tak za rok z nich wyrosną. Jak nie będzie pasować, to poprzerabiam, im i tak obojętne, jak wyglądają, byleby tyłki nie pomarzły... Ale sobie coś nowego chciałabym sprawić... Raz jak człowiek wyglądać i nie marznąć przy tym. Tak mi się marzy pójść na pasterkę do bernardynów w futrze, jak wielka pani... Tylko za co, za co? – wzdychała, załamując pulchne ręce.

Adela pociągnęła łyk kawy, myśląc, że zna dobrze te dylematy. Zmagała się z nimi przed zimą każda lwowska niezamożna rodzina. Ona na przykład nosiła płaszcze po matce lub po cioci Maryni, rzadko miała coś nowego. A jak już miała, musiała bardzo uważać, by ubrania nie zniszczyć, bo po niej w kolejce do noszenia były przecież jeszcze dwie młodsze siostry. Mama kupiła raz sobie prawdziwe futro, okazyjnie i zupełnym przypadkiem. Policjanci z komisariatu przy Zamarstynowskiej wyprzedawali złodziejskie łupy. Wyszło całkiem tanio. Ale to było prawie dziesięć lat temu i dziś już futro do niczego się nie nadawało.

– Czasem na tym targu przy rogatce Żółkiewskiej mają skórki z królików i lisów – przypomniało się Adeli. – Wiem, bo siostra ojca w zeszłym roku kupowała na kołnierz. Ci handlarze to prości ludzie ze wsi, chcą szybko się pozbyć towaru i wracać ostatnim pociągiem do domu, więc niedrogo sobie cenią, choć nie pamiętam już ile... Ale jakby tak kupić w tym roku kilka futerek i w przyszłym trochę, może kuśnierz uszyłby pani krótki płaszczyk...

Pani Dziunia z rozbawianiem klepnęła się po udzie.

– Dziecko, widzisz, ile ja mam w pasie? Ileż trzeba by tych skórek na futro dla mnie! Majątek by kosztowały! No, chyba że obstaluję sobie futro nie z króli, a z kotów, ha, ha, ha!

Skrzypnęły tylne drzwi wejściowe i po chwili do pokoiku weszła młodziutka nauczycielka, panna Jadwiga, otrząsając z wody czarny parasol z kościaną rączką, gdyż tymczasem pogoda się ustabilizowała i zaczęło lać. Ada westchnęła zazdrośnie, spoglądając na jej elegancki płaszczyk w kolorze karmelowym i dopasowane do niego skórzane buciki, pewnikiem kupione gdzieś na Akademickiej czy u Mikolascha. Jadwiga w czerwcu ukończyła seminarium dla nauczycielek ochronek, do tego była śliczna jak aktorka z filmowego afisza, a jej narzeczony, przystojny oficer pułku ułanów stacjonujących przy Kadeckiej, nie szczędził na nią pieniędzy.

– Dzień dobry – przywitała się z promiennym uśmiechem. – Co za pa-skudna aura...

– Dobry, dobry – burknęła Władka, patrząc zazdrośnie, jak dziewczyna ściga świetnie uszyty płaszczyk z bufiastymi, najmodniejszymi tej jesieni rękawkami, i wiesza go w szafie. Rzuciła przy tym Adzie porozumiewawcze spojrzenie, mające mówić: „niektórym to się, cholera, powodzi”. – A czemu panna cała w skowronkach?

– A czemu by nie? – Jadwiga uśmiechnęła się, a na jej policzkach pojawiły się dwa słodkie, rozbijające dołeczki. – Jak paniom minęła niedziela? Bo mnie wspaniale! Piotr zabrał mnie autem za miasto, do Hołoska. Zostawiliśmy samochód pod lasem i przeszliśmy spacerkiem aż do Brzuchowic. A pani, pani Władysławo, odpoczywała wczoraj na łonie? – szczebiotała dziewczyna.

– Gdzie tam. Obrałam kartofli rano, śniadanie dałam moim nicponiom, potem poleciałam na sumę, potem dokończyłam obiad, pomyłam gary, a jak już nic do roboty nie było, wzięłam się za cerowanie gaci moich chłopaków. Dobrze, że dziś poniedziałek, w robocie se odpocznę! – Kucharka zaśmiała się, siadając do zeszytu zamówień i tym samym definitywnie kończąc poranną konwersację.

Wkrótce potem zaczęły się schodzić dzieci. Młodsze przyprowadzały matki lub starsze rodzeństwo, z kolei pięcio- i sześciolatki przychodziły często pojedynczo, często kupą. Nauczycielki, takie jak panna Jadzia czy mająca dziś na drugą zmianę panna Zosia, załamywały ręce nad niefrasobliwością rodziców tych dzieci. Lecz ani Adela, ani Dziunia z kuchni niczemu się nie dziwiły. Wiedziały, jak się żyje na biednych przedmieściach, z których pochodzili podopieczni ochronki. Bładym świtem ojcowie wychodzili do fabryk, a matki, jeśli też nie pracowały, zostawały w domu z całym natłokiem obowiązków. Musiały zakrzętnąć się w domu, przy kuchni, często przy kurach czy świniach, zrobić zakupy za grosze, opruć rodzinę, ponaprawiać bieliznę, a nawet zatroszczyć się o jakiś opał, bo na czymś trzeba było przecież posiłek ugotować – gaz na peryferiach Lwowa wciąż jeszcze był rzadkością. A jedynym obowiązkiem męża i ojca była praca zarobkowa, często tak wycieńczająca, że po robocie sił starczało już tylko na zjedzenie kolacji i spanie. Ada dobrze знаła ten schemat z własnego życia. Gdy była berbeciem, matka też oddawała ją pod opiekę starszych dzieci, które ją prowadziły do ochronki. I kto by się tam takimi głupotami przejmował? Chyba tylko nieznające się na życiu wychuchane panienki z dobrych domów, takie jak Zosia i Jadzia mieszkające na Zofiówce w willach z ogrodami lub w sześciopokojowych mieszkaniach przy Legionów czy na Wałach Hetmańskich. Ada wiedziała dobrze, że one będą współczuć tym biednym, zaniedbanym dzieciom, głaskać je po główkach, litować się, widząc dziurawe zelówki w bucikach czy połatane zimowe płaszczyki maluchów, a przy pierwszej nadarzającej się okazji wyjdą dobrze za męża lub znajdą posadę w lepszej dzielnicy i uciekną, zwyczajnie od tej biedy uciekną. Odwrócą oczy. A ona zostanie, bo sama jest z tej biedy. Zostanie, bo posada pomocy w ochronce i tak nie jest najgorszą rzeczą, która mogła się jej przydarzyć.

Ponieważ ukończyła jedynie szkołę powszechną – kogo to obchodzi, że na cenzurce miała same celujące – i nie było żadnych szans, by móc kształcić się dalej. Pawła Szubę, zapracowanego kolejarza, nie było stać, by posłać córkę do gimnazjum i umożliwić jej zdanie matury. Mimo najlepszych chęci.

Posadę w ochronce Adela dostała dzięki wstawiennictwu księdza Maślanki, katechety ze szkoły i opiekuna Stowarzyszenia Dziewcząt Chrześcijańskich przy kościele NMP Królowej Korony Polskiej na Zniesieniu. Początkowo ksiądz Maślanka miał nadzieję, że uda się umieścić Szubównę w gimnazjum. Wraz z ojcem Adeli i księdzem proboszczem pisali podania do dyrektorów szkół średnich, prosił zamożnych parafian (choć na Zniesieniu policzyć takich można było na palcach jednej ręki) o ufundowanie stypendium, jednak nic wskórać nie zdołali. Julia co prawda mogła poprosić o pomoc Marynię, swoją siostrę, albo kogoś z dalszej rodziny, z którą już właściwie nie utrzymywała kontaktów, lecz na to Paweł nigdy by się nie zgodził, duma mu nie pozwalała. Adela poszła więc do pracy, właściwie na służbę. Akurat jedna z parafianek, żona inżyniera z fabryki lekarstw „Lakoon”, potrzebowała niani do swoich bliźniąt, gdyż bardzo źle znosiła trzecią ciążę. Młodzi państwo inżynierostwo wybudowali sobie dom na rogu Wniebowstąpienia i Nowozniesieńskiej, ale wybór miejsca nie do końca chyba był przemyślany. Sąsiedztwo prostych ludzi, zwykłych rzemieślników, maszynistów z Baczewskiego czy praczek nie zachęcało młodych do zawierania znajomości. Zuzanna, żona inżyniera, czuła się samotna i wyobcowana. Bardzo pobożna, z księdza Maślanki uczyniła sobie powiernika. I kiedy wyznała, że nie daje już rady z synami i potrzebuje dla nich bony, duchowny od razu zaproponował Szubównę.

– Energiczna, wesoła, a przede wszystkim uczciwa dziewczyna – zachęcał Zuzannę. – Matka z rodziny ziemiańskiej, wyuczona u panien z Jazłowca. Na skutek życiowych kolei majątek straciła... Szubowie są biedni, ale to dobrzy ludzie i dobrze najstarszą córkę wychowali. A jak ona pięknie śpiewa! Nasza najlepsza chórzystka. Ma dwie młodsze siostry, więc na dodatek wprawiona do opieki nad dziećmi.

Kiedy Adela po raz pierwszy przyszła do domu inżynierostwa, Zuzanna z żalem zauważyła, że ksiądz zapomniał dodać, że chórzystka, nie dość, że utalentowana, jest do tego bardzo ładna. Wysoka, postawna, może nawet za bardzo, o urokliwym, śmiałym spojrzeniu zielonych oczu, w których igrały złotawe błyski. Czarne, naturalnie poskręcane włosy ujarzmione spinkami i ułożone w zgrabne fale nad czołem kontrastowały z mleczną bielą cery. Usta, trochę za szerokie, co chwila rozciągały się w lekko kpiącym uśmiechu. Dziewczyna robiła nadspodziewanie dobre wrażenie, a co ważne, wysławiała się ładnie, nie używała też zupełnie bałaku, który Zuzannę, rodowitą warszawiankę, odrobinę irytował. Zadowalało ją także niewielkie wynagrodzenie, za które zawodowa bona od pośredniczki nigdy nie zgodziła by się pracować. Ponieważ właściwie nie było się do czego przyczepić, inżynierowa postanowiła zatrudnić Szubównę, modląc się, by jej urok nie zadziałał na szanownego małżonka. Ślubny lubił bowiem spódniczki, o czym Zuzanna podczas małżeństwa trwającego zaledwie trzy lata miała okazję przekonać się nie raz.

Adela pracowała dobrze i z zapałem. Dzieci rzeczywiście lubiła i miała do nich dobre podejście. Chętnie zabierała chłopców na długie spacery, zapewniając tym samym ociężałej i zmęczonej swoim stanem Zuzannie błogie chwile samotności. Niania spacerowała z dziećmi po znanych z własnego dzieciństwa okolicach. Zabierała je na włóczęgę po przecinających Piaskową Górę ścieżkach, pod Wysoki Zamek albo po prostu wzdłuż sztreki, żeby chłopcy popatrzyli na przejeżdżające pociągi. A było na co popatrzeć, bo w najszerszym miejscu przy Szczepanowskiego sztreka rozgałęziała się aż na osiem torów. Zdarzało się, że równocześnie jechało kilka pociągów i robił się okropny hałas. Chłopcy piszczeli wtedy, zatykając sobie uszy niby ze strachu, a naprawdę tupiąc w szutrze ulicy z radości i wznosząc przy tym tumany kurzu. Na stoku wzniesienia, zwanego przez tutejszych Górką Baczewskiego, Ada rozkładała kocyk i urządzała pikniki. Opowiadała chłopcom, że kiedy chodziła do pobliskiej szkoły, nauczycielka, spolonizowana Ukrainka, wiosną zabierała ich klasę właśnie tutaj i organizowała zawody, kto nazbiera największy bukiet kwiatów. I że Ada zawsze wygrywała. A potem śpiewali piosenkę o tym, że gęsi za wodą, kaczki za wodą.

I Ada musiała chłopcom śpiewać tę piosenkę i wiele innych także, a jej czysty głos niósł się nad wzgórzami przedmieścia.

Niestety, Zuzanna nie pomyliła się co do męża. Pan Erwin docenił urodę Ady i z czasem zaczął jej składać najpierw bardziej, potem mniej zawołowane propozycje. Adela, która miała koleżanki pracujące w domach w mieście, wiedziała, że podszczypywanie służących to ulubiony sport chlebodawców i broniła się jak mogła. Początkowo udawała, że nie wie, o co inżynierowi chodzi, ale kiedy raz niedwuznacznie ujął ją za pośladek, nie wytrzymała i krótko mówiąc, dała panu w pysk. Miała nadzieję, że ją natychmiast zwolni i będzie po sprawie, lecz inżynier tylko się uśmiechnął i trzymając za policzek, z uznaniem wyszeptał:

– Twarda z ciebie sztuka, moja mała...

Tak zachęcony próbował kilka razy ją pocałować albo przycisnąć w kącie między stołem i kanapą. Pani nie widziała albo udawała, że nie widzi, zauważyli za to chłopcy. Nie minęło wiele czasu, a sami, tak jak ich ojciec, próbowali klepnąć ją w tylną część ciała lub złapać za pierś. Wkrótce Ada miała serdecznie dość unikania prześladowcy i wymówiła pracę. Zuzannie ulżyło, inżynierowi w sumie również. Tylko dzieci rozpaczały po odejściu ukochanej opiekunki.

Ksiądz, znając większość grzechów, które jego parafianie gromadzili w swoich sumieniach, zdziwiony nie był. Czuł się nawet winny całej tej sytuacji i za nią odpowiedzialny. Przykro mu było, że Adela znowu jest bez pracy. Kiedy więc jedna z pań wspierających datkami Stowarzyszenie zwierzyła mu się, że znajoma ma wakat w dzielnicowej ochronce, dobroduszny duchowny poręczył za Adę oraz za jej najlepszą przyjaciółkę. Urodziwa Leopolda, zwana przez wszystkich Poldą, córka byłego górnika, który po piętnastu latach wrócił do Lwowa z Belgii, miała tak samo słabe widoki na kontynuowanie nauki jak Adela, córka kolejarza. Po skończeniu powszechniaka uczyła się szycia, lecz jej zupełnie nie szło, a potem pracowała jako kasjerka w cukierni w Rynku. Jednak ją też nierzadko nagabywała natarczywie męska część klienteli i Polda miała już tego dość. Dlatego propozycja księdza spadła jej jak z nieba.

Adela dobrze pamiętała spotkanie, na które obie z koleżanką zostały zaproszone przez kierowniczkę ochronki, panią Sierakową. Pamiętała, jak ta poważna, wysoka kobieta długo i uważnie im się przyglądała, zanim zdecydowała, że warto zacząć z nimi rozmowę i poświęcić im kilka cennych chwil.

– Potrzebuję tu osób pracowitych – zaczęła. – Lubiących dzieci, wesołych, inteligentnych. Nie toleruję prostactwa, kradzieży, brutalności, a przede wszystkim nie znoszę, gdy się mnie okłamuje. Żądam bezwzględnego wykonywania obowiązków i posłuszeństwa, rozumiano?

– Tak jest – odparła Poldą.

Ada również chciała potwierdzić, ale jednak nie potrafiła zrobić tego tak z marszu. Czowała, że kierowniczka przypisuje im wszystkie cechy wymienione przez nią jako te, które potępia. Były biedne, miała więc prawo sugerować im, co tylko chciała. Szubówna milczała dłuższą chwilę, wytrzymując badawczy i niechętny wzrok kobiety. Kątem oka pochwyciła spłoszone spojrzenie Poldy i wtedy opamiętała się.

– Rozumiem, oczywiście – wydusiła z siebie.

Następnie dziewczęta dowiedziały się, że do ich obowiązków będzie należało wycieranie nosów, buziek, rąk oraz pup małych podopiecznych, pomaganie przy posiłkach, przeglądanie głów pod kątem wszawicy, sprzątanie po dzieciach i oczywiście wykonywanie poleceń kierowniczki i nauczycielek, którym będą bezpośrednio podlegać.

– Możecie zacząć od pierwszego – oznajmiła kierowniczka. – Zostaniecie przyjęte na próbę na miesiąc. A potem się zobaczy...

– Mamy robotę, Ada, mamy robotę! – szczebiotała Poldą, gdy już znalazły się na skąpanej w słońcu ulicy. – Posiłki za darmo dostaniemy, obuwie robocze dostaniemy, pensyjkę dostaniemy! Paniusiami będziemy, czy ty to rozumiesz? Za pierwsze pieniądze kupię sobie beżowe rękawiczki, będę miała na niedzielę na spacer... A ty na co wydasz pierwsze pieniądze?

– Ja? Hm... – zamyśliła się Ada. Było tyle rzeczy, które chciała mieć! I tyle, których tylko potrzebowała. Potrzebowała nowych pończoch, butów, halki, letniej sukienki... A marzyła o prawdziwych perfumach, takich, jakie

kiedyś wahała w pasażu Mikolascha, o szmince... O książkach, tych najnowszych, bo w wypożyczalni mieli same starocie... O tym, żeby chodzić regularnie do kina, mieć gramofon i płyty, i żeby ją było stać na lody w Wiedeńskiej i na precle w parku Stryjskim... I na bilet tramwajowy za każdym razem, gdy potrzebowała dojechać do śródmieścia...

– Pierwsze pieniądze zapewne wydam na węgiel – odparła trzeźwo. – Niedługo jesień, zaczniemy na całego w piecach palić.

Polda spojrzała na nią, marszcząc śmiesznie nosek.

– Ale z ciebie nudziara – podsumowała. – Chciałam, żebyś się dała ponieść marzeniom, wyobraźni...

– Po co mam się denerwować? Pewnie, że życzyłabym sobie pończoch ze szwem, torebki albo kapelusika. Ale wiem, że za moją pierwszą pensję matka będzie kazała ojcu kupić opał. I co ja poradzę, Poldziu złota? – Adela złapała koleżankę za rękę.

– Nic. – Polda ukłoniła się przechodzącej po drugiej stronie ulicy znajomej matki. – Ja też nie poradzę. Mnie też pewnie będą kazali kupić węgiel. Albo i ziemniaki...

Pomimo tych nie najweselszych refleksji dziewczęta czuły dumę, bo im się udało. Przy najbliższej okazji pobiegły podziękować księdzu za wsparcie. A on w modlitwie podziękował Bogu. I tak to było.

Po kilku miesiącach pracy w ochronce Adela nie miała wątpliwości, że jest to harówka. Szczególnie odczuła to pierwszego prawdziwie jesiennego dnia. Ciężkie chmury zawisły nad miastem, z nieba lały się potoki. Dzieci rozdrażnione pogodą marudziły i kłóciły się, zamiast bawić. W dodatku przed obiadem Stasia Włodarczykówna ze starszej grupy podeszła do Ady i, ciągnąc ją za fartuch, zapytała:

– Cy to pani siostruni te rączki chabliniastą podrzucili? Te od bajbusa?

– Co takiego? – Adeli nagle serce zaczęło bić mocniej.

– No, grabe, rączki, mówię przecie! – Słodka blondyneczka tupnęła nóżką. – W kościele wcoraj ludzie pytlowali o tem! Pani powie, jucha leciała? Cy jak to biło?

– Chcemy wiedzieć! Niech pani opowie! Tak, tak! – Nagle Adę obstało sześcioro podopiecznych, wlepiających w nią z nadzieją słodkie, niewinne oczka.

– Nie, krwi nie było... – zaczęła zdeorientowana, lecz zaraz się opanowała. – A zresztą, co wam do tego? To nie dla waszych uszu opowieść! Wy się o swoje graby martwicie, bo brudne są, a zaraz pani Dziunia bałabuchy i mleko przyniesie. Kto nie umyje rąk, nie dostanie drugiego śniadania, rozumiano?

Groźba poskutkowała i dzieci popędziły do łazienki. Ada, zażegnawszy niebezpieczeństwo, popatrzyła niecierpliwie na zegar wiszący nad wejściem do sali. Jej zmiana dawno się już skończyła, a Polda, która miała dyżur po niej, jak zwykle się spóźniała.

Adela podejrzewała, że przyczyną jest tajemniczy ukochany przyjaciółki, z którym tamta spotykała się od piętnastego sierpnia, czyli od odpustu w Winnikach.

Odpusty w tej wiosce za Przedmieściem Łyczakowskim słynne były i popularne wśród lwowian. Można się było pomodlić, grzechów wyzbyć, a przy tym wybawić, że hej! Pojechali więc i oni, zniesieńczenie. Wybrali się całą grupą: ona, Polda, jej młodsza siostra Otylka, Helka Lis, Kacper, Zyga i jego kuzyn Prot, co do Poldy smalił cholewki. Po uroczystej mszy zaczęła się zabawa: najpierw trzeba było obejść stragany z bibułkowymi kwiatkami, trąbkami, cukrowymi sercami i innymi cudami, zajść do stodoły, w której objazdowe kino pokazywało filmy, i wreszcie na tańce pod lasem. Przez cały dzień wiara ze Zniesienia trzymała się razem, ale kiedy zaczęły się tańce, Polda gdzieś zniknęła. Helka Lis twierdziła, że z jakimś wysokim przystojniakiem, czym rozzłościła Prota. Nigdzie nie można było jej znaleźć, a ostatnia kolejka do Lwowa odchodziła lada chwila... W końcu pojechali bez niej. Otylia płakała całą drogę do domu, bo bała się ojca, który za pomocą pasa zapewne przypomni jej, że miały się z siostrą nie spuszczać z oczu. Ale gdy wszyscy wysiedli na stacji Podzamcze, ze zdziwieniem spostrzegli zarumienioną z emocji Polde czekającą na nich przed

dworcem. Powiedziała, że nowy znajomy podrzucił ją własnym autem i za nic nie chciała mówić więcej...

Od sierpnia widywała się z nim regularnie i ani słówkiem nie zdradziła, kto to taki. Ale Ada zauważyła, że tajemniczy absztyfikant co rusz obdarowywał Polde jakimś drobiazgiem: broszką, apaszką, rękawiczkami... Wnioškowała więc, że romans trwał i rozwijał się w najlepsze. Dziwiło ją tylko, że przyjaciółka milczy o ukochanym z zupełnie niezwykłą dla siebie konsekwencją. Ada czekała, kiedy w końcu znudzi się jej ten sekret.

Kiedy ochronkowe dzieci usiadły już przy stolikach i zabrały się za bułki i mleko, do sali wpadła zdyszana Poldą, zapinając w biegu granatowy fartuch.

– No, nareszcie! – syknęła do niej Ada.

Przyjaciółka rozpląnęła się w uśmiechu.

– Nie bądź taka... – szepnęła. – Prędzej być nie mogłam... Przyjdź do mnie wieczorem, pogadamy, co? Co się tam u was stało? Nie mogłam cię wczoraj nigdzie znaleźć. Ludzie gadają... Martwiłam się...

Adela przewróciła oczami. Miała dość. Pobiegła do socjalnego, przebrała się szybko i wyszła na ulicę, wprost na deszcz. Zawiązała na włosach chusteczkę, klnąc w duchu na czym świat stoi, że w pośpiechu nie zabrała rano parasola. Rzuciła groźne spojrzenie niebu zasnutemu ołowianymi chmurami i szybko ruszyła przed siebie. Po kilkunastu metrach zawróciła. Nie miała ochoty wracać do domu, ojciec miał dziś wolny dzień i spotkanie z nim było nieuniknione. A ona bardzo chciała odwlec ten moment. Postanowiła więc pójść po Józkę do szkoły, ryzykując przemoknięcie do suchej nitki. Ruszyła Żółkiewską, a potem Szkolną w kierunku Świętego Marcina. Po drodze zajrzała do restauracji Sigma, w której pracowała znajoma rodziców i gdzie Józka zostawiała zawsze swój rower na czas lekcji. W tym samym momencie przypomniało się jej, że przecież go w sobotę ukradziono... Nagle kątem oka dostrzegła idącą z naprzeciwka Józkę prowadzącą swoją białą kozę. Przy niej chodnikiem dreptał jakiś wyrostek, dźwigając jej teczkę i trzymając parasol nad jej głową. Młody wpatrywał się przy tym w Józkę jak urzeczony, a ona, świadoma zainteresowania, pytlowała w najlepsze,

strzelając na chłopaka oczami. Nagle zauważyła starszą siostrę, co ją nieco wybiło z rytmu.

– O, Adelka – ucieszyła się bardzo nieszczerze. – Co tu robisz?

– Postanowiłam wyjść po ciebie, bo się bałam, że coś ci się znowu przytrafi – odparła – ale widzę, że świetnie sobie radzisz. Skąd masz swoją kozę? O rower mi chodzi – uściśliła, przyglądając się chłopakowi.

Józia rozpromieniła się i zatrzepotała rzęsami jak postać z zagranicznej kreskówki, którą kiedyś wyświetlano w kinie Wanda.

– To zasługa Karola – oświadczyła i wskazała na towarzysza, który wyprostował się dumnie. – Kiedy się rozniosło, co ta durna pinda...

– Józka, bo matce powiem! – wyrwało się Adzie.

– ...znaczy się Kryśka Zielecka zrobiła, chłopaki z naszej klasy się wściekli i najpierw wkitrali Wickowi, a potem zmówili się i poszli szukać roweru. I wyobraź sobie, Aduniu kochana, że znaleźli! A konkretnie Karol znalazł!

– To prawda, szanowna pani. – Młodzik uznał najwidoczniej, że nadszedł czas, by zaistnieć. – Sprzęt Józi znalazłem przy działkach na Balonowej – informował. – Konkretnie w rowie leżał... Podokręcałem śrubki, łańcuch naprawiłem i *voilà*...

Ada, połechtana mile „szanowną panią” i francuskim słówkiem, spojrzała na chłopaka z zainteresowaniem. Porządnie ubrany i uczesany sprawiał sympatyczne wrażenie. Sypiący się nad górną wargą wąsik nadawał jego twarzy nieco komiczny wyraz, ale cóż, taki wiek.

– A skąd wiedziałeś, że to rower Józefiny? – zainteresowała się żywo.

– Każdy wiedział, jak wygląda, bo każdy chciał taki mieć i zawsze prosiliśmy, żeby się nam dała na nim przejechać – oznajmił. – A Józia jest morowa dziewczyna i przeważnie pozwalała.

– Nie wszystkim, Karol, nie wszystkim... – Średnia Szubówna wdzięczyła się do swojego kawalera bez cienia skrępowania.

Adela przewróciła oczami i postanowiła brutalnie przerwać te żenujące, nieudolne zaloty.

– Fajno – odezwała się twardo. – W takim razie dziękujemy ci bardzo, drogi Karolu, i do widzenia. A teraz, Józka, pożegnaj się i lecimy do domu. Czasu nie ma. Może trzeba przed obiadem do sklepu zajrzeć albo co...

– Sobie sama możesz polecieć – warknęła niezadowolona młodsza siostra. – Ktoś cię prosił, żebyś się tu przyplątywała?

– Najmocniej przepraszam, że się wtrączę. – Karol stuknął obcasami całym jak w wojsku. – Ale przyrzekłem odprowadzić koleżankę do samego domu.

– A komuż niby przyrzekłeś? – zaciekawiła się Ada.

– Naszej klasie. Codziennie inny chłopiec od nas z klasy będzie odprowadzał Józję ze szkoły pod same drzwi i dziś jest akurat mój dyżur.

– I każdą dziewczynę tak odprowadzacie?

– Tylko Józkę. Z przyczyny takiej, że się Jarekko wygrażał, jakoby Józji odpłaci za manto... To znaczy za doznane krzywdy – poinformował. – A my Józji nie damy!

Adela przyjrzała się kolejno Józce, wzruszonej i dumnej, oraz równie wzruszonemu i dumnemu Karolowi, po czym parsknęła śmiechem.

– Dobrze, zezwalam na eskortę – powiedziała, gdy się już uspokoiła. – Właściwie nawet szkoda by było, żeby mama nie zobaczyła, jaki wy teatr odstawiacie. Chodźcie, bo już mam pełno wody w butach. Albo wiecie co? Wy sobie wracajcie, gołąbki, pieszo pod parasolem, a ja wezmę kozę, co?

Wchodzącą do mieszkania przemokniętą Adę powitał smakowity zapach z kuchni. Nastawione głośno radio nadawało piosenkę z filmowego roman-su.

– *Moje wielkie szczęście przyjdzie w jasnej godzinie...* – Julia nuciła wesoło melodię z gwiazdą kina, Karoliną Lubieńską, dokładając drewna do pieca.

Wtórowała jej siedząca przy stole młodsza siostra ojca.

– Ciocia Pela! – ucieszyła się na jej widok Adela. – Jak dobrze ciocię widzieć!

– Chodź no tu do mnie, panienko. – Ciotka wstała od stołu i wzięła Adę w ramiona. Silne ramiona, trzeba dodać, bo Pelagia Szuba nie należała do drobnych kobietek. – Mokra jesteś, jakbyś z balii z praniem wyszła. Parasola w domu nie macie czy jak?

– Rano tak się jej spieszyło do pracy, że zastanawiałam się, czy spódniczkę założyła – odezwała się Julia z lekką przyganą w głosie, ale i tak Ada zorientowała się, że matka ma dobry humor. – Ściągaj te przemoczone ciuchy, podomkę zakładaj, zaraz ci herbatę zaparzę. Albo lepiej mleka z miodem i czosnkiem dam, żebyś się nie zaziębiła.

– Niech mi się mama nie każe rozbierać, bo my tu zaraz gości będziemy mieli! Józka z absztyfikantem ze szkoły wraca. Może nawet ten cały Karol poprosi o jej rękę?

Julia i ciocia Pela wymieniły zdziwione spojrzenia, aż Adela parsknęła głośnym śmiechem i opowiedziała, czego się właśnie dowiedziała.

– W imię Ojca i Syna – przeżegnała się Julia – aleś mnie nastraszyła! Już myślałam, że jakie kolejne nieszczęście, że córka za męża z musu ma iść czy co...

– Jakie nieszczęście? Dobrze, że chłopaki za Józką murem stoją. Grunt to dobrze z ludźmi żyć – stwierdziła Pela autorytatywnie. – I bicykl się odnalazł... Muszę ja tego bohatera poznać, w końcu się o moją chrześnicę stara. Dawać go tu na górę, jak przyjdzie!

Adela została więc posadzona między piecem i oknem, żeby się suszyć, a przy tym mieć oko na ulicę i dać znać, jak gołąbeczki już się pojawiają. Sączyła gorące mleko, grzała się przy płycie i śmiała z opowieści ciotki, która właśnie wróciła z Obroszyna, gdzie przez niemal miesiąc pomagała rodzinie – najpierw w żniwach, potem w wykopkach.

– Ojczym jaki skąpy był, taki został – relacjonowała. – Wodę do mycia musiałam grzać sobie w balii wystawionej na słońce...

– Prawda to, Pelu? – nie dowierzała Julia. – Nie przesadzasz?

– Niech szeszę, jeśli kłamię! – Ciotka uderzyła się wymownie w pierś. – Teofil śpi na pieniądzach, dosłownie w sienniku je trzyma. A jak

wstaje, to na jego miejscu kładzie się pies, wielka bestyja, co się rzuca na każdego, kto zbyt blisko łóżka podchodzi... Pomogę ci, Julio, tę fasolę wyłuskać – przerwała opowieść, przysuwając sobie miskę. – Nie lubię tak bezczynnie siedzieć. Wróci Petronelcia od Żydóweczek, to fasolówkę sobie wrąbie. Przy Sarze się biedniutka nie naje przecież...

– Nelka znowu u Goldmanów? – dopytywała Adela.

– Po szkole rzuciła książki i poleciała z Rebeką i Chaną do nich na Uciętą. Podobno dwie kotki im się okociły... Jakby mało gąb do nakarmienia Sara miała. – Julia westchnęła ze smutkiem i pokręciła głową.

Goldmanowie sprowadzili się na Uciętą rok temu. Pan Goldman wykładał kiedyś przyrodę w gimnazjum w mieście, posiadał tytuł naukowy i piękne mieszkanie przy Chorążczyzny. Sara zatrudniała kucharkę i pokojówkę, raz w miesiącu wydawała przyjęcie, dziewczynki miały nianię i dobrze się im powodziło. Ale Goldman został nagle zwolniony z pracy. Dokładnie nie wiadomo za co, mówiło się na Zniesieniu, że za pejsy, których zresztą nie nosił, bo oprócz narodowości żydowskiej nic go ze starozakonnymi nie łączyło. Nastaly dla nich ciężkie czasy. Mieszkanie trzeba było sprzedać, służące zwolnić. Goldman, jako znający się na chemii, znalazł posadę w fabryce ultramaryny między Polową i Wniebowstąpienia, wprowadził się z Sarą i dziewczynkami do skromnego parterowego domku bez wygód. I rodzina zaczęła klepać biedę. Goldmanowa nie miała doświadczenia w dysponowaniu skromnym budżetem. Wciąż wydawała za dużo, tak że kilka dni po wypłacie nie miała już czym dzieciaków nakarmić. Sąsiadki uczyły ją uprawiać ogródek, ale do pracy w ziemi też zamiłowania nie miała. Zresztą wciąż żyła nadzieją, że jej męża ponownie zatrudnią w szkole i będą mogli wrócić do mieszkania w kamienicy. Ludzie mówili nawet, że jej się trochę w głowie poprzewracało... Najlepiej do całej sytuacji przystosowały się dzieci, które biegały niepilnowane po okolicy i zaznajamiały się z nowym otoczeniem. Latem chodziły boso od świtu do zmierzchu, umorusane po uszy, a matka, pogrążona we własnym nieszczęściu, nie zwracała na to uwagi. Siostry wolały takie życie od sztywnych zasad panujących kiedyś w rodzinnym domu. Od września wspólnie rozpoczęły naukę w szkole

powszechnej na Zniesieniu. Rebeka, starsza z dziewczynek, powinna być już w klasie drugiej, a nie pierwszej, lecz na skutek nieszczęść, które spadły w roku poprzednim na ich rodzinę, zaniedbano jej edukację. Rebeka i Chana zaprzyjaźniły się z najmłodszą Szubówną. Nelka biegała chętnie także do ich domu, bo pan Goldman przywiózł ze sobą z Chorążczyzny bogaty księgozbiór. Tytu książki jednocześnie Nela nigdy nie widziała w żadnym znanym sobie domu (a lubiła biegać „po chałupkach”, jak śmiał się ojciec), chyba że w wypożyczalni miejskiej. Ponieważ czytała płynnie od piątego roku życia, książki nader ją interesowały, szczególnie te o zwierzętach i roślinach. A jeszcze jak pan Goldman był w domu i zechciał objaśnić schemat, na przykład budowy wewnętrznej ryby, to dziewczynka była w siódmym niebie. Niestety, u przyjaciółek nigdy nie było nic do zjedzenia, dlatego Nelka zawsze wracała do domu wyголоđniona. A jeść uwielbiała. Słynna już w rodzinie była historia o tym, jak Petronela, próbując skomplementować urodę matki, oświadczyła jej, że ma prześliczne oczy, „okrągłutkie, całkiem jak... jak kotlety”.

– Może niechby Nelka na obiad Goldmanówny dziś przyprowadziła? – zastanawiała się na głos Julia. – Fasolowej nagotuję na dwa dni, małe by się najadły...

– Oj, Julko, Julko! Wszystkie bidy z okolicy byś karmiła! – śmiała się ciotka.

– A ty to niby nie? – odparła matka. – Dobrze pamiętam, jak przed laty... A zresztą, co tu dużo gadać. – Machnęła ręką, ucinając wspominki. – U nas wczoraj też nie było co do garnka włożyć. Kartofle dzieciom przy niedzieli dać musiałam. A dziś, proszę, przyjechała Pela, wiktuałów nawiozła i mamy bal! Ojciec jeszcze pensję przyniósł... Właśnie, żebym nie zapomniała do Barabasha pójść i dług oddać.

– A ojciec właściwie gdzie jest? – zapytała Ada, siląc się na obojętny ton.

– Wziął Franka Bizuba – Ada wiedziała, że sąsiad był zawodowym woźnicą – i pojechali wozem do Obroszyna po kartofle, buraki, kapustę... A właśnie, trzeba będzie beczkę do kiszenia pożyczyć od Suczajów, polecisz potem, Adunia, niech ci Kacperek pomoże.

– A jednak stary Suchiński nie taki skąpy, skoro się plonami dzieli... – stwierdziła dziewczyna.

Na tę uwagę Adeli obie kobiety wybuchnęły głośnym, niepohamowanym śmiechem.

– I tu się mylisz, dziecinko, bo Suchiński nie wie, że się dzieli – wytłumaczyła ciotka. – To nasza matka wszystko zarządziła. Ojczym do Stryja wyjechał w pilnej sprawie, bo jego brat umierający podobno. Nie będzie go kilka dni, więc Pawełek napakuje na wóz, co tam wam na zimę potrzeba. W końcu to jego, nie?

Drugi mąż babki, który wprowadził się na jej gospodarkę, nie rozmawiał z pasierbem od lat. Poszło im kiedyś o majątek. Suchiński uważał, że skoro młody Szuba w mieście urzęduje i nic do gospodarstwa nie wnosi, nic z niego wynosić nie powinien. Paweł twierdził, że to jego ojcowizna, a matka go popierała. Wiele razy kłótnie o to były, kiedy jeszcze Paweł jeździł do rodzinnej wioski. A potem przestał odwiedzać Obroszyn i tylko czasem babka Aniela przyjeżdżała do Szubów, przywożąc wiktuały i krytykując sposób gospodarowania Julii oraz dając wszystkim do zrozumienia, jak to się Paweł zmarnował, biorąc za żonę babę starą i bez posagu. Julia wytrzymywała te uwagi, bo umiała ocenić, jak wiele zmartwień oszczędzają rodzinie peklowane mięsa w słoikach, smalec ze skwarkami w glinianych faskach i płaty wędzonej słoniny, które teściowa ze sobą przywoziła. Choć dla niej te specjały miały gorzki smak...

Za to z ciotką Pelą żyli zawsze dobrze, bo nie było innej możliwości. Jedyna siostra ojca umiała sobie zjednać każdego. Zawsze pierwsza do pomocy, do pocieszania i do godzenia zwaśnionych. Może dlatego została pielęgniarką, bo opieka nad innymi leżała po prostu w jej naturze. Julia nieraz bolała nad tym, że taka dobra kobieta sama jest na świecie. Ciotka pracowała w szpitalu u pijarów, wynajmowała pokój na Mącznej, obok stacji Lwów-Łyczaków, i zawsze przyjeżdżała do nich pociągiem.

– A ja wam jaj nawiozłam i mąki, ile mogłam – dokończyła ciotka z mocą.

– I z tej okazji piekę właśnie marmoladnik – pochwaliła się matka, uchylając drzwiczki od bratrury. – No, zarumienił się, dość już ma, wyciągać muszę...

Julia położyła gorący placek dla połysku posmarowany po wierzchu jajkiem na wielkim zielonym kaflu od starego pieca i otworzyła okno, żeby szybciej wystygł.

– Oho, Józia idzie – powiedziała, rzuciwszy okiem na ulicę. – Hej, Józka! – Ciocia Pela wychyliła się przez okno i pomachała.

Na widok matki chrzestnej średnia Szubówna pisnęła z radości i rzuciła się biegiem na górę, ciągnąc za sobą zdezorientowanego młodzieńca.

W kuchni zrobiło się tłoczno i gorąco. Speszony Karol został przez Julię i ciotkę Pelę powitany jak bohater, wyściskany i usadzony przy stole. Józefina promieniała, opowiadając po raz kolejny historię z soboty, a potem o swoim dzisiejszym triumfie.

– A Zielecka co na to? Przeprosiła cię? – zainteresowała się konkretna jak zawsze Adela.

Siostra zaprzeczyła ruchem głowy, bo akurat usta miała pełne kruchego, gorącego jeszcze ciasta.

– Nie było jej w szkole – wyjaśniła, gdy przełknęła. – Podobno zebrała od ojca tęgie lanie i teraz nie wiadomo kiedy przyjdzie. Pewno jak wydobrzeje.

– Jaremko też nieobecny – dopowiedział z przejęciem Karol. – Dostał od ojca i od nas też.

– Już wy się lepiej dzieci do wymierzania sprawiedliwości nie bierzcie. – Julia spoważniała. Odkroiła z blachy duży kawał marmoladnika, zawinęła go w gazetę i podała średniej córce. – I żebym więcej już o żadnych wendetach nie słyszała. Józka, jak już skończyłaś, biegnij po Petronelkę do Goldmanów. Albo wsiądź na rower, szybciej będzie. I zanieś pani Sarze ciasta. Czy pan na obiedzie zostanie? – zwróciła się do Karola.

– Bardzo bym chciał, lecz niestety, nie dysponuję na tyle czasem. – Chłopak wstał od stołu, nieporadnie ucałował Julię w rękę i szybko zniknął za

Józką na klatce.

– Czasem nie dysponuje, a za Józią polazł... – skomentowała ciotka Pela, patrząc przez zaparowane okno. – Coś mi się zdaje, że nie będzie szybciej rowerem, bo ona go prowadzi, zamiast jechać, a wdzięczy się do tego nygusa...

Julia machnęła ręką.

– A niech tam! Raz się jest młodym, moja Pelu...

Babskie popołudnie zamieniło się niepostrzeżenie w babski wieczór. Kiedy Szubówny wróciły już do domu, najadły się zupą i ciastem, nacieszyły ciotką Pelą, zostały zagonione do lekcji. Siadły nad książkami w pokoju od podwórka, a ciotka wyciągnęła z koszyka butelkę rubinowego alkoholu i postawiła na stole.

– Winko wiśniowe – objaśniła – tegoroczne, więc nie bardzo mocne. Daj, Julko, szklanekę i dla Ady. Toż to przecie prawie dorosła panna i chyba może napić się z ciotką, do jasnej Anielki? – roześmiała się, wspominając apodyktyczną babkę Suchińską.

Adela spojrzała na matkę. Wiedziała, że nie pochwała takich ekscesów. Ale Julia miała tak dobry nastrój, że wyjęła z kredensu szklaneczkę i dla najstarszej córki.

– Tylko Adusi niewiele – zastrzegła, patrząc, jak Pela napełnia szkło.

Godzinę później wszystkie trzy panie w świetnych humorach postanowiły napić się kawy.

– Skończyła się. – Julia zamknęła wieczko pustej puszeki. – Do Barabasza trzeba pójść... Wiecie co? Padać przestało, ja pójdę. Przy okazji oddam dług.

Szubowa okutała się ciepłą chustą, którą wczoraj wzgardziła jej córka, wzięła kosz na zakupy i wyszła.

Ciotka, korzystając z jej nieobecności, naląła siostrzenicy jeszcze trochę słodkiego alkoholu.

– Coś ty taka smutna, mała? To przez te ostatnie wydarzenia? Czy może przez jakiegoś kawalera, co? Pamiętam, że ten Kacperek z dołu się koło

ciebie kręcił... Dobry chłopak, szkoda, że Ukrainiec...

– Ciociu, po pierwsze, on się czuje Polakiem, a po drugie, to tylko kolega, nic z tego nie będzie, bo i nie ma być. – Dziewczyna wstała i zamknęła drzwi do pokoju, w którym jej siostry nagle dziwnie przycichły, zapewne nastawiając uszu, gdy tylko Pela wspomniała o kawalerze. – Ostatnio spotykają mnie same złe rzeczy...

Ada zamilkła, zastanawiając się, czy może się ciotce zwierzyć z kłopotu z ojcem. Co właściwie miałyby jej powiedzieć? Że ojciec, taki mądry, stateczny, kojarzący się jej zawsze z bezpieczeństwem i uczciwością aż do granic, okazał się wiarołomcą? Że widziała, jak obściskuje się w bramie z obcą kobietą? Że serce jej krwawi, gdy pomyśli o matce, o tym, jak jest mu oddana? Że nie wie, czy ma jej powiedzieć? Że boi się, co będzie dalej z nimi wszystkimi? Czy ojciec odejdzie do tamtej? Ta myśl również napałała ją strachem. Co one wtedy zrobią, jak przeżyją? Ale najgorsza była świadomość, że Szuba oszukiwał je być może od dawna, że żył w grzechu, w kłamstwie, a im... a jej przez ten cały czas wydawał się święty i nieskazitelny.

Ciotka najwyraźniej pomyślała, że jej bratanicy doskwiera brak sympatii.

– Na frasunek dobry trunek! – Pela podsunęła Adzie napełnioną od nowa szklaneczkę. – Posłuchaj starej ciotki i znajdź sobie kogoś, bo samej źle na świecie.

– Ale przecież ciocia też jest sama... – Dziewczyna postanowiła nie wyprowadzać krewnej z błędu.

– Nie z własnej woli, dziecko, przecież wiesz. Jednemu serce oddałam... Kiedy umarł, już nie potrafiłam pokochać nikogo, uważałam, że żyć z kimś bez miłości jest grzechem.

Matka kiedyś opowiadała córkom historię o ich niedoszłym wujku Szczepanie, weteranie wojennym, który na początku lat dwudziestych zmarł na gruźlicę po drugich zapowiedziach w kościele. Ciotka do ostatniej chwili miała nadzieję, że jej Szczepcio ozdrowieje i powiedzie ją do ołtarza, ale tak się nie stało. Ni panna, ni wdowa, dostała propozycję małżeństwa od brata swojego narzeczonego. Ale ją odrzuciła, obrażając się jeszcze. Zapi-

sała się na kurs pielęgniarstwa w pewnej prywatnej klinice, a gdy go ukończyła, dostała w owej instytucji zatrudnienie na kilka lat. Odtąd praca stała się najważniejsza. Pela pielęgnowała chorych z poświęceniem, niby lwowska szarytka, w każdym cierpiącym widząc Szczepana. A jej niedoszły szwagier ożenił się i doczekał podobno siedmiorga dzieci.

– Gdybym miała kilka lat mniej i dzisiejszy rozum, tobym poszła za męża bez miłości, a z rozsądku. Tylko teraz za późno, nikt starej baby nie zechce – zaśmiała się ciocia, wierzchem dłoni ocierając łzę. – Dlatego sama muszę się ze wszystkim zmagać, sama radzić, a sił coraz mniej...

– Ma przecież ciocia nas! – Ada przytuliła się do obfitej piersi Pelagii.

– Pamiętaj, Aduś, kobieta ma w życiu zawsze gorzej, trudniej. Mężczyznom więcej wolno, więcej się im wybacza. Znajdź sobie kogoś, kto cię będzie przed światem bronił.

– Sama się obronię... – powiedziała, myśląc, że dałaby sobie radę lepiej, gdyby miała dobrą pracę, a więc i wykształcenie. Kiedyś marzyło jej się gimnazjum, potem handlówka na placu Strzeleckim, ale przecież wiedziała, że to wszystko jest nierealne, bo nie mają pieniędzy... Nie chciała jednak, by ciocia pomyślała, że się skarży, więc ugryzła się w język, zanim cokolwiek powiedziała.

– Tak ci się tylko wydaje, młoda jesteś jeszcze...

Rozmowę przerwał powrót Julii. Wyjmując z koszyka zakupy, z niesmakiem obrzuciła wzrokiem stół z opróżnioną prawie do końca butelką, zgadując słusznie, że Pela nie rozprawiała się z trunkiem w samotności.

– Cóż ci tak, Ada, oczy niezdrowo błyszczą? – dogadała córce. – Wejdz, dziecko, na taboret i jeśli uda ci się utrzymać równowagę, poszukaj w kredensie tej filiżanki, co to dostałam od ojca na urodziny. Zrobię Peli kawę w prawdziwej porcelanie.

Ada posłusznie, choć kręciło jej się w głowie, wykonała matczyne polecenie i postawiła przed ciocią białą filiżaneczkę z zieloną obwódką u góry i kwiatowym drobnym wzorkiem.

– Fiu, fiu, bratowo, toż to eleganckie naczynie! Lewicki – przeczytała Pela sygnaturę lwowskiego producenta porcelany wybitą na spodzie. – Musi cię ten Paweł kochać nad życie, jak cię tak obdarowuje.

Julia uśmiechnęła się tylko, a Ada zeszywniała na wzmiankę o miłości ojca... Gdyby matka wiedziała!

Tymczasem Józka i Petronela skończyły się uczyć, dołączyły do kobiet w kuchni i zaczęły marudzić, że głodne.

– Znowu? Wam zawsze mało. – Matka pokiwała głową i ukroiła dwie grube pajdy chleba kulikowskiego, posmarowała je śmietaną i posypała cukrem.

Nelka jadła, obgryzając najpierw miękki środek kromki.

– A skórkę wyrzucasz? – zdziwiła się Pela.

– Nigdy, ciociu! Najlepsza jest i zostawiam ją sobie na koniec. Szkoda, że w chlebie nie ma samej tylko skórki... – rozmarzyła się najmłodsza.

– A co wy tutaj o Lewickim gadałyście? Opowiecie, jak zabił swoją kochankę? – poprosiła Józka.

Julia i Pelagia zaśmiały się, a Ada upomniała dziewczyny, że jeśli już podsłuchują, to niech to robią dokładnie. Bo one wcale o Lewickim zabójcy nie rozmawiały, tylko o tym od fabryki talerzy i kubków.

Potem zrobił się prawdziwy koncert życzeń, bo zaczęły śpiewać ulubione piosenki, w czym przodowała Ada, bo miała naprawdę piękny głos.

Następnie na środek wyszła Nela i oświadczyła, że teraz solo odśpiewa przebój. Matka zaniemówiła, gdy usłyszała o pannach z Łyczakowa, co najadły się zupy i poszły „lakierować słupy”... Za to Pela, Ada i Józka śmiały się do łez.

– No to się, Petronela, popisałaś, nie ma co! – denerwowała się Julia.

– Nie krzycz na nią, myślisz, że co sobie dzieci śpiewają w szkole albo na podwórkach – broniła bratanicy Pela i żeby odwrócić uwagę, poprosiła Adelę: – Zaśpiewaj mi to, co wiesz, to co tak lubię...

W końcu, gdy za oknem zrobiło się ciemno, Julia zarządziła mycie i spanie. Pela miała zostać u nich na noc, bo na Łyczaków było daleko. Naza-

jutrz zaczynała dyżur pielęgniarski dopiero wieczorem. Mogła więc spokojnie przespać się na amerykańce w kuchni i rano pójść na pociąg czy tramwaj.

Leżąc w łóżku, Adela zastanawiała się, co ma począć z wiedzą o ojcu. Bardzo chciała komuś się zwierzyć, ale wiedziała, że jeśli powie matce czy komuś z rodziny, mocno ich zrani. Gdyby z Kacprem było tak jak kiedyś, mogłaby się przed nim otworzyć. On nikomu by nie wygadał. Ale wiedząc dobrze, że ma wobec niej „zamiary”, nie potrafiła opowiedzieć mu o zdradzie ojca. Jeszcze Kacper pomyślałby, że powierzając mu taką tajemnicę, chce posunąć się o krok dalej z ich znajomością. A nie na tym jej zależało. Przewracając się z boku na bok, przypomniawszy sobie, że wieczorem miała się zobaczyć z Poldą, ale przez wizytę ciotki zupełnie wyleciało jej to z głowy. Może jej się zwierzy? Kiedyś zrobiłaby to bez wahania, ale teraz, kiedy od kilku tygodni Polda nie była wobec niej całkiem szczerą, Adę targwały wątpliwości. A Otylia? Z nią też przecież od wieków się przyjaźniły... Tylko czy aż tak mocno...?

Kiedy zasypiała, jak przez mgłę doszły do jej świadomości strzępy rozmowy, którą matka prowadziła z ciotką w kuchni, paląc wieczornego papierosa.

– ...Rano dostałam ten list... – szeptała matka. – Zupełnie nie wiem, co robić. Jak z tego wybrnąć?

– A cóż ty możesz, moja kochana? Każdy jest kowalem swego losu...

– Zabrać i gdzieś umieścić? Bo ja wiem? Co robić, poradź, Pelu...

Resztką świadomości Adela próbowała się domyślić, o co może matce chodzić. Niestety, zasnęła.

Rozdział III

Złota jesień rozgościła się we lwowskich parkach już w początkach października, a teraz, w przedostatnim jego tygodniu, objawiła całą swoją urodę, kruchą i pachnącą. Na ulicach w centrum miasta obsadzonych tradycyjnie po obu stronach drzewami zrobiło się jasno i przytulnie od opadłych złotych liści. Choć regularnie zamiatane i palone przez dozorców, spadały wciąż nowe i nowe, jakby chciały otulić miasto. Pod nogami przechodniów tworzyły szeleszczące wonne dywany, płonęły złudnym światłem w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, na krótko rozświetlając ciemne zaułki. Lwów promieniał, grzał się w ciepłym jesiennym słońcu, stroił się złotym kobiercem, jak przystało na królewskie miasto.

Ciepłe dni pozwalały wiernym z parafii Matki Bożej Królowej Korony Polskiej na Zniesieniu uczestniczyć w liturgii pod gołym niebem. Nowo budowana świątynia nie była jeszcze ukończona i przykryta dachem, więc od aury i opatrności Bożej zależało, czy bracia i siostry nie pomarzną i pomokną podczas niedzielnej mszy. Dotąd modlono się w starym drewnianym kościółku, który jednak był zbyt ciasny jak na potrzeby rozległej parafii prowadzonej przez księży saletynów. Zresztą odkąd w latach trzydziestych przyłączono Zniesienie do Wielkiego Lwowa, wypadało, by kościół parafialny prezentował się godnie.

Ksiądz Maślanka prowadzący chór zamknął oczy i słuchał w skupieniu, jak dziewczęta i chłopcy wykonują pięknie psalm. Rozpierała go duma, bo potrafił namówić ten kwiat przedmiejskiej młodzieży, by wykorzystali swój talent na chwałę Pana. Lwowianie ogólnie byli rozśpiewanym narodem, muzyka rozbrzmiewała w tym mieście na każdym rogu, a on zebrał te

wszystkie młode dusze i teraz dzięki temu mają piękną oprawę mszy świętej. Ksiądz proboszcz też słuchał z zadowoleniem.

Parafia łatwa nie była. Ludzie, pogrążeni w biedzie i marazmie, walcząc o codzienny byt, często zapominali się i gubili na drodze do zbawienia. Maślanka starał się ratować każdą duszę, a niektóre, te obiecujące, ratował nawet z poświęceniem. Ale potrafił ich porwać i zjednoczyć. Zanim jeszcze doszło do budowy nowej świątyni, Towarzystwo Dziewcząt Katolickich, które istniało przy parafii, kwestowało aktywnie na zakup sztandaru. Dziewczęta organizowały pikniki, sprzedawały ciasta, a cały dochód przeznaczyły na wyznaczony cel. I udało im się! Nawet w „Przewodniku Katolickim” o tym napisali, przyjechał reporter i zrobił dziewczętom fotografię, którą potem wydrukowano w gazecie. Duchowny trzymał ten numer za szkłem w kredensie jadalni na plebanii.

Młodzież ze Zniesienia w większości znał po imieniu, bo przecież chrzczył ich wszystkich, a także głosił katechezę w szkole powszechnej przy Starozniesieńskiej. Dzieciaki zresztą bardzo go lubiły, jak szedł ulicą, biegły do niego, dłonie całowały. Głaskał te rozczochrane główki, często i żydowskie, i grekokatolickie, bo tutaj przecież mieszkali nie tylko rzymscy katolicy. „Pozwólcie dzieciom przyjść do mnie”, napisano, a on się stosował do tego, co mówiło Pismo. A Pismo nie wspominało nic o tym, żeby nie dopuszczać dzieci innego wyznania.

Podczas komunii świętej śpiewała solistka, Adela Szuba, muzykalna dziewczyna. Głos miała jak słowik, gdyby go kształciła, na pewno występowałaby w operze. Ksiądz łączył z nią wielkie nadzieje, ale wiedział, że Szubówna ma trudny charakter, jest uparta. A przy tym biedna. Matka Ady posiadała herb (co się bardzo duchownemu podobało) i bogatych krewnych, którzy mogliby pomóc dziewczynie choćby gimnazjum skończyć. Ale Julia słyszeć o tym nie chciała. „Nie będę prosić, bo to tak, jakbym u obcych ludzi zebrała” – powiedziała mu kiedyś, gdy napomknął, że ma przecież taką możliwość. Szubowa nie utrzymywała kontaktów z rodziną, poza jedną siostrą, która też we Lwowie mieszkała, ale w tej lepszej jego części. Szwagier Julii do biednych nie należał, oprócz domu, w którym mieszkał, posia-

dał własną realność przy Kochanowskiego, a drugą w Krzywczych. Ale z krewnymi żony ze Zniesienia podobno dobrze nie żył. W każdym razie Julia absolutnie nie chciała zwracać się do nich z prośbą o sfinansowanie dalszej nauki Adeli.

– Można mieć dobre życie i bez szkół – oświadczyła mu kiedyś. – Najważniejsze to być dobrym człowiekiem.

Uparta była. A najstarsza córka ten upór odziedziczyła po niej. Też miała trudny charakter. Pani Sierakowa, kierowniczką ochronki, czasem się na nią żaliła. Że niesubordynowana, samowolna... Ale nic nadto zarzucić jej nie potrafiła, bo przy tym Ada była pracowita i przez dzieci lubiana. Więc może tam dziewczyna popracuje dłużej, może odłoży na jakąś szkołę? Choć w to ostatnie nie wierzył. Tu by musiał się cud jakiś wydarzyć.

Proboszcz udzielił wiernym błogosławieństwa i msza dobiegła końca. Maślanka przebrał się w prowizorycznie zorganizowanej zakrystii w niedokończonym absydzie kościoła i wyszedł porozmawiać z ludźmi. W ogrodzie kościelnym zawsze zostawali ci, którym nie bardzo śpieszyło się do domu na niedzielny obiad, mieli do księży jakąś sprawę albo potrzebowali pocieszenia. Obok próbującej nieśmiało drugi raz w tym roku zakwitnąć magnolii zobaczył Szubównę w otoczeniu kilku dziewcząt i chłopców, także z chóru.

– Kto śpiewa modlitwę, modli się podwójnie – zagaił wesoło. – Pięknie Bogu śpiewaliście, anioły w niebie lepiej nie potrafią! Dziękuję wam. I miłego święta życzę. Planujecie wycieczkę przy tak pięknej pogodzie?

– A jakby ksiądz zgadł – roześmiał się Kacper Suczaj, syn Ukrainca i Polki, niezdecydowany, którego właściwie jest wyznania, uczestniczył w mszach obu obrządków na zmianę. – Idziemy ognisko palić na Kajzerwaldzie.

– Może ksiądz z nami się wybierze? – zaproponowała Otylka Zychówna.

– Eee, gdzie mnie tam z wami młodymi... – Machnął ręką. – Ale bawcie się dobrze. To z Bogiem, dzieci! I nie zapomnijcie przychodzić na różaniec, do końca października jeszcze trochę nabożeństw zostało.

Młodzi czekali jeszcze tylko na Helkę Lis. Jako członkini Towarzystwa Badaczy Pisma Świętego na msze nie uczęszczała. Lisowie kilka lat temu przechrzcili się wszyscy nad stawem w Hołosku Wielkim i od tej pory regularnie brali udział w niedzielnych spotkaniach w mieszkaniu będącym własnością sekty przy Wybranowskiego na Podzamczu. Czytali Pismo Święte, ale inaczej niż katolicy, bardziej podejrzliwie, szukając w nim ukrytych zapowiedzi końca świata i sądu ostatecznego. Na szczęście Helka nikogo nie próbowała przekabacać na swoją wiarę, wśród rówieśników zachowywała się tak jak dawniej.

– Naryszci sztajguji, pinda jedna! – zawołała na jej widok Polda, bałając dla zabawy.

Lisówna weszła na teren ogrodu, pozdrowiła księdza Maślankę, podeszła do znajomych i postawiła na ziemi koszyk z wiktuałami przykryty wykrochmaloną serwetką.

– Serwus, matula tak mnie wyposażyła, że żadną miarą koszyka na Kajzerwald nie doniosę – sapnęła. – Niech któryś z chłopców się za niego łapie.

– Więc chodźmy już, bo nas zmierzch zaskoczy – zarządziła Ada i ruszyła do bramy.

– A nie chodzi o to, żeby zaskoczył? – zaśmiał się któryś z chłopaków. – Ognisko najlepiej palić po zmierzchu!

– A jak wrócisz po ciemku do domu, hebesie jeden? – trzeźwo zauważyła Otylka.

Kajzerwald znajdował się po drugiej stronie sztreki. Owo dzikie miejsce w środku miasta usadowione było między Starym Zniesieniem a Łyczakowem. Stanowiło ulubiony cel wycieczek i pikników, a także wagarów lwowskich gimnazjalistów. W odróżnieniu od ucywilizowanych parku Stryjskiego czy ogrodu Jezuickiego Kajzerwald nadawał się do odbywania nieformalnych, czasem zwariowanych eskapad, a także innych, mniej przyzwoitych rzeczy.

Spod kościoła młodzież ruszyła ulicą Wniebowstąpienia ku kładce nad sztreką. Zniesienie świętowało być może ostatnią w tym roku ciepłą nie-

dziele – ulicami po piaszczystych wybojach przebiegała co chwilę rozba-
wiona, wrzeszcząca dzieciarnia w odświętnych ubraniach, sąsiedzi siedzieli
na ławeczkach przed domami, prowadząc grzecznościowe rozmowy, prze-
glądając gazety. Pod wieczór, zanim jeszcze Radio Lwów zacznie nadawać
Lwowską Falę, otworzą naleweczki własnej roboty lub zakupione w mono-
polu i zrobi się bardziej swojsko i bardziej po lwowsku. Ale na razie w at-
mosferze oczekiwania na świąteczną pieczeń, sznycle bądź ziemniaczaną
babkę z sosem grzybowym przedmieście trzymało fason.

Po drodze Kacper skoczył jeszcze na Szczepanowskiego po plecak
z ziemniakami przeznaczonymi do pieczenia, który poprzedniego wieczora
przygotowała mama Ady. Kartofle pochodziły oczywiście z ojca „wyprawy
po łupy” do Obroszyna. Kiedy znaleźli się blisko kładki, okazało się, że
idzie za nimi Melka. Postanowili wziąć ją ze sobą, tyle ich było, zawsze
ktoś będzie miał na nią oko...

Przeszli przez tory, przez Starozniesieńską, a potem Jabłonowskiego, uli-
cą biegnącą u podnóża Piaskowej Góry. Piaszczysto-lesiste tereny Kajzer-
waldu mieniły się czerwienią, żółcią i brązem, ciepły wiatr grał w pióropu-
szach zeschniętych traw, brązowych koszyczkach wrotyczu i wiechciach
nawłoci. Ada ściągnęła buty, pragnąc poczuć pod stopami ciepły piasek wą-
skiej dróżki, po której się wspinali.

– Niesamowita pogoda, prawda? – zapytała Polda, idąc w ślady Adeli.

– Pończoch wam nie szkoda? – Otylia wahala się chwilę, lecz potem
również zzuła buty.

– Mnie szkoda. Ostatnia cała para, niedzielna – wyznała prostolinijnie
Helka Lis i obuwia się nie pozbyła.

Doszli do polany, na której często biwakowali. Wśród piachu znaleźć
można było wiele kawałków zwęglonego drewna, pamiątek po poprzednich
ogniskach. Dziewczęta, odżałowawszy odświętne ubrania, rozciągnęły się
na trawie, wystawiając twarze do słońca. Okazało się również, że nikt nie
zabrał ze sobą koca. Zresztą na mszę z tobołami iść przecież nie wypadało.
Chłopcy zniknęli w pobliskich zaroślach w poszukiwaniu chrustu i drewna

na podpałkę. Melka usiadła na trawie w lekkim oddaleniu, wijąc wianek z suchych źdźbeł trawy i śpiewając cicho pod nosem.

– Aż żal ściska, że jutro trzeba iść do pracy... – zaczęła Polda Zychówna.

Adela odwróciła twarz w jej stronę, ułożyła się na boku i oparła głowę na rękę. Przyjaciółka pociągnęła usta szminką, a na powieki nałożyła malowidło w delikatnym gołębiim odcieniu, co jej się wcześniej nie zdarzało. Podkreślanie urody miało zapewne związek z mężczyzną, który ostatnio pojawił się w jej życiu...

– Jeśli jutro też będzie tak pięknie, możemy wyjść z dziećmi na stok Wysokiego Zamku – wymyśliła. – Rano dyżur ma Jadzia, na pewno się zgodzi.

Polda wydeła usta z dezaprobatą. Nie to miała na myśli. Wycieczka z ochronkowymi mikrusami również przecież była pracą.

– Też mi przyjemność ciągnąć tam za sobą bandę berbeci – prychnęła.

– Właśnie, a jak wam się pracuje? – zaciekawiała się Helka Lis. Sama uczyła się na ogrodniczkę w szkole na Zamarstynowie, jako jedyna spośród nich zdobywając zawód. Ludzie zastanawiali się, skąd Lisowie wzięli na to pieniądze, bo u nich w domu nigdy się nie przelewało. Gadało się, że sekta łoży na naukę Heli.

– Zwyczajnie... Przy dzieciach zawsze sporo roboty. Ja nie chcę mieć swoich własnych. Chyba że będzie mnie stać na niańkę – zwierzyła się Poldę.

Adela westchnęła. Ona też uważała, że to bardzo ciężka praca, ale z innych powodów. Tyle się napatrzyła na dziecięce nieszczęścia. Choć u nich w domu zawsze było bardzo skromnie, to miały z siostrami pewność, że rodzice je kochają i nigdy by ich nie skrzywdzili. Co prawda sprawa z ojcem zrewidowała tę pewność, ale to zupełnie inny temat...

– W zeszłym tygodniu ten mały Zenuś, wiesz, Polda, który, miał takie sińce na całym ciele, że płakał z bólu, gdy go podniosłam – odezwała się.

– Wiem, byłam przy tym, kiedy go matka odbierała. – Poldę z przejęciem usiadła. – Zosia powiadomiła kierowniczkę o pobiciu i Sierakowa wzięła kobitę na rozmowę. Matka krzyczała, że ochronce nic do tego, jak u nich

w domu się dzieci wychowuje i że przecież ona jest dobrą matką, bo mogła Zenka zostawić w rynsztoku, jak był niemowlęciem, a ona go wykarmiła własną piersią...

– I następnego dnia chyba przyprowadziła go z podbitym okiem... – dokończyła Ada. – Kiedyś to dziecko zabiją, zobaczycie.

Helka i Otylia popatrzyły na siebie przerażone.

– Joj, myślałam, że to taka fajna robota: bawisz się z dziećmi, uczysz je piosenek, warkoczyki zaplatasz... – odezwała się Lisówna.

– O, jeśli już o warkoczykach wspominasz... Pamiętacie, jak mi ojciec ogolił głowę na łyso, bo złapałam wszy? Stwierdził, że pozbycie się ich razem z włosami to jedyny skuteczny sposób – wspominała młodsza z sióstr Zychówien. – Boże, jak ja się wstydziłam wtedy chodzić do ochronki! Jak ja strasznie płakałam! Wtedy nasza pani podarowała mi chustkę z prawdziwego jedwabiu, taką chabrową. Wiązałaś mi ją, Polda, co rano na głowie, pamiętasz? I od tej pory czułam się znacznie lepiej.

– Ech, gdyby mama żyła, nigdy nie pozwoliłaby ojcu na golenie cię na zero – zamyśliła się Polda.

– Ale ojciec to w dobrej wierze zrobił – twierdziła Otylia. – Chcę właśnie to powiedzieć, że czasem człowiek robi coś, bo uważa, że tak jest najlepiej. Przez pomyłkę, przez głupotę...

– Pobicie dziecka do krwi, do sińców fioletowych, nigdy nie następuje przez pomyłkę – odezwała się twardo Ada. – Otylka, ty nie tłumacz skurwysyństwa. Tyle ci powiem!

– Dziewczęta, spokojnie. – Helka zaklaskała w dłonie, jakby w ten sposób chciała zakończyć rozmowę na przykre tematy. – Dziś jest święto, piękna pogoda, cieszyć się trzeba! Już, spokój, Aduś, spokój...

Ale Szubównie trudno było odzyskać równowagę ducha. Od kilku tygodni czuła rozdrażnienie i szczególnie wyczulona była na wszystko, co złe. Bolały ją kłamstwo i krzywda, którą sobie ludzie nawzajem wyrządzali. Bolało ją, że okłamywał ją najbliższy człowiek. Bolało, że biedni zawsze są najsłabsi, że gdy upadają, nikt im ręki nie poda. Bolało, że patrzy na drama-

ty dzieciaków, które ma pod opieką, i nic zrobić nie może. Dla niektórych posiłki jedzone w ochronce były jedynymi spożywanymi w ciągu dnia. Gdy próbowała dokarmiać głodujące maluchy, kierowniczką udzieliła jej ostrej reprymendy, że przekracza kompetencje, że to nieprofesjonalne zachowanie. Profesjonalne było według pani Sierakowej niemieszanie się do spraw rodzinnych. Od tego są przecież odpowiednie instytucje. Przełożona miała także pretensje o łzy, które Ada wylała w pokoju socjalnym po tym, gdy zobaczyła, co ojciec czy też matka zrobili Zeniowi. Któraś z pracownic ochronki jej o tym doniosła.

– Przynajmniej moje serce nie jest z kamienia – powiedziała Szubówna, patrząc kierowniczkę hardo w oczy.

Kobieta wytrzymała spojrzenie. Wstała zza biurka i pochyliła się w stronę siedzącej naprzeciwko dziewczyny.

– Wychowuję dzieci od lat – wycedziła poirytowana. – I nie takie rzeczy już widziałam, nie takie... Gdybym miała kamienne serce, zmieniłabym pracę, uciekła. Ale ja zostałam, bo – może cię to zdziwi, moja panno – wierzę, że jestem potrzebna dzieciom. Pozwól więc działać bardziej doświadczonym! I słuchaj poleceń. Jeśli się nie poprawisz, pożegnamy się.

Ta groźba zamknęła Adzie usta. Potrzebowała tej posady, bo co dwie pensje w domu, to nie jedna.

Na polanie zrobiło się cicho. Wreszcie Ada podniosła się i wygładziła sukienkę.

– Pójdę pomóc chłopakom, bo do rana tego ogniska nie rozpalimy.

Weszła na ścieżkę wśród niskich zarośli, rozglądając się za grubszymi patykami. W gęstwinie leżało sporo śmieci po biwakujących w tym miejscu wcześniej. W wysokiej trawie wały się butelki, skorupki od jajek na twardo, ogryzki jabłek, butelki po piwie marcowym, potłuczone talerzyki czy też kubki, a nawet jeden but, znajdujący się tu już pewnie nie pierwszy sezon, bo lekko spleśniały. Adela patrzyła na to z niesmakiem, jednak zobaczywszy zgniecioną gazetę, uznała, że może się przydać, bo chłopcy na pewno nie pomyśleli o tym, by zabrać coś na rozpałkę. I wcale nie jest pewne, czy zabrali zapałki lub zapalniczkę...

Rozejrzała się, ale chłopców nigdzie nie było. Postanowiła więc pójść w przeciwnym kierunku, w stronę zbocza.

– Kacper! Gdzie wy? – zawołała.

Wściekły syk, który się rozległ od strony wierzbowych zarośli, w pierwszej chwili ją przestraszył. Ale potem zobaczyła swoich kolegów schowanych w krzakach, dających jej na migi znaki, by była cicho. Poszła ostrożnie w ich stronę i przykucnęła obok. W pierwszej chwili myślała, że obserwują z ukrycia jakieś zwierzę. Dopiero gdy wysiliła wzrok, dojrzała dwadzieścia kroków przed nimi parę obściskującą się w zaciszu rowu. Kochankowie działali gorączkowo i najwyraźniej w pośpiechu, bo nie zdjęli ubrań. Dziewczyna miała na sobie białą bluzkę z szerokim, półokrągłym kołnierzykiem, teraz rozpiętą prawie zupełnie. Jak się przekonali, nie nosiła bielizny. Mężczyzna, znacznie od niej starszy, bo już szpakowaty, z zapamiętaniem całował jej nagie piersi. Ona obejmowała jego głowę i przymykała z rozkoszy oczy, pokładając się i prężąc na miękkim piasku.

Ada, kiedy zorientowała się, na co właśnie patrzy, oblała się rumieńcem. Nie powinna podglądać schadzki, a tym bardziej w towarzystwie kolegów! Jakiś szacunek do siebie trzeba mieć!

– Co wy mi tu za bezceństwa pokazujecie! – wyszeptała oburzona do chłopców. – Jak możecie się tak gapić? Świntuchy!

Odpowiedział jej tylko tłumiony chichot towarzyszy.

Podniosła się z kucek, zamierzając odejść, gdy nagle schowany w rowie mężczyzna oderwał twarz od okolic rozneglizowanego dekoltu młodej dziewczyny. Ada poznała go – to jej były pracodawca, pan inżynier Erwin!

– Właśnie to chcieliśmy ci pokazać – wyjaśnił Bronek.

Adeli zrobiło się bardzo nieprzyjemnie. Pomyślała o pani Zuzannie i dzieciach inżynierostwa...

– Jego rodzinka też tu jest – szepnął Antoni i wskazał głową kierunek.

– Co ty mówisz?! Gdzie?

– Blżej Lonszanówki się rozsiedli. Widzieliśmy ich. – Kacper pokręcił głową z przyganą. – Potrafi się facet urządzić... Dzieci z żoną na kocyku

zostawił, a sam z nianią w rowie urzęduje...

Adela poczuła, że robi jej się gorąco.

– Skąd wiesz, że z nianią?

– A co ty, nie wiesz, że Marysia się do nich zgodziła w zeszłym miesiącu? – uświadomił jej Bronek.

Więc ta jęcząca i wijąca się na poszyciu leśnym dziewczyna to była Marysia? Koleżanka z powszechniaka, z którą kiedyś pojechała na letnią kolonię? Drobna, nieśmiała blondyneczka? Do niej się teraz dobrał ten obmierzły Erwin?

– Zróbcie coś! – zażądała.

– Ale jej się najwyraźniej podoba...

– Już! Przerwijcie to!

Kacper westchnął. Co niby miał zrobić? Podejść i dać w mordę inżynierowi? Mógł właściwie, czemu nie...

Nagle Bronek gromkim głosem zaczął śpiewać *Bal u weteranów*, a po chwili reszta podglądaczy dołączyła do niego.

– *Maniuśka, moja Maniuśka, chodźże ze mną spać do łóżka!* – darli się zupełnie bez sensu.

Pomogło. Kochankom miłosny zapach minął. Erwin wstał, odepchnął dziewczynę, poprawił ubranie i rozglądając się, pobiegł w stronę Lonszanówki. Marysia, przestraszona, rozplakała się. Zanosząc się szlochem, drżącymi dłońmi próbując zapiąć bluzkę, poleciała za nim.

Oczy Adeli ciskały pioruny. Zawstydzona tym, co zobaczyła, oburzona i wściekła, miała ochotę obić wszystkich trzech kumpli po pyskach.

– Dlaczego nic nie zrobiliście?! Jak mogliście się tak po prostu przyglądać?

Chłopaki najpierw głośno się śmiali z jej reakcji, ale potem, gdy poznali, że nie żartuje, zaczęli się niepewnie uśmiechać, popatrując na siebie bykiem.

– Przecie nikt tu Maryśki siłą nie zniewolił... – bronił się słabo Antek.

– A gdyby to była twoja siostra? Albo twoja? Też byś pozwolił, żeby ten cap ją... – Zabrakło jej słów. – To nasza koleżanka. Nie rozumiecie, tępe pały, o co chodzi?!

Nie rozumieli, że ona mogła być na miejscu Maryśki. Nie wiedziała, jak im powiedzieć...

Zapadło milczenie. Chłopcy popatrywali przez chwilę jeden na drugiego.

– Ja już rozumiem – odezwał się Kacper. – Masz, Ada, rację. Jak zwykle. Nie powinniśmy tak po prostu czekać, aż... ona wpadnie w jego łapska.

Z oczu Adeli popłynęły łzy. Kacper podszedł i przytulił ją. Stali tak, aż się opanowała.

Zabrali uzbierane drewno i ruszyli w stronę dziewcząt.

– Tylko błagam, nie mówcie nikomu, cośmy tu podejrzeli – poprosiła. – Po co plotki robić. Marysia i bez tego pewnie kłopotów będzie mieć bez liku.

– Będziemy milczeć jak grób.

– Jak trzy groby!

Ada uśmiechnęła się blado na ten kiepski żart i zwawo ruszyła przodem.

Późnym popołudniem atmosfera na polanie poprawiła się znacznie. Może swój udział w tym miało pieczone kurczę, które pani Lisowa schowała pod wykrochmaloną serwetką, a może ratafia, co to ją wyczarował Bronek? Zaspokoiwszy pierwszy głód, młodzi siedzieli przy ogniu i z niecierpliwością czekali, aż kartofle upieką się w żarze.

– A czy ja już wam mówiłem, że od pierwszego będziemy mieć akademusa? – przypomniał sobie Kacper.

– Jak to? Na uniwersytet żeś się dostał? Wreszcie się na tobie poznali? – śmiały się dziewczęta.

Kacper machnął ręką, jakby muchy odganiał.

– Głupieście jak lewe buty – burknął. – Matka wymyśliła, że wynajmiemy pokój jakiemuś studentowi. Zawsze to dodatkowy dochód będzie.

– Kto jej ten pomysł podsunął? – zaciekawiała się Adela, bo Suczajowa raczej głowy do interesu nigdy nie miała.

– Któraś z pań miastowych – wyjaśnił Kacper, mając na myśli pracodawczynie matki. – Nawet jej kogoś naraiły.

– Przecież studenty to gołodupce, z czego on wam będzie płacił? – zainteresowała się Antoni, rozgrzebując żar i sprawdzając, czy ziemniaki już się upiekły. – Jeszcze trochę...

– Jakby miał pieniądze, toby drogą stację w centrum znalazł. A my dużo nie weźmiemy.

– Kacper, a gdzie wy się wszyscy pomieścicie u was w dwóch izbach? – zapytała trzeźwo Poldą.

Chłopak westchnął. O to szło, że się pomieścić nie mogli. I o to z matką awantury co rusz wybuchały.

– Matka z Melką w kuchni, a ja z akademusem w pokoju...

Wszyscy zamilkli, starając się to sobie wyobrazić. Ale i wyobrażenia ma swoje granice.

Otyłka podniosła resztę gazety, którą Ada przyniosła na podpałkę, i zanim wrzuciła ją w ogień, przeczytała wydrukowany na czarno tytuł: *Konferencja w Monachium końcem Czechosłowacji*.

– Myślicie, że będzie wojna? – zapytała. – Słyszałam, jak tata rozmawiał z sąsiadem o tym, że będzie. Bo Hitler się nie zadowoli Sudetami. Gdańsk też mu się marzy...

– Jaka wojna? Zwariowałaś? – prychnęła Poldą. – Ojciec, jak popije z Mykołą, to różne głupoty wygaduje.

– Mykoła zresztą się cieszył... Mówił, że może przy tym Ukraińcy coś ugrają. A potem się z tatusiem prawie pobili.

– Ukraińcy tylko czekają, żeby się znowu dorwać do Lwowa. – Antoni, którego krewni zginęli w walkach o miasto w 1918 roku, zacisnął pięści. – Ale ich niedoczekanie!

– Jak będzie wojna, to się pójdziem bić z Hitlerem! Już się doczekać nie mogę – zadeklarował Kacper, a Antek i Broniek mu zawtórowali.

– Zaraz, zaraz – opamiętał się Bronek. – A ty, Kacper, po której właściwie jesteś stronie? Twój ojciec przecież...

– Co ojciec był, nie twoja rzecz. I nie moja. Ja zawsze myślę o sobie, żem Polak. Zawsze. – Z mocą uderzył się w pierś.

Ada popatrzyła na kolegów z przestachem. Oni naprawdę tego chcą? Wojny?

Ostatnio echa wojennych przepowiedni docierały do jej świadomości ze wzmożoną częstotliwością. Ludzie od jakiegoś czasu, spotykając się, wymieniali opinie na ten temat, szczególnie od końca września, kiedy to Hitlerowi oddano Sudety. Przeważnie jednak ludzie twierdzili, że wojny nie będzie i jak zaklęcia wymieniali przemawiające za tym argumenty.

Adela od zawsze czytywała gazety. Jako mała dziewczynka uczyła się liter na wytłuszczonych tytułach „Gazety Lwowskiej” i „Kuriera”. Pamiętała dobrze, jak dawno temu zaczęła poprawnie składać pierwsze słowa, siedząc na kolanach ojca przeglądającego codzienną prasę przy stole w kuchni i popijającego kawę. Czy to wtedy nauczyła się formułować samodzielne sądy o tym, co się dzieje w mieście i na świecie? Chyba już próbowała to robić, choć wtedy najbardziej interesowały ją oczywiście informacje o zbrodniach, kradzieżach, gwiazdach filmowych, a także repertuar kinoteatrów, do których i tak chodzić jej nie zezwalano. Gdy dokonano w jej mieście próby zamachu bombowego na prezydenta Wojciechowskiego, była jeszcze zbyt mała, by o tym przeczytać, zresztą prasa nie nagłaśniała zbytnio tego incydentu po tym, jak dwa lata wcześniej zginął prezydent Narutowicz. Ale już w roku 1934 śledziła samodzielnie postępy śledztwa w sprawie poćwiartowanych zwłok znalezionych w różnych miejscach w południowej części miasta. Tym więcej emocji wywołała sprawa, gdy okazało się, że zabójcą jest inwalida wojenny, kioskarz, prowadzący interes przy parku Kilińskiego, u którego ojciec kilka razy podczas niedzielnych spacerów z rodziną kupował papierosy. A dwa lata temu w kwietniu z pełnym zaangażowaniem śledziła na łamach prasy krwawe wydarzenia, które miały miejsca na lwowskiej ulicy. Rozruchy rozpoczęły się czternastego kwietnia, w dzień jej urodzin. Demonstracje, morderstwa, rozboje, tramwaje wykolejone z szyn

przez wściekłych lwowian, a wreszcie strajk robotniczy, spowodowany, jak twierdziła „Gazeta Lwowska”, przez prowokatorów i podżegaczy, przybrały wówczas takie rozmiary, że w mieście ogłoszono stan wyjątkowy. Porządek przywracało wojsko.

Teraz natomiast gazety krzyczały o nowym układzie sił w Europie. Adela dobrze wiedziała, co wyprawia Hitler i jego sprzymierzeniec, włoski *duce*. Ale tata twierdził, że po Monachium mały kanclerz dostał, czego chciał, i na razie wojny nie będzie. Bardzo pragnęła w to wierzyć. Niepokoilo ją jednak to „na razie”.

– Oczywiście, że będzie wojna – spokojnie odezwała się Helka Lis. – W Piśmie jasno o tym stoi. Wystarczy wiedzieć, gdzie szukać. Jak chcecie, to mogę wam...

– Hela, daj spokój! – Polda zareagowała ze złością. – Głupie gadanie. Mój Anzelm mówi... – urwała, orientując się zbyt późno, że powiedziała za dużo.

Na wzmiankę o tajemniczym Anzelmie towarzystwo zareagowało entuzjastycznie. Wszystkim ulżyło, że już nie muszą rozmawiać o wojnie.

– Cóż mówi ten Anzelm? I kim on jest? – dopytywali się.

Polda podniosła się i z wściekłością tupnęła nogą.

– A co was to obchodzi? Nic wam nie powiem, bo wy wszystko w żart obracacie! A to jest poważna sprawa. Na całe życie! – Schyliła się po torebkę. – Zresztą już dość mam tych waszych głupich dyskusji. Nic o życiu nie wiecie, a wypowiadacie się o wszystkim. Ty, Ada, w tym celujesz! Przestałybyś mnie wreszcie krytykować...

– Ale ja cię nie krytykuję! – wykrzyknęła zaatakowana Adela. – Słowa ci nie powiedziałam, odkąd się z tym swoim Anzelmem prowadzasz!

Polda na moment umilkła, bo zdała sobie sprawę, że to prawda. Jednak po chwili podjęła ponownie:

– Ty nawet nic mówić nie musisz. Wystarczy, że spojrzysz z wyższością, z pogardą, tak jakbyś kazanie prowadziła... A czy ty ksiądz jesteś, żeby wszyst-

kim mówić, jak mają żyć? Nie jesteś lepsza ode mnie, nie jesteś! W jednym dole siedzimy, tym... społecznym!

Polda aż się zasapała. Umilkła, powiodła po zebranych przy ognisku rozgorączkowanymi oczyma, w których zalśniły łzy, odwróciła się i ruszyła szybko przed siebie, nie pożegnawszy się.

– Ot i miłe popołudnie – odezwał się Bronek.

– Ale o co jej chodzi? – zastanawiała się Helka. – Otylia, ty nie wiesz przypadkiem?

– Pojęcia nie mam, ale... Ona jest jakaś dziwna ostatnio. Ojcu awantury robi, gdy ją pyta, gdzie i z kim wychodzi wieczorami.

– Z kim, to już wiemy. Przez tego jakiegoś Anzelma Prot już nie chce się z nami katulać. Zawsze ją najbardziej lubił... – stwierdził Suczaj.

– Kacper, kartofla mi się chce – marudziła Mela.

Wszyscy jak na komendę rzucili się wygrzebywać ziemniaki z żaru. Szubówna natomiast czuła się, jakby ktoś wymierzył jej policzek.

– Jakiś dziwny ten piknik – powiedziała w zamyśleniu. – Pod złą gwiazdą czy co?

– Gwiazdy to się zaraz pokażą, jak się do domu nie zbierzemy – zauważyła trzeźwo Helka. – Chłodno się robi, chodźmy już.

W pośpiechu zjedli kartofle z solą, parząc sobie palce i języki. Chłopcy rozgrzebali żar, przysypali piachem, a gdy dziewczęta się oddaliły, zagasili resztę męskim sposobem, załatwiając jednocześnie potrzebę fizjologiczną.

Gdy szli w dół, w stronę sztreki, świecąc sobie latarkami, zapadł wczesny zmierzch. Nad Wysokim Zamkiem wznosił się już cienki sierp księżycyca, lśniący zimnym, matowym światłem. Z licznych parowów i wąwozów zaczynały podnosić się lekkie mgły. Ochłodziło się znacznie i nikt nie miał wątpliwości, że zbliża się listopad.

– Boję się! – zajęczała Mela i złapała Kacpra za rękę.

Antek, którego rodzina najdłużej mieszkała na Zniesieniu, zaczął opowiadać o studni samobójców, która miała kiedyś istnieć w tej okolicy.

– Podobno tak często z niej korzystano w wiadomych celach, że władze nakazały, żeby ją zasypać. I teraz tutaj straszą ci samobójcy, ciągną za sobą zagubionych wędrowców i ich topią...

– A gdzie dokładnie się ta studnia znajdowała? – Ada jak zwykle była do-ciekliwa.

– Przy cmentarzu.

Coś jej w tej odpowiedzi nie pasowało.

– Ale kto kopałby studnię przy cmentarzu? – rozważała na głos. – To nie-rozsądne i wbrew zasadom higieny...

– Oj, Ada, czy ty musisz zawsze wszystko drążyć? – zirytowała się Hel-ka Lis. – A może to była studnia, z której czerpano wodę do kwiatów na cmentarzu? Poza tym to legenda. Antek chciał nas nastraszyć. Księżyc, mgły i tak dalej. I duchy samobójców.

Mela pisnęła i mocniej złapała Kacpra za rękę. Ada poczuła, że chciałaby zrobić to samo...

Doszli na Nowe Zniesienie, czując, że to już ostatni taki piknik. I nie tyl-ko z powodu nadchodzącej jesieni. Po prostu coś między nimi już nie grało. Może dorośleli. A może coś wisiąło w powietrzu?

Rozdział IV

W pierwszym dniu listopada spadł drobny śnieg. W Dzień Zaduszny, kiedy lwowiacy odwiedzali groby bliskich, miasto posypane było białym puchem jak placek ze śliwkami cukrem pudrem.

Szubowie po mszy wybrali się na mogiłki. Na cmentarzu Zniesieńskim, położonym w zalesionym wąwozie, nie spoczywał nikt z ich rodziny, bo groby przodków znajdowały się w Buczaczu, Terespolu, Jazłowcu i w Pustomytach na południe od Lwowa. Ale szli odwiedzić zmarłych sąsiadów, zapalić lampkę na grobie zbiorowym rodziny Winnickich, sąsiadów, którzy siedem lat temu zatruli się we śnie czadem. Leżało ich tam pięcioro, najmłodszy synek Teodozji miał zaledwie pół roku. Poza tym ojciec i matka zapalali światełka pod żelaznym cmentarnym krzyżem, ku pamięci tych wszystkich, których grobów w tym roku odwiedzić nie zdołają.

Było dość wcześnie, dochodziła dopiero dziewiąta. Mimo święta ojciec szedł na drugą do pracy i musieli zdążyć odwiedzić groby przed rozpoczęciem jego zmiany. Adela maszerowała trochę z tyłu, nie biorąc udziału w rodzinnych dyskusjach. Jej stosunek do ojca stał się obojętny, starała się go po prostu nie zauważać, choć w dwuizbowym mieszkaniu było to raczej niełatwe. Zwracała się do niego tylko, jeśli sytuacja ją do tego zmuszała. Zresztą od tamtej wrześnieowej soboty, kiedy tak bardzo się wszyscy bali, Józka wysunęła się na plan pierwszy. Wszyscy w domu martwili się głównie o nią, choć Jaremkę wyrzucono ze szkoły. Józka dobrze wyszła na tym incydencie, stała się w klasie gwiazdą. Wyprosiła od najstarszej siostry zeszyty z gromadzonymi w nich przez lata prasowymi wycinkami o tematyce kryminalnej i czytywali je w klasie podczas pauz. Ada zastanawiała się, jakie będą konsekwencje, gdy ktoś ich na tym przyłapie. Karol natomiast by-

wał u nich w domu bardzo często, chyba rozsmakował się w pieczeni wieprzowej Julii oraz jej marmoladniku. Józefinie imponowało, że kolega pochodzi z inteligenckiego domu – jego rodzice byli dentystami. W dodatku Karol okazał się poetą, stworzył poemat wierszem opisujący całą ich klasę i ciało pedagogiczne szkoły Świętego Marcina. Poemat ów zawisł w gazetce szkolnej, Józka osobiście przepisała go kaligraficznym pismem. Jej dotyczyły zaledwie dwa wersy, które szły następująco:

A Szuba – figlarka, spytacie, gdzie jedzie?

Aż na Zamarstynów, dla dyra po śledzie.

Dziewczyna powtarzała je całej rodzinie z taką dumą, jakby Karol napisał dla niej co najmniej cały cykl miłosnych sonetów.

Pod bramą cmentarza kilku handlarzy rozłożyło kramiki ze świecami, kwiatami i wiązkami z igliwia oraz żywotników. W porównaniu z cmentarzami Łyczakowskim czy Janowskim był to bardzo skromny handel, zawsze jednak gromadził kupujących.

Jednak tym razem ludzie tłumnie zebrali się nie przy stoiskach z chryzantemami, lecz przy samej bramie.

– A tam cóż za zbiegowisko? – zdziwił się ojciec.

Podeszli bliżej i natychmiast tego pożałowali. Na cmentarnej bramie wisiał bowiem młody człowiek, którego znali z widzenia. Że nie żył, nikt nie miał wątpliwości.

– Tato, kto to? – zapłakała wystraszona Petronela.

Julia nie mogła oderwać oczu od trupa. Patrzyła na ciało tańczące bezwładnie na sznurze i wróciły wspomnienia z dzieciństwa. Nie widziała wprawdzie śmierci ojca na własne oczy, ale wiele razy ją sobie wyobrażała. Właśnie tak.

– To ten młody Rumiński... Mieszkał na Polnej... – szeptali ludzie.

Julia wróciła do przytomności. Przytuliła Nelkę, zasłaniając jej oczy. Rozejrzała się bezradnie dookoła, mając nadzieję, że inni wiedzą, co robić. Ona nie wiedziała.

Od strony cerkwi, która stała w pobliżu cmentarza, zbliżał się posterunkowy Feliks Wnuk. Za nim szedł niespokojnie grekokatolicki ksiądz. Z drugiej strony biegł proboszcz z kościoła na Nowym Zniesieniu.

– Odsunąć się, odsunąć... – zarządzał posterunkowy. – Czemu się tu dziwić, trup na cmentarzu to normalna rzecz – żartował, jednak nikt się nie śmiał.

– Ja go poznaję, to mój parafianin – stwierdził proboszcz obrządku łacińskiego. – Adam Rumiński, miał coś z dziewiętnaście lat, nie więcej. Rodzice zmarli na tyfus, będzie już ze dwa lata. On sam został, ale wydaje mi się, że trochę słaby na umyśle był. Z każdej pracy go zwalniali...

Adela zdała sobie sprawę, że faktycznie, też go znała, choć bardzo słabo. Dlaczego zdecydował się popełnić samobójstwo tutaj? To jakaś demonstracja? Jeśli rzeczywiście zrobił to sam...

Policjant przyglądał się ciału, wszedł za bramę, popatrzył na pętlę skreconą na sznurze.

– Niech mi ktoś pomoże go odciąć – zażądał.

Z grupki gapiów wysunął się jakiś mężczyzna. Przez chwilę ustalali z Wnukiem, co który ma robić. Mężczyzna przytrzymał Rumińskiego za nogi, a policjant wszedł na bramę i ostrym nożem zaczął przecinać sznur. Chwilę to trwało, zanim powróż puścił. Mężczyzna zatoczył się pod ciężarem zwłok, ktoś podbiegł do niego, by mu pomóc. Potem ułożono młodego na trawie. Feliks przeszukał kieszenie jego cienkiego, niestosownego do jesiennych niskich temperatur palta. Znalazł kartkę złożoną na pół, przeczytał, pokiwał głową.

– Sam odebrał sobie życie. Zostawił list pożegnalny. Nie dawał już rady walczyć z biedą i głodem, więc postanowił ze sobą skończyć.

Po zebranych przeszedł szum. Ktoś bolał nad tym, że Rumiński nie poprosił o pomoc, choćby o kawałek chleba... Przecież jakoś by to było, nie?

– Czy można wejść na cmentarz? – zapytał ktoś inny rzeczowo.

Feliks wyprostował się i służbowym tonem poinformował, że nie, bo dółki lekarz nie potwierdzi samobójstwa, jest to miejsce domniemanego

morderstwa i ewentualne ślady mogą zostać zatarte. Ludzie postali jeszcze trochę i wobec tego, że lekarz się nie zjawiał, zaczęli rozchodzić się do domów. Julia chciała zapytać Pawła, co w takim razie robią, czy wracają do domu, czy od razu jadą na Łyczaków do Peli, bo z nią zawsze spędzali Zadzuszki. Ale Pawła nigdzie nie było. Józka wzięła Nelkę za rękę, a Adela wpatrywała się w zarośla za zakrętem drogi. Julia również spojrzała w tamtą stronę. Zobaczyła Pawła i... ją. „Boże święty, on wstydu nie ma” – przemknęło jej przez głowę.

Ada nie wierzyła własnym oczom. Ojciec w pewnym oddaleniu od zbiegowiska rozmawiał o czymś z Agnieszką Bolińczewówną, córką Iwana. Kurwą, krótko mówiąc. Więc to z nią się zadał? I o czym rozmawiali? Umawiali się na wieczór, jak wróci z Podzamcza? „Jeśli ktoś zobaczy, że mój ojciec rozmawia z prostytutką, spalę się ze wstydu” – pomyślała. Spłoszona rozejrzała się. Nikt nie zauważył. Napotkała wzrok Julii. Matka wiedziała...

Adela walczyła ze sobą, żeby nie zemdleć. To jej się ostatnio coś za często zdarzało.

– Dziewczęta, idziemy – zarządziła matka nauczycielskim tonem. Na pewno tak zwracała się do podopiecznych w szkole klasztornej. – Ojciec zaraz dołączy.

Nela i Józefina posłusznie poszły przodem, Julia i Ada trochę z tyłu. Matka złapała najstarszą córkę za rękę, co nie zdarzało się, odkąd była małym dzieckiem. Ada ścisnęła tę rękę z wdzięcznością. Nagle zrozumiała, dlaczego matka wzgardziła kawonem od Iwana i wyrzuciła go przez okno. Ogrodnik przeproszał za swoją córkę... Ale matka swoją dumę ma i przekupić się nie da.

Na Szczepanowskiego spotkały Suczajów, którzy szli właśnie na grób męża i ojca. Młodsze dziewczynki zaraz wygadały Antoninie, co to za nieszczęście się stało i że nikogo na razie na cmentarz nie puszczają.

– Święta Panienko, chłopiec nieszczęsny – uzalała się Suczajowa, robiąc znak krzyża w powietrzu. – Ale ty, Julio, jesteś blada jak ściana. Tak się przestraszyłaś tego widoku?

– Bo nasz dziadek też się powiesił – oświeciła ją Nela, za co zarobiła kuksańca od Józki.

– Taaak? Nie wiedziałam... – Sąsiadce zaświeciły się z ciekawości oczy.

– My już pójdziemy – Julia pchnęła dzieci do bramy i zaczęły wchodzić po schodach.

W mieszkaniu Adela zaparzyła wszystkim herbaty. Matka poszła do wychodka i jakoś długo nie wracała. Dziewczyna zastanawiała się, jak ma się zachować, gdyby teraz wrócił ojciec. Co by zrobiła? Chyba nie potrafiłaby powstrzymać łez. A może rzuciłaby się na niego z pięściami?

– I co teraz będzie? – zapytała.

Julia, która jeśli płakała, to już nic nie było po niej widać, usiadła przy stole, kładąc ręce przed sobą na odświętnym obrusie. I tak zastygła.

– Co będzie? Nic. Pójdiesz z siostrami do cioci. Zabierzesz bigos w słoiku, bośmy mieli zjeść u niej bigos... Przeprosisz, żeśmy nie mogli z ojcem przyjść...

– To tatuś nie idzie? – zdziwiła się Józia. – A gdzie on właściwie się podział?

– Załatwia... coś – poinformowała Julia, z trudem wypowiadając słowa. – Źle się poczułam i... nie dam rady nigdzie już iść. Chcę, żeby tato ze mną został, bo... bo może lekarza będzie trzeba wezwać? Idź więc, Aduś, z nimi. Nic się nie martw. Wszystko będzie dobrze. Tylko już idźcie.

Najstarsza Szubówna bez słowa sprzeciwu napełniła słoje jeszcze ciepłym bigosem z wielkiego gara. Potrawa pachniała smakowicie grzybami i mięsem. Pospieszyła Nelkę, która marudziła, że chce przed wyjściem kapusty.

– Im szybciej wyjdziemy, tym szybciej będziemy jadły. – Józefina wypchnęła młodszą siostrę przez drzwi.

Na schodach minęły ojca. Miał nieswój wyraz twarzy, Adela dałaby głowę, że płakał.

Nela powiedziała tacie, że mama źle się czuje.

– Wiem, dzieci – odparł. – Zaraz się nią zajmę.

Kiedy wyszły na ulicę, prószył drobny śnieżek. Petronela wykrzyknęła z uciechy i jak małe dziecko wystawiła język, starając się złowić i połknąć zimne śnieżynki.

– Zaraz będzie cię gardło bolało – upomniała machinalnie najstarsza siostra.

Ale ona nie słuchała, wyrwała się i pobiegła przodem, wpadając niemal pod towarowy, który skręcał właśnie w bocznicę prowadzącą do rzeźni. Święto czy nie, mięso trzeba było przerabiać, zanim się zepsuje.

– Rozumiesz coś z tego wszystkiego? – zagadnęła Józka, gdy pociąg już przejechał. – Co się stało rodzicom?

Ada uciekła wzrokiem w bok, spoglądając na majaczący w oddali zarys Wysokiego Zamku, rozmazany w tej chwili przez sypiący śnieg. Co się stało rodzicom? Gdyby sama mogła to wiedzieć...

Od zawsze słyszała, że zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia, a pobrali z wielkiej miłości. Mimo sprzeciwów apodyktycznej babki Suchińskiej i drwin krewnych ze strony matki z tego, że córki Ludwika nisko ostatnimi laty upadły i wchodzą w związki małżeńskie z prostymi lwowskimi kolejarzami.

Rodzice mimo trudnych czasów potrafili stworzyć córkom ciepłe, choć bardzo skromne rodzinne gniazdo. Ada pamiętała, że niektóre dzieciaki z podwórka czy ulicy bały się ojca albo matki, ona nigdy. Julia bywała surowa, i to często, ale dziewczęta, choć się jej sprzeciwiały, robiły to raczej dla zasady, czując, że i tak ona ma rację i chce ich dobra. A tato... To on się z nimi bawił, podczas gdy zapracowana matka gotowała, prała, sprzątała, robiła przetwory w słoikach czy szyła. Grał z córkami w piekło-niebo, podrzucał na kolanach, niby na koniu w rytm starej rymowanki: *Jedzie, jedzie pan, pan, na koniku sam, sam, a za panem chłop, chłop, na koniku hop, hop, a za chłopem Żyd, na koniku hyc, a za Żydem Żydóweczki, pogubiły patyneczki!* One też zawsze na końcu gubiły pantofle, spadając z konia, i tarzwały się ze śmiechu po podłodze. To tata pokazywał im Lwów, zabierał latem na pływalnię w parku Żelazna Woda, na lody do Dudka czy Zalewskiego, gdy zdarzało się – choć rzadko – że byli właśnie „przy pieniądzach”.

Ich ulubioną zabawą było jeżdżenie po mieście tramwajami od pętli do pętli. Wiedziały dzięki temu, w jakim pięknym mieście mieszkają, gdzie Łyczaków, Pohulanka, Halickie, Janowska, Gródecka, Krakowskie... To ojciec zaprowadził Adelę pierwszego dnia do szkoły, po drodze kupując w piekarni Kłós chlebek turecki na drugie śniadanie. Pamiętała dobrze, jak się bardzo bała tamtego dnia, bo znajome dzieciaki z dzielnicy mówiły, że pan Hapka, kierownik szkoły, jest bardzo wymagający. Pamiętała, jak mocno ścisnęła ojcowską dłoń, zanim weszła w szkolne progi.

– Płaczesz? – szeptem spytała Józia i złapała ją pod ramię, tuląc się mocno. – Wszystko będzie dobrze. Mamy mądrych rodziców. Porozmawiają i będzie dobrze...

Adela bała się, że rozmowa, którą pewnie właśnie w tej chwili przeprowadzali Szubowie, będzie miała decydujący wpływ na to, co dalej stanie się z nimi, z całą rodziną. Najwidoczniej matka już od dawna wiedziała, co ojciec wyprawia, ale nie zdradziła się z tym przed nikim.

Ada zauważyła, że Petronela, która znacznie je wyprzedziła, stoi przy rogatce Żółkiewskiej, machając i podskakując.

– Tramwaj nam ucieknie! – domyśliła się.

Po chwili obie pędem rzuciły się ku przystankowi dziewiątki zatłoczonemu ludźmi z wiązkami chryzantem.

Ciotka bardzo się zdziwiła, gdy na progu zobaczyła tylko trzy siostrzenice. Zaniepokoiła się nie na żarty, gdy Petronela opowiedziała, jaki widok zastali dziś rano na cmentarzu Zniesieńskim i jak przeżyła to Julia. Starsze dziewczęta, które znały nieco inną wersję wydarzeń, uparcie milczały, nie wyprowadzając jej z błędu.

– Jutro po pracy odwiedzę waszą matkę. Przecież jestem pielęgniarką, jak to coś poważnego, pomogę – zdecydowała. – To co, pannice moje? Zjemy i pójdziemy.

Ciotka zajmowała jeden pokój w dwupokojowym mieszkaniu emerytowanej przełożonej pielęgniarek ze swojego szpitala. Pani Anna, bardzo już

wiekowa, sama wymagała opieki i taką też od Peli otrzymywała w zamian za nieco niższe komorne.

Dziewczyny rzuciły się pomagać. Józka i Nelka wyciągnęły z szafki w pokoju ciotki sztućce i talerze i nakryły okrągły stół przyozdobiony szydełkową serwetą. Ada poszła z ciotką do kuchni i patrzyła, jak ta na kuchni gazowej odsmaża bigos i przekłada go do glinianej faski. Spojrzała przez okno, bo zawsze zadziwiało ją, jak bardzo różnił się widok z okien ciotki od widoku z ich kuchni. U nich było zielono, w oddali majaczyły Górka Baczewskiego, Piaskowa Góra, kopiec Unii i Wysoki Zamek. Co raz przejeżdżały pociągi, wprawiając całe mieszkanie w takie wibracje, że w kredensie dzwoniły szklanki. Raz pociąg wykoleił się – huk i wstrząs były takie, że padła rybka, którą Nelka złapała w stawie i hodowała w litrowym słoju. A tutaj, po pierwsze z okna widać było kamienice po drugiej stronie Mącznej, a po drugie słyszało się wciąż lekki szum – rozmowy i kroki ludzi przechodzących pod oknami, gwizdki policjantów pilnujących porządku na ulicach, samochody, stukot kopyt końskich, a także pisk tramwaju skręcającego z Łyczakowskiej w Świętego Piotra. A przecież i ciotka, i one mieszkały w tym samym mieście...

Zjadły, zmyły naczynia, poczęstowały bigosem panią Annę i poszły na mogiłki.

Na cmentarz Łyczakowski miały od ciotki dosłownie dwa kroki. Śnieg przestał padać, za to przykryte chmurami niebo zaczęło ciemnieć. U straganiarzy przed bramą kupiły świeczki i kwiaty, choć ciotka narzekała na głoś, że drożyzna i że mogła kupić wszystko wcześniej, a teraz musi przepłacać.

– Ciocia co roku mówi to samo – zauważyła Józka.

Niesione przez tłum udały się najpierw na grób dziadka Stanisława Szuby. Ustawiły świeczki, a na płycie położyły wiązanek białych chryzantem. Nela jak co roku, odkąd nauczyła się składać litery, odczytała napis na kamieniu:

– Tu spoczywa Stanisław Szuba. Poległ w obronie Lwowa. Pokój jego duszy.

Dziadek zginął za miasto, w którym nawet nie mieszkał. Dziewczęta na pamięć znały opowieść o tym, jak w październiku 1918 roku przyjechał z prowincji z pierworodnym synem i obaj chwycili za broń, bo „we Lwowie się Polska zaczynała i trzeba było jej pomóc”, jak mówił. Ojciec poległ, syn przeżył. Na wieś już nie wrócił. Został w mieście, znalazł posadę w kolejnictwie, a potem poznał Julię.

Zmówiły wieczne odpoczywanie i poszły główną alejką w kierunku następnej mogiły. W zapadającym zmierzchu lampki i świece palące się na grobach migotały ciepłym blaskiem. Bardzo wiele światełek płonęło na grobach wielkich lwowian, artystów, profesorów. Najwięcej chyba na mogiłe Marii Konopnickiej, która co prawda we Lwowie nie mieszkała, ale zmarła w tym mieście podczas kuracji w sanatorium. Nad cmentarzem unosił się charakterystyczny zapach spalenizny i kwiatów. Dziewczęta przyspieszyły kroku, wiedząc, że za chwilę zrobi się zupełnie ciemno, a gazowe latarnie dawały tylko skąpe światło. Na szczęście znalazły grób narzeczonego cioci Peli, zanim zapadł mrok. Pomodliły się, ciocia jak zwykle uroniła łezkę. Długo i czule głaskała płytę przysypaną drobnym śniegiem, zanim ruszyły w końcu do głównej bramy.

Siostry odprowadziły ciotkę do domu i wróciły tramwajami. Droga zajęła im dużo czasu, bo ludzie pod wieczór chętnie jeszcze chodzili odwiedzać groby i przemieszczali się między dwiema głównymi nekropoliami: cmentarzami Łyczakowskim i Janowskim.

Adela bała się chwili, w której przekroczy z siostrami próg domu. Co zastaną w mieszkaniu? Obawiała się, że zgłiszczą ich rodziny...

W sieni na dole Adę zaczepił Kacper. Z niepokojem popatrzyła, jak dwie młodsze siostry wchodzą po schodach do mieszkania, chciała jak najszybciej znaleźć się za progiem i mieć to z głowy. Ale Kacper nie dał się zbyć.

– Chodź ze mną się przejść – poprosił. – Zobaczymy cmentarz wieczorem. Będziesz się bała duchów, a ja cię będę tulił...

– Zapomnij – ucięła. – Właśnie dlatego nie pójdę.

Kacper złapał ją za łokieć i spojrzał w oczy.

– Co się z tobą dzieje ostatnio? – chciał wiedzieć. – Już prawie się nie widzimy, choć mieszkamy tak blisko siebie.

– Nic się, Kacper, nie dzieje. I może o to ci chodzi, co?

Chłopak ścisnął mocniej jej łokieć. Nie tak, by sprawić jej ból. Raczej tak, by ją przy sobie zatrzymać kilka sekund dłużej.

– Gustek ci się spodobał? – szeptał gorączkowo. – Nasz filozofek gołodupiec, mędrzec z prowincji, tak? Myślisz, że nie wiem, jak sobie gruchacie, kiedy ja w robocie jestem? Matka mi mówiła...

Oburzenie Ady sięgnęło zenitu. Kacper myślał, że ona zadała się z tym ich akademusem?! To byłoby nawet śmieszne, gdyby nie było takie absurdalne. Rozmawiała z chłopakiem może wszystkiego ze trzy razy, w tym raz pomógł jej zanieść wiadro węgla z komórki na podwórzu na górę i został na herbacie. Matka go zaprosiła. Dowiedziały się wtedy, że pan student – przystojny i postawny, to fakt, a także dobrze wychowany – na imię ma August i mieszka z owdowiałą matką w Stanisławowie. We Lwowie studiuje filozofię i filologię klasyczną i wciąż martwi się o matulę. Na Wszystkich Świętych właśnie do niej pojechał. I nic więcej się między nimi nie wydarzyło.

– Dalej matki słuchaj, to wyjdiesz na tym jak Zabłocki na mydle – warknęła. – Coś ty sobie znowu ubzdurał? Z nikim nie grucham. A nawet gdyby, nic ci do tego! – Wyrwała się i ruszyła do góry, zostawiając go wściekłego pod schodami.

Ze swojego mieszkania wyszła Teresa Oblatowa.

– Nawet przy takim święcie spokoju nie ma! – odezwała się gderliwie. – Najpierw u Szubów kłótnia taka, że policję chciałam wzywać, a teraz najstarsza hrabianka się na klatce obściskuje z Suczajem! Wstydu nie mają...

– *Ada, to nie wypada...* – Z głębi mieszkania dało się słyszeć pijacki, fałszywy śpiew Oblata, będącego najwyraźniej w świetnym humorze.

Adela, która była już prawie na górze, odwróciła się i, patrząc z pogardą na sąsiadkę, wycodziła przez zęby:

– Spierdalaj! – Po czym zniknęła w mieszkaniu.

Kacper również nie miał zamiaru podejmować uprzejmej rozmowy z Oblatową.

– Wiedźma! – rzucił, nie wiadomo, za dozorczynią czy za Adelą, i wybiegł na ulicę, trzaskając bramą.

Teresa została sama w pustym korytarzu.

– Waryjaty durne – stwierdziła, po czym wróciła do męża rozpijającego w samotności świąteczną wiśniówkę od Baczewskiego.

Rozdział V

Tydzień przed Bożym Narodzeniem w mieszkaniu Szubów jak co roku o tej porze zaczął się armagedon. Tradycyjnie był to czas wielkiego napięcia, kłótni i niesnasek rodzinnych spowodowanych miganiem się od obowiązków narzucanych dziewczętom przez matkę. Julia zarządzała wielkie sprzątanie, pranie, trzepanie, szorowanie i cerowanie. A potem gotowanie i pieczenie, co należało do czynności zdecydowanie milszych.

Więc kiedy już firanki zostały wyprane, podłogi wyszorowane i wypastowane, a wszystkie naczynia z kredensu pomyte, Julia zaczynała wyżywać się kulinarnie. Nastawiała bigos, który tradycyjnie gotowała trzy dni, zagniatała piernik, kisiła buraki na barszcz, zaprawiała śledzie i marynowała szynkę na pierwsze święto i nastawiała studzinię. Na dworze od kilku tygodni panował mróz, więc „zimna szafka” pod oknem w kuchni spełniała swoją funkcję na medal.

Odkąd matka zaczęła gotowanie, w kuchni na stałe rezydowała Nela, gotowa próbować, smakować, doprawiać i znowu próbować. Wyczuwszy pismo nosem, codziennie również przyplątywały się siostry Goldman, dla których chrześcijańskie święta miały wymiar wyłącznie kulinarny.

– Jak będziemy dokarmiać te dwie – narzekała Józia – to całe jedzenie zniknie jeszcze przed świętami. Toż to chodzące, wiecznie puste przewody pokarmowe.

– Głodnego nakarmić – mówiła tylko Julia.

Im bliżej świąt, tym częściej w kuchni przesiadywała także Józia, która wykazywała ogromny talent do pieczenia. Makowce i serniki wychodziły jej pyszne, bułki drożdżowe z powidłami puszyste jak poduszki, a do tego z rumianą skórką i nigdy nie spękane.

Ponieważ ani sprzątanie, ani gotowanie nie były najmocniejszą stroną Ady, najczęściej to ją wysyłano do sklepów po potrzebne rzeczy, co było dla niej największą frajdą. Tradycyjnie co roku sprawunki załatwiała razem z ojcem. Gdy była młodsza, już od Wszystkich Świętych czekała na wyprawę do składów bakalii i przypraw, których siła mieściła się na Krakidałach, do cukierni przy placu Legionów, w której tak pachniało czekoladą i kawą, że kręciło jej się w głowie. Jeśli były akurat pieniądze, kupowali tam z ojcem marcepanowe aniołki lub zwierzątka, a także „lepsze” cukierki do zawieszenia na choince lub u powały na podłazniczce, przy której upierał się co roku ojciec.

– U mnie w domu choinki nigdy nie było – mówił, wchodząc na krzesło i mocując ozdobę z iglastych gałązek na specjalnym haku przy lampie.

Jednak w tym roku dziewczyna jak nigdy bała się przedświątecznej wyprawy.

Od Zaduszek co prawda atmosfera w domu poprawiła się i matka znowu zaczęła się uśmiechać, a ojciec nie zniknął już na całe wieczory. Znowu razem słuchali radia, śpiewali w długie ciemne popołudnia, chodzili na imieniny do sąsiadów, odwiedzali wspólnie ciocię Pełę, a także znajomych, kiedy ich do siebie prosili. Ale Ada miała żal do rodziców o to, że nikt nie wyjaśnił jej słowem całej sytuacji. Bo chyba miała prawo wiedzieć, tak jak zresztą i dwie jej siostry, co to za niebezpieczeństwo nad nimi wisiało?

Julia natomiast uznała, że skoro wszystko z Pawłem sobie powiedzieli czy też (jak twierdziła Oblatowa) wykrzyczeli w tamten zimny i pochmurny Dzień Zaduszny, nic wyjaśniać nie musi. Przynajmniej ona.

Tylko ona wiedziała, co kiedyś dla niej zrobił. Mieli swoje tajemnice. I uczucie, które ich łączyło. Tamten jesienny dzień sprzed ponad dwudziestu lat pamiętała tak, jakby to było wczoraj...

W parku Stryjskim jesień już się wtedy zaczynała. Drzewa zmęczone zielonością przybierały żółtą barwę, rzucały brązowe kasztany pod nogi spacerujących.

– Wyglądają jak najprawdziwsze czekoladki – śmiała się Julia, podnosząc je z parkowych alejek.

– Tak się składa, że mam dla ciebie kilka.

Paweł wyciągnął z kieszeni brązową tutkę i podał jej. Julia zajrzała do środka.

– Teraz nie wiem, czy to naprawdę czekoladki czy kasztany...

– Spróbuj, to się przekonasz.

Paweł wyciągnął brązową słodycz z papierka i włożył ją do ust Julii. Ona rozgryzła czekoladkę, smakując delikatną gorycz kakao i aromatyczną wanilię. Nagle smak wydał jej się zupełnie ohydny i zrobiło się jej niedobrze. Nie umiała opanować mdłości... Zakryła sobie usta dłonią i pobiegła za kępę sosen. Zrzuciła z żołądka wszystko, co tam miała, i nabrała powietrza do płuc. „Już dobrze” – pomyślała. Zawstydzona wróciła do Szuby, który czekał zaniepokojony przy ławeczce.

– Cóż to? Jak się czujesz? – Patrzył na nią badawczo.

– Lepiej. – Uśmiechnęła się blado. – Już dziś rano żołądek mnie bolał. To chyba przez dorsza w śmietanie, którego zjadłam na kolację. Może nie całkiem był świeży.

Pominięła fakt, że wczoraj rano też wymiotowała. I przedwczoraj również. Bolały ją piersi, a zapach kawy, którą parzyły szwaczki rano przed pracą, przyprawiał ją o zawroty głowy.

Była w ciąży. To pewne. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio zdarzył się jej period. Na pewno jeszcze w Jazłowcu.

To musiało się przytrafić ten ostatni raz przed rozstaniem. Pamiętała, że nie chciał jej wypuścić z objęć. Pozwolił jej doznać rozkoszy, twierdził, że wytrzyma, dopóki ona nie skończy. Widocznie nie wytrzymał... Boże. Co teraz będzie?

Nie zauważyła wcześniej, bo tyle się działo. Po prostu nie zauważyła.

Nosiła dziecko Steckiego. Wychodziła za Pawła. Już dali na zapowiedzi w parafii Świętej Anny na Gródeckiej, w kolejarskiej dzielnicy. Boże. Co robić?

– O czym tak myślisz? – zapytał ją. – Chyba nie o tym pysznym dorszu? A może o czekoladce?

– Pawle, nie dworuj sobie... – Chciała go zrugać, ale kolejna fala mdłości podchodziła jej do gardła.

Ledwo zdążyła załatwić sprawę za krzewem leszczyny.

Szła ulicą Szeptyckich, kiedy ktoś zawołał ją po imieniu. Odwróciła głowę, zdziwiona. Ten głos...

Po drugiej stronie ulicy stał Aleksander. Podbiegł do niej, złapał ją za rękę. Ona mu je wyrwała. Uśmiech znikł z jego twarzy.

– Julko, znalazłem cię – powiedział.

– Przecież nawet nie szukałeś – odparła. – No powiedz, szukałeś?

Zachmurzył się.

– Matka powiedziała, że uciekaś od sióstr. Skąd miałem wiedzieć, gdzie jesteś? Nie chciałem zostawać w Wiedniu, zresztą po tym, jak zniknąłeś, pozwolili mi wrócić.

– Po co mówiłeś matce o nas? Myślałam, że... Że wszystko między nami jasne. Naraziłeś mnie na wstyd. Tego chciałeś?

– Nie, Julko, nigdy! – zarzekał się. – Chcieli mnie ożenić... Więc im powiedziałem. Po tobie żadna już by mi tak nie smakowała. Jak dobrze, że się spotkaliśmy.

– Nie, niedobrze. Uznaj, że to przywidzenie...

Na jego twarzy pojawił się grymas. Taki, jaki miewają rozpieszczone dzieci, kiedy im się zabierze zabawkę.

– Przecież dalej możemy się spotykać. Marzę o twoich ustach. – Przysunął się bliżej. – O twoich piersiach, o twojej...

– Dosyć! – syknęła. – To mi uwłacza.

– Jakżeś się ze mną pokładała pod klasztorem, to jęczałaś jak suka w rui. Skąd mam teraz wiedzieć, co ci uwłacza, a co nie? Z suką nie dojdiesz.

Wymierzyła mu siarczysty policzek. Kilka osób się za nimi obejrzało.

– Nigdy się do mnie nie zbliżaj! – warknęła. – Wychodzę za męża. Znajdź sobie bogatą dziewczynę. W swoim wieku najlepiej. Może nie będzie pod tobą jak byle suka jęczeć.

Odwróciła się i prawie biegiem ruszyła ulicą przed siebie. Czowała, że to jeszcze nie koniec.

Widywała go, jak się za nimi snuł po mieście. Raz stał po drugiej stronie ulicy, na której mieszkała. Widziała go z okna. Raz szedł za nią na dworzec.

Paweł zauważył, że jest ostatnio bardziej nerwowa.

– Tak się przejmujesz ślubem? – dopytywał. – Może ja też powinienem?

Zbywała go uśmiechami i pocałunkami, które zaczęli sobie dawkować już od jakiegoś czasu. Umówili się, że pierwszy raz będzie po ślubie. Jak Pan Bóg przykazał. Zresztą Julia nie czuła potrzeby bliskości, może przez swoje fatalne samopoczucie.

Zastanawiała się, czy nie byłoby lepiej, gdyby poszli do łóżka. Mogłaby wmówić mu, że dziecko jest jego. Ale nie potrafiła tak mu skłamać. Chciała mu powiedzieć prawdę, ale wtedy pojawił się Stecki... Czowała, że traci grunt pod nogami. Paweł nie zasługiwał, żeby go okłamywać czy ukrywać przed nim, że jej były kochanek jest w mieście. Ale wydawało się jej, że w ten sposób go chroni.

Białą suknię pożyczyła jej jedna z koleżanek szwaczek. Zresztą i tak musiała na nią narzucić płaszcz, bo przecież zaczynał się listopad. W kościele było niewiele osób, tylko ona z Pawłem, świadkowie i kilka starszych kobiet, zapewne stałych bywalczyń tego typu uroczystości kościelnych. Marynia nie przyszła, bo Staś się pochorował. Matki Pawła też nie było. Na świadków młodzi poprosili koleżankę Julii od sukni i kolegę Pawła z kolei.

Powiedzieli sobie „tak” i włożyli na palce obrączki. Zwykłe kawałki splecionego drutu. Postanowili, że kupią prawdziwe, srebrne, gdy już się dorobią.

– Możesz pocałować pannę młodą – powiedział kapłan i Paweł gorliwie wykonał zalecenie. Julia słyszała, jak któraś z kobiet prychnęła przy sło-

wach „panna młoda”. Że niby ona już raczej niemłoda.

Nie była wcale wzruszona. Ulżyło jej, że to już. Czeką ją teraz najtrudniejsze. Musiała powiedzieć Pawłowi, że pod sercem nosi dziecko.

Gdy objęci wychodzili z kościoła, drogę zastąpił im Stecki.

– Och, kogóż ja widzę – powiedział z przekąsem. Świeżo upieczona pani Szuba dałaby głowę, że jest pijany. – A cóż to, Julko, z synem do kościoła poszłaś? Cóż to za młody człowiek u twego boku? Czyżby mąż? A pełnoletni chociaż?

Paweł stęzał i zacisnął pięści. Przez chwilę myślała, że pobije Steckiego, tak jak tego batiara na dworcu.

– Daj nam spokój, Aleksandrze! – krzyknęła.

– Jak to, nie przedstawisz mnie mężowi? – pytał. – Sam więc to zrobię. Jestem pierwszym mężczyzną twojej żony. Mogę udzielić ci kilku rad, bo wiem, co najbardziej lubi nasza Julka...

Nie wierzyła, że to się dzieje naprawdę. Nie wierzyła.

Świadkowie szybko się pożegnali i poszli sobie zmieszani całą sytuacją.

Paweł mierzył Aleksandra wzrokiem. A potem się na niego rzucił. Powalił go na zaśnieżony chodnik i tłukł, gdzie popadło. Tamten, wyraźnie słabszy, nie dawał rady przeciwnikowi. Julia krzyczała, prosiła, żeby przestał. W końcu przestał.

Wstał, obciągnął świąteczne ubranie, wziął Julkę pod rękę i poszli do niego na Gródecką. Tam miało odbyć się przyjęcie, a potem współlokatorzy obiecali zanoćować poza domem, żeby państwo Szubowie mogli się sobą cieszyć w samotności.

Przyjęcie z oczywistych względów nie odbyło się. Goście sobie poszli, gdy przed kościołem pojawił się Stecki. Byli więc sami.

– Przepraszam, Pawełku, tak mi przykro – zaczęła Julia.

Nowo poślubiony długo nic nie mówił. Usiadł przy stole i nalał sobie wódki. Jak mówili tutaj – ćmagi. Wypił ze szklanki, potem zagryzł ogórkiem.

– Nie wyglądałaś na zdziwioną, gdy zastąpił nam drogę. – Popatrzył na nią poważnie. – Powiedz, wiedziałaś, że jest w mieście?

Pokiwała głową.

– Spałaś z nim?

Spojrzała na niego przerażona. Dlaczego ją podejrzewał?

– Nie, na Boga, Pawle! – zarzekała się. – Nigdy bym tak nie postąpiła.

Paweł pociągnął nosem. I wytarł kułakiem zakrwawioną skroń. Popatrzył na pobrudzoną rękę.

– Dziwiłem się, dlaczego ci do pieśzcot ze mną niespieszno. Ale może to dlatego, że kto inny cię pieścił, co?

– Nie, Pawełku, to nie dlatego...

Postanowiła powiedzieć to teraz. Już i tak był zagniewany. A niech tam, jak chce, niech to małżeństwo unieważnia.

– To dlatego, że źle się czuję. Będę miała dziecko.

Ostatnie zdanie zawisło między nimi w powietrzu jak siekiera.

Paweł długo siedział na tapczanie, wpatrując się w przestrzeń przed sobą. Pochylony do przodu jak do skoku.

– Czemuś wcześniej nie mówiła? – zapytał powoli, wcale na nią nie patrząc.

– Bo zorientowałam się dopiero po tym, jak się zaręczyli. To prawda, szczerą prawdą...

– A ja już nie wiem, kiedy ty prawdę mówisz, a kiedy łżesz! – uniósł się. – Kogo ja wziąłem za żonę? Kłamliwą wszetecznice?

– Nie, Paweł, nie! Proszę, wybac mi, że ci o ciąży nie powiedziałam...

– A czyje to dziecko, jeśli można wiedzieć?

– Steckiego. To się stało późnym latem. Nie wiedziałam... Nie zorientowałam się od przyjazdu tutaj. Tyle się działo... Praca, stacja, Lwów, ty... Przede wszystkim ty...

Paweł nabrał powietrza i wypuścił je.

– Okazało się, że jestem w ciąży, gdy już byliśmy po słowie, Pawle – dodała cicho. – To prawda. A potem zorientowałam się, że Stecki jest we Lwowie. Miał być w Wiedniu, miał na studia jechać do Wiednia.

Paweł długo, długo siedział w ciszy. Potem nalał sobie jeszcze wódki.

– Ja muszę pomyśleć, co mam z tym wszystkim zrobić – odezwał się, gdy za oknem zapadł wczesny zimowy zmierzch. – Muszę zostać sam, Julia. Jak już będę wiedział, co dalej począć, to do ciebie przyjdę. A teraz wyjdź. Nie chcę cię widzieć.

Posłusznie wyszła, zamykając cicho drzwi. Czowała, że teraz ważą się jej losy.

Wróciła na stację.

– A co Julka tu robi? – zapytała na jej widok zdziwiona gospodyni. – Przecież za mąż poszła...

Julia – już Szuba – uciekła od tłumaczeń do swojego pokoju. Usiadła na łóżku, nie zapalając światła. Tak było lepiej. Podeszła do okna, by je zasłonić. Na ulicy pod kamienicą stał Stecki.

Minęło kilka dni, podczas których sama przed sobą udawała, że wszystko jest w porządku. Ale nie było. Chodziła do pracy, wracała do domu i płakała. Zachciało jej się miasta, ludzi, zdarzeń, sensacji, to je właśnie miała. W ciągu zaledwie kilku miesięcy zaszła w nieplanowaną ciążę, wyszła za mąż, stała się obiektem chorobliwej zazdrości i została opuszczona.

A teraz zastanawiała się, co dalej.

Paweł nie przychodził. Kilka razy już miała iść do niego na dworzec, prosić, żeby dał choć znak, że ją jeszcze kocha. Ale potem trzeźwiała. Na cóż jej takie sensacje? Po co znowu narażać się na sceny przy ludziach?

A potem jeszcze i to...

Któregoś ranka przyszła jak zwykle do pracy. Miała ze sobą suknię ślubną, pożyczoną od koleżanki, upraną, uprasowaną.

– Chciałam ci ją oddać – powiedziała, podchodząc do szwaczki.

Tamta spojrzała na nią z ironią.

– A na cóż mi ona? – zapytała. – Co z nią zrobię? Nieszczęście ci przyniosła, to i innym przyniesie.

Koleżanki zainteresowały się zaraz, cóż to za nieszczęście. Tamta milczała, ale Julia była pewna, że na przerwie wszystkim opowie, jaka to awantura była po ślubie Julki...

Rzeczywiście, opowiedziała. Świadczyła o tym cisza, która zapadała w szwalni za każdym razem, gdy Julia do niej wchodziła. Żadna z nią nie rozmawiała, żadna nie patrzyła w oczy. Julia szyła, przełykając w ciszy łyż upokorzenia.

Tuż przed Bożym Narodzeniem pani Meyerowa wezwała ją do siebie.

– Muszę cię zwolnić, dziewczyno – powiedziała bez ogródek. – Złą wprowadzasz atmosferę w mojej szwalni. I chodzą słuchy, że się źle prowadzisz. A my przecież szyjemy dla duchowieństwa. Ja sobie nie mogę pozwolić na żadne pomówienia, bo stracę jeszcze część zamówień.

Julia zbladła. Co teraz ma zrobić? Z czego się utrzyma?

– Proszę panią, niech pani się zastanowi! To nieprawda, to złośliwe języki mnie obmawiają, piętnują, oszczerstwa rzucają! – błagała Meyerową ze łzami w oczach. – Z czego się teraz utrzymam? Za co czynsz zapłacę?

– Przecież masz męża, czyż nie? – Kierowniczka popatrzyła na nią z ironią. – Niech więc cię utrzymuje! Tu masz zapłatę za bieżący miesiąc i do widzenia!

Zabrała ze stołu kopertę i wróciła do hali. Szwaczki na pewno podsłuchiwały pod drzwiami, bo rzucały sobie porozumiewawcze spojrzenia znad roboty. Julia zabrała płaszcz i wyszła.

Lwów wystrojony w kołnierze ze śniegu wyglądał odświeżenie i bajkowo. Choinki, ubrane już na wystawach sklepów i gotowe na święta, połyskiwały wesoło błyszczącymi bańkami i włosami anielskimi.

Julia wiedziała, że pierwsze święta we Lwowie będą najgorszymi w jej życiu. Była sama, zupełnie sama. Meyerowa ją zwolniła za złe prowadzenie się, a że jest znajomą jej gospodyni, pewnie na dniach tamta się dowie i też

jej wymówi pokój. A wszystko dotrze do uszu Maryni i będzie straszny wstyd.

Co ona ma teraz zrobić? Boże, no co? Gdybyż choć Paweł przebaczył...

Weszła po schodach do mieszkania. Zmęczyła się, bo to trzecie piętro. Coraz częściej się teraz męczyła. Całe szczęście gospodyni nie było w domu. Co robić? Tamta wróci i zacznie się dopytywać, dlaczego już jest w domu, a Julia nie miała ochoty jej odpowiadać.

Postanowiła pójść do łaźni. Tam, w ciepłe, można było spędzić trochę czasu.

We Lwowie istniało kilka takich zakładów. W mieszkaniach, w których gnieździło się po kilkunastu lokatorów lub nawet po kilka rodzin, rzadko uświadczyc można było łaźnienkę, i to w dodatku z wanną. Dlatego sprawy kąpieli załatwiano się w łaźniach.

Julia najczęściej korzystała z zakładu na Zamarstynowskiej, bo był najtańszy. Teraz też postanowiła pojechać właśnie tam.

O tak wczesnej porze mieli jeszcze wiele wolnych kabin kąpielowych. Zapłaciła i dostała klucz do pomieszczenia. Rozebrała się i weszła do wanny pełnej gorącej wody. Zamknęła oczy. Tak bardzo czuła się zmęczona...

Brzuch już się jej zaokrąglał. Dziecko rosło. Gdy dotykała miejsca, w którym się znajdowało, ogarniał ją strach. Sprowadzi na świat maleństwo. Nikt na nie nie czeka, nikt o nim nie marzy. Dziecko powinno oznaczać szczęście... Obawiała się porodu w samotności i tego, co będzie później. Boże, dlaczego to się akurat jej przytrafiło? I to właśnie wtedy, gdy myślała, że wszystko się ułożyło, że spotkała miłość swojego życia. Nagle popsuka wszystko. Chyba rzeczywiście życie w klasztorze, w izolacji od świata, sprawiło, że się pogubiła. A może po prostu wdała się w ojca nieudacznika, który przegrał życie i zakończył je na haku? Nieważne, czy ktoś mu w tym pomógł, czy nie – zawisł, bo przegrał.

Nagle na mokrej posadzce zauważyła jakiś przedmiot. Co to było? Czyżby brzytwa? Pewnie któryś z poprzednich klientów ją tu zostawił. Nagle Julię poraziła straszna myśl – a może to znak? Może powinna ze sobą skończyć? Tak jak ojciec...

Może to jest recepta na wszystkie bolączki, na nieudane życie jej i tego maleństwa, które rosło pod jej sercem? Może to po prostu przerwać? Natychmiast?

Sięgnęła po brzytwę, rozłożyła ją. Była dobrze naostrzona. W wannie z ciepłą wodą przyjemnie byłoby umierać. Po prostu zaśnie.

Zanurzyła nadgarstek lewej ręki, zanurzyła brzytwę. Przyłożyła metal do skóry i nacisnęła. Cięcie nawet nie bolało. „I co, to już? Tak szybko poszło, prawie bez bólu? – zastanawiała się. Teraz trzeba tylko czekać, aż przyjdzie sen, a z nim śmierć. – Śpij, maleństwo, śpij... Mama jest zmęczona”.

Zafascynowana patrzyła, jak wstęgi ciemnoczerwonej krwi wypływają do przejrzystej wody, a potem barwią ją na różowo, w końcu na czerwono. „To było takie łatwe – myślała jeszcze, choć jej umysł mąciło znużenie. – I po kłopotcie, po kłopotcie...”

Nie słyszała już, jak kąpielowa dobija się do drzwi kabiny, wrzeszcząc, że czas minął i pora wychodzić. Nie widziała, jak ktoś z obsługi zakładu otwiera zamek zapasowym kluczem, jak klnie siarczyście na widok krwi i woła:

– Panie Semenko, znowu samobójstwo, niech no pan po karetkę dzwoni!

Nie widziała sanitariuszy, którzy wyciągają ją z wanny i kładą nagą na noszach, bandażują naprędce ranę, a lekarz przykłada dwa palce do jej szyi i mówi:

– Jeszcze żyje.

Nie widziała. Spała.

Obudziła się dwa dni później z myślą, że jednak się nie udało. Lewy nadgarstek boleśnie rwał. Czowała mdłości i ogromne pragnienie. I rozczarowanie, że to wcale nie koniec.

Rozejrzała się z trudem. Znajdowała się w ogromnej sali, na której stało kilkanaście żelaznych łóżek. Spróbowała się podnieść, ale zakręciło jej się w głowie. Prawą ręką dotknęła brzucha. Nadal był zaokrąglony. Dziecku nic się nie stało. Pomyślała, że to dobrze. I znowu zasnęła.

Kiedy ponownie się ocknęła, przy jej łóżku siedziała zatroskana Marynia.

– Julko, Julko, coś ty zrobiła? – zapytała dramatycznie, płacząc przy tym. – Jakżeś nisko musiała upaść, skoro się na własne życie targnęłaś... Czemu do mnie nie przysłaś? Przecież coś byśmy razem wymyśliły... – Przyłożyła batystową chusteczkę do kącika oka i otarła nową łzę. – Jak się dowiedziałam o twoim wstydzie od mojej przyjaciółki, to prawie zemdlałam. Jak mógł cię własny mąż oddalić? Co to za człowiek? Boże, Boże! Trzeba ci było w Jazłowcu siedzieć, siostró.

Od gadania Marii lepiej się Julce nie zrobiło. A ona najwyraźniej dopiero się rozkręcała.

– I czemu nie rzekłaś nic, żeś w ciąży? Coś byśmy razem poradziły. Przecież sądy są, złożyłoby się pozew o utrzymanie dziecka i by płacić musiał ten Szuba przeklęty...

– I tak bym płacił, bez sądu – usłyszała nagle.

Julia otworzyła oczy. Za Marynią stał Paweł. Jak tylko popatrzyła w jego oczy, wiedziała, że jej przebaczył.

Siostra pożegnała się szybko i poszła. Paweł usiadł koło Julii, wziął jej rękę i przycisnął mocno do ust.

– Przepraszam cię, kwiatku, za wszystko – wyszeptał. – Ty jesteś mądra, ja głupi. Kiedy tylko pomyślę, jak musiałaś się czuć, ile bać przeze mnie, to mam ochotę obić się po tej głupiej mordzie. Przepraszam, że pozwoliłem ci myśleć, żeś sama została. To przez zazdrość o tamtego. Ale jak ja mogłem pomyśleć, że mnie okłamujesz? I tak cię obrazić? Wybacz mi.

Wybaczyła od razu. Spełniło się jej marzenie, wrócił do niej. Chciał ją z jej kłamstwem i nieślubnym dzieckiem pod sercem. Wrócił jej życie i nadzieję.

– Bałam się zostać sama – szepnęła, a z jej oczu poleciały łzy. – Bez ciebie. Paweł, ty jesteś moim życiem.

– A ty moim – potwierdził.

Wszystko więc było między nimi jasne.

W szpitalu traktowano ją jak zło konieczne. Pielęgniarki dość miały takich, co im się sami pod ręce pchali.

– Pan ordynator nie uważa takich, co swojego życia nie szanują – usłyszała, gdy jej zmieniano opatrunek na nadgarstku.

Ona sama też nie umiała sobie przebaczyć. Jak mogło jej przyjść do głowy tak okrutne rozwiązanie?

Wypisali ją dzień przed Wigilią. Paweł mieszkania kolejowego nie dostał. Na gwałt szukając, znalazł jedynie miejsce kątem. Bardzo nad tym ubolewał. Bo jak w takich warunkach spędzać mieli święta?

– Zawsze to jakiś dach nad głową – uspokajała go żona. – Ja i tak nie mam dokąd pójść. Myślisz, że wzgardzę?

Lecz kiedy stanęli z Pawłem przed kamienicą, w której mieli tymczasowo zamieszkać, ogarnęło ją z wątpienie. Budynek wyglądał podle, był zniszczony i brudny. W sieni zalatywało moczem. Brudne schody trzeszczały groźnie, gdy po nich pieli się na górę. Przez wybite szyby na korytarzu do budynku wkradał się mróz.

Mieszkanie należało do Żyda. Było bardzo tanie, ale na tym jego zalety się kończyły. Składało się z trzech dużych i wysokich pokoi. Toaleta znajdowała się na korytarzu. Każdy róg pokoju był osłonięty kotarą rozpiętą na sznurku. Dzieliły one pomieszczenie na cztery strefy. Jeden kąt należał do jednego wynajmującego. Najdroższe były kąty z oknami i piecami kafłowymi. Im akurat trafił się ślepy i bez ogrzewania.

– Może to i lepiej. Od okna nie będzie ciągnąć, a do pieca nie trzeba dokładać – pocieszał Paweł.

Julia usiadła na łóżku i zamknęła oczy. W pomieszczeniu panował rozgardiasz. Jakiś kobiecy głos miał pretensje do męża, że znowu przepił pół wypłaty, płakało małe dziecko, ktoś kaszlał...

– To tylko tymczasowo. – Paweł starał się robić dobrą minę do złej gry.

– Jest dobrze, Pawełku. – Uśmiechnęła się do niego. – Inaczej dokąd byśmy poszli?

We wspólnej kuchni zrobili sobie herbatę. Ale wypili ją niechętnie, bo w pomieszczeniu panował obrzydliwy brud. Postanowili, że w miarę możliwości stołować się będą na mieście.

W nocy po raz pierwszy położyli się do wspólnego łóżka. Zasłonili kotarę, zgasili lampę. Przytuleni nasłuchiwali odgłosów dochodzących z pomieszczenia. Ktoś już chrapał. Matka z kąta naprzeciwko nuciła swojemu maleństwu kołysankę do snu. Julia pomyślała, że to straszne żyć w takich warunkach. A potem, że ona właśnie dzieli los tych wszystkich biedaków i życiowych nieudaczników. Nagle usłyszeli czyjś przyspieszony oddech i odgłos sprężyn skrzypiących w materacu.

– No, dajże mi, Stefa – jęczał męski głos. – Już wytrzymać nie mogę... Zadziraj te koszuliny, już...

– Kiedy mi się zdaje, że dziś mogę zaciążyć... – broniła się słabo kobieta, widać, że jej silnej woli brakowało.

– Oj, bo zwariuję, Stefa... To weź go chociaż do buzi – prosił ostatkiem sił.

– Wiesz, że nie lubię.

– Ale ja lubię... Proszę...

Nie wiadomo, jak to się ostatecznie rozegrało, ale po serii bardzo intensywnych skrzypnięć materac wreszcie przestał wydawać odgłosy. A później i z tamtego kąta rozległo się pochrapywanie.

Julia podsłuchiwała z wypiekami na twarzy. Wstyd walczył w niej z ciekawością.

Paweł przytulił się.

– Słyszałeś? – zapytała najciszej jak potrafiła.

Zdawała sobie sprawę, że są podsłuchiwani w takim samym stopniu, w jakim sami podsłuchują.

Paweł przysunął się jeszcze bliżej.

– Tak. Chcę tak samo...

Julia zachichotała, bo ją to bardzo rozśmieszyło. Ale i podnieciło. Pocałowała go w usta, długo i namiętnie. Były gorące, a jego język parzył. Na-

parł na nią z boku, poczuła, że bardzo jej chce. Pozwoliła jego dłoniom poznać swoje ciało. Dotykał jej chciwie i ze znanstwem. Pieścił te miejsca, które na pieszczoty były szczególnie podatne. Julia czuła, że w porównaniu z jej poprzednim kochankiem był dużo bardziej doświadczony. Nie była zazdrosna o te poprzednie kobiety. Chociaż zazdrościła im. Jego.

Gdy dotknął jej brzucha, jego dłoń zatrzymała się. Delikatnie pogłaskał naprężoną już w tym miejscu skórę. Czuła, jak ciepło bijące od jego ręki przenika do jej wnętrza. Pocałowała jego drugą dłoń, dziękując za czułość, którą okazał temu dziecku. Zrozumiała, że je akceptuje.

Potem położył się nad nią.

– Wygodnie ci? – chciał wiedzieć.

Potwierdziła.

– Mogę?

– Tak.

– Jeśli będzie bolało, powiedz.

– Dobrze.

– Wiesz, nie chciałbym zrobić krzywdy dziecku.

– Nie zrobisz.

– Bo jeśli wolisz, możemy zrobić to tak jak tamci...

Nie odpowiedziała, też czuła podniecenie. Ujęła jego penis w drżącą z podniecenia dłoń i włożyła w siebie. Jęknęła mimowolnie. On też jęknął. Zaczął się w niej poruszać ostrożnie, lecz stanowczo. Doszła chwilę przed nim. Uczucie rozkoszy, które nią wstrząsnęło, było nie do porównania z niczym, co przeżyła wcześniej.

– Jeśli tak będzie każdej nocy, umrę z rozkoszy – szepnęła mu na ucho, gdy zdyszany położył się obok.

– Chciałbym na ciebie patrzeć – powiedział jeszcze, zanim zasnął. – Kocham cię.

– Ja też cię kocham – odparła, ale on tego już nie usłyszał.

Mieszkanie kątem było uciążliwe, ale miało i swoje dobre strony. W święta wszyscy lokatorzy – oczywiście katolicy, bo w lokalu pomieszkiwali również Żydzi i grekokatolicy – chcieli być bliżej siebie. Odsłonięto więc kotary, ktoś na środku postawił choinkę. Ktoś poczęstował bigosem, ktoś inny gorzałką. A potem zaczęło się śpiewanie kolęd aż do późnego wieczora. Julia stwierdziła w duchu, że to pierwsze Boże Narodzenie, które spędza u boku męża, będzie pamiętać do końca swoich dni. Czuła się dobrze wśród zupełnie obcych sobie ludzi. I nareszcie przestała się bać.

Ciąża zaczynała być coraz bardziej widoczna. Dziecko ruszało się i próbowało mocno kopać. Uspokajało się, gdy chodziła albo gdy Paweł kładł dłoń na brzuchu.

Gdy Szuba ruszał do pracy, ona zostawała w pokoju z innymi kobietami. Rozmawiały godzinami w kuchni, próbując w tych ciężkich warunkach ugotować obiad, lub siadały przy jedynym w pokoju oknie i zajmowały ręce szyciem. Julia szyła maleńkie kaftaniki, czapeczki, koszulinki. Poszerzała także swoje ubrania, aby mieścić się w cokolwiek. Resztę cerowała, łątała lub zszywała dziury w zużytych do granic rzeczach.

Kobiety kurzyły też papierosy i nauczyły tego Julię.

Opowiadały sobie swoje historie, może nie do końca prawdziwe, a bardziej takie, jakie chciałyby, żeby one były. Przeważnie pochodziły ze wsi, z rodzin, w których dla nich nie starczyło już gruntu do podziału. Wszystkie były mocno zbudowane, miały szerokie biodra przystosowane do rodzenia dzieci i wielkie piersi, którymi z pewnością je wykarmią. Wielkie miasto trochę je przerażało, dlatego mieszkanie na kupie bardzo im odpowiadało. Po zakupy też wychodziły wspólnie, na targu miały niezłą rozrywkę, obserwując miastowych ludzi i obgadując ich z ochotą. Julia po latach dobrze wspominała ten czas bycia we wspólnocie z kobietami w podobnym położeniu.

Jej współlokatorki zachwycone były także istnieniem ochronek, do których można było dzieci oddawać na cały dzień. Na wsi miałyby je cały czas na głowie.

Julia najbardziej zaprzyjaźniła się ze Staszka. Tamta miała pięcioletnią córeczkę Adelkę, bardzo bladą i malutką jak na swój wiek. Syn podobno został na wsi, brat męża obiecał, że się nim zajmie, dopóki się nie dorobią i nie wezmą go do siebie.

Pewnego razu Staszka przyprowadziła małą Adelkę z ochronki z gorączką. Dziecko skarżyło się na okropny ból gardła i kolan. Julia od razu stwierdziła, że to pewnie szkarlatyna. Napatrzyła się na podobne objawy w internecie u niepokalanek.

Adelka powiedziała matce, że w przedszkolussała cukierka na spólkę z koleżanką.

– Raz ona, raz ja, mamusiu. Przecież miałyśmy tylko jednego...

Julia napomknęła raz i drugi, że Staszka powinna wezwać doktora, bo szkarlatyna od ziółek nie przejdzie.

– Tu potrzebne jest lekarstwo, uwierz mi.

Ale Staszka uparła się, że zawsze, gdy korzystała z pomocy lekarza, potem było gorzej.

– Zbiję jej gorączkę okładami i lipą – stwierdziła.

Mijały dni, a małej wcale się nie poprawiało. Temperatura rosła, dziecko majaczyło i krzyczało. Którejś nocy Julia z niepokojem nasłuchiwała ze swego kąta nasilających się jęków małej. Nad ranem lokatorów wspólnego pokoju obudził płacz Staszki.

– Ona się nie rusza! Boże, nie rusza się...

Julia znalazła się przy łóżku Adelki tak szybko, jak na to jej pozwalająca zaawansowana ciąża. Pochyliła się nad małą. Leżała na wznak z szeroko otwartymi oczami i wpatrywała się w przestrzeń. Miała otwarte usta. Julia pochyliła się, dotknęła małej. Była rozpalona.

– Na szczęście oddycha – powiedziała. – Ale trzeba iść jak najszybciej po lekarza.

Staszka już się nie broniła. Jej mąż był na nocnej zmianie, więc doktora przyprowadził Paweł.

Lekarz zbadał małej Adeli puls, zmierzył temperaturę. Potem zrobił zastrzyk.

– Dziecko jest w bardzo złym stanie. Istnieje niebezpieczeństwo, że nie przeżyje nocy. Najlepiej zabrać je do szpitala.

Staszka podniosła lament, krzyczała, że nigdy dziecka konowałam nie odda. Lekarz rozłożył więc ręce i poszedł.

Adelka słabła, stała się tak blada, że aż przezroczysta. Zupełnie już nie odzyskiwała przytomności. Co rusz wstrząsały nią drgawki. Staszka modliła się, płakała, zmieniała okłady na rozpalonej główce. Mała jęczała.

Julia patrzyła na to z ciężkim sercem. Nie umiała pomóc matce ani córce, dobrze wiedziała, że było już na to za późno.

Nad ranem zrobiło się cicho. Staszka spała przytulona do córki. „Może jednak kryzys minął?” – zastanawiała się Julia. Przytuliła się do Pawła i zasnęła.

Obudził ich krzyk. Zerwali się na równe nogi.

Z nocnej zmiany wrócił do domu mąż Staszki. Zastał w łóżku żonę przytuloną do nieżyjącego dziecka.

– Ona śpi, Ignac, popatrz tylko... – szlochała Stasia, choć przecież dobrze wiedziała, że to nieprawda.

Tuliła do siebie ciało Adelki i nie pozwalała, żeby mąż ją zabrał.

Szubom serce się krajało na ten widok.

– To wszystko twoja wina! – krzyknęła Staszka do Julki, gdy ich spojrzenia się spotkały.

Kłęczała na posłaniu, przyciskając do siebie bezwładne ciało małej.

– O co ci chodzi? – zapytała słabo Julia, bezwiednie łapiąc się za brzuch.

– Tyś mi kazała doktora wezwać! Gdyby nie dał jej zastrzyku, może by wyżyła! – krzyczała, a z każdego jej słowa wyzierała rozpacz. – Mówiłam, że od lekarza nic dobrego nie wyjdzie, mówiłam?

– Tyś go za późno wezwała, dlatego tak się stało – odparła Julia. – Gdyby zbadano ją wcześniej, już byłaby zdrowa...

Ale tamta nie słuchała. Wyła jak zbity pies, aż w drzwiach pokoju pojawili się lokatorzy z całego mieszkania, patrząc ciekawie, co się stało. Widząc matkę z martwym dzieckiem, robili znak krzyża i znikali w ciemnym przedpokoju.

Mąż uspokajał Staszkę, przepraszał Julkę. Sam był w rozpacz. Julka rozumiała. Zawsze o nieszczęście łatwiej obwinić kogoś, niż mieć pretensje do siebie.

W końcu Staszka pozwoliła sobie odebrać dziecko. Kobiety z pokoju przyniosły miednicę, rozebrały małą i zaczęły myć jej umęczone ciało. Potem ubrały ją w płócienną sukieneczkę z falbanką. Julia przyniosła z kościoła gromnicę, zapaliła ją obok łóżka. Zaczęły odmawiać różaniec. Staszka siedziała przy łóżku i kiwała się, patrząc z niemą rozpaczą. Julii było jej bardzo żal. Bardzo.

Dziecko leżało w domu aż do pogrzebu. Paweł z innymi mężczyznami przynieśli trumienkę, taką małą i wąską, że na płacz się zbierało już od samego patrzenia na nią. Złożyli w nie ciało dziecka, zanieśli do kościoła.

Marcowe słońce świeciło blado, gdy skromny pogrzeb ruszył z kościoła. Trumienka była tak mała, że mieściła się w pożyczonym dziecięcym wózku, który popychał ojciec dziewczynki. Julia nigdy nie zapomniała tego widoku. Zrozpaczony mężczyzna prowadzi na ostatni spacer swoją córeczkę... Ludzie na ulicy przystawali, ścigali czapki i odprowadzali ich smutnym wzrokiem.

Smutno było potem w mieszkaniu. Staszce lano wódkę, żeby już nie płakała i zapomniała o bólu. Położyła się spać w ubraniu, na poduszkach, które jeszcze pachniały Adelką, jej malutką córeczką.

Na początku kwietnia brzuch Julii bardzo się obniżył i współlokatorki stwierdziły, że rozwiązanie nastąpi lada dzień. Julia, choć niechętnie wracała myślami do zeszłego lata, obliczyła, że to możliwe. Zresztą co rusz łapały ją silne skurcze.

Paweł bardzo był niezadowolony, że do rozwiązania musi dojść tutaj, w ich kącie. Stawał na głowie, by otrzymać przydział na samodzielne

mieszkanie, pokój chociażby, ale na razie nic dla nich nie mieli.

– Pawle, pamiętasz, jak było? Kilka miesięcy temu w ogóle nie miałam dachu nad głową. Z rozpaczy życie sobie... – urwała. – A teraz nie jest idealnie, ale też nie tak źle. Lepiej rodzić mi będzie tutaj, wśród życzliwych ludzi, niż w szpitalu wśród obcych.

W drugim tygodniu kwietnia Julia prawie nie wstawała. Sąsiadki na wypadek porodu przygotowały wszystkie prześcieradła kupione po tanioci u handelesa, wyprane i wykrochmalone. Przekonały ją, że lepiej będzie, jak podetnie swoje długie włosy, bo łatwiej będzie o nie dbać w położu. W ogóle troszczyły się o nią tak, że aż dziw brał.

Zamiast kołyski Szubowie kupili wiklinowy kosz na warzywa, podłużny, z rączkami do trzymania. Julia wyścieliła go miękkim materacykiem i uszyła specjalną pościel.

– Królewskie łóżeczko – cieszył się Paweł.

Żyd, który był właścicielem pięttra, przyniósł Szubom parawan, który miał zapewnić dodatkową intymność. Czekali.

Zaczęło się w nocy. Julia obudziła się w kałuży wód płodowych na materacu.

– Pawle, to chyba już. – Obudziła męża.

Wstał, a kiedy zorientował się, o co jej chodzi i co się dzieje, dostał ataku paniki.

– Julia, ja się muszę na chwilę położyć, bo mi słabo – powiedział, wracając do łóżka.

Oddychał ciężko, a serce waliło mu jak młotem. Julię ta sytuacja rozśmieszyła. Poród to jednak nie rzecz męska... Batiarów Paweł się nie bał, bił się o nią ze Steckim, a trochę wód płodowych wprawiło go w panikę... Julia leżała na mokrym materacu i płakała ze śmiechu, a jej wielki brzuch trząsał się i podskakiwał. Nie czuła żadnych skurczów, nic ją nie bolało.

– Co się dzieje? – zapytał ktoś wyrwany ze snu.

– Szuby sobie śmichy-chichy urządzają – fuknął ktoś inny.

– A nie mogą w dzień? Muszą po nocy, jak człowiek chce odpocząć?

Paweł doszedł do siebie, wstał, ubrał się.

– Zostawię zapaloną lampę, dobrze?

– Dobrze... Oj, oj... Zaczęło boleć. – Popatrzyła mężowi w oczy ze strachem.

Takiego bólu się nie spodziewała. Jak ona to wytrzyma?

I zaraz dla wszystkich lokatorów mieszkania stało się jasne, że tej nocy sobie nie pośpią, bo Julia za następnym skurczem krzyknęła rozdzierająco.

Mężczyźni zabrali się i wyszli do przedpokoju. Paweł pobiegł po akuszerkę, która mieszkała dwie ulice dalej. Wszystkie kobiety wstały i przyszyły do rodzącej. Zmieniły pościel, żeby nie leżała w mokrej, podały jej wodę.

Julia czuła ból w całym podbrzuszu i w kroku. Sąsiadki doradziły jej, żeby wstała i chodziła dookoła łóżka. Tak zrobiła, co chwilę zatrzymując się i zginając z bólu.

Gdy przyszła położna, kazała jej na chwilę wrócić do łóżka i zbadała postępy porodu.

– Dobrze jest, dzisiaj urodzisz, nie martw się – pocieszyła i kazała chodzić dalej.

Mijały długie godziny. Paweł co chwilę zaglądał do niej zaniepokojony. Akuszerka przeganiała go szmatą, krzyżąc, że to nie miejsce dla chłopów. W końcu o świcie Julia nie mogła już zrobić kroku. Coś jej przeszkadzało, jakiś klin między nogami.

– Kładź się, dziewczyno, i przyj! – zdecydowała położna.

Ale Julia czuła taki straszny ból, że nie była w stanie już wejść na łóżko. Położna poprosiła kobiety, żeby ją podtrzymały, schyliła się, zadarła jej koszulę do góry i w krocze włożyła dwa palce. Julia krzyknęła.

– Nie wrzeszcz, nie wrzeszcz... – uciszyła ją kobieta. – Główka już jest w kroku, trzeba przeć, bo udusisz dziecko.

Julię zdjął blady strach. Teraz, po tym wszystkim, co przeszli z Pawłem... Co przeszła ta mała istotka, po tym, co sama jej zafundowała, miałyby ją stracić? O nie...

– Dobra, w kucki urodzisz, jak na wsi – zdecydowała akuszerka, widząc, że Julia wpada w panikę. – Trzymajcie ją – poleciała kobietom.

Te posłusznie złapały Julię pod ramiona. Ona sama spróbowała ukucnąć.

– Przyj! – nakazała położna.

Rozdarł ją straszliwy ból. Sparaliżował ją.

– Przyj, mówię, bo dziecko udusisz! Boli, bo ma boleć, ty od tego ducha nie wyzioniesz, a dziecko i owszem! Przyj!

Przyszedł kolejny bolesny skurcz. Julia zapała się i myśląc, że wbrew temu, co mówi akuszerka, zaraz umrze, napięła się, wydając z siebie straszliwy wrzask.

Kobieta złapała główkę, która pokazała się między nogami Julii.

– Jeszcze raz i będzie szlus! – komenderowała.

Julia myślała, że nie da rady, była tego pewna. Ale wielkim wysiłkiem woli napięła się raz jeszcze i zaczęła przec, ściskając dłonie w pięści. Poczowała, jak coś ciepłego wyslizguje się z niej. Poczowała ulgę, choć ból nie minął. Może trochę zelżał. I zapach krwi, i czegoś jeszcze, czegoś lepkiego.

Usłyszała płacz.

– Jest całe i zdrowe – stwierdziła akuszerka. – Córkę masz. Połóż się, pępowinę trzeba odciąć. – Zrobiła to jednym wprawnym ruchem. – A teraz ją umyję.

Dokonawszy niezbędnych czynności, owinęła dziecko w powijaczki i podała Julii. Sama wzięła się do oglądania łożyska.

– Całe wyszło – orzekła zadowolona z wyników oględzin.

Julia wciąż czuła ból między nogami. Nie miała sił. Sąsiadki obstały ją i zachwycaly się dzieckiem. Ona patrzyła na nie z niedowierzaniem. „To naprawdę moja córka?” – pytała siebie raz po raz. Spróbowała przystawić ją do piersi. Mała przyssała się łapczywie, sprawiając matce ból. Wreszcie akuszerka pozwoliła wejść Pawłowi. Popatrzył na żonę leżącą z maleństwem na łóżku, zmęczoną, ale piękną.

– Pokaż mi ją – poprosił, całując Julię w czoło.

Odsłoniła płócienko powijaka. Paweł dotknął pucułowatego policzka dziecka. W odpowiedzi otworzyło usta, próbując ssać.

– Znowu głodna? – zapytała miękko Julia i ponownie ją przystawiła.

– Śliczna jest – stwierdził Paweł. – Moja córka. Nasza córka.

Żona popatrzyła na niego uważnie. Więc ją przyjął jak swoją. Kochany, dobry Paweł. Jak dobrze, że go spotkała. On jej życie uratował i będzie mu to pamiętała do końca.

Kiedy już nacieszyli się we dwoje maleństwem, zaczęły się schodzić kobiety. Chwałyły, pieściły, nosiły małą. Któraś do koszyka-kołyski przywiązała czerwoną tasiemkę, żeby chroniła przed urokami.

– A jak jej na imię dacie? – dopytywały się.

Właściwie Julia jeszcze nie wiedziała. Zastanawiała się, czy może dać jej po matce Paulina, po ciotce Jadwiga, a może po Eudoksji? Paweł mówił, że ma wolną rękę, każde imię piękne. On wybierze, gdy następny urodzi się syn.

– Nie wiem, jeszcze się muszę zastanowić...

Dziecko akurat trzymała w ramionach Staszka. Patrzyła na nie z czułością i tęsknotą, wspominając swoje porody i połogi, swoje pierwsze dzieci na rękach, bujanie...

– Daj jej, Julko, na imię Adelka – poprosiła cicho. – Po mojej małej...

Julia zawahała się. Imię po zmarłej? Ale potem pomyślała, że przecież to nic niezwykłego. Nazywa się dzieci po nieżyjących krewnych.

– Ładnie – przyznała. – Niech będzie Adelka. Ada, Adunia...

I na tym stanęło.

Miała więc mała Ada kilka piastunek. Wciąż noszona, wciąż zagadywana, rosła spokojnie.

Staszka znajdowała ukojenie, pieszcząc ją i tuląc. Szybciej doszła do siebie. Julia i Paweł poprosili ją i jej męża na chrzestnych rodziców. Chrzcili dziecko u Świętej Anny, tam, gdzie brali ślub. W prezencie od współlokatorów dostali wózek dla dziecka, kupiony okazji na Krakidałach. Julia

mogła teraz spacerować z małą i zawierać nowe znajomości w ogrodzie Jezuitów, który matki i piastunki z dziećmi wzięły w posiadanie.

Była w tamtym okresie bardzo szczęśliwa, a po dawnych demonach nie zostało ani śladu.

Dosiu jedyna – pisała do przyjaciółki – dobre mam życie tu, we Lwowie. Nie pożarł mnie ten lew spod ratusza, jeśli wiesz, co mam na myśli. A jeśli nie wiesz, to Ci kiedy wytłumaczę, jak się spotkamy.

Wiem, żeś dostała zawiadomienie o moim i Pawła ślubie, bom potem od Ciebie życzenia najserdeczniejsze otrzymała. Gdybyś ty wiedziała, co ja czułam i przeżywałam, gdy je ze skrzynki wyciągała, jeszcze na starej stacji, u przyjaciółki Maryni!

Ślubne wspomnienia mam okropne, wcale nie był to dla mnie dzień radosny, bardzo w tym dużo mojej winy. Mroczne dni nastąpiły później, mroczne i straszne. Rozpacz moja niemal do zguby przywiodła mnie i moją Adelkę, co ją wtedy pod sercem nosiłam.

Pytałaś się w liście ostatnim, czy córka nasza przedwcześnie urodzona... Myślę, Dosiu, że Ty jedna jesteś w stanie tajemnicy się mojej domyślić. Zwierzałam Ci się jeszcze w Jazłowcu, jak pięknie trawy latem wonieją nad Olchowcem... Otóż ja... Adelkę w tych trawach znalazłam, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć. Nikt poza tobą i Pawłem o tym nie wie. Zachowaj dla siebie tajemnicę, cenniejszą dla mnie niż złoto i diamenty.

Musisz do mnie w gościnę przyjechać, jak tylko się z Pawłem na swoje przeniesiemy. Tutaj, w tym naszym „kątem” mieszkaniu, nie miałabym Cię nawet jak przyjąć. Mili są ludzie, obok których przyszło nam bytować, i miło tak w kupie siedzieć. Jak masz zmartwienie, to się nim dzielisz i zaraz ci lżej, jak ci chleba zabraknie, zaraz ci ktoś swojego przyniesie i już głodna nie jesteś. W dobrym czasie wypadło nam tu mieszkać, chyba wtedy potrzebowałam z ludźmi przebywać, rozmawiać i czuć, że jestem częścią jakiejś większej całości, a nie wyrzutkiem, co się przemyka szerokimi ulicami w cieniu kamienic na chodnik rzucanym...

Ech, ilekroć pomyślę, jaki mrok duszę mą przenikał przed Bożym Narodzeniem, jak się bałam, jak wstydziłam i jak żyć nie chciałam tu, w tym Mieście Lwa, ani w żadnym innym miejscu na ziemi, to aż mnie ciarki przenikają. Uwierz mi, Eudoksjo najmiłsza i najbliższa przyjaciółko, trzeba dna sięgnąć, dosłownie, żeby się odbić i znowu życie pokochać. Ja na dnię już byłam i wracać tam więcej nie zamierzam. A teraz do góry się wspinam, do światła.

Paweł to dobry, dobry człowiek i taki kochany! Nic nie znaczy dla niego, żem starsza. O inne moje wady też się nie gniewa. Wybaczył mi wszystko, wszyściutko, co do wybaczenia było. Tym sobie w moim sercu wielki kredyt zaufania otworzył. Na wieczność, dopóki razem będziemy.

Kocha Paweł tę naszą Adelę, że aż się dziwię. Wydaje mi się, że ja w sobie takich pokładów czułości nie znajduję dla tego dziecka, jak on. Wystarczy, że mrugnie oczkiem, a on mi mówi, że takie ma mądre spojrzenie. Jak tylko zakaszle, on cały w strachu, że chora. Tę jego obawę jestem akurat w stanie zrozumieć, bo mieliśmy tu w naszym mieszkaniu w marcu straszną tragedię... Staszka (Adelki chrzestna matka) straciła córeczkę. Straszliwym był przeżyciem jej pogrzeb, straszliwe było cierpienie rodziców... Nikomu podobnej żałoby nie życzę.

A ja... Cóż, znasz mnie, w klasztornej surowości zwykłam dzieci wychowywać. Przytulam małą, gdy płacze, ale nie noszę nadaremnie, nie zagaduję, bo mi się to zbędnym wydaje. Ale przecież kocham to moje dziecko! Czy może za mało? Czasem się tego boję. I myślę, że Pawełek tak właśnie myśli.

Z jeszcze jednego powodu chciałabym się wreszcie przenieść na swoje. Tobie to wyznam, bośmy nigdy przed sobą tajemnic nie miały. Tu, za kotarą oddzielającą kąty, prywatności nie ma za grosz. Wszystko słyszać i jak Ci piszę WSZYSTKO, to właśnie to mam na myśli. A my z Pawłem czekaliśmy, żeby się sobą cieszyć, aż do nocy poślubnej... I jak na razie zazналиśmy tylko miłości pośpiesznej, przy zgaszonym świetle praktykowanej. Mam już tego dość. Szczególnie teraz, gdy już się dobrze czuję po trudach porodu. Chciałabym mężowi dać rozkosz prawdziwą, a jak tak przy innych? Męczy nas to strasznie.

Lwów cudny. Miasto gwarne, wiele tu pięknych gmachów, a kościoły jakie! Nie wiem, czy Ci pisałam, że byliśmy za narzeczeńskich czasów w kinie? Jak przyjedziesz, to Cię zabiorę. Tylko do jakiegoś porządnego, bo w tym, w którym byliśmy z Pawełkiem, batiarnia zabawiała się... obsikiwaniem publiczności z balkonu. Pomijając to nieprzyjemne zdarzenie, całkiem mi się w kinie podobało. Film był zabawny, dział się na Dzikim Zachodzie, w Ameryce. Ale nie będę Ci streszczać zdarzeń, bo sama do końca ich chyba nie pojęłam. Lecz wrażenie ruchomych obrazów wspaniałe. Jak przyjedziesz, to pójdziemy razem. Tego w Jazłowcu nie macie.

Twoja Julia Szuba (już nie Podhorecka)

Pod koniec maja Paweł wrócił do domu rozradowany.

– Mam dla was dobre wieści – zwrócił się do Julii i Adeli, choć może kolejność była odwrotna. – Załatwiłem mieszkanie!

Julii serce podskoczyło z radości.

– Gdzie? Jak? No mówże, nie trzymaj w niepewności – zażądała podeksytowana.

– Pod Lwowem, za Wysokim Zamkiem, przy sztrece – odparł. – Dwie izby. Samodzielne – zaznaczył dobitnie.

Julia poczuła rozczarowanie. Liczyła, że zostaną na Gródeckiej, że ich w domkach kolejowych zakwaterują i będą mogli się często widywać ze Staszka i całą resztą znajomych...

– Za miastem? – powtórzyła. – Na wsi? Nie chcę na wieś, ze wsi uciekłam...

Paweł westchnął.

– To nie żadna wieś właściwie, Julio. Podmiejski teren. Ładnie tam, zielono. Jak chcesz, pojedziemy zobaczyć.

Chciała. Pojechali tramwajem, prawie do końca trasy. Wysiedli na Żółkiewskiej. Julia nigdy nie była w tej okolicy. Niższa niż w centrum zabudowa, fabryki i warsztaty... I tory, szerokie, rozdzielające się na osiem bocznic w jednym miejscu.

Szli piaszczystą drogą, a wózek pchany przez Pawła podskakiwał na wer-
tepach. Wreszcie dotarli do ulicy biegnącej wzdłuż nasypu kolejowego.
Miała zabudowaną tylko jedną stronę.

– Słoneczna – przeczytała na tabliczce. – Tu już kończy się Lwów i za-
czyna Zniesienie, tak?

Rozglądała się dookoła. Paweł miał rację, było tu zielono. Na nasypie
rósł wielki, powykręcany ze starości krzak dzikiej róży, w tej chwili obsy-
pany bladoróżowym kwieciem. A nad sztreką rysowały się zielone wzgó-
rza. Spodobało się jej.

– Prawie jakbyśmy byli w górach. – Uśmiechnęła się. – I Wysoki Zamek
stąd jest na wyciągnięcie ręki... Dobrze, Pawełku, tu mogę mieszkać!

Poszli jeszcze zobaczyć dom numer dwanaście, w którym mieściło się
mieszkanie przydzielone Szubom. Do środka nie wchodzili, bo i tak nie
mieli klucza. Kamienica jak kamienica, niewysoka, bez ozdób, bez balko-
nów.

Wracali już do Żółkiewskiej, kiedy po nasypie przejechał pociąg. Adela
zbudziła się w wózku i przestraszona zaczęła płakać. Paweł się zmartwił, że
jej te pociągi będą w drzemkach przeszkadzać.

– Będzie się musiała przyzwyczaić – stwierdziła Julia.

Przeprowadzili się w czerwcu. Wielu rzeczy nie posiadali, więc przenosiny
poszły szybko. Poprzedni właściciele zostawili w mieszkaniu kilka sprzę-
tów: łóżko, kredens kuchenny, szafę. Na początek im wystarczyło.

Paweł musiał zmienić pracę. Nie chodził już na Główny, ale na Podzam-
cze, które znajdowało się dużo bliżej. Trochę mu brakowało gwaru i zamie-
szania, które na Głównym były codziennością, ale przyzwyczał się.

I wszystko byłoby dobrze – bo przecież tak się jakoś wszystko świetnie
układało – gdyby nie to, że w ich życiu znowu pojawił się Stecki.

Julia natknęła się na niego przypadkiem, gdy przemierzała Żółkiewską,
poznając okolicę. Musiała się rozejrzeć, gdzie sklep, gdzie poradnia zdro-
wia dla dzieci, gdzie kościół. Postanowiła tego dnia pójść na Podzamcze po

Pawła. Przejdą się spacerem do domu, Adelka sobie pości na świeżym powietrzu... Nagle tamten wyrósł przed nią na chodniku jak spod ziemi. Zatrzymała wózek.

– Witaj, Julko – przywitał się.

Nie odezwała się.

On zajrzał do wózka.

– Fiu, fiu, twoje? – zapytał. – Czy zostałam piastunką?

– Moje... Odejdź, Aleksandrze. Zostaw nas w spokoju.

Uśmiechnął się.

– Widzisz, kiedy los uparcie płacze nasze drogi... Ja tu mieszkam, niedaleko wynajmuję stancję. A ty? Co tu robisz?

Nie odpowiedziała. Za nic na świecie nie chciałyby, żeby się dowiedział, że tu mieszkają.

– Dzień dobry, sąsiadko! – Niewysoki mężczyzna z wąsem, mijając ich, uchylił kaszkietu i ukłonił się. – Ładny dziś mamy dzień, prawda?

– Dzień dobry – odparła machinalnie.

– A więc i ty mieszkasz w okolicy – dopowiedział sobie Stecki. – To będziemy się widywać częściej! Co za szczęście, doprawdy, moja droga. Do zobaczenia innym razem!

Ominął ją i pobiegł do tramwaju, który właśnie podjechał na przystanek. Przez okno zobaczył jeszcze, jak z Podzamcza wychodzi mąż Julii. „A więc tu pracujesz – pomyślał. – No, to mam was”.

Paweł odczytał z twarzy żony wszystkie złe uczucia, które nią w tej chwili targęły.

– Co się stało? – zapytał, zaglądając jak zwykle do wózka. Na szczęście z Adą wszystko było w porządku. – Przestraszyłaś się czegoś?

Tym razem mu powiedziała. Nie chciała kłamać, pamiętała nazbyt dobrze, jakie konsekwencje miało to ostatnim razem.

Mimowolnie zacisnęła pięści. Że też musi się za nimi pałętać ta padlina... I to teraz, kiedy wszystko tak dobrze zaczęło się układać.

– Nie bój się – powiedział do żony. – Nikt nie jest w stanie nam zniszczyć tego, co zbudowaliśmy.

Pocałował ją na ulicy, długo i namiętnie.

„Niech no tylko spróbuje, niech spróbuje nam zaszkodzić” – pomyślał mściwie.

*

Potem tłumaczył sobie, że po prostu musiało się to zdarzyć.

Miał nocną zmianę. Sprawdzał stojący na boczniccy wagon. Obluzowała się w nim śruba przy kole. Dokręcał ją właśnie ciężkim, uwalanym w smarze kluczem, gdy usłyszał kroki na żwirze. Obok na ziemi stała jego torba z narzędziami.

– Zobacz no z drugiej strony, czy nie obluzowane. Ja sprawdzę z tej, będzie szybciej – polecił, gdyż myślał, że to kolega ze zmiany.

Poczuł ból w tyle głowy. Odwrócił się błyskawicznie. Zobaczył, że przed nim stoi Stecki z zakrwawionym łomem w ręku. Paweł dotknął miejsca, które pulsowało bólem. Pod palcami miał lepłą krew.

Stecki zamachnął się raz jeszcze, ale Paweł zdołał się uchylić. Podniósł do góry klucz, uderzył. Nie trafił i Stecki roześmiał się trochę histerycznie.

– Mam szansę się odegrać i to zrobię! – rzucił. – Nie trafi się taka druga okazja, żeby się zemścić.

Ponownie podniósł klucz do góry, opuścił, ale nie trafił, bo Paweł cofnął się o krok. Zamachnął się znowu i uderzył nim z całej siły. Trafił Pawła w ramię. Szuba jęknął z bólu i zatoczył się. Stecki znowu wybuchnął śmiechem.

– Jak się sprawuje nasza suczka? Szczęśliwiście? Widziałem, że macie dziecko. Jesteś pewien, że to twoje? Suka z każdym się położy.

– Człowieku, ty jesteś nienormalny! – wrzasnął Paweł. – Chory!

Stecki znowu się zaśmiał.

– Jakbyś zgadł. A myślisz, że czemu aż do Wiednia mnie na studia wysyłali, co? Powiem ci jeszcze coś. Jak cię teraz zabiję, to mnie najwyżej

w Kulparkowie zamkną na parę lat. Wyjdę i zabiję ją. A może i wasze piękne dziecko?

Pawła aż zamroczyło z wściekłości. Teraz bronił nie tylko siebie, ale i swojej rodziny. Rzucił się na Steckiego z kluczem i walił na oślep. Twarz jego przeciwnika zalała się krwią płynącą ze złamanego nosa. Łapał powietrze otwartymi ustami jak ryba wyrzucona na brzeg. Patrzył na Pawła.

Szuba przyciągnął go bliżej.

– To dziecko istotnie jest piękne – wycedził, dysząc. – I wiesz, że jest twoje.

Stecki nie zdążył się zdziwić, bo Paweł pchnął go na ziemię. Aleksander przetoczył się kawałek i wylądował na torach. Z Głównego jechał pociąg. Nie zatrzymywał się na Podzamczu...

Paweł uciekał, ile sił w nogach. Miał nadzieję, że nikt go nie widział.

Powiedział tylko Julii, że Stecki już więcej nie będzie jej nachodzić.

Reszty domyśliła się sama. Zresztą gazety podały, kto zginął w nieszczęśliwym wypadku, jaki miał miejsce na Podzamczu. Chciała wierzyć, że to był wypadek. I uwierzyła.

Trzy dni przed Wigilią Julia wysłała Pawła z najstarszą córką do miasta z listą sprawunków. Przykazała mężowi po cichu, by spróbował dziecku wyjaśnić tak jak umie, co się działo. A Adzie zaleciła pilnowanie ojca, żeby za bardzo pieniędzmi nie szastał.

Wyszli z domu wczesnym popołudniem. Adela właśnie wróciła z ochronki, ojciec zdążył wyspać się już po nocnej zmianie. Obydwoje okutani w płaszcze i szaliki nie patrzyli na siebie i szli w ciszy do przystanku dziewiątki.

– Ale mróz, co? – zagadnął w końcu ojciec, wypuszczając z ust obłoczek pary.

Ada potaknęła.

– Masz dziurę w rękawiczkach – zauważyła. – Wieczorem ci zszyję...

Na szczęście tramwaj szybko nadjechał i wsiedli. Dziewczyna zapatrzyła się w okno, zatapiając się w kontemplowaniu zimowego miasta. Śnieg ostatniej nocy posypał obficie. Teraz chodniki były już odśnieżone – we Lwowie bardzo tego pilnowano, leniwego dozorcę policaj często poganiał za pomocą gwizdka – ale gdy Adela przed szóstą rano szła przez Podzamcze do pracy, śnieg był jeszcze dość głęboki i wpadał jej za cholewki niewysokich botków. Podeszwa też przeciekła i zmoczyła grubą pończochę. Dlatego teraz Ada miała na sobie schodzone kozaki Julii. Jej buty suszyły się przed piecem kuchennym.

Popatrując przez zaparowane szyby na mijane ulice, Adela zastanawiała się, jak własnym sumptem uszczelnić botki. Jednak poddała się i stwierdziła, że będzie musiała zanieść je do szewca, bo sama nic tu nie wymyśli. Może jeszcze uda się przechodzić w nich ten rok? W następnym kupi sobie nowe. Tramwaj jechał Balonową, potem Zamarstynowską, następnie skręcił na plac Krakowski. Dziewczyna zrobiła krok w kierunku wyjścia, przekonana, że tutaj wysiadają. Jednak ojciec zatrzymał ją.

– Pozwól się zabrać do miasta – poprosił. – Przespacerujesz się po corso ze swoim starym?

Adela miała ochotę powiedzieć, że nie, ale przecież nie mogła mu tego zrobić. Pojechali więc dalej, obok Teatru, potem Legionów do Wałów Hetmańskich. Tutaj wysiedli.

Długo szli w milczeniu. Ojciec kupił od ulicznego sprzedawcy pieczone kasztany w rożku. Jedli je, parząc sobie palce i języki. Zawsze się z tego śmiali, ale dziś pachnący przysmak gryźli w milczeniu. Było ono tym bardziej krępujące, że oboje zdawali sobie sprawę, że ta wyprawa różni się od poprzednich, że jest zupełnie inaczej niż zawsze. I że już nigdy nie będzie tak jak kiedyś. Tak jakby próbowali chodzić w zeszłorocznych butach, a one uwierały i cisnęły, wygniatały na stopach bolesne pęcherze.

A oni, raniąc sobie stopy, uparcie szli przez przystrojone świątecznie corso. Minęli plac Mariacki z Mickiewiczem i jego muzami i skierowali się w Akademicką z tysiącem sklepów.

Lwów przed Bożym Narodzeniem zawsze kojarzył się Adzie z miastem z cudownej wschodniej opowieści. Biel śniegu podkreślały rozświetlone światełkami witryny sklepów, z których każda zapraszała do innej bajki. Czekoladowe figurki mikołajów, aniołków, choinek, pierniki w przeróżnych kształtach ozdobione kolorowym lukrem i czekoladą, chałwa, pomarańcze i czekoladki w pozłotku ułożone w piramidy stanowiły kwintesencję odświętnego ducha lwowskiej promenady. Adela mogła godzinami stać, wpatrując się w nie, wyobrażając sobie, że znowu jest dzieckiem i marzy o marcepanowym mikołaju. Bywały takie święta, że ojciec fundował dziewczynkom te bajkowe słodkości. Ale częściej zdarzały się takie, podczas których jedyną przyjemnością pozostawało oglądanie ich przez szybę wystawy.

Największe tłumy gromadziła zawsze wystawa cukierni Ludwika Zalewskiego. Wiadomo było, że aranżowali ją często prawdziwi artyści. Marcepanowe miasteczka, lasy pełne czekoladowych zwierzątek i misternie zdobione pierniczki na choinkę wzbudzały zachwyt szczególnie u dzieci. Teraz też tak było.

– Adela, chodźmy do środka na pączka – zaproponował tata. – Kupimy Nelce i Józce po jakiejś słodkości.

Ada spojrzała na ojca ze zdziwieniem. Te pyszności kosztowały sporo, chyba nie bardzo było ich stać... Nagle zrozumiała, że to forma przekupstwa.

– Raczej nie... Tam tak elegancko, a ja... – Spojrzała na rozdeptane okrutnie kozaki matki, które miała na nogach. Na pierwszy rzut oka widać było, że mają za sobą niejedną zimę.

– Nie masz innych butów? Boże, dziecko, nie pomyślałem... A może pójdziemy kupić ci buty? Przecież nie możesz mieć jednej pary na spółkę z matką...

Tego już było za wiele. Ada postanowiła wreszcie wyjaśnić pewne rzeczy.

– Tato, chodzimy sobie, spacerujemy i niby jest tak jak zawsze, ale oboje wiemy, że jest zupełnie inaczej – wybuchła w końcu. – Normalnie ganiłbyśmy po Krakidałach, szukając najtańszych migdałów i rodzynek do kutii.

Spieszylibyśmy się. Denerwowali się, że za drogo. A dziś... Zapraszasz mnie do Zalewskiego, na którego nas nie stać. Chcesz mi kupić botki, które warte są połowę mojej miesięcznej pensji. Co się dzieje?

– Chcę ci coś wyjaśnić – wyznał ojciec po długiej przerwie.

– To wyjaśnij, tatusiu. Tutaj, teraz, i nie wydawajmy pieniędzy, których przecież wiele nie mamy – ponagliła. – Miejmy to już za sobą.

Poczuła się silniejsza, bo nareszcie grali w otwarte karty. Czekwała, aż ojciec otworzy usta, ale on milczał, patrząc na tłum ludzi przechadzający się po corso.

– Może ja zacznę, choć nie mam zamiaru niczego ci ułatwiać. Widziałam cię kiedyś wieczorem na Żółkiewskiej – postanowiła iść za ciosem. – Całowałeś jakąś kobietę. Wiem, że zdradzałeś matkę. Domyślałam się, że z córką Bułgara. Tyle wiem.

Paweł na chwilę przymknął oczy. Poczuł się tak, jakby został spoliczkowany. Słowa wypowiedziane przez jego dziecko pełne były jadu. I prawdy. Najgorsze, że on na to sobie zasłużył. A teraz będzie musiał wyznać jej wszystko, bo o to prosiła go Julia. Wziął głęboki oddech.

– Więc wiesz bardzo dużo. – Roześmiał się nerwowo. – Domyślna z ciebie dziewczyna... Tak, zdradzałem twoją matkę. Ale to nie była miłość. Agnieszka, jak wiesz, sprzedaje miłość.

Ada zaczerwieniła się, słysząc to. Nienawykła rozmawiać z rodzicami o takich rzeczach. Nawet z Poldą byłoby jej trudno... Wolałaby, żeby było już po wszystkim.

– Mówisz o tym, jakbyś chodził do sklepu! – oburzyła się. – To nie zwykły handel, przyznasz chyba?

– Jesteś jeszcze młoda... Mężczyźni mają swoje potrzeby, może większe niż kobiety. – Wypowiadając te słowa, nie mógł się zmusić, by spojrzeć Adzie w twarz. – Między mną i Julią jest duża różnica wieku. W dodatku ona nie najlepiej się ostatnio czuje... Rozumiesz?

– Nie musisz mówić dalej. Czy ty kochasz tę Agnieszkę?

– Nie – powiedział dobitnie. – Nigdy jej nie kochałem. Moje sprawy z nią to... interesy... Ale ona ubzdurzyła sobie, że to coś więcej. Wysłała Julii list, w którym pisze, że jest ze mną w ciąży.

– Co? Co takiego? – Ada poczuła, że nagle brak jej powietrza.

– To kłamstwo, dziecinko, to nieprawda! Agnieszka chciała nas zniszczyć. Może pragnęła rodziny, chciała uciec od tego, co robi, nie wiem... W każdym razie kłamała. Zadałem się ze złą kobietą i to jest kara za mój grzech. Bóg mnie skarał, rozumiesz? Bo złamałem szóste przykazanie. Matka mi wybaczyła. Ty też wybac, proszę.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Ada czuła do ojca obrzydzenie. – To okropne. To najgorsza rzecz, jaka mi się w życiu przytrafiła. Jesteś kłamcą. Jesteś brudny. Tato, dlaczego tak skrzywdziłeś mamę? Co ty sobie myślałeś? Jak mogłeś?!

Wiedziała, że w książce czy w kinie byłaby to bardzo melodramatyczna scena. W pięknej scenerii zimowego, skrzącego się śniegiem Lwowa, na reprezentacyjnej, ustrojonej świątecznie ulicy... W książce powinna teraz ojcu wybaczyć, pozwolić się przytulić, a następnie razem wróciliby do domu pojednani i ze spokojnymi sercami czekali na Boże Narodzenie. Ale to nie był film ani książka, a Ada nie płakała ze wzruszenia, tylko z wściekłości. Chciała zemsty na tym człowieku, który ją skrzywdził, za którego sprawą właśnie teraz, w tej minucie, stała się dorosła, choć tego nie chciała.

Paweł czekał, aż córka przestanie płakać. Nie spodziewał się już przebaczenia, bo wiedział, że go nie otrzyma. Wstydział się jak alkoholik, który nie sięgał po wódkę od wielu tygodni, lecz wciąż pamiętał, jak obrzydliwie zachowywał się pod jej wpływem.

Adela przestała ronić łzy, otarła oczy w szorstki rękaw płaszcza. Coś jej przyszło do głowy.

– Skąd masz pieniądze? – zapytała, bo nurtowało ją to od paru tygodni. Ostatnio jadali lepiej, dziewczęta dostawały na tramwaj, matka szyła sobie ciepłą spódnicę u krawca...

– Twoja babka sprzedała kawał pola. Podzieliła się tym, co zarobiła – odparł. – Poza tym...

Nie dokończył.

– Poza tym nie wydajesz na córkę Bułgara – dokończyła z okrutną szczerością Ada. Zadreptała w miejscu, chcąc się rozgrzać. – Dobrze, tato, dobrze – powiedziała szybko. – Chodźmy na pączka i czekoladę. Już mnie mój nieodpowiedni ubiór nie obchodzi. Jeśli mnie tak prosisz, możemy potem wybrać się po buty dla mnie. Widziałam odpowiednie w pasażu Hausmana...

Zdawała sobie sprawę, że to, co właśnie czyni, jest prymitywne. Ale pragnęła wziąć krwawy odwet. Niech się ojciec wykupi, niech się rujnuje. Za to, że jej odebrał dzieciństwo, za cały ten wstyd i strach, które ostatnio przeżywała.

Poszli zatem do Zalewskiego. Przytłoczyło ich eleganckie wnętrze lokalu. Marmurowe lśniące blaty, ciemne dębowe meble i klientela zdecydowanie inna niż ta, którą spotkać można na placu Krakowskim, gdzie najczęściej robili poważniejsze zakupy, każdego innego dnia pewnie by ją onieśmieliły. Ale nie dziś. Dziś usiadła przy stoliku i pozwoliła przynieść sobie dwa pączki z różą i lukrem, a także filiżankę aromatycznej kawy. Sączyła ją z miną zwyciężczyni.

Po chwili jednak stwierdziła, że to, co czuje, to wcale nie dzika satysfakcja z moralnej wyższości nad ojcem. To raczej ulga, że wszystko zostało już powiedziane. Postanowiła więc uśmiechnąć się do ojca.

– Kocham cię i gdybym mógł cofnąć czas, tobym go cofnął – oznajmił. Odważył się nawet wobec niej na czuły gest: otarł serwetką okruszki lukru z kącika jej ust.

– Ja też cię kocham – powiedziała z mocą. – Dlatego to tak bardzo boli...

Jakieś dwie starsze matrony zajmujące stolik obok rozmawiały szeptem, rzucając im ukradkowe spojrzenia.

– Patrz pani, jakie to bezwstydne. Młodą dziewczynę bałamuci ten stary cap... – usłyszeli, przechodząc do wyjścia.

Bardzo ich rozśmieszyło, że te dwie eleganckie plotkary grzebiące łyżeczkami w swoich eklerach wzięły ich za parę.

– To co, do Hausmana? – zapytał wesoło ojciec, gdy znaleźli się z powrotem na Akademickiej.

Adę ogarnęło poczucie winy.

– Nie... Może lepiej do handelesa...

Lecz ojciec się uparł. Wziął ją pod rękę i skrótem przez podwórka weszli do Hausmana od ulicy Sykstuskiej.

Kiedy wychodzili z nową parą botków od strony Legionów, padał gęsty śnieg i zaczynało się już zmierzchać. Wzdłuż ulicy zapalono latarnie i Ada, uszczęśliwiona, choć zupełnie się tego nie spodziewała, z przyjemnością poszła z ojcem pod rękę przez to cudne miasto.

– Joj, tato! Przecież nie kupiliśmy nic z listy! – przypomniała sobie.

– Ano nie – zmartwił się Paweł. – Matka nas zabije.

– Więc pędem na Krakowski – zarządziła. – Zrobimy zakupy tam gdzie zawsze. Przynajmniej przestaniemy tak szastać pieniędzmi...

Tak zrobili. U Żyda można było kupić wszystko, co tam matka chciała. I tamtej zimy 1938 roku to właśnie te zakupy z ojcem sprawiły Adzie najwięcej radości.

W dzień Wigilii ochronka była czynna krócej. Zamykali już o czternastej, po uroczystym opłatku i odśpiewaniu kolędy pod ustrojonym drzewkiem. Dzieci nie mogły się doczekać pierwszej gwiazdki, rozmawiały już tylko o tym, co komu i czy w ogóle zostawi aniołek pod choinką.

– A ciebie, Zeniu, kto dziś odbiera? – zapytała panna Zosia chłopca, który jako ostatni został w ochronce.

– Ma-ma-tula chyba... – odparł, zacinając się, maluch.

Panna Zosia, tak jak i Adela, spoglądała z niecierpliwością na zegar. Minął kwadrans po czternastej, potem pół godziny. Po Zenka nikt nie przychodził.

– Boże, z tą babą zawsze kłopot – półgłosem oświadczyła Zosia, mając na myśli matkę Zenia.

Adele opadły złe przeczucia. Spojrzała na chłopca, który nie wykazywał niepokoju z powodu spóźnienia matki. Wychowywany za pomocą pasa, raczej do domu nie tęsknił.

– Pani Zosiu, niech pani już idzie. Ja wiem, gdzie Zięba mieszka, odprowadzę go do matki – zaproponowała w końcu.

Nauczycielka rozpromieniła się.

– Naprawdę? Będę ci bardzo wdzięczna! Ja mam dziś wigilię u przyszłych teściów, muszę się jeszcze przygotować, a jak by to wyglądało, gdybym się spóźniła... – Tak szczebiocząc, Zosia przebrała się, wzięła torebkę i życząc Adzie wesołych świąt, pobiegła na przystanek.

Piętnaście minut później Adela przeszła przez zaśnieżoną Żółkiewską w stronę Adamowej, gdzie mieszkał mały, dosłownie dwa kroki od ochronki. Gdy stała na chodniku, czekając, aż przejedzie wóz, po drugiej stronie jezdni zauważyła Abła. Szedł w płaszczu, z gołą głową, za to owinięty długim szalikiem. Niósł siatkę, w której Ada dojrzała puszkę herbaty, chleb i cukier. „Pewnie wraca do domu” – pomyślała. Odprowadziła go wzrokiem aż do Wołyńskiej, potem już go nie było widać. Z zamyślenia wyrwał ją Zenuś, który potrząsnął jej ręką.

– Idziemy? – zapytał, podnosząc głowę do góry i zaglądając jej w twarz.

Ziębowa z dziećmi mieszkała w oficynie kamienicy sąsiadującej z ulicą Nowej Rzeźni. Prowadziła pracownię krawiecką, w której matka szyła sobie kiedyś płaszcz, dlatego Ada wiedziała dokładnie, gdzie to jest. Zenio zaś twierdził uparcie, że nie pamięta.

– Jak to, Zeniu, nie wiesz, gdzie twój dom? – dziwiła się, choć tak naprawdę podejrzewała, że mały z nią pogrywa. Nie chciał wracać do matki.

Mąż Ziębowej zmarł na gruźlicę osiem lat temu i od tego czasu kobieta musiała radzić sobie sama. I radziła sobie, jak potrafiła... Wychowywała samotnie szóstkę dzieci, z których każde miało innego ojca i tylko pierworodna córka miała na nazwisko Zięba. W sąsiedztwie opowiadano, że jak Ziębową proszono gdzieś na wesele, wracała z brzuchem. I tak jej się przychówek powiększał. A że na weselach zwykle gości kupa, więc w sprawach o ustalenie ojcostwa zawsze się znalazł jakiś świadek, dzięki któremu sąd

mógł zasądzić alimenty. Sąsiadki zastanawiały się również, kiedy Ziębowa przestanie dzieciaki rodzić. Jak na razie mały Zenio był ostatni.

Ada z chłopcem weszli w podwórko kamienicy. Z górki pod murem zjeżdżali na sankach jacyś chłopcy. Gdy zauważyli Zenia i Adę, podbiegli.

– A czemu pani naszego jąkałę prowadzi? – zapytał jeden. Po tym, jak bezceremonialnie złapał małego za ramię, domyśliła się, że to może być któryś z jego starszych braci.

– Wasza mama nie przyszła po niego do ochronki. Dziś czynna krócej. Mama w domu?

Chłopcy popatrzyli na siebie i spuścili wzrok.

– Jest w domu. Ale śpi...

Adela zdziwiła się. Śpi w wigilijne popołudnie, kiedy najwięcej roboty? Odwróciła się i podeszła do drzwi. Zapukała, ale nic się nie działo. Naciśnęła więc klamkę i weszła do środka. W mieszkaniu panował ziąb. W kuchni piec był zimny, w wiadrze pod oknem miotał się karp. Zamiast zapachów świątecznych potraw w powietrzu czuło się dym papierosowy i coś jeszcze... „Jedzie propinacją jak od Baczewskiego” – nasunęło się Adzie powiedzonko rozpowszechnione we Lwowie za sprawą Szczepcia i Tońcia, pierwszych batiarów Wesołej Lwowskiej Fali.

– Pani Ziębowa! – rzuciła Ada w głąb mieszkania.

Ale nikt się nie odezwał. W następnym pomieszczeniu na łóżku w pomiętej pościeli w ramionach jakiegoś zarośniętego draba leżała Ziębowa ubrana w brudną halkę. Spali mocno i sądząc po ilości pustych butelek po ómadze, mogli tak pospać aż do drugiego święta...

Adela wyszła na podwórze i zaczerpnęła powietrza. Czuła obrzydzenie i zakłopotanie. Dzieci najwyraźniej były przyzwyczajone, bo znowu dokażywały na sankach. Tylko Zenio siedział na ławeczce przy drzwiach. Gdy ją zobaczył, podniósł się i popatrzył z oczekiwaniem. Nie wiedziała, jak postąpić.

– Mama od dawna śpi? – zapytała jednego z chłopców.

Wzruszył ramionami.

– Jakiśmy ze szkoły wrócili, już spała. I wujek też.

– A ktoś się wami zajmie? Czy... Czy wy tu zostanieie?

Patrzyli na nią jak na niespełna rozumu. A gdzie niby mają zostać? Przecież tu jest ich dom.

– Na wilię do babki idziemy – domyślnie w końcu odpowiedział jeden z nich.

To trochę Adę uspokoiło. Zenio tymczasem podszedł i ścisnął ją za rękę. Popatrzył pytająco. Miała go tu zostawić? Pewnie niejedną taką sytuację już przeżył w swoim niedługim życiu i był przyzwyczajony. Do różnych wujków również. Ale jednak ten jego błagalny wzrok...

– Zabieram Zenka ze sobą – zdecydowała. – Powiedźcie babci, że spędzi święta u pani z ochronki, dobrze? Wesołych świąt, chłopcy.

Gdy ponownie wyszła na Żółkiewską, miała pewność, że dobrze zrobiła. W przeciwnym razie przez całe święta zastanawiała się, co z małym. A tak przyprowadzi go w drugie święto i już. Ziębowa może dojdzie do rozumu do tego czasu.

Na Szczepanowskiego wrzała praca. Julia z Suczajową, jak co roku, wspólnie lepily uszka w jednej kuchni. Każda miała swój sposób i jak lwica forsowała go jako lepszy. Julia dzieliła rozwałkowany placek ciasta na równiutkie kwadraty. Jej uszka miały ostre czubeczki w przeciwieństwie do uszek matki Kacpra, zaokrąglonych, wycinanych kieliszkiem od wódki.

Zdenerwowana Józia wyciągała właśnie z bratrury strucle z makiem. Co roku za punkt honoru stawiała sobie, by nie były popękane.

– Udało się, niech mama patrzy! – krzyczała na całą kuchnię, trzymając zawiniętą w ścierkę blaszkę z makowcami. Mela biła brawo.

– Piękne, piękniejsze niż moje – Julia pochwaliła córkę z entuzjazmem. – Chociaż gdyby popękały, i tak byśmy zjedli.

Ojciec z Nelką i Goldmanównymi kończyli ubierać choinkę. Tego roku tato nie upierał się przy podłazniczce. Gdy nadeszła Ada z Zeniem, dziewczynki leciały właśnie na plebanię, bo miały coś do załatwienia z księdzem

Maślanką. Na widok obcego chłopczyka przystanąły w drzwiach zdziwione.

– Kto to? – chciała wiedzieć Nela.

– To jest Zenio. Zostanie u nas na wigilii – oświadczyła Adela.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na niego. Chłopiec speszył się i ukrył twarz w płaszczu swojej pani.

– Ja zaraz wytłumaczę – obiecała Ada i odwróciła się do najmłodszej siostry. – Nelu, pokażesz Zenkowi kotki? Zobacz, tu za drzwiami mają legowisko...

Gdy Nelka i reszta dzieci wyszły na korytarz, Ada opowiedziała, co się jej właśnie przytrafiło.

– Dobrześ postąpiła – pochwaliła matka. – Zrobiłabym to samo.

– Kurwa nie matka – Suczajowa się nie patyczkowała. – Słyszałam o tej Ziębie. Pijaczka i tyle. Tylko dzieci szkoda.

Choć Ada nigdy się z sąsiadką nie zgadzała, tym razem musiała przyznać, że sama lepiej by tego nie ujęła.

Wieczera wigilijna minęła spokojnie. Barszcz z uszkami, śledzie, babka ziemniaczana, pierogi, gołąbki, ryba, kutia, kompot z suszu... Każda potrawa stanowiła niezbędny składnik tego magicznego wieczoru. Najważniejsze było jednak, że wszystko co złe i przykre zostało powiedziane już wcześniej i teraz, łamiąc się opłatkiem, mogli być ze sobą zupełnie szczerzy.

– W tym roku przydało się nawet nakrycie dla niespodziewanego gościa – śmiał się ojciec, sadzając przy nim Zenia.

Tradycyjnie przed podłożeniem prezentów pod choinkę wysłano najmłodsze dzieci po drewno do komórki. Gdy Nela i Zenek wracali obładowani po schodach, ojciec jak zwykle zawołał:

– Aniołek! Przyleciał aniołek i zostawił prezenty! Szybko, dzieci, szybko!

Dzieci jak zawsze zdążyły zobaczyć tylko otwarte okno i wyдутą przez wiatr firankę. Nelka, która już raczej nie wierzyła w tę całą inscenizację,

śmiejąc się, głośno lamentowała, że znowu nie zdążyła spotkać aniołka. Lecz Zenio rozplakał się z żalu nie na żarty. Na szczęście pocieszył się prezentem znalezionym pod choinką. Suczajowa w ostatniej chwili przyniosła dla Zenia komplet żołnierzyków w blaszanym pudełku. Kacper bawił się nimi jeszcze nie tak dawno temu...

Kiedy nastał czas śpiewania kolęd, do Szubów przyszli ze swoimi krzesłami Suczaje. Od lat mieli taki sąsiedzki zwyczaj, że wspólnie kolędownali. Julia tradycyjnie uroniła łezkę przy *Bóg się rodzi*, ojciec z Kacprem odśpiewali na dwa głosy pasterkę o pastuszku, którą uwielbiała Mela. A na sam koniec Adela ze śpiącym na kolanach chłopcem nuciła *Mizerną cichą*.

– Idziemy na pasterkę? – zapytał Kacper, gdy sprząтали po kolacji.

Ada nie wiedziała, co robić, bo nie chciała zostawiać Zenka, który zasnął wyczerpany.

– Idźcie, ja zostanę w domu. – Julia padała z nóg i nie miała już sił na spacer do kościoła.

Poszli więc bez niej. Wspólną pasterkę dla Podzamcza i Zniesienia odprawiano u Świętego Marcina, ponieważ kościół na Nowym Zniesieniu wciąż jeszcze nie miał dachu. Spotkali się wszyscy na Żółkiewskiej: Ada i Kacper, Bronek, Antek, Otylia i Polda, której przeszła już złość na kolegów, a nawet Helka Lis, która nie odpuściłaby sobie za nic śpiewania kolęd. Mroźną rozgwieżdżoną noc rozświetlał dodatkowo skrzący się w świetle nielicznych latarni śnieg. W taką noc naprawdę wierzyło się, że lada moment narodzi się Boży Syn, by odpuścić ludziom grzechy. W taką noc każdy dostawał nową szansę, by znowu być dobrym.

Weszli do ciemnego kościoła i stali w milczeniu, czekając, aż rozpocznie się msza. Dopiero gdy zadzwonił dzwonek i organista zaintonował *Wśród nocnej ciszy*, barokowe wnętrze zabytkowej świątyni zaczęło się rozświetlać. Kolęda brzmiała mocno, bo we Lwowie tak się śpiewało – z serca, z płuc, z trzewi. A w kościele szczególnie.

Po komunii świętej niespodziewanie na środek kościoła wyszły Nelka, a za nią Rebeka i Chana. Wśród wiernych przeszedł szmer. Wtedy ksiądz Maślanka stanął obok dziewczynek i zaczął grać na swoich skrzypcach.

W ciszy, która zapadła w kościele, popłynął dziecięcy śpiew, kołysanka dla małego Jezuska.

Lulajże, Jezuniu, lulajże lulaj,

A ty go, matulu, w płaczu utulaj...

– śpiewały z przejęciem na chwałę Pana dwie małe Żydówki i jedna katoliczka.

Ada nie miała pojęcia, czy ludzie wiedzą, jakiego wyznania są Goldmanówny. Zniesieńczenie wiedzieli na pewno, ale czy ci z Żółkiewskiego też mieli tego świadomość? Nikt jednak otwarcie nie protestował. Dzieciątko w żłóbku również nie. Zresztą w tamtej chwili nie było to ważne...

Po pasterce przed kościołem zebrała się młodzież z Nowozniesieńskiej.

– Śpiewałaś jak słowiczek, wiesz? – Dumne siostry przytulały Nelkę, z której teraz opadła już cała trema i stała spokojnie, trzymając się dłoni ojca i poziewując raz po raz. – Nic nie mówiłaś, że taki występ z księdzem szykujecie.

– Bo to miała być niespodzianka. – Dziewczynka rozglądała się za resztą tria.

Bliźniaczki stały w pewnym oddaleniu, z matką i ojcem. Pan Goldman głaskał córki po głowach, jego żona uśmiechała się, ale miała nieobecny wyraz twarzy.

– Żydy nieochrzczone w takie wielkie święto przed kościołem, tfu! – dało się słyszeć oburzone głosy wśród rozchodzących się do domów ludzi.

– Witam kochanych państwa! – Do Goldmanów podszedł ksiądz Maślanka i uściśnął im dłonie. – Dziękuję, że się zgodziliście na ten występ. Pięknie córeczki wypadły, pięknie. A jakie zdolne! Nauczyły się kolędy w dwa dni!

Ponieważ pora była już późna, grzecznościowe rozmowy przed kościołem ograniczono do minimum. Ojciec Rebeki i Chany wręczył jeszcze na odchodnym Pawłowi ciężką paczkę owiniętą w szary papier.

– To prezent dla Petroneli – powiedział i cofnął się do żony oraz dzieci.

Wracali wszyscy razem w ciszy, zmęczeni. Śnieg skrzypiał pod nogami, nad głowami migotały gwiazdy. Było pięknie i czarodziejsko. Każdy by uwierzył, że nad dachami Lwowa lata anioł i zostawia dzieciom prezenty...

Gdy doszli do Dojazdowej, ojciec podniósł Nelkę, bo prawie zasnęła, idąc. Józka przejęła od niego paczkę od Goldmana. Otylia i Polda pożegnały się i skręciły w Nowozniesieńską, Broniek i Antek zniknęli już wcześniej.

Kacper nie odstępował Adeli na krok.

– Zimno jest, przytul się – szepnął, ale osiągnął efekt odwrotny do zamierzonego. – Ale przynajmniej się uśmiechnęłaś – dodał, i była to prawda.

Ada czuła na duszy lekkość. Może to spełniona w kościele ofiara sprawiła, że świat znowu wydał jej się piękny, może zgoda panująca w domu, a może jeszcze coś innego?

Kacper wsunął jej do kieszeni płaszczka zawiniątko.

– To prezent ode mnie, ale obiecaj, że otworzysz dopiero w domu – powiedział cicho.

– Dziękuję... A ja nic dla ciebie nie mam, Kacper – zawstydziała się. – No, chyba że to... – Wspięła się na palce i szybko, tak, żeby nikt nie zauważył, pocałowała go w usta.

Pierwszy raz zrobiła coś takiego. Zdziwiła się, przelotnie pochwyciwszy w nozdrza zapach Kacpra. Zmieszały się w nim woda kolońska, pot, krem do golenia i coś jeszcze, coś nieuchwytnego. To był zapach mężczyzny, nie chłopca. Miła woń, nowa dla niej, budząca tęsknotę i...

Na Suczaju całus zrobił ogromne wrażenie. Uśmiechnął się od ucha do ucha i złapał Adelę za rękę. Nie wyrwała jej.

– Ada, Adunia moja... – szeptał, idąc bardzo blisko. – Będę miał najpiękniejsze święta w życiu...

W dziewczynie rosła radość i poczuła, że zaraz eksploduje. Ale zamiast tego prosto z serca, zaśpiewała:

– *Cicha noc, święta noc,*

Pokój niesie ludziom wszem...

Jej czysty, spokojny głos niósł się nad sztreką w stronę ciemnych wzgórz oddzielających Nowe Zniesienie od Starego i ginął w gęstej nocy bożonarodzeniowej, która co prawda przyniosła ludziom pokój, ale nie na długo...

Rozdział VI

Skoro świt w Boże Narodzenie rodzinę Szubów obudził jakiś uporczywy hałas. Ktoś walił do drzwi wejściowych. Przestraszeni budzili się kolejno, biegnąc do kuchni. Drzwi otworzył Paweł. Na progu stał posterunkowy Feliks Wnuk w towarzystwie kobiety o zapuchniętej twarzy i dwójki wyrostków w rozpiętych kurtkach. Na schodach stała zaś w pantoflach i podomce Oblatowa, wyciągając ciekawie szyję.

– Czy przebywa u was Zenon Zdobyłak, syn obecnej tu kobiety? – Policjant wskazał na zapuchniętą babinę.

– Przebywa – potwierdził Paweł Szuba.

– Mówiłam, zabrała go! Dziecko mi porwała, robaczka malutkiego! – wykrzykiwała Ziębowa, wylewając na zawołanie łzy.

Policjant wszedł do środka, choć nikt go nie zapraszał. Baba wepchnęła się za nim.

Adela, która obudziła się tego dnia nad ranem, żeby jeszcze raz potrzymać w dłoni mały metalowy wisiołek w kształcie gwiazdki, prezent od Kacpra, teraz była zupełnie przytomna. Oburzenie i nerwy sprawiły, że drżała. Zawinęła się więc szczelniej w chustę i wzięła na ręce zaspanego chłopca.

– Ona! Ona go zabrała! Prawda, synkowie? – Ziębowa popatrzyła na chłopców, którzy pokiwali głowami. – Oddawaj mi syna, ścierwo!

– A cicho już bądź, babo – nakazał posterunkowy. Nie w smak była mu ta awantura w pierwsze święto, i to jeszcze o tak wczesnej porze. – Czy to prawda? – zwrócił się do Ady.

Ona wzruszyła ramionami.

– Prawda, pewnie, że tak – odparła. – A co, może miałam zostawić chłopca schlanej do nieprzytomności kobiecie?

Ziębowa rzuciła się w stronę dziewczyny, na szczęście Wnuk zdążył ją przytrzymać. Puściła za to w jej stronę wiązanke, której nie powstydzilby się batiar recydywista. Jej syn rozplakał się i mocniej przywarł do Adeli.

– Stul pysk, babo! Charą od ciebie jedzie! Bo posadzę za kraty! – uciszył ją policjant. – Dobra, zrobimy tak. Dziecko niech wraca do matki, a ty, Szubówna, pójdziesz ze mną na komisariat. Na razie tylko do wyjaśnienia – dodał, bo Julia zrobiła się blada jak kreda.

– Muszę go jej oddawać? Ona go stłucze przecież! – Adela była przerażona.

Mały objął ją za szyję i mocno trzymał. Czują, jak bardzo się bał.

– Niestety, matka to matka. – Policjant zdecydowanie oderwał Zenka od Ady i płaczącego przekazał matce.

Ada przytuliła się teraz do Julii. Nie mogła powstrzymać łez wściekłości. Nic nie mogła poradzić, nic zrobić, tylko patrzeć, jak zapuchnięta od wody baba zabiera małego wrzeszczącego wniebogłosy i znosi po schodach. Chłopcy zbiegli za nią.

Adela ubrała się i w towarzystwie ojca oraz posterunkowego udała się na dół. W sieni kamienicy stał już również Kacper. Dopiero co obudzony, ubierał się gorączkowo.

– Aduś, ja już lecę za tobą, nic się nie bój! – krzyknął.

Na posterunku Paweł i jego córka usiedli naprzeciwko Wnuka. Policaj ukradkiem przyglądał się dziewczynie i stwierdził, że wyładniała, odkąd się ostatnio widzieli. A może uroku dodawały jej zielone oczy, które teraz błyszczały z wściekłości...

Wnuk wyjął z szuflady księgę raportów i zaczął spisywać dane Adeli. Jej zdawało się, że przeżywa *déjà vu*.

– Coś my się często z panną spotykamy ostatnio. Szkoda, że nie w miłszych okolicznościach, he, he – zażartował.

Widział, że dziewczyna tym razem była roztrzęsiona. Znaczy, poprzednio również, ale wtedy chciała chronić młodszą siostrę, była gotowa walczyć z całym światem, a teraz sama potrzebowała obrony.

– I co wczoraj zaszło? – zapytał rzeczowo.

Ada nabrała powietrza i drżącym od łez głosem zaczęła opowiadać, jak matka nie odebrała chłopca z ochronki i o tym, co zastała u Ziębów w domu.

– Postanowiłam wziąć go do nas i po świętach przyprowadzić matce – zakończyła. – Miałam go tam zostawić? Psa bym tej babie nie zostawiła, a co dopiero dziecko!

– Nie krzycz mi tu, panna – upomniał ją Wnuk. Nie wspomniał, ile on się już na takie rodziny napatrzył.

Ada uspokoiła się, od czasu do czasu wycierając chusteczką oczy. Policjant spisywał raport.

– A czy pan może coś zrobić? – zapytała nagle. – Ona go znowu zbije. Raz stłukła go tak, że... Ledwo się biedaczek ruszał... Panie posterunkowy, to jest małe dziecko, trzeba coś zrobić...

– Ot i zrobiłaś. I co masz z tego? Kłopoty tylko. – Rozłożył ręce. – Lepiej się już do Ziębów nie mieszaj. Zresztą Adamowa to nie mój rejon, nie wiem, po co babsko do mnie przyleciało. Pewnie w jej dzielnicy świetnie ją już znają i nikt by się pijaczką nie przejmował. Masz, podpisz tutaj. – Podał jej dokument. – I tatuś szanowny też niech podpisze, bo ty wciąż niepełnoletnia jesteś, nie?

– I co teraz będzie?

Feliks popatrzył na nią poważnie.

– Nic nie będzie. W więzieniu cię nie zamknę, he, he. Ziębowa niezdolna do opieki nad dzieckiem była, więc... Uznam, że zaszło nieporozumienie i sprawę zamknę.

– Ona była pijana, a nie niezdolna – upierała się Adela przy swoim.

– Ale to jej dziecko i nam nic do tego.

– A jak mu robi krzywdę? Zabije?

– Wtedy to już będzie nasza sprawa. – Zniecierpliwiony posterunkowy wstał. – Słuchajcie, mam proszone śniadanie u narzeczonej, spieszę się. Wesołych, jak to mówią, świąt, i do widzenia!

Obserwował przez okno, jak Szubowie wychodzą przez furtkę na ulicę. Młody Suczaj czekał na chodniku jak wierny pies. Wnuk pomyślał, że ta dziewczyna ma talent do ściągania na siebie kłopotów. A że nie był z kamienia, postanowił szepnąć kolegom po fachu z Podzamcza słówko na temat tej pijaczki Ziębowej. Niechby ją postraszyli, że jak syna tknie, to się nią zajmą. Szubówna ma rację, szkoda dzieciaka.

Ada, zobaczywszy Kacpra, rzuciła mu się na szyję, nie zważając na obecność ojca. Bardzo go w tej chwili potrzebowała. On objął ją i jakoś tak dobrze im się stało razem. Zakłopotany Paweł chrząknął, a potem wybąkał, że Julia się już pewnie o nich niepokoi, i poszedł na Szczepanowskiego. Nie był pewny, czy go usłyszeli. Idąc po zmrożonym śniegu, myślał o tym, że dzieci tak szybko dorastają.

Święta chyba tylko dzieciom mijają dobrze. Nelka, której Goldman ofiarował atlas zoologiczny ze swojej biblioteki, ciągiem siedziała przy stole, oglądając kolorowe ryciny. Józka biegała gdzieś ze swoim Karolem i innymi znajomymi: to na ślizgawkę, to na sanki, to lepić bałwana. Ciocia Pela odwiedziła ich w pierwsze święto i przyniosła pyszny kulebiak do barszczu. Wysłuchawszy relacji Julii dotyczącej najnowszych wydarzeń, stwierdziła, że co się widzą, to u nich jakaś nowa awantura. A kiedy ojciec poprosił Petronelę i Goldmanówny, żeby przed ciocią i mamą odśpiewały raz jeszcze kolędę, Pela, śmiejąc się, nie mogła wyjść z podziwu.

– Cuda się u was dzieją – kręciła głową. – Jak nie awantury, to cuda. Żeby Żydówki kolędę śpiewały, i to jeszcze tak pięknie...

Dla Adeli tamto Boże Narodzenie było bardzo dziwne. Po pierwsze pełne wylanych łez – płakała nad Zeniem, a także nad sobą. Do rozpaczy przywozowała ją myśl, że w żaden sposób nie może pomóc temu dziecku. Bóg nie słuchał modlitw. Nikt nie słuchał jej prośb. Może by posłuchali, gdyby miała taką pozycję jak Sierakowa, kierowniczką ochronki? Ale córki kolejarza

nie stać było na kształcenie się, była nikim i nikim pozostanie na zawsze. I żyć będzie na tym przedmieściu, wyjdzie za męża, urodzi dzieci i największym jej zmartwieniem będą nowe buty na zimę dla nich albo to, jak by je wysłać na kolonie letnie. I to jeszcze, czy mąż nie będzie zły, że pod koniec miesiąca na obiad tylko kluski i chuda zupka, a żadnego mięsa...

Po drugie dziewczyna odkryła rzecz niezwykłą. Kacpra. Nie Kacpra kolegę, ale mężczyznę. Skąd się to jej nagle wzięło? Dlaczego już nie odtrącała jego ramion, ale sama w nie chętnie wpadała? Pozwalała mu się głaskać delikatnie po włosach, muskać lekko płatki uszu, pieścić dłonie, paluszek po paluszku? Nie wiedziała. Wspomnienie czepiającego się jej histerycznie Zenia wciąż było żywe i bolało... Ale obecność Kacpra kołła nerwy. Jego zapach, ten nowy, który odkryła tamtej świątecznej nocy, łagodził cierpienie. Był jak narkotyki. Budził w niej nową Adę, taką, którą dopiero musiała poznać i zrozumieć.

Metalową gwiazdkę, którą dostała od chłopaka, zawiesiła sobie na szyi. Ucieszył się, gdy to zobaczył.

– Zrobiłem ją w warsztacie – oświadczył z dumą. Dotknął błękitnej aksamitki, na której wisiała ozdoba. Cieszył się jak dziecko, że Ada już go nie odtrąca. Był dumny, bo wreszcie jego wytrwałość została wynagrodzona. Wreszcie mógł mieć nadzieję.

Kacper podziwiał ją za to, jak postąpiła z tym dzieckiem. Czuł się tak, jakby to jego próbowała ratować. Bo on wiedział, jak to jest być bitym. Ojciec zapoznał go całkiem niezłe z własną ciężką ręką, pasem, a nawet po-grzebaczem. Bił, gdy Kacper nie chciał mówić po ukraińsku, chodzić do cerkwi, powtarzać, że matka to *polska kurwa*... Syn nie zdążył dorosnąć na tyle, żeby ojcu odpłacić. Zrobili to kolesie od kieliszka i ciemnych interesów, którym też zalał za skórę.

Czy Adela wiedziała, co się działo u nich w domu? Może nie... Matka zakazała im mówić, jak ojciec się wyżywa. Melka często płakała, ale ona, jak była mała, płakała z różnych powodów, na podwórku też. Choć akurat, gdy ojciec ciągnął ją za włosy, starała się nie płakać, bo szybko nauczyła się, że im głośniej rozpacza, tym on mocniej bije...

Kacper pamiętał, jak kilka lat temu latem pojechali całą paczką nad wodę, żeby się wykąpać. Zdjął koszulę i przygotowywał się do skoku.

– Kacper, co ty masz takie wystające kości? – zaśmiał się któryś z kumpli.

Reszta zaczęła się z niego podśmiewać, że krzywy. A to tak zabawnie wystawały źle zrosnięte żebra. Ojciec osobiście mu je zimą połamał.

Czy Adela wiedziała, że tuli się do bitego, nieszczęśliwego chłopca? Postanowił kiedyś ją o to zapytać. Teraz nie chciał. Teraz tulił do siebie tę, która się za nim wstawiła. Za tamtym chłopcem, którym był.

Rozdział VII

Ksiądz Maślanka miał wielkie zmartwienie. Jego ulubioną chórzystkę z początkiem 1939 roku zwolniono z pracy. Nic nie pomogły prośby duchownego – Elżbieta Sierakowa była nieugięta.

– Sprawą Zięby zajmą się odpowiednie służby – odpowiadała. – A ja nie mogę tolerować samowoli. To dobra dziewczyna, zaangażowana. Ale nie do okiełznania i młodociana na dodatek. A mnie wypada zatrudniać pracowników wykształconych i pełnoletnich... Nie mogę ryzykować, proszę księdza, bo strach pomyśleć, co ona wymyśli innym razem.

Dla samej Ady wymówienie nie było wielką niespodzianką. Przełożona przecież niezbyt za nią przepadała i wiele razy lojalnie ostrzegała, żeby się do przepisów stosować. Ale dziewczyna nie żałowała, czuła raczej ulgę. Nie będzie musiała patrzeć tylko, nic nie robiąc, na dziecięce nieszczęścia i biedy. Martwiła się jednak tym, że znowu w domu zabraknie pieniędzy. I wciąż myślała o małym Zenku. Jak on? Czy matka przyszła do rozumu? Całe święta modliła się za to dziecko u jezuitów, bo wydawało jej się, że tam ją Bóg lepiej słyszy. Kacper z chęcią ją do Piotra i Pawła odprowadzał, a potem klęczał przy niej w zimnym kościele...

Panna Jadzia, która wieść o zwolnieniu Ady opłakała najszczerzszymi łzami, powiedziała jej, że podobno Ziębowa ma teraz duże kłopoty. Kierowniczka ochronki powiadomiła o sprawie opiekuna społecznego. Szubówna miała nadzieję, że rzuciła kamyczek, który spowoduje lawinę.

Pierwszych kilka tygodni w domu czuła się Ada jak pasożyt. Ojciec wychodził skoro świt na Podzamcze, Józia do szkoły na Świętego Marcina, Petronela na Stare Zniesienie. Matka od samego rana zabierała się do swoich zajęć gospodarskich, a kiedy najstarsza córka próbowała pomóc, wywo-

ływała falę narzekań matki, że źle, nie tak, nie w ten sposób, a to marnuje, a tamtego żałuje. Adela czuła, że jest w domu intruzem.

Pewnego lutowego popołudnia ze szkoły wróciła Józia. Wpadła do kuchni z płaczem, rzuciła książki na stół, pobiegła do pokoju i runęła na łóżko. Julia i Ada, które właśnie robiły pranie, zamarły z tarami w rękach. Na szczęście za Józią do mieszkania nieśmiało wsunął się jej nieodłączny cień – Karol, teraz zdyszany i spocony.

– Matko Boska, znowu jakie nieszczęście? – zapytała matka.

Karol wzruszył ramionami, ale miny tęgiej nie miał.

– Józia z geografii otrzymała niezadowolającą... I wygląda na to, że będzie mieć poprawkę, bo jej do egzaminów zimowych pan profesor nie dopuści – poinformował. – Tak się o nią martwiłem, że jak tylko wyszliśmy ze szkoły, poszedłem za nią. Ale ona biegła całą drogę, skubana, i ledwo dałem radę...

– Więc wygląda na to, że przynajmniej z gimnastyki będzie miała celujący – zadrwiła Ada.

Julia wytarła ręce w fartuch i usadziła Karola przy stole. Nalała mu miskę barszczu z kartoflami i postawiła kubek kompotu z wędzonych śliwek.

– Ale to cenzurka na pierwszy okres, przecież jeszcze nic straconego... – Pokręciła głową i ponownie zanurzyła dłonie w balii z mydlinami.

– Ale ja nienawidzę geografiiii i nie będę się jej uczyyyyć! – zawyła Józka z pokoju.

Matkę takie gadanie i zachowanie doprowadzało do szewskiej pasji i Adela widziała, że gdyby nie obecność absztyfikanta, Józka dostałaby mokrymi kalesonami, które właśnie z taką wściekłością matka maltretowała na tarze. Karol też chyba wyczuł, że to nie żarty. Wrąbał miskę barszczu i zaczął półgłosem opowiadać, co się właściwie stało.

– Na ostatniej dzisiaj lekcji profesor Glęba zarządził powtórzenie materiału i wziął Józię do mapy. Pytał ją z ukształtowania terenu, o to, jak Lwów jest położony... Podpowiadałem jej cały czas i nawet wiedziała sama, że na

granicy Rostocza i Podola... Ale dalej... – Karol pokręcił głową z rezygnacją – było bardzo źle.

Otóż Głęba spytał średnią Szubównę, jaka rzeka przepływa przez Lwów. Na co Józka roześmiała się i powiedziała, że przecież żadna. Myślała, że to podchwytliwe pytanie.

– Była o tym przekonana. – Kacper zawiesił głos. – Wtedy profesor spojrział na nią tak, że wszystkim się słabo zrobiło. Tym, którzy wcześniej się śmiali, też. Wyciągnął z biurka plan Horbaya, rozłożył i kazał Józce wskazać, gdzie jest ulica Świętego Marcina. Potem, gdzie Zamarstynowska się kończy. I zapytał, czy Józka tam kiedyś była. „Byłam – powiedziała – często chodzimy się tam chlapać latem w rzeczulce”. „A cóż to za rzeczulka, Szubówna, wiesz może?” – pytał dalej profesor. „Pełtew przecież – prychnęła – każdy to wie”. „To teraz powiedz, skąd ona wypływa” – poprosił. Józka długo wpatrywała się w plan. Nie mogłem jej pomóc, niestety, bo profesor srogo się klasie przypatrywał... „Spod mostku przed Zboiskami” – powiedziała wreszcie. Głęba ją wtedy posadził z banią. I powiedział, że średnio inteligentny szympans domyśliłby się, że skoro rzeka z miasta wypływa, to musi w którymś miejscu wpływać, i że ów szympans poszukałby tego miejsca. I żeby sobie Józka w domu postudiowała mapę. I poczytała o tym, dlaczego Pełtew płynie przez Lwów zamurowanym kanałem...

Kiedy Julia i Ada już się wyśmiały i uspokoiły, do kuchni wpadła Józka.

– A z czego ja się niby mam uczyć? – warknęła. – Przecież atlasu w domu nie uświadczysz! Bo nas nie stać!

– Plan Lwowa wisi na Dworcu Głównym – podrzuciła z przekąsem Ada. – A atlas możesz wziąć z wypożyczalni. Jak się pójdziesz włączyć z koleżankami do pasażu Hausmana, to się zapisz, tam mają bardzo dobrą...

Józka tupnęła z wściekłości.

– A ty się tak świetnie uczyłaś, najmądrzejsza byłaś w klasie i co? Na co ci celujące świadectwo z powszechniaka, jak nie mamy pieniędzy, żebyś poszła do gimnazjum? W nosie was mam, ot, co!

Skończywszy przemowę, porwała ze stołu pajdę kulikowskiego chleba, co to go Julia Karolowi do zupy ukroiła, i wybiegła z mieszkania. Karol po-

żegnał się natychmiast i pobiegł za nią, zabrawszy przytomnie Józiny płaszcz.

Pozostałe w domu kobiety wróciły do prania. Julii ciążyło poczucie winy, że dzieciom bytu nie potrafi zapewnić. Gdyby posłuchała księdza Maślanki i zwróciła się do krewnych o wsparcie, może dziewczęta miałyby jakąś szansę... Ale kogo miała prosić? Przecież poza Marią słabo znała swoje siostry.

Adela zaś stwierdziła, że Józka ma rację w tym, co tu przed chwilą wykrzyczała. Niegłupia z niej dziewczyna, konkretna i bezpośrednia. Rozumuje poprawnie. Ale gdyby się trochę postarała, nauka szłaby jej lepiej. A może jej się jakaś szansa dostanie? Może będzie mogła kontynuować naukę, zdobyć zawód? Wykręcając koszule ojca, popatrzyła na półkę z książkami. Skromnie się prezentowała, to prawda. Pismo Święte, *O krasnoludkach i sierotce Marysi* – nagroda szkolna za dobre wyniki w nauce, oczywiście dla Ady, kilka broszurowych wydań romansów matki, wybór wierszy z *Pana Tadeusza*, cieniutka, ale za to ładnie ilustrowana książeczka, którą dodawano jako bonus do „Prawdziwej Francka”, i to wszystko. A, jeszcze *Atlas przyrodniczy Nelki*, który dostała od Goldmana. Ale jego na półce nie było, bo siostra trzymała go przy łóżku, oglądając bez końca... Nagle coś jej przyszło do głowy. A może by tak pożyczyć atlas geograficzny od Goldmana?

Jak już rozwiesiła pościel na strychu, a drobniejsze rzeczy w kuchni przy piecu, ubrała się i pobiegła na Uciętą. Dom Goldmanów stał na końcu ulicy. Przylegał do niego na wpół zrujnowany chlewik, którego nikt już od wielu lat nie używał. Gdyby go rozebrać, posesja wyglądałaby całkiem przyzwoicie. Ale pewno nikt do tego nie miał głowy: Goldman wiecznie w pracy, jego żona za to wiecznie w domu, ale nieobecna duchem. Chlewik więc systematycznie popadał w ruinę, stanowiąc świetne miejsce zabaw dla dziewczynek Goldmanów, a także dla Neli i innych dzieci z sąsiedztwa.

Adela weszła przez zardzewiałą furtkę na podwórko i zapukała do drzwi. Nie czekając na zaproszenie, weszła do środka. W sieni panował chłód, za to w kuchni nieznośny ukrop. Sara Goldman nie była sama. Przy okrągłym

stole siedziała z nią jakaś elegancka dama. Na szydełkowej serwecie rozłożony był pasjans, a obok, na talerzu, piętrzył się stos rurek z kremem.

– A cóż ty tu, dziecko, robisz? – zdziwiła się na jej widok gospodyni. – Po Nelkę przyszedłeś? Przecież dziewczynki jeszcze w szkole.

– Wiem, pani Goldman, wiem – odparła, siadając obok eleganckiej damy. – Ja właściwie do pani. Chciałabym pożyczyć atlas geograficzny.

– O, a cóż to, wróciłaś do szkoły?

– Nie, ale Józia powinna w domu powtarzać lekcję z atlasem...

– Kochana, książki są w tamtym pokoju – Sara wskazała na lewo, a potem na prawo – i w tamtym również. A jak nic nie znajdziesz, to są jeszcze na strychu. Najlepiej, gdyby był Izaak, tylko on się w nich orientuje. Ale nie umiem powiedzieć, kiedy wróci... A jak już znajdziesz, czego szukasz, usiądź tu z nami, moja przyjaciółka postawi ci pasjansa.

W pozostałych pomieszczeniach domu było zimno. Widać Goldmanów nie było stać na opał albo Goldmanowej nie chciało się rozpalać we wszystkich piecach. Książki stały na regałach lub były poukładane w stosiki pod ścianami. I było ich mnóstwo. Ada zabrała się do szukania.

– Więc powiadasz, moja droga, że Izaak tak dużo pracuje? – doszło ją z kuchni.

– Tak, ale pożytek z tego żaden. – Pani Goldman westchnęła. – Dają mu najgorszą i najmniej płatną robotę, przychodzi wymęczony i ciągle kaszle od tych odczynników.

– A co z wyjazdem? Czy coś już wiadomo? Pisałaś może do krewnych?

– W tej chwili nie mamy na to środków... O, Adela, znalazłaś, widzę? Siadaj, siadaj, kochana. Rachela, poznaj naszą młodą sąsiadkę. Jej rodzice to dobrzy ludzie. Ada pracuje w ochronie...

– Już nie – przerwała dziewczyna. – Zwolniono mnie.

Sara wyglądała na naprawdę zmartwioną. Podsunęła Adzie słodkie ciastko na pięknym talerzyku. Pochodził na pewno z „lepszych czasów” i nie pasował do lekko zapuszczonej kuchni, w której się znajdowały.

– Jedz, Rachela przywiozła. To od Dudka, najlepsze. Jak mama?

– Świetnie, dziękuję...

Ada oceniła, że pani Goldman była dziś w wyjątkowo dobrej formie. Najwidoczniej wizyta znajomej zmobilizowała ją do włożenia czystego ubrania i uczesania się. Jej wiecznie blade i zapadnięte policzki dziś miały rumieńce, a przygaszone oczy lśniły nikłym blaskiem.

– Podobno Kotkowscy też zastanawiali się, czy nie wyjechać – kontynuowała elegantka. – Starsza pani jest jednak w takim złym stanie psychicznym, że moim zdaniem nadaje się tylko do Kulparkowa. Ale znasz Kotkowskiego, nigdy *mamele* nie odda... Więc tylko córkę wysyła do Grenoble. Ma jechać, gdy tylko pozdaje letnie egzaminy.

– Gdybyśmy mogli jechać, nie zastanawiałabym się ani dnia dłużej. – Sara przymknęła oczy.

– Lada moment będziemy tu mieć Hitlera... A wiesz, co on zrobił z niemieckimi Żydami.

– Niemieckimi, austriackimi, czeskimi... Zresztą Polacy też coraz głośniej krzyczą o żydowskiej zarazie... – Elegantka urwała, uświadamiając sobie, że przy stole siedzi Polka.

Ada uśmiechnęła się zakłopotana.

– Nie wszyscy – zaprzeczyła. – Co to za różnica, Polak czy Żyd? Dla mnie żadna. Myślą panie, że będzie wojna z Niemcami? Gazety piszą, że nie...

Pani Rachela zebrała karty ze stołu, potasowała je i rozłożyła na nowo.

– Niemcy są bojowo usposobieni – powiedziała powoli. – Maszerują, hajlują, niby po co to wszystko? Uważasz, że dla zabawy?

Przy stole zapadła cisza.

– Rachelo, a czy ty nie wspominałaś kiedyś, że Kotkowski szuka kogoś do opieki nad matką?

– Szukał, szukał... Przychodzi do nich jakaś pielęgniarka, ale tylko na kilka godzin, oporządzi starszą panią i idzie sobie.

– A może Adela by się nadawała do nich? – Sara klasnęła w dłonie. – Co? Ada, chciałabyś? Czy masz inne plany?

Dziewczyna przez chwilę zastanawiała się nad tym pomysłem. Czy chciała? Nie, ale bardzo potrzebowali pieniędzy.

– Nie mam żadnych planów. Mogłabym spróbować, czemu nie?

– U Żyda chcesz pracować? – Kacper nie był zadowolony, gdy kilka dni później powiedziała mu, że była na rozmowie u adwokata i zgodzili ją od pierwszego marca. – Przecie to wstyd.

– Jaki wstyd? Dlaczego niby? – Ada nawet nie dziwiła się, że jej Kacper tak myśli. Większość Polaków zapewne miała takie zdanie.

Kacper poprawił czapkę. Szli na ślizgawkę przy Pełczyńskiej, ale był taki mróz, że zastanawiał się, czy to dobry pomysł. Lecz młodzi pragnęli wspólnie spędzać czas, a już brakowało im pomysłów. W domu nie bardzo było gdzie, ani u niej, ani u niego tym bardziej, bo przecież jeszcze August wynajmował łóżko. Zresztą Kacper chciał Adę przytulać i całować, a w domu krzywo by na to patrzyli. Na bilet do kina nie było ich raczej stać, na kawiarnię też nie. Wymyślili więc lodowisko: niedrogo, a trzymanie się za ręce wręcz wskazane, szczególnie, gdy się nie potrafi jeździć.

– Ja wiem? Wszyscy ci to powiedzą... Bo to Żydy wszystkiemu winne.

– I jeszcze mi zaraz powiesz, że oni Pana Jezusa ukrzyżowali i przez to chrześcijanie powinni jak ognia ich unikać. Piekielnego. – Ada wzruszyła ramionami. – Kochany jesteś, ale głupi – dodała i cmoknęła go w czerwony od mrozu policzek. – Pieniądz to pieniądz. U Polaków pracowałam i nie dość, że płacili grosze, to jeszcze musiałam unikać łap tego przekłętego Erwina...

– Co takiego? – Kacper przystanął. – Jak to?

Ada pożałowała, że powiedziała zbyt wiele. Po co było wracać do tamtego?

– Dobierał się do ciebie? Tak jak do Marysi?

– Nie, nie pozwoliłam – uspokoiła go. – Nic się nie stało. Tylko próbowałam.

– Tylko próbował?! Aż próbował! – Kacper zacisnął pięści. – Czemuś nic nie mówiła?

– Poradziłam sobie, rozumiesz? Dlatego tak się zdenerwowałam, gdy się z chłopakami podśmiewaliście wtedy z Marysi... Bo to wcale nie jest zabawne. To obrzydliwe.

Przytuliła się do chłopaka. Czuła, że jest wzburzony. Czyżby jej nie uwierzył? Nie uwierzył, że się nie dała?

Stali tak kilka minut, a gdy zrobiło się naprawdę zimno, ruszyli w stronę, skąd dochodziły dźwięki walca wygrywanego przez orkiestrę wojskową. Bo na Pełczyńskiej ślizgał się człowiek romantycznie, w rytm Straussowskich kompozycji. Im bliżej byli lodowiska, tym Kacprowi bardziej poprawiał się humor. Po chwili z łyżwami przykręconymi do butów niewprawnie walcowali, mocno się przytulając i upadając raz po raz. Lecz nic im to nie przeszkadzało, taki był przecież plan...

Kamienica, w której mieszkali Kotkowscy, znajdowała się przy ulicy Szepetyckich, w pobliżu katedry Świętego Jura. Adwokata stać było na zajmowanie przestronnego mieszkania z dwoma balkonami na drugim piętrze. Pan Edward owdowiał sześć lat temu. Był zupełnie siwym, postawnym mężczyzną o poważnym spojrzeniu, które łagodniało tylko wtedy, gdy w polu widzenia pojawiała się Róża. Jedyńca była przez ojca rozpieszczona i zepsuta. Bardzo samodzielna i wyemancypowana, studiowała romanistykę na uniwersytecie. Adela polubiła ją od pierwszego dnia. Podobnie zresztą jak swoją podopieczną, osiemdziesięcioletnią panią Dalię.

– Matka miewa omamy, widzi rzeczy i ludzi, których nie ma – objaśniał Adeli pracodawca. – Trapią ją lęki, niepokoje. Czasem wpada w histerię. Wtedy trzeba podać jej lek uspokajający. Poza tym jest sprawna fizycznie jak na swój wiek. Twoim obowiązkiem będzie dotrzymanie jej towarzystwa. Pilnowanie przy posiłkach, wyprowadzanie na spacer, czytanie książek. Mama jest bardzo samotna, całymi dniami siedzi w domu, za jedyną towarzyszkę ma kucharkę lub pokojówkę. Potrzebuje uwagi, rozmowy, spaceru. Mam nadzieję, że dasz sobie radę.

Adela zapewniła, że tak.

Pan mecenas zawahał się, zanim zadał następne pytanie.

– A co u Goldmanów? Po tym przykrym... incydencie Izaakowi nie można było pomóc... Stracił wszystko, musiał się z rodziną przenieść na to zakazane przedmieście...

– Ja też tam mieszkam. Od urodzenia – uświadomiła mu.

Mężczyzna milczał, chyba trochę speszony.

– Przepraszam, nie chciałem cię urazić, moja droga.

– Nie szkodzi. Chciałam jeszcze powiedzieć, że Goldmanom bardzo pomagają ludzie z tego zakazanego przedmieścia i gdyby nie oni, ich dzieci przymierałyby głodem... – Nie potrafiła się powstrzymać.

– Dość! – Adwokat uderzył otwartą dłonią w dębowy blat masywnego biurka. – Nie zamierzam dyskutować z tobą o ludzkiej naturze. Ludzie wszędzie są tacy sami, dobrzy i źli.

– Tu się z panem zgodzę. – Adela bynajmniej się nie spłoszyła tym wybuchem. – Nie zależy to od miejsca ich zamieszkania.

Pomyślała, że nie pozwoli się obrażać, choćby miała nawet nie dostać tej pracy. Adwokat może miał żal o to, jak się we Lwowie traktuje Żydów – zwalnia z pracy za pochodzenie, na uczelniach usadza w ławkowych gettach, wyzywa od pejsatych... Czytywała gazety, wiedziała, co się w kraju dzieje. Ale faktem jest, że kiedy Goldmanowie zamieszkali na Zniesieniu, nie pomógł im żaden z dawnych dobrze sytuowanych przyjaciół tej samej co oni narodowości. Bo cóż to za wsparcie – rurki z kremem, gdy podczas ostrej zimy nie ma czym ogrzać domu? Śmiechu warte! Zajęli się nimi sąsiedzi, tak samo biedni jak oni. Polacy, Ukraińcy, Białorusini i inni ubodzy Żydzi.

Pan adwokat patrzył na Adę bez słowa, a potem wybuchnął śmiechem.

– Podobasz mi się, dziewczyno – powiedział. – Masz charakter jak moja Różyczka. Będzie miała z ciebie matka pociechę.

– Moja czy pańska? – rzuciła Ada.

Kotkowski znowu się zaśmiał i ręką wykonał gest wyganiający Adele z pokoju.

– Idź, panno narowista, zanim ty czy ja powiemy o jedno słowo za dużo. Mam robotę – oznajmił i sięgnął po jakieś dokumenty.

W ten sposób najstarsza Szubówna dostała najlepiej płatną posadę w swojej dotychczasowej karierze, gdyż jej miesięczna pensja wynosić miała sto czterdzieści złotych. Ojciec na kolei zarabiał niecałe dwieście. W związku z tym mogła sobie pozwolić na komfort dojeżdżania do pracy tramwajem, co bardzo się jej podobało. Wysiadała na Gródeckiej i, brnąc przez skrzypiący na mrozie śnieg, spacerem docierała na Szeptyckich. Mijały ją rozdzwonione sanie, których zimą pojawiało się na ulicach sporo, siedziały w nich elegancko ubrane panie i panowie. Potrącały dzieci, próbując biegiem dotrzeć do szkoły przed dzwonkiem, służące z pustymi jeszcze koszykami, zmierzające do sklepów po szponder na obiad... Podobał jej się ten ruch i to, że ona też jest częścią tętniącego życiem miasta.

Pani Dalia wydała się Adzie uroczą, miłą i kruchą staruszką. Aż do pierwszego „ataku”, kiedy to, biorąc nową opiekunkę za złodziejkę, broniła się z taką siłą, że dziewczyna ledwo dała radę. Na szczęście napad miał miejsce w domu i Szubównie jakoś udało się starszą panią okiełznać. Zadzwoiła zaraz po lekarza (kucharka musiała zademonstrować jej, jak się używa telefonu), który przyjechał i zrobił starszej pani zastrzyk. Spała po nim kilka godzin, a następnego dnia znowu była miłą i delikatną babcią Dalią.

Z czasem Ada nauczyła się rozpoznawać, kiedy może dojść do ataku. Jej podopieczna stawała się wtedy nerwowa i bardzo pobudzona, z ożywieniem opowiadała o znajomych, którzy dawno nie żyli, tak jakby stali tuż obok. Wtedy trzeba było mieć się na baczności i uważać, bo staruszka potrafiła znienacka zaatakować nożyczkami lub szydełkiem. I, broń Boże, nie wychodzić na spacer, między ludzi.

Gdy pod koniec marca nadeszła odwilż i w parkach oraz na skwerach Lwowa nieśmiało rozgaszczała się wiosna, największą frajdą stały się dla Ady spacerzy ze starszą panią po ogrodzie Jezuickim lub parku Stryjskim,

do którego musiały dojeżdżać tramwajem. W dodatku pan adwokat Kotkowski płacił jej za to. Pani Dalia brała ze sobą robótkę i gdy się ociepiło, godzinami dziergała na ławce, prosząc Adę, by jej na głos czytała gazety lub popularne powieści. Do najulubieńszych autorów pani Kotkowskiej należeli Dołęga-Mostowicz, którego *Znachora* czytały dwa razy, a także Irena Zarzycka z *Dzikuską* czy *Panną Irką*. Kiedy oczy starszej pani się zmęczyły, odkładała szydełko i wystawiając pooraną setką zmarszczek twarz do słońca, słuchała uważnie, powtarzając co rusz, że za czasów jej młodości to by nie wypadło, a tamto tym bardziej...

Duże wrażenie na Adzie robiło mieszkanie Kotkowskich. Wysokie, przestronne pokoje, sufity ozdobione stiukami, wszędzie elektryczność, w kuchni gaz i ciepła woda. Meble porządne, ciężkie, na parkietach puszyste dywany. Mieszkanie cioci Maryni i wuja Jana na Zielonej, które Ada miała dotąd za bardzo eleganckie, wypadło blado przy tym adwokackim. No cóż, mąż cioci był tylko emerytowanym inżynierem kolei...

W bawialni na fortepianie leżało zawsze mnóstwo ilustrowanych czasopism, takich jak „Bluszcz”, „Moja Przyjaciółka”, „Gazeta dla Kobiet” czy „Czasopismo Przyrodnicze”. Kiedy podopieczna Ady drzemała po obiedzie, dziewczyna przeglądała je z wypiekami na twarzy. Raz tak się zaczytała, że nie zauważyła Róży, która od dłuższej chwili przyglądała się jej, rozsiadłszy się w obitym zielonym pluszem fotelu.

– Ciekawe to, co czytasz? – zapytała rozbawiona córka pracodawcy.

Adela analizowała właśnie list od czytelniczki przysłany do redakcji „Mojej Przyjaciółki”. Jakaś niezaradna życiowo młoda mężatka opisywała, jak trudno jest jej przeżyć za trzysta złotych miesięcznie i ile musi sobie od ust odjąć, żeby móc wyprawić raz w tygodniu wystawne przyjęcie dla znajomych, bo uwielbia towarzystwo i nie zniosłaby, gdyby jej nie zapraszano, więc i ona musi zapraszać...

– Piszą o ciężkim losie bogatych kobiet – odparła, lustrując córkę mecenasa.

Róża była naprawdę piękna. Kruczowłosa i czarnooka, o kocich ruchach i niskim, hipnotyzującym głosie, wyglądała jak heroina z ekranu. Sukienka

z lekkiej beżowej tkaniny odsłaniała mlecznobiałą skórę szyi i dekoltu. Zebrane obficie rękawki poszerzały dziewczynę w ramionach i sprawiały wrażenie, że jej wąska talia jest jeszcze węższa. Ada natychmiast postanowiła poprosić matkę, żeby jej skroiła podobną z tego materiału, który dostała w prezencie od cioci Peli.

– A jest ci on obcy, gdyż?

– Gdyż nie jestem bogatą kobietą. W przeciwnym razie nie musiałabym codziennie po obiedzie parzyć dla babci panienki ziółek na niestrawność...

Dziewczyna prychnęła, teraz zupełnie już przypominając kotkę. Rozsiała się wygodnie w fotelu i założyła nogę na nogę.

– Przestań z tą panienką. Jestem Róża. Rojza właściwie, ale zdaje się, że polskie uszy są uczulone na żydowskie imiona, więc... Tylko babka mówi do mnie Rojza. A ty jesteś Ada? Od Adrianny?

– Od Adeli.

– Też ładnie. – Róża z uśmiechem przechyliła głowę i przyglądała się Adzie z zainteresowaniem. – Mój tatko postanowił chyba mieć ogródek w domu. Babka Dalia – choć na to wpływu nie miał, ja Róża, a moja matka Narcyza. Śmiesznie, co?

– Rzeczywiście – przyznała Ada. – A ja mam dwie siostry i każda z nich miała być chłopcem, więc ojciec wymyślił dla nich męskie imiona. Miał być Józek, jest Józefina, miał być Piotr, jest Petronela... Dlaczego tak mi się przyglądasz?

Szubówna zirytowała się, bo Róża wpatrywała się w nią niemal bezczelnie. Dopiero z czasem zorientowała się, że nie robi tego umyślnie, po prostu taki ma sposób bycia.

– Wydaje mi się, że gdzieś cię już widziałam – oznajmiła w końcu z namysłem. – Nie u nas w domu, tylko jeszcze wcześniej...

– Może w kościele? – podsunęła Ada, zbyt późno zdając sobie sprawę z gafy, którą popełniła.

– Ha, ha, ha, a to dobre! – Róża śmiała się serdecznie, odchylając do tyłu kształtną głowę. – A może w synagodze Pod Złotą Różą? Od lat tam nie by-

wamy... Podobasz mi się, zadziorna jesteś... Ale gdzie ja cię mogłam spotkać?... Te twoje zielone oczy pamiętam... Na Pełtewnej? Na ślizgawkę zimą chodziłaś? Tak! Z takim wesołym chudym przystojniakiem, prawda? To twój kawaler?

W pierwszym momencie Ada chciała zaprzeczyć, bo gdzie Kacper jej kawaler? Ale po chwili przytaknęła.

– Sypiacie ze sobą? – Kruczowłosa świdrowała ją wzrokiem, aż zaboląło. Na policzki Adeli wypłynął rumieniec.

– Ooo, widzę, że chyba zadałam zbyt osobiste pytanie. – Róża znowu zachichotała. – Nie musisz odpowiadać. Wybacz mi.

Na szczęście w tym momencie do bawialni dobiegł dźwięk dzwonka, którym starsza pani wzywała opiekunkę. Ada podniosła się i poszła do niej. W tym czasie Róża gdzieś przepadła i więcej się już tego dnia nie widziały.

Jakiś tydzień później Róża poprosiła Adę do siebie. Pokazała jej wielką walizkę stojącą na środku malinowo-szarej sypialni.

– Robiłam porządki w szafach – oznajmiła. – Te rzeczy odłożyłam dla ciebie. Powinny pasować, ewentualnie wymagają lekkiej przeróbki.

Adela patrzyła onieśmielona. Róża chce jej oddać swoje ubrania? Czy powinna je przyjąć?

– Nie wiem, czy to wypada – powiedziała ostrożnie.

– Wypada, Ada, wypada! – zaśmiała się młoda Kotkowska. – Chyba że nie chcesz tych rzeczy, wtedy sprzedam na Krakidałach! Tylko proszę, oddaj mi potem walizkę, bo to największa, jaką mam.

Adela wyszeptała „dziękuję” i walizkę zabrała do domu. Wieczorem w pokoju od podwórka wyciągała z nabożeństwem każdą sztukę garderoby i przymierzała w obecności Julii oraz sióstr.

– Boże, jakie to jest piękne! – Józka przytulała do twarzy jedwabny szlafroczek w kolorze lilaróż, całkiem dobry jeszcze, tylko w jednym miejscu miał dziurkę wypaloną papierosem.

– Ja ci to, córcia, zaceruję, nie martw się, i będzie jak nowy – zapewniała Julia, a w końcu ona się najlepiej znała na robótkach ręcznych. – Tylko kup

gdzie w mieście nici jedwabnych, takich najcieńszych.

Petronela wachała apaszkę przypominającą kolorem wiosenną mgiełkę.

– Jakie piękne perfumy! – jęczała zachwycona. – To chyba piżmo, mamó, czy to piżmo? Wiecie, że tę substancję wydziela jeleni piżmowy? To gatunek zamieszkujący Syberię...

– A co to kogo obchodzi? – warknęła Józka. – Słuchaj, a czemu właściwie ona ci to wszystko dała?

Ada wzruszyła ramionami. Oglądała właśnie parę jedwabnych pończoch delikatnych jak pajęcza nić i zastanawiała się, co by powiedział Kacper, gdyby włożyła je w niedzielę do kościoła.

– Ona jest dziwna – stwierdziła wreszcie. – Czasem zarozumiała, a czasem do rany przyłoż. Bardzo nierówna. Jakby siedziały w niej dwie osoby... Pani Dalia, jej babka, mówi, że jej wnuczkę męczy dybuk. Ona mocno w to wierzy.

– Wiem, co to! – ucieszyła się najmłodsza Szubówna. – Czasem mama Goldmanek też ma w sobie dybuka. Tak mówi dzieciom. I że ją kiedyś zamęczy na śmierć ten duch nieczysty.

Julia popatrzyła badawczo na Nelkę i pomyślała, że może lepiej by było, gdyby czas po szkole wszystkie trzy dziewczynki spędzały u nich, a nie na Uciętej, w towarzystwie tej nawiedzanej Sary...

– Ubrania są naprawdę piękne – powiedziała głośno. – Niektóre poprzerabiam i będę w sam raz na Józefinkę, o, może ta bluzka na przykład? Tylko jak my się pannie Róży odwdzięczymy?

Okazja nadarzyła się prędzej, niżby się Ada spodziewała.

Adwokat Kotkowski musiał po Wielkanocy wyjechać na kilka dni w interesach do Warszawy. Róża postanowiła wtedy urządzić przyjęcie dla swoich znajomych.

– Ktoś musi w tym czasie zająć się babką – stwierdziła. – Przyjdziesz, Ada? Posiedzisz z nią, przypilnujesz, żeby nam tu w drogę nie wchodziła, a jak się zdarzy okazja, to zajdziesz do nas się pobawić, co?

Nie mogła odmówić, pamiętając, jaki prezent dostała wcześniej. Jedyny problem był taki, że przyjęcie Kotkowskiej wypadło czternastego kwietnia, w piątek, a to był dzień jej osiemnastych urodzin. W domu się jakoś z tego powodu nie zmartwili, ale Kacper był bardzo niezadowolony.

– Chciałem cię zabrać na lody i do kina – wściekał się. – To miał być nasz dzień!

– Kacperku, ja idę do pracy – upierała się. – Nie mogę sobie pozwolić, żeby znowu stracić posadę...

Nie powiedziała mu, że robi to zupełnie za darmo.

W swoje urodziny Adela ubrała się w nową sukienkę, którą uszyła jej Julia.

– Wyglądasz jak królowa – szczerze pochwaliła Nelka, gdy siostra przeglądała się w lustrze na drzwiach szafy.

Tego dnia postanowiła też wyjątkowo starannie ułożyć włosy, a nawet uszminkować usta, choć po namyśle starła mazidło, bo wydało jej się, że wygląda zbyt wulgarnie. Przecież ona i tak miała tylko zajmować się babką Dalią.

Zżerała ją ciekawość, jak też może wyglądać takie przyjęcie w towarzystwie z wyższych sfer, więc na Szeptyckich biegła tego dnia jak na skrzydłach. W poprzednim tygodniu Róża nauczyła ją obsługiwać gramofon, zupełnie nowy sprzęt w domu. Adela, która była bardzo muzykalna, nie mogła się oderwać od słuchania płyt. A Kotkowscy mieli same szlagiery: Wierę Gran, Żabczyńskiego, Fogga, Ordonkę i dużo zagranicznej muzyki.

W południe posłańcy przynieśli przekąski od Teliczkowej. Adela razem z kucharką rozkładały na lśniących tacach tartinki z pastą z mózdzku, łososia i kawioru, gotowane szparagi zawijane w plastry pachnącej wędzonej szynki i kruche pierożki z grzybami. Od Zalewskiego przyniesiono dwa torty, jeden czekoladowy, drugi biały z bitą śmietaną.

Kiedy starsza pani Kotkowska położyła się jak zwykle po obiedzie, Róża z pomocą Ady zwinęła dywan w salonie, a potem nastawiła gramofon.

– Kubańskie tango, znasz? – zapytała.

Ada знаła, i owszem, z radia, które na Szczepanowskiego prawie stale było włączone.

Gospodyni, ubrana w skąpy szlafroczek, jeszcze nie przebrana na wieczór, stanęła na środku pokoju i wyciągnęła ręce w zapraszającym geście.

– Chodź, potańczymy, zanim się zejda tłumy i na parkiecie będzie tłok.

– Ale ja nie umiem właściwie tańczyć – zmartwiła się Ada.

– Daj spokój, chodź. – Róża położyła sobie jej prawą rękę na ramieniu, drugą ujęła przed sobą. – Rób to co ja: do tyłu, do przodu, dostawiamy. Do tyłu, do przodu, dostawiamy... Świetnie! A teraz uwaga, obrót! Tak jest!

Dziewczęta kręciły się w tańcu, szczerze się zaśmiewając. Adzie zawirowało w głowie od obrotów.

– Mam dziś urodziny – powiedziała, gdy płyta się skończyła i usiadły zdyszane na zrolowanym pod ścianą dywanie.

Młoda Kotkowska popatrzyła z niedowierzaniem.

– Naprawdę? Czemu nic nie mówiłaś? Ojej, nie wolałabyś spędzić ich z bliskimi? Gdybym wiedziała...

Adela ścisnęła jej dłoń i potrząsnęła przecząco głową.

– Nigdy wcześniej nie byłam na żadnym podobnym przyjęciu. To mój pierwszy bal, wyobraź sobie. Nic nie szkodzi, że głównie będę z panią Dalią w jej pokoju...

Róża zerwała się na równe nogi.

– Nie mam dla ciebie prezentu! – Popatrzyła na nią z namysłem, pobiegła do sypialni i po chwili przyniosła jej jedwabny szal w pięknym zielonym kolorze.

– Będzie podkreślał barwę twoich oczu – powiedziała, zarzucając go Adzie na szyję. – No, lecę się przebrać, bo za godzinę zaczną się schodzić goście.

Za oknem zaczęło się już ściemniać, gdy starsza pani Kotkowska powiedziała, że już nie chce słuchać *Trędowatej*, bo morzy ją sen i pragnie się położyć.

– Nie będzie pani muzyka przeszkadzała? – zaniepokoiła się Ada, bo gwar zabawy przenikał do pomieszczenia.

– Przecież ja się kładę w czepku, moja droga. Pomóż mi się przygotować do snu i idź się bawić z młodymi...

Adela posłusznie spełniła jej prośbę. Gdy staruszka leżała już w łóżku, pożegnała się i poprawiwszy włosy przed lustrem w przedpokoju, weszła do salonu.

Na środku pokoju tańczono. Na kanapach, fotelach i przy stole siedzieli rozbawieni młodzi ludzie, jedli, pili, palili i śmiali się, rozmawiając. Przeszkłone drzwi do bawialni były otwarte, a przy fortepianie siedział... Abel! Ada nie mogła uwierzyć własnym oczom. Co on tu robił?

– O, Adunia, wreszcie cię babcia uwolniła! – zawołała na jej widok Róża.

Podeszła do niej, podając jej kieliszek wina.

– Twoje zdrowie! – wzniosła toast. Rozbawiona powędrowała wzrokiem za jej spojrzeniem. – Abel cię interesuje? Nie tylko ciebie, wyobraź sobie. Nasz artysta...

– Nie, to nie to – zaprotestowała Adela, czując, że się czerwieni. – Po prostu go znam... Z widzenia. Raz w ochronce, w której pracowałam...

Ale Róża już nie słuchała. Pobiegła do kolegi, który właśnie otwierał szampana.

Abel brzdąkał coś bez przekonania, bo i tak zagłuszał go gramofon ryczący nie najnowszy, ale wciąż modny przebój *Sonny boy*, a wtórujący mu chłopak śpiewał *senny boy*, mając na myśli Boya-Żeleńskiego. Muzyk wyglądał na lekko znużonego. Pomyślała, że podejdzie i powie, że go zna i widuje na Żółkiewskiej. Już ruszała, kiedy ktoś złapał ją za łokieć.

– Serwus, a skąd się tu sąsiadka wzięła?

Obok stał akademus od Suczajów, czyli August, student filozofii oraz filologii wynajmujący łóżko u matki Kacpra. Ucieszyła się na jego widok, może nawet bardziej niż powinna.

– Ja tu pracuję – poinformowała. – A ty co tu robisz?

Gustek uśmiechnął się zawadiacko.

– Ja jestem wszędzie tam, gdzie się można najeść za darmo – odparł. – Jeśli nazwiesz mnie darmozjadem, to się nie obrażę. Cała prawda o mnie! A tak serio, to znamy się z Różą przez wspólnych kolegów. Zresztą kto by Róży nie znał?

Chłopak wyrwał jej z ręki kieliszek, odstawił na stolik i porwał do tańca. Nawet nie zdążyła zaprotestować, a już kręciła się z nim w rytm przeboju *Nocny pociąg, trzecia klasa*.

– *Ta co pan buja, ta ja zy Lwowa, ta daj pan spokój, ta ja si na tym znam...* – śpiewali goście, potracając się w tańcu, bo nagle pokój zrobił się za mały na tyle wirujących par.

August nie chciał wypuścić Ady z ramion. Po trzecim tańcu jego dłonie zaczęły błędzić poniżej pleców dziewczyny, gładziły gładki materiał sukienki opinający się na pośladkach. Gustek przyciskał partnerkę coraz mocniej do siebie. Jego usta raz po raz niebezpiecznie zbliżały się do jej ust, Ada wyraźnie czuła w jego oddechu winny aromat. Próbował muskać jej uszy, wachał włosy... Wreszcie wyrwała mu się i uciekła na balkon, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Ale on poszedł za nią.

– Ślicznie dziś panna Ada wygląda – komplementował, przysuwając się ciut zbyt blisko jak na jej gust. – Że też nie zauważyłem wcześniej, jaki skarb mam pod nosem.

– Chyba nad – zauważyła dziewczyna, mając na myśli to, że mieszka z rodzicami na piętrze.

Objął ją w pasie, choć próbowała się wyrwać, przycisnął do barierki... Już miała mu dać po pysku, żeby jednoznacznie określić swój do niego stosunek, gdy nagle obok jej głowy świsnął kamień i trafił w szybę, na szczęście nie tłukąc jej. To ostudziło nieco zapędy Gustka. Spojrzeli oboje w dół, na ulicę. Na chodniku stał Kacper.

– Adela! – krzyczał. – Adela!

– Ot, wariaty, co robią dramaty – podsumował rozbawiony August. – Idź, biegnij do swojego kolejarza...

Ada przecisnęła się przez tańczących w salonie i wybiegła z mieszkania. Kacper stał na chodniku, wściekły do granic możliwości. Pociągnęła go za rękę i poszła chodnikiem dalej, nie chcąc, żeby ktoś z mieszkania Kotkowskich ich widział. Ulica była pusta i cicha o tej porze, tylko z otwartych drzwi balkonowych słychać było odgłosy zabawy.

Po kilku metrach Kacper wyrwał się.

– To ty taka? Kłamliwa bladź? – wycedził przez zęby. – Tak pracujesz? Tak? A ja ci prezent przyniosłem, żałowałem, że urodziny w robocie spędzasz...

Ada nie wytrzymała i dała mu w pysk.

– Durny ty! – krzyknęła. – Jak mówię, że jestem w pracy, to jestem. Zajmowałam się starszą panią, bo Róża przyjęcie wyprawiała.

– I nic nie powiedziałaś? Dlaczego?

– A dałbyś wiarę?

Kacper nie odpowiedział. Ruszyli w milczeniu przed siebie. Gdy mijali ogród Jezuicki, rozpadał się deszcz.

– A ten student gołodupiec co tam robił?

– W gości przyszedł. Różę zna i tyle...

– Adela, mówisz prawdę?

Jak bohaterka powieści, które czytywała babce Kotkowskiej, Ada postanowiła zamknąć mu gębę pocałunkiem. Najpierw oniemiał, potem wściekle wpił się w jej usta, gryząc wargi jakby w zemście za to, co się przed chwilą wydarzyło. Dłońmi przytrzymał jej głowę, burząc palcami misternie ułożone fale, teraz zupełnie mokre od deszczu. Strumyczki wody płynęły po jej szyi, zmoczona doszczętnie sukienka przylegała ściśle do ciała, podkreślając apetyczne krągłości. Kacper poczuł, że traci wszelkie hamulce, i wsunął rękę pod mokry materiał dekoltu. Dotknął jej piersi, dopasował dłoń do jej kształtu. Naparł na nią mocniej, czując, że zaraz zwariuje. Oderwała się od niego, patrząc mu pytająco w oczy.

– Jesteś piękna... – wyszeptał wprost do jej ucha.

Po raz pierwszy Ada pozwoliła mu na takie odważne pieszczoty. Zatracała się i poddawała im zupełnie, nie myśląc, do czego to wszystko prowadzi...

– Pozwolisz mi? – upewniał się raz po raz, patrząc w jej zielone, rozszerzone pragnieniem źrenice.

Kiwnęła głową. Powoli, drżącymi dłońmi zaczęła rozpinać mu koszulę. Kacper sięgnął do jej uda, podciągnął moką spódnicę... Zadrżała. Przytknęła oczy i pozwoliła, by dreszcz raz jeszcze wstrząsnął całym jej ciałem. I jeszcze. I jeszcze.

Rozłożyli marynarkę Kacpra na mokrej trawie w parku, w ciemnym miejscu, pod wielkim grabem. I tak całkowicie przemokła. Ale im wcale to nie przeszkadzało.

Kacper zdjął koszulę. Jego mokra skóra lśniła blado w słabym świetle dalekiej latarni. Ada dotknęła jego ramion i karku. Wyczuwała napięte mięśnie. Nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi, jak pięknie jest Kacper zbudowany. Jej palce sunęły po śliskiej skórze, przecierając miłosny szlak. Pomyślała, że to dziwne – przed chwilą bliskość Augusta wywołała u niej tylko obrzydzenie. Dotyk Kacpra zaś podniecał i rozpalał jej namiętność.

Materiał sukienki był zupełnie mokry i przez to Adzie nie udało się jej zdjąć. Kacper więc całował jej piersi przez sukienkę. Pieścił mokry dekolt, gładził jej uda, pośladki i każdy inny fragment ciała, do którego udało mu się dotrzeć mimo tekstylnego utrudnienia. Jego palce też wytyczały zupełnie nowe szlaki, szlaki, które oboje zaprowadziły do wspólnego celu...

Potem i on, i ona byli trochę zawstydzeni i speszeni. Przemoczeni do suchej nitki, objęci, szli przez puste lwowskie ulice. Za nic nie wsiedliby teraz do tramwaju, nawet gdyby jakiś przyjechał. W milczeniu przeżywali to, co się przed chwilą między nimi wydarzyło.

Na Szczepanowskiego dotarli przed północą. Bez słowa pożegnali się w sieni kamienicy, a potem każde z nich zniknęło w swoim mieszkaniu.

Rozdział VIII

Maj na Zniesieniu zawsze był jakiś taki odświętny. W maju na przedmieściu chciało się żyć. Wzgórza za sztreką stroiły się w świeżą zieleń traw, w której kwitły jaskry, stokrotki, fiołki, mlecze... Nawet nasyp kolejowy się umajał za sprawą kwitnącego blado, lecz obficie krzaka dzikiej róży. W przydomowych ogródkach zaczynały pachnieć bzy i jaśminy.

W maju zaczynały się nabożeństwa maryjne, a ponieważ kościół Saletynów przy Nowozniesieńskiej wciąż jeszcze nie był ukończony, śpiewane przez wiernych żarliwe słowa litanii loretańskiej niosły się na całą dzielnicę.

Kwitły i dziewczyny z przedmieścia.

Polda, chyba dzięki swojej tajemniczej miłości, stała się w pełni świadoma swojej urody. Wiedziała, co podkreślić, a co ukryć. Piękne ubrania, które ostatnio nosiła (ludzie gadali, że to prezenty od gacha), zrobiły z niej prawdziwą młodą damę, choć przecież podobno nie szata zdoła ozdobi człowieka. Jej młodsza siostra Otylia też zapowiadała się na piękność, brakowało jej tylko pewności siebie. Ojciec śmiał się, że całą zabrała starsza siostra.

Dla Adeli tegoroczny maj był okropny. Po tamtej nocy z Kacprem obawiała się najgorszego i niecierpliwie odliczała dni do terminu, w którym powinno się pojawić comiesięczne krwawienie. Kacper też się denerwował, ale zapewniał dziewczynę, że gdyby zaciążyła, to on się z nią ożeni. I tak by się ożenił, ale w takim wypadku nastąpiłoby to o wiele szybciej. Jednak jego gadanie tylko doprowadzało Adę do furii.

Józia bardzo przez zimę wyrosła i wyładniała. Z małej dziewczynki powoli stawała się kobietą. Jej kręcone włosy pojaśniały od majowego słońca. Opalona i szczupła gnała przez Zniesienie i Żółkiewskie na swojej białej

kozie, a chłopaki strzelały za nią oczami. Karol nie odstępował jej na krok. I dobrze. Zdaniem Adeli Józefina potrzebowała dodatkowego anioła stróża, bo jej własny nie dawał już rady. Z tą dziewczyną były trzy światy...

– A co ty, już w domu? – zdziwiła się pewnego razu Julia, widząc, że Józia opiera swój rower o płot i wchodzi przez furtkę. Korzystając z ciepłego dnia, rozwieszała prześcieradła na sznurze.

– Nowy pan od śpiewu mnie wyrzucił z klasy – odparła zadowolona z siebie. – A to ostatnia lekcja, więc przyszedłam do domu.

Julia załamała ręce.

– Dziecko, czy teraz, kiedy poprawiłaś się z geografii, grozi ci nieodpowiednia ze śpiewu?

Józka wzruszyła ramionami.

– Pan kazał mi zaśpiewać piosenkę, więc zaczęłam śpiewać. Przerwał mi i powiedział, żebym przestała się wygłupiać i spróbowała jeszcze raz. Więc zaśpiewałam. Wtedy zatkał sobie uszy, a potem wyrzucił mnie z klasy. A, i jeszcze wpisał uwagę do dzienniczka, musi mama podpisać... – przypomniała sobie i wyciągnęła z teczki zeszyt.

Matka popatrzyła badawczo na średnią córkę. Czy co rusz musi się jej przytrafiać coś takiego? Swoją drogą, to jej jako jedynej ze wszystkich córek słoń nadepnął na ucho. Fałszowała nawet, śpiewając *Sto lat*... Trzeba będzie napisać do tego nauczyciela i wyjaśnić, bo jak ją tak będzie wyrzucał z klasy co lekcję, to nie zaliczą jej śpiewu ze względu na zbyt dużą absencję.

– Idź do domu, zaraz ci pierogi odsmażę – powiedziała, kręcąc głową.

– Niech mama więcej odsmaży, bo zaraz Karol przyjdzie – przypomniało się nagle Józii. – Na pewno się o mnie martwi i zaraz przyleci...

Nie myliła się, szelma. Przyleciał, a jakże.

Zawsze na początku maja rodzina Szubów miała do spełnienia przykry obowiązek. Otóż trzeciego wypadały imieniny cioci Maryni. Ciotka nigdy nie zapraszała ich razem z innymi gośćmi, tylko kilka dni później po głównym

przyjęciu. Na pewno wstydziła się ubogich krewnych, którzy nie pasowali do jej sąsiadek lub innych pań inżynierowych czy dyrektorowych. Zawsze przysyłała zaproszenie pocztą i termin był nieodwołalny.

W dniu wizyty w domu od rana panowała nerwowa atmosfera. Julia prasowała starannie koszulę Pawła, jakby siostra planowała policzyć wszystkie przeoczone zagniecenia. Czesła starannie Nelkę, zaplatając jej bardzo ciasno warkocze, tak że żaden kosmyk nie miał prawa się wymknąć, i wiązała kokardy z białej, wykrochmalonej płóciennej wstążki.

Ponieważ nie bardzo już miała wpływ na to, co założą jej najstarsze córki, zajmowała się troskliwie sobą. Gdy tym razem popatrzyła na swoje odbicie w lustrze, ogarnął ją smutek. Trudy życia wyłobiły na jej twarzy głębokie bruzdy wokół ust i na czole. Ułożone starannie włosy rozświetlały srebrne nitki i wydawało się, że ich kolor się rozjaśnił. Nigdy nie była próżna, ale zawsze uważała, że ma piękne, kształtne usta. Od kilkunastu lat niezmiennie dziwiła się, gdy widziała w swojej twarzy zamiast pełnych, karminowych warg, dwie wąskie, zaciśnięte kreski. Usta zestarzały się w jej twarzy pierwsze. Julia nic nie mogła poradzić na to, że ma twarz starej kobiety, zmęczonej codziennością pięćdziesięciodwulatki. Tylko jej oczy tak jak dawniej lśniły zielonym blaskiem.

Westchnęła i z rezygnacją zapięła pod stójką swojej jedynej wyjściowej bluzki staromodną kameę z masy perłowej. To była jej jedyna pamiątka po matce i oprócz cieniutkiej złotej obrączki najpiękniejsza rzecz, jaką miała.

Na Zieloną jechali tramwajem z przesiadką. Marynia mieszkała w domu z ogródkiem i dziewczynki zawsze modliły się, by w dniu imienin pogoda była odpowiednia do przebywania w nim. To ratowało je od siedzenia przy stole w jadalni z nudnym jak flaki z olejem starym wujem Janem. Tym razem im się udało, słońce świeciło od rana. Jadąc przez niedzielny Lwów, mijali wystrojone, spacerujące rodziny. Dzieciaki ganiały, liżąc lody lub gryząc obwarzanki. Bzy i czeremchy kwitły jak szalone, do tramwaju wpadał ich oszałamiający zapach, a młoda zieleń liści malowała miasto jak na święto.

Od przystanku na Zielonej trzeba było jeszcze sporo przejść piechotą, to też Szubowie dotarli do Maryni dość zdrożeni. A także zmęczeni nerwowymi upomnieniami matki, żeby u cioci, broń Boże, czegoś nie stłukli, nie zniszczyli i nie zabrudzili.

– O, kogo ja widzę! – ucieszyła się ciocia, otworzywszy drzwi.

Weszli do jadalni, zostawiając buty w przedpokoju. Przykryty obrusem stół zastawiony był już do obiadu. Gdy tylko usiedli, przyszedł wuj, a także dwudziestoletni syn ciotki, Stanisław. Wuj Jan miał także córkę z pierwszego małżeństwa, ale ona nigdy nie bywała na imieninach macochy. Chyba że w tym pierwszym terminie...

– Jedzcie, kochani, jedzcie, rosół na kurze z Krzywczyc utuczonyj specjalnie na tę okazję... – zachwalała ciocia.

– Pyszny, Maryniu, zresztą jak zawsze – komplementował Paweł.

– Czy można dokładkę? – zapytała Nela, jak zwykle głodna za dwóch.

Ciocia dołała zupy z wazy i Nela, uradowana, pochłaniała ją ze smakiem.

Potem wjechał na stół cielecy mostek faszerowany, który był naprawdę pyszny i nawet Adela musiała to przyznać.

Po obiedzie wszyscy ruszyli do salonu na kawę i tort makowy. Po deserze wuj i ojciec poszli na ławeczkę do ogrodu zapalić, a Julia i ciocia dyskutowały o reszcie rodziny, której to Szubówny nigdy nie miały okazji poznać, więc średnio je ta rozmowa interesowała. Ada co raz patrzyła na zegar z kukułką, ale jak na złość jego wskazówki przesuwwały się tego popołudnia bardzo wolno.

Do Ady przysiadł się kuzyn Staszek. Nie bardzo go lubiła, odkąd w dzieciństwie uwaliał się w kałuży, a potem naskarżył, że to jej robota. Staś był przemądrzały, studiował antropologię i w poprzednich latach dawał kuzynkom wykłady o eugenicie jako nauce przyszłości.

– Podobno pracujesz u adwokata Kotkowskiego – zagadnął.

– Prawda. Opiekuję się jego mamą – odparła, zastanawiając się, gdzie jest haczyk.

– A czy ty wiesz, droga kuzynko, jak brzmi prawdziwe nazwisko tego, pożał się Boże, prawnika? – drażył, a ona od razu domyśliła się, co go boli. – Katz. A jego córka to...

– Rojza, wiem.

– Wiesz? I tak spokojnie o tym mówisz? – oburzył się. – Jak ci nie wstyd służyć u Żydów? Jesteś Polką, powinnaś mieć swoją dumę! Żydzi nas wykorzystują...

– Naszą naiwność? Jako narodu? – przerwała mu niewinnie.

– Polacy nie są naiwni. Ale powinni wziąć przykład z Niemców, którzy zrobili porządek ze swoimi Żydami – uciał. – I mam nadzieję, że naszemu narodowi otworzą się oczy, zanim będzie zbyt późno, zanim to pasożytnicze plemię wysie z nas całą krew...

Józka, która słuchała rozmowy z pewnego oddalenia, parsknęła śmiechem.

– Staszku, z ciebie jest prawdziwy poeta – skomplementowała go, ale to go rozzłościło jeszcze bardziej.

– Nie powinienem oczekiwać, że proste dziewczyny rozumieją, na czym polega dobro kraju – podsumował.

Ada postanowiła sobie w duchu, że to już ostatnie imieniny cioci, które spędza w tym domu. Skąd miała wiedzieć, że jej postanowienie spełni się co do joty?

Kiedy Nelce odmówiono trzeciej dokładki tortu, zaczęła się nudzić. Nagle wyszła na środek pokoju i powiedziała, że ma dla cioci niespodziankę i teraz będzie występ. Julia przypomniała sobie, jak przed Pelą wyśpiewywała o pannach z Łyczakowa i modliła się w duchu, żeby córka nie postanowiła powtórzyć sukcesu tamtego szlagieru. Ale Nela zapowiedziała, że powie wierszyk. Ukłoniła się i zaczęła recytację:

Murzynek Bambo w Afryce mieszka,

Ciemną ma skórę ten nasz koleżka...

Julia odetchnęła z ulgą i gdy Nela skończyła, z entuzjazmem biła jej brawo.

– A jak pani w szkole zapytała, kto chciałby siedzieć z Murzynkiem Bambo w ławce, to z całej klasy tylko ja się zgłosiłam – pochwaliła się mała.

– Uuuh, kto by tam chciał koło czarnucha siedzieć. – Ciotka wzdrygnęła się.

– Ciocia by nie chciała? Serio? – zdziwiła się dziewczynka.

– Z punktu widzenia eugeniki rasa czarna jest ślepym ogniwem ewolucji – odezwał się Staszek. – W Stanach Zjednoczonych Murzynów poddaje się przymusowej sterylizacji...

– Proszę cię, nie przy kuzyneczkach – upomniała jedynaka ciocia.

– Kuzyneczki same zaczęły...

– Synku, synku, nikt tu nie nadąza za twoim umysłem, boś najbardziej z nas wykształcony. – Ciocia uśmiechnęła się. – A teraz, kochane siostrzeniczki, zapraszam do ogrodu! Rwijcie kwiatów, ile chcecie!

Był to wyraźny i od lat funkcjonujący sygnał do zakończenia wizyty.

Rodzinę wracającą z naręczami bzu, jaśminu i tulipanów Paweł zaprosił na lody do Zalewskiego. A co!

Więc niedziela była jednak uratowana.

Gdy Szubowie wrócili na Szczepanowskiego, zastali przed domem zamieszanie. Zawodząca w towarzystwie Melanii Suczajowa powiedziała, że Kacpra, Bronka i Antka policaj wsadził do ciupy.

– Za co? – dopytywała przerażona Julia.

– Podobno pobili inżynierka, tego z Laokoona, co się niedawno na rogu Wniebowstąpienia i Nowozniesieńskiej pobudował – poinformowała Oblatowa, która próbowała Antoninę uspokoić, choć, znając jej charakter, pewno jeszcze bardziej swoimi uwagami jątrzyła.

– Ada, a ty u inżynierostwa czasem nie pracowałaś? – zapytał pan Zych, ojciec Poldy i Otylii, który też się znalazł na miejscu. – O co mogło chłopakom chodzić, nie domyślasz się?

Szubówna zbladła. Owszem, domyślała się. Jak tylko usłyszała, co się stało, przyszło jej do głowy, że koledzy postanowili Erwina po swojemu nauczyć szacunku do kobiet. Jednak wołała się ze swoimi podejrzeniami nie ujawniać.

Piętnaście minut później siedziała już na komisariacie, naprzeciwko Feliksa Wnuka.

– Czy ja się mogę z Kacprem zobaczyć? – spytała okropnie zdenerwowana.

– Spóźniłaś się. Karetka ich zabrała do aresztu. – Policjant rozłożył ręce. Dziewczyna chwilę milczała.

– A co teraz będzie? Jak długo oni zostaną w areszcie?

Wnuk wytłumaczył, że muszą czekać na decyzję sądu, co może potrwać kilka dni. Sąd zdecyduje, czy ich wypuścić, czy zostawić do czasu pierwszej rozprawy.

Adela przyłożyła drżące ręce do czoła. Jej Kacper w więzieniu, no pięknie. Jeśli się okaże, że to nie jest pomyłka i zostanie osądzony, mogą go zamknąć na kilka miesięcy albo lat... A co, jeśli ona jest w ciąży? Co z nią będzie?

– Nie jesteś chyba zdziwiona, co? – Feliks rozparł się na krześle. – Ten chłopak to złodziejskie nasienie. Ojciec żył z tego, co zachamał, swoim też, he, he. Niezły był z niego aparat... Aż dziw, że go tak późno ta jego chińska kumpelna załatwiła...

Zamknęła oczy, żeby się nie rozpłakać. A co Kacper miał wspólnego z tym strasznym Ukraińcem, który był jego ojcem? Młody Suczaj nie lubił nawet, gdy ktoś o nim wspominał.

– Czy jest jakiś ratunek? Jak można im pomóc? – Starła się trzymać konkretów.

– Nie rozśmieszaj mnie, Szubówna. – Rechotał, końcem klucza wydłubując brud spod paznokci. – No, chyba że inżynier Kosecki wycofa oskarżenie, ale to chyba niemożliwe. Tak mu chłopcy mordę obili, że przez tydzień nic nie zobaczy przez opuchliznę... Ale może jakiś cud się zdarzy, kto wie?

Cud? A może jednak? Adela wstała i wybiegła z komisariatu jak szalona.

Wpadła na teren kościoła Królowej Korony Polskiej. W rotundzie otoczonej rusztowaniami właśnie kończyła się wieczorna msza. Poczekala, aż ludzie do końca odśpiewają *Ave Maryja* i ksiądz Maślanka skieruje się do prowizorycznej zakrystii. Kiedy z niej wyszedł z szatami liturgicznymi zapakowanymi w płócienną torbę, dopadła do niego.

– Proszę księdza, niech ksiądz Kacpra ratuje... – Ze łzami w oczach opowiedziała, co się dziś stało, a także jaka może być przyczyna tych wydarzeń.

Maślanka przyglądał się swojej najlepszej chórzystce i zastanawiał się, co ją łączy z młodym Suczajem. Chyba coś więcej, niż tylko przyjaźń z dzieciństwa. Kiwał głową, gdy wspominała o skłonnościach inżyniera. Wiedział od jego żony, że Erwin łap przy sobie nie może utrzymać.

– Niechże ksiądz coś zrobi – prosiła. – Kacper i pozostali dwaj to dobrzy chłopcy. Oni chcieli zło naprawić...

– ...wyrządzając nowe zło – przerwał ksiądz. – Adela, co się stało, to się nie odstanie. Źle zrobili. Ale może masz rację, że karę już ponieśli. Spróbuję coś zdziałać. Pójdę do Koseckich. A ty się za mnie módl.

Uklękła więc przy prowizorycznych balaskach i z nadzieją wpatrzyła się w drewnianą figurę Matki Boskiej królującej łaskawie z ołtarza. „Pani, uratuj Kacpra, bo od niego zależy życie jego matki, siostry, moje i... być może jeszcze czyjeś...” – powtarzała w myślach, przyglądając się, jak najmłodszy w parafii ksiądz Henryk ściąga z ołtarza biały obrus, który rozłożony był tylko na czas niedzielnych mszy.

Kiedy zapadł zmrok, wróciła do domu. Julia domyślała się, dlaczego jej córka jest smutna. Nie była ślepa, często wieczorami paliła papierosa w otwartym oknie i widziała przecież, w którym towarzystwie wraca do domu jej najstarsze dziecko.

Późnym wieczorem do Szubów zapukała Antonina Suczaj. Otworzyła jej Ada.

– Ksiądz dobrodziej był u mnie przed chwilą – powiedziała, pocierając napuchnięte od płaczu powieki. – Wyprosił u inżyniera, żeby chłopców nie oskarżał. Jutro Kosecki ma iść na policję i odwołać wszystko. Ksiądz kazał ci powiedzieć, że... No, podziękować kazał. – Suczajowa rozplakała się i przytuliła niezdarnie zeszywniałą z zakłopotania dziewczynę. – Nigdy cię nie lubiłam...

– Wiem – szepnęła Adela.

– Ale jeśli uratowałaś mojego chłopca od krat, to niech już będzie: dziękuję!

Kiedy Suczajowa schodziła po schodach do siebie, Ada patrzyła za nią z ulgą i nadzieją. „Może się udało? Może ksiądz Maślanka dokonał cudu?”

Kładła głowę na poduszce, zastanawiając się, czy Kacper już śpi, a jeśli tak, to gdzie i jak wygląda jego łóżko...

Rano zbudziła się o świcie z jakimś nieprzyjemnym uczuciem. Kiedy obejrzała prześcieradło, zobaczyła na nim krwawe plamy. Poczowała ulgę. Ubrała się, namoczyła prześcieradło w zimnej wodzie i wyszła do pracy, zanim wstali pozostali domownicy.

Postanowiła pójść na Szeptyckich pieszo, ponieważ miała jeszcze mnóstwo czasu. Bolał ją brzuch, ale nie zważała na to zupełnie. Ten ból był przecież znakiem dobrych wieści. Szła przez wybrukowane ulice, słuchając dzwonów, które kolejno wzywały wiernych na nieszpory. Przechodząc obok kościoła Świętej Anny na Gródeckiej, postanowiła wejść do środka, wyspowiadać się i podziękować za wysłuchanie jej próśb.

Kiedy po południu wyszła od Kotkowskich, na ulicy pod kamienicą spotkała Kacpra. Czekał na nią, opierając się o latarnię, z bukietem konwalii w dłoni.

– Jednak cię wypuścili! – Rzuciła mu się na szyję. Kiedy już go wyściskała, zauważyła, że wygląda bardzo marnie. – Masz podkrążone oczy. – Dotknęła dłonią jego twarzy.

Pachniał wodą kolońską i kremem do golenia.

– Nie spałem.

– Bronka i Antka też wypuścili?

– Tak. Podobno Erwin wycofał oskarżenie. Ksiądz go namówił. Już byliśmy z matką podziękować dobrodziejowi.

– Dlaczegoście pobili Koseckiego? – zapytała, gdy ruszyli w stronę placu Świętego Jura.

– Przecież wiesz, Ada, to co się głupio pytasz. Za Marysię Marcinkowską dostał, i za ciebie też. Za ciebie nawet bardziej.

– Ja sama o siebie umiem zadbać! A nie rozumiem zupełnie, jak trzech morowych chłopaków może ot, tak sobie pójść i zrobić komuś krzywdę! – zdenerwowała się.

Kacper spuścił głowę.

– Tak wyszło. Żeśmy kupili u Barabasza po butelce marcowego, poszliśmy na górkę Baczelesa, siedliśmy i wspominaliśmy nasze ostatnie ognisko... I wtedy on się napatoczył, szedł Starozniesieńską, wystrojony, z ptyśmiami od Dudka w paczce. I wtedy nas poniosło... Chcieliśmy go tylko postraszyć, słowo...

Kiedy doszli do Teatru Skarbkowskiego, on zdążył ją przeprosić już z siedem razy, a ona kazała mu ze cztery razy obiecać, że to się więcej nie powtórzy.

– Poza tym, Ada, byłem zdenerwowany – powiedział jeszcze. – Wiesz, czym... Wciąż myślę o tym, czy ty aby po tamtej nocy w twoje urodziny nie jesteś... No wiesz...

– Nie jestem, Kacper, nie jestem. Dziś zaczęłam krwawić.

Popatrzył w niebo i wyszeptał bezgłośnie: „Dzięki”.

– To ja już od teraz będę potulny jak baranek, kochana. Muchy nawet nie skrzywdzę. A może w przyszłym tygodniu poszlibyśmy w niedzielę do parku Stryjskiego? Na kocyk? – Popatrzył na nią, mrużąc oko.

– Na żaden kocyk z tobą nie pójdę – ucięła. – I już nigdy tak się nie zapominał. Nie powinniśmy. To grzech, Kacper. A w dodatku potem ty jesteś zdenerwowany, ludzi bijesz...

Chłopak klepnął ją w pupę. Ona podskoczyła i pobiegła do dziewiątki, wyprzedzając go o kilka kroków.

Rozdział IX

Julia Szubowa siedziała przy stole w kuchni, szyjąc bluzkę dla Józki na zakończenie roku szkolnego. To dziecko tak szybko rosło, że nastarczyć z materiałem było trudno. Na szczęście teraz, w połowie czerwca, wyglądało na to, że otrzyma jednak promocję do następnej klasy. W radiu nadawali *Bole-ro Ravela*. W kontekście tego, co się ostatnio mówiło o możliwej wojnie, werble grzmiące w utworze brzmiały naprawdę groźnie. Julia czuła się zbyt stara na kolejną wojnę. Nie mieściło jej się w głowie, że coś mogłoby zburzyć bezpieczny świat, który zbudowali sobie razem z Pawłem w tym wielkim mieście.

Zapiekle ją nadwyrężone szyciem oczy. Zdjęła okulary kupione na placu Krakowskim na handelku. U Żyda można było dopasować używane szkła o mocy mniej więcej odpowiadającej jej wadzie wzroku. Na nowe nie było jej stać, a bezpłatne jej się nie należały, bo nie pracowała zawodowo.

Lubiła te samotne przedpołudnia w domu, kiedy mogła w spokoju naprawić garderobę swoją, dzieci i Pawła, poprać, poprasować i zaplanować obiady na cały tydzień. Odkąd Adela pracowała u Kotkowskich, czy – jak chciał jej siostrzeniec – u Katzów, pieniędzy na jedzenie nie brakowało i z przyjemnością robiło się zakupy u Barabasza czy na bazarku. I nie musieli już brać na kredyt.

Sięgnęła raz jeszcze po list leżący na brzegu stołu. Przyszedł dziś rano z Jazłowca i zawierał serdeczne wieści od Eudoksji.

Kochana Julio – pisała Dusia niewprawnym dziecięcym pismem. Widać było, że rzadko chwytiała za pióro. – *U nas wszystko dobrze. Mój Kazek pozdrawia całą Waszą rodzinę. Chciałam się zapytać, czy wybieracie się do Jazłowca na koronację Figury Matki Boskiej u Niepokalanek. Sam Kardy-*

nał Hlond przyjedzie Najświętszą wyróżnić. Pewnie Cię już Siostrzyczki zaprosiły, bo Ty u nich chowana, ale gdybyś chciała i Twoja rodzina też, możecie się u nas w Browarach zatrzymać. Miejsca mamy dość.

Moja najstarsza, Anna, Twoja chrześniaczka, jest przy nadziei i na jesieni urodzi drugie dziecko. Mam nadzieję, że tym razem to będzie chłopak, bo ten jej Teofil bardzo narzekał, gdy się pierwsza dziewczynka urodziła. Jak Anula legnie z oseskiem, wyślemy do niej Agnieszkę, drugą z kolei, żeby jej pomogła. Matka Teofila już bardzo stara i nie ma sił, by przy położnicy chodzić, ani chęci też chyba nie. Może i na jesieni przyjedziesz, żeby chrzestne wnuki zobaczyć? Przyjedź, Julka!

Jazłowiec przed uroczystością wypiękniał. Krawężniki wapnem pobielone, w domach na Pierwszej i Drugiej ulicy naprawy porobione, remonty, a w ogródkach gospodynie lelije sadzą, coby w lipcu zakwitły i upiękшыły miasto. W Browarach jakby mniej się ludzie przygotowują, bo i to zamiast jest, a nie środek. Przygotowuje też szkoła nasza uroczyste przedstawienie i pokaz dla kardynała i innych szanownych duchownych, przy którym wszyscy uczniowie będą zatrudnieni.

Moje dwie ostatnie córki najbardziej się nie mogą doczekać ułanów, bo pułk oczywiście też będzie na uroczystościach. Ja tam się boję, bo po takich świętach dużo dzieci się rodzi...

Jeśli więc zechcesz przyjechać i pomóc mi w upilnowaniu moich dziewczuch, zapraszam z całego serca!

Całuję,

Twoja Dosia

Szubowa uśmiechnęła się na myśl o spotkaniu z przyjaciółką z dzieciństwa. O koronacji wiedziała, bo ją w lwowskich kościołach już pod koniec maja proboszczowie zapowiadali i namawiali, żeby się z pielgrzymką wybrać do Jazłowieckiej Pani. Księża saletyni ze Zniesienia wynajęli nawet autobus, który pielgrzymów miał zabrać na Podole. Julia i dziewczynki oczywiście zapisały się na ten wyjazd. Jednak wbrew temu, co Dosia sobie myślała,

niepokalanki nie wysłały Julii zaproszenia. Pewnie dlatego, że wtedy uciekła od nich bez słowa...

Jednak wybierała się z dziećmi w rodzinne strony, bo miała za co dziękować Najświętszej Pannie i o co ją prosić. Ostatnio była w Jazłowcu bardzo dawno temu, jeszcze zanim się Petronela urodziła. Ciekawe, jak wyglądała teraz jej rodzinna miejscina?

Westchnęła i spojrzała na budzik tykający w rogu kuchni. Zaraz trzeba będzie wstawiać kartofle, bo dziewczynki ze szkół wrócą...

Adela wyprosiła u Kotkowskich kilka dni wolnego i razem z matką i młodszymi siostrami pojechała do Jazłowca. W autobusie wiozącym pielgrzymów było bardzo wesoło. Choć z koleżanek Ady nie jechała żadna, nie przeszkadzało to jej dobrze się bawić. Ksiądz Maślanka i ten nowy duchowny, Henryk, co chwilę zachęcali wiernych do śpiewów, żartowali. Młody kapłan grał na gitarze, uczył nowych pieśni. Na miejsce ekipa dojechała w świetnych humorach.

Pogoda była piękna, jak na zamówienie. W stronę klasztoru niepokalank ciągnęły drogą tłumy wiernych, do których przyłączyli się pielgrzymi ze Zniesienia. Rzeka ludzi płynęła i zatrzymywała się na błoniach przyklasztornych. Na dziedzińcu klasztoru przed posągiem Białej Pani w pełnym szyku stał już Czternasty Pułk Ułanów Jazłowieckich. Eleganckie samochody dowiozły dostojników pod sam ołtarz zbudowany pod klasztorem. Gdy duchowni wysiedli, rozpoczęły się uroczystości.

Ułani powitali przełożoną klasztoru słowami „Czołem nasza hetmanko!” i stali na baczność, póki siostra również ich nie pozdrowiła. Bardzo się to Adzie podobało, że tylu przystojnych mężczyzn oddaje hołd kobiecie.

Uroczystości koronacyjne były długie i bardzo podniosłe. Adę urzekła taka oprawa i dała się ponieść nastrojowi. Julii za to doskwierał upał i marzyła, by znaleźć się już w domu Dosi i napić się lodowatej wody ze studni na podwórku. Przyjaciółka gdzieś tu pewnie była, ale w takiej masie ludzi na próżno byłoby szukać.

Gdy kardynał Hlond wygłaszał kazanie, ludzie płakali.

– Będziemy koronować Matkę Bożą naszym hołdem wiary i ufności w Jej orędownictwo, którego dziś zwłaszcza tak nam potrzeba – mówił do rozemocjonowanych tłumów. – Przed nami rozwijają się zdarzenia i wypadki, jakich Europa nigdy nie była świadkiem. Ozdabiając skronie Matki Bożej koroną, błagamy Ją, aby błogosławiła naszemu narodowi i naszej ziemi...

Nelka też płakała, ale ze zmęczenia i pragnienia. Józka narzekała, że następnym razem nigdzie jej ze sobą nie zabiorą, bo jest jeszcze dzieciuchem.

Po kilku godzinach uroczystości się zakończyły i ludzie porozchodzili się w różne strony. Zaczęła się zabawa z tańcami i śpiewami. Julia zebrała dziewczynki i ruszyła przez miasteczko w stronę cmentarza. Tam znajdowały się Browary, dawniej osobna wioska, obecnie przedmieście Jazłowca. Minęły dom i płot, przy którym nastąpiło pierwsze spotkanie Julii z Dością, i poszły dalej, bo przyjaciółka od lat mieszkała już w gospodarstwie męża. Weszły na podwórko, gdzie obszczekał je wielki pies uwiązany przy budzie na łańcuchu. Przed dom wybiegła wysoka kobieta w fartuchu narzuconym na odświętną sukienkę.

– Julko moja! – krzyknęła, puszczając się biegiem w ich stronę. – Kochana! Aleś się postarzała...

Matka wybuchnęła śmiechem.

– Ty bardziej, Dośka, ty bardziej! – Przytuliła się do gospodyni. Obie przy tym płakały i śmiały się na przemian.

Eudoksja przywitała się z każdą z młodych Szubówien i zaprosiła wszystkich do letniej kuchni. Posadziła na ławie przy stole, poczęstowała zimnym zsiadłym mlekiem.

– Tak sobie myślałam właśnie, żebyście przyszły prosto do domu, bo co się tam będziemy szukać w tym ludzkim mrowisku – pytlowała. – I co, podobają się wam na mszy? Straszyl kardynał, co? Przecie dopiero co jedna wojna była, i co, następna? Bójcie się Boga! Co tam we Lwowie powiadają, będzie wojna czy nie? Bo jakby miała być jednak, to wolałabym nie w tym roku. Anula ma dziecko powić, pisałam ci, Julko, prawda? Oj, co ja z tym listem miałam! Z tydzień go pisałam! Męczyłam się, powiadam wam...

Gadając bez ustanku, podawała na stół kolejno rosół ze swojskim makaronem, kurę pieczoną, ziemniaki z koperkiem, a do tego mizerię, buraczki, tartą marchewkę z jabłkiem, potem drożdżówkę z pierwszymi jagodami... Do tego do domu zaczęły wracać córki Dosi, jej mąż, teściowa, parobek, co pomagał latem w polu, a potem jeszcze sąsiadki. Ada nie mogła się nadziwić, że przyjaciółka mamy wciąż jest w ruchu: nakłada jedzenie, miesza coś na patelni, posila się, a przy tym gada, gada, gada...

– A czemu nie mówisz, co tam u was słychać w mieście? – odezwała się w końcu z pretensją w głosie, kierując pytanie do Julii.

Wszyscy się zaczęli śmiać, bo jak niby Julia miała wtrącić choć słówko?

Po posiłku, który trwał chyba kilka godzin, zostało ustalone, że córki Julii będą spały w stodole, a Julia zanocuje z Dosią w domu.

– Żebyśmy się w końcu mogły nagadać, nie? – stwierdziła Eudoksja.

Szubówny były zachwycone gospodynią. Zresztą cała rodzina okazała się bardzo serdeczna i otwarta. Miło im było u tych dobrych ludzi.

Wieczorem poproszono Adele, żeby zaśpiewała. Speszona, najpierw długo odmawiała, ale w końcu się zgodziła.

– Tylko jakiś ślagier poprosimy, bo my tu na wsi jesteśmy nowości spragnieni.

Ada zastanawiała się, zastanawiała...

– *Ostatnią niedzielę*, Aduś – podpowiedziała Józia.

Wyszła więc na środek podwórka i zaśpiewała, kołysząc się w rytm melodii tanga.

Popłakała się Dosia, a jej córki ruszyły do tańca. Kazek skoczył po harmonię i zaczął akompaniować, w lot podchwyciwszy melodię.

– Oj, dziewczyno, jaki ty masz głos! – Dosia wyściskała Adę, gdy skończyła.

– Ta piosenka przekłeta jakaś – powiedziała Julia. – Podobno hymn samobójców, wiesz? Trują się młodzi, nieszczęśliwie zakochani, puszczając sobie tę płytę... W gazecie czytałam. Już kilka takich przypadków było we

Lwowie. Raz, zdaje się, w Stryjskim parku samobójców znaleźli, a przy nich gramofon i tę piosenkę na płycie...

Eudoksja złapała się za głowę.

– Co ty mówisz, to kogoś stać na gramofon i truciznę z własnej i nieprzymuszonej woli zażywa? – Była oburzona do żywego.

– Ja też umiem ładnie śpiewać! – pochwaliła się Petronela i wyszła na środek. Niestety, zgodnie z obawami Julii, wykonała *Panny z Łyczakowa*, wyjaśniając przedtem nieobytej z bałakiem publiczności, co konkretnie oznacza lakierowanie słupów...

Dwa dni w Browarach minęły jak z bicza strześlił. Do domu Szubówny z matką wróciły pociągiem. Na Podzamczu czekał na nie stęskniony Paweł.

– Bez was dom to nie dom – oświadczył. – Aż się zastanawiałem, czy na dworcu nie spać...

Lato mijало pod znakiem przygotowań do wojny. Ludzie gromadzili zapasy według wskazówek zamieszczanych w pismach ilustrowanych: tyle i tyle cukru, tyle mąki, tyle makaronu. Organizowano szkolenia dla ludności cywilnej uczące, jak zachować się podczas ataku gazowego czy bombardowania.

Rojza Katz vel Kotkowska oświadczyła ojcu w lipcu, że nigdzie nie wyjedzie, bo się zakochała. Jej wybrankiem okazał się... August, akademus od Suczajów. Adela nie mogła w to uwierzyć i wołała nie wnikać w to, czym przemądrzały filozof-filolog ujął piękną Różyczkę. W każdym razie według Adeli Róża na zakochaną nie wyglądała w żadnym wypadku, ale na pewno działo się z nią coś dziwnego. Bywała nieobecna duchem, otepiała... Ada kilka razy widziała ją na Zamarstynowskiej, co było dziwne, bo przedtem nigdy się w tamte okolice nie zapuszczała.

Pani Dalia z kolei zrobiła się nie do zniesienia i Adeli coraz trudniej było sobie z nią poradzić. Ataki nasilały się. Twierdziła uparcie, że nad miastem wciąż wiszą czarne chmury, zbiera się na burzę i ona za nic w świecie nie da się namówić na spacer. Do tego tylko ona te chmury widziała. Po domu snuły się według niej czarne cienie, zaszywały w kątach, stały za plecami

domowników... Czasem Adela bała się halucynacji starszej pani. Szczególnie gdy były same w mieszkaniu, czarne cienie w kątach stawały się niemal namacalne...

W połowie sierpnia Kacper odebrał kartę mobilizacyjną. Suczajowa płakała dwa dni. Ada zaś była bardzo smutna, ale uważała, że w razie wojny powinien walczyć, bo to jego obowiązek. Sama też by poszła walczyć. Powołani zostali także inni chłopcy ze Zniesienia, zaciągnął się nawet młody ksiądz Henryk.

Ada i Kacper starali się teraz spędzać razem każdą wolną chwilę. Popołudniami spacerowali po wzgórzach zniesieńskich, cieszyli się sobą.

– A może wyjdiesz za mnie? – zaproponował któregoś razu chłopak.

– Kiedyś wyjdę – obiecała. – Jak mnie porządnie poprosisz.

– A jak nie wrócę z tej wojny?

Ada pacnęła go w nos.

– Jakiej wojny? Nie ma wojny. A jak wybuchnie i nie wrócisz, to cię oświście uduszę!

– Ada, kiedy ja serio mówię. Weźmy ślub. Maślanka nam da, jak go poprosimy...

Obiecała, że kiedyś wezmą ślub. Ale nie teraz, nie tak po wariacku.

Jednego popołudnia, siadając na trawie na górze Baczewskiego, Kacper jęknął.

– Kurczę, coś twardego tu jest!

Zaczął rozgrzebywać poszycie i znalazł w nim szkiełko, a pod szkiełkiem schowany obrazek z aniołkiem.

– Ojej, Kacper, znalazłeś mój sekret! Robiłam takie z Helką Lis, jak jeszcze chodziłam do szkoły. On ma z dziesięć lat, jak nie więcej, ale numer!

– Jakieś dziewczynskie głupoty... I teraz, po latach, skaleczyłem się przez ciebie w tyłek.

Ada przyglądała się znalezisku wzruszona. Między dwa szkiełka zakopane w ziemi włożony był obrazek anioła, który prowadził dziewczynkę

i chłopca przez mostek. Taki malunek można było kupić na każdym odpuszczeniu. Dookoła obrazka poutykane były resztki zasuszonych listków, kwiatków, jakaś wstążka. W tej zabawie chodziło o to, aby sekret był jak najbardziej kolorowy i by można było pokazywać go z dumą zaufanym koleżankom, które niepowołanym za nic nie zdradzą, gdzie on się znajduje.

– Nie wiem właściwie, w jakim celu się to robiło – zastanawiała się Ada. – Ale to dziwne, że go znaleźliśmy. Może to jakiś znak?

– Niby jaki?

Przez moment przyglądała się obrazkowi.

– Dobra wróżba. Błogosławieństwo. Anioł cię bezpiecznie do mnie przyprowadzi, jak będzie po wszystkim. Na pewno o to chodzi.

Kacper nie uwierzył, ale objął ją mocno i pocałował jak należy. W końcu całował przyszłą żonę i anioł im pobłogosławił...

Następnego lata Ada zastanawiała się, czy to była dobra wróżba, czy raczej jednak ostrzeżenie...

Rozdział X

Koniec sierpnia 1939 roku nie należał w mieście do spokojnych. Nikt już nie lekceważył wieści o wojnie, nikt nie machał ręką, mówiąc, że może jakoś to będzie, że się rozejdzie po kościach. Wojna, mimo że się jeszcze nie rozpoczęła, na dobre rozgościła się w świadomości Polaków i determinowała każdą decyzję i każdą myśl. Ludzie nie pytali już, czy wojna będzie, tylko kiedy będzie.

Armia upomniała się o swoich żołnierzy. Młodzi mężczyźni w większości zostali już skoszarowani i czekali na przydział. Mobilizacja przebiegała dość burzliwie, niektórzy rozkaz natychmiastowego wyjazdu otrzymywali, będąc w robocie. Porzucali warsztaty, pracujące maszyny, i w roboczych ubraniach zgłaszali się do punktów zbornych. Ci, którzy nie zaciągnęli się do wojska, wstępowali do Straży Bezpieczeństwa, która działała na terenie miasta. Każdy chciał pomóc, wola walki rozpalala się po równo w duszach biedaków i bogaczy, mądrych i głupich, kobiet i mężczyzn, dorosłych i dzieci. Mieszkańcy Lwowa zgodnie i z wielkim zapałem machali łopatami, kopiąc rowy przeciwlotnicze i przechwalając się, jak to nasi malowani żołnierze pięknie skopią Niemcom tyłki.

„Wygramy, nie ma innej opcji!” – Te słowa powtarzano sobie jak zaklęcie niosące nadzieję i odpędzające przerażenie.

Ludzie ponad wszystko pragnęli wierzyć, że wojna szybko się skończy. Młodzi wrócą do domów, dzieci pójdą do szkoły, a Hitlera trafi szlag razem z jego absurdalnymi żądaniami oddania Gdańska, zgody na korytarz eksterytorialny między Rzeszą i Łotwą i czego on tam jeszcze chciał. Niech się już tylko zacznie ta cała wojna, a wtedy pożałuje ten austriacki kurdupel...

Na dworcach panowały ścisk i tłok. Pociągi ze Lwowa i do Lwowa jeździły przepełnione. Polacy masowo wracali z wakacji i wszelkich wyjazdów. Ze sklepów znikwały cukier, mąka, kasza, wprowadzono częściową reglamentację tych towarów, by każdy miał szansę się zaopatrzyć. Oczywiście tylko na jakiś czas, do momentu, kiedy się skończy całe to wojenne wariactwo.

Niepokój spowodowany oczekiwaniem na najgorsze udzielił się również Szubom. Dwudziestego czwartego sierpnia Julia wraz z Petronelą i ciocią Pelą stały od rana na ulicy Żółkiewskiej. Z niecierpliwością wypatrywały tramwaju numer pięć. Bały się. Dziś, cztery dni przed terminem, z kolonii w Brzuchowicach miała wrócić Józka. W całym kraju przerywano obozy młodzieżowe i kolonie ze względu na spodziewane w każdej chwili zagrożenie atakiem ze strony Niemiec. Powrót Józki opóźnił się już o kilka godzin. Kiedy Ada przyszła od Kotkowskich i nie zastała w domu matki ani sióstr, bardzo się zaniepokoiła. Oblatowa, która zawsze wszystko i o wszystkich wiedziała, powiedziała jej, że Szuby, jak wyszły rano po Józkę, tak do tej pory nie wróciły. Adela pobiegła więc szukać rodziny. Znalazła ją na przystanku.

– Jeszcze nie przyjechała – poinformowała najstarszą córkę drżącym głosem matka. – Boże, tak się boję, że coś się jej stało... Teraz podobno w pociągach dantejskie sceny się dzieją...

– Julko, Józka nie jest w ciemnej bita i radę sobie da – pocieszała ciocia Pela.

– Przecież z Brzuchowic nie tak daleko – analizowała Adela. – Rzęsna, Hołosko, Kleparów i Główny, cztery stacje. Pociąg jedzie...

– Wiem, ile jedzie! – ofuknęła ją Julia. – I dlatego się denerwuję! Przecież mogło jej się coś stać, mogli ją okraść, wypchnąć na tory... – Ukryła twarz w dłoniach.

– Sama nie jedzie, są z nią inne dzieci i wychowawcy – zauważyła trzeźwo ciocia. – Może pociągi mają opóźnienia? Może Paweł coś wie?

– Tata na przysposobieniu w straży – odezwała się Nela, wypijając resztki kompotu ze szklanej butelki. – Do wieczora tam będzie. Zgłosił się do

obrony dworca.

Adela też chciała się zaciągnąć do tej cywilnej organizacji. Mogła się przydać, choćby przy opatrywaniu rannych. Ale ojciec się nie zgodził. Powiedział, że pod jego nieobecność ona jest głową rodziny. Ma się opiekować matką i młodszymi siostrami. Wyjątkowo posłuchała.

Na przystanek podjechał tramwaj. Przez chwilę wszystkie wyteęzały wzrok, szukając w wagonie Józefiny. Ale nie wysiadła, a tramwaj skręcił w Wołyńską, by potem powlec się ulicą Nowej Rzeźni na pętlę na Gabrielówce.

– Ja zaraz oszaleję – desperowała Julia, ukrywając twarz w dłoniach.

Adela przytuliła ją, choć raczej nie nawykła do czułych gestów wobec matki. Ją też trawił niepokój. O Józię, o Kacpra... Poza tym z nieba lał się żar. Pomyślała, że ciocia i mama są pewnie głodne i spragnione.

– Chodźmy do tej kawiarni obok rogatki – zaproponowała. – Napijemy się zimnego soku, a wy schowacie się do cienia. Tramwaj kursuje co dziesięć minut, przybiegnę sama sprawdzić, czy Józka już jest.

Na pomysł Adeli tylko Nela zareagowała entuzjastycznie. Ani ciocia, ani matka nie chciały się zgodzić na opuszczenie posterunku. Wobec tego zdecydowała, że przyniesie im sok. Nelka chciała pójść z nią.

Przebiegły przez ulicę. W knajpce panował zaduch. Podeszły do lady, Ada wzięła dwie butelki cytronady, Nela zażyczyła sobie zsiadłe mleko, które podano jej w szklance. Czekaając, aż siostra poradzi sobie z napojem, Ada rozglądała się po sali, która właściwie była pusta, jeśli nie liczyć jednego zajętego stolika. Siedział przy nim nie kto inny, tylko Abel. Czytając „Kurier”, jadł knedle ze śliwkami i śmietaną i popijał je zimnym piwem. Ada pomyślała, że to trochę dziwne połączenie. Zapatrzyła się na niego... Piękny był. Piękny mężczyzna. Ciekawiło ją, czy zawsze się tu stołuje? Pewnie tak, w końcu restauracja jest dwa kroki od jego mieszkania. Zawsze jada sam? Czy kogoś ma? Wiele by dała, by na nią spojrział...

– Ada, oblałam się... – jęknęła Nela, odstawiając szklankę na ladę.

– Ty niezdar! Daj, wytrzymy – powiedziała Adela nienaturalnie głośno, trąc płócienną chłópkę siostry papierową serwetką.

Liczyła, że teraz Abel na nią spojry. Przecież zrobiły zamieszanie, a w knajpie oprócz nich nie było nikogo. Ale on nawet nie odwrócił kształtnej głowy. „Ja mam jakiegoś pecha” – pomyślała zagniewana.

Nagle na ulicy zatrzymała się kolejna dziewczątka. Dziewczyny zabrały napoje i jak na komendę pobiegły na przystanek.

Tym razem Józia nareszcie przyjechała. Ciocia Pela pomogła jej wytaszczyć z wagonu walizkę.

– O Boże, dzięki ci – szeptała Julia, starając się opanować i nie rozplakać.

Podeszła do córki i wyściskała ją serdecznie. Długo nie chciała wypuścić jej z objęć.

– Dajcie mi tej cytronady – zażądała Józka, wrywając Adzie butelkę z dłoni. Odsunęła porcelanowy korek i piła chciwie. – Pociągi przepełnione tak, że nie dało się wsiąść – relacjonowała między jednym łykiem a drugim. – Przepuściliśmy cztery czy pięć... W końcu się udało. Już myślałam, że na piechotę wrócę... Słuchajcie, czy to prawda, że mają przesunąć rozpoczęcie roku szkolnego? Naprawdę morowo!

– Siostra, czy ty masz dobrze w głowie? Wojna będzie! A ty się cieszysz? – Adela pokręciła z niedowierzaniem głową.

Kobiety ruszyły w stronę Szczepanowskiego, na zmianę taszcząc ciężką walizę Józki. Ona sama przez całą drogę opowiadała, jakie wycieczki sobie robili, w co grali, kto się w kim zakochał, kto komu co ukradł. Nagle przystanąła.

– Ale wy się o mnie chyba strasznie niepokoiłyście, co? Bo takiego powitania po powrocie z wakacji chyba jeszcze nigdy nie miałam – stwierdziła.

Adela zastanowiła się, czy ona naprawdę nie czuje powagi sytuacji? Nic im nie powiedzieli na tej kolonii? Czyżby nie zauważyła, że wróciła wcześniej?

W domu Julia od razu wzięła się do prania ubrań średniej córki.

– Nie zostawiam na później, bo nie wiadomo, co będzie.

Po godzinie zjawiał się Karol, który pocztą pantoflową dowiedział się, że Józia już jest w domu. I zaraz Józii w domu nie było.

Wieczorem wrócił ojciec, podekscytowany, ale i poważny. Przyniósł dwie maski gazowe.

– Tyle udało mi się zdobyć, wszyscy na gwałt pobierają.

– Gaz? – wyszeptała Julia. – Myślisz, że...

– Na wszelki wypadek niech choć dwie w domu będą.

Ciocia Pela nie chciała nawet słyszeć, żeby zamieszkać u Szubów choćby na jakiś czas. Powiedziała, że nie wiadomo, ile potrwa ta cała wojna i że ona nie może zostawić swojej podopiecznej. A z nią się nie przeniesie. I żeby się nie martwili, ona da sobie radę jak zawsze ze wszystkim. I poszła, póki jeszcze było jasno.

Po kolacji włączono radio. Spiker podawał właśnie informację o manewrach szkoleniowych wojsk niemieckich pod granicą z Polską. A potem Tadeusz Faliszewski zaśpiewał szlagier *Ty albo żadna* i Adeli przypomniało się, jak Kacper całował ją kiedyś przy tej piosence...

– A co u adwokata? – chciała wiedzieć matka.

Ada wzruszyła ramionami. Nie potrafiła jednoznacznie na to pytanie odpowiedzieć. Kotkowski prawie w domu nie bywał, wciąż coś załatwiał, a starsza pani w ostatnich tygodniach prawie zupełnie straciła kontakt z rzeczywistością. Z każdego kąta w domu atakowały ją mroczne cienie, ciemność wdzierała się według niej do mieszkania drzwiami i przesączała między uchylonymi oknami... Lekarz sugerował Adzie, że wkrótce umieszczenie pani Dalii w jakimś zakładzie będzie konieczne. Zanosilo się więc na to, że Ada straci pracę i to nie była dobra wiadomość.

– Wszystko dobrze – odparła wymijająco, nie chcąc niepokoić matki.

Sama zaś zamyśliła się nad tym, co się działo u Kotkowskich. Róża ostatnio stała się melancholijna i dziwnie na wszystko zobojętniała. Zmizerniała, schudła, jej mleczna cera straciła cały blask. August poszedł w kamasze, ale ona nie wyglądała na specjalnie tym faktem zrozpaczoną. Wygląda-

ła raczej na chorą. Adwokat Kotkowski zabronił wychodzić córce z domu, zupełnie nie wiadomo dlaczego. Ada myślała, że jest to może kara za to, że odrzuciła propozycję wyjazdu do Grenoble.

Dziś młoda Kotkowska zajrzała do pokoju babki, gdy siedziała przy niej Adela, co jej się bardzo rzadko zdarzało. Ada przypuszczała, że nie znosi zapachu starości, którym przesiąknięte były sprzęty i ściany w tym pomieszczeniu. Róża była pełna życia, zbyt silna i piękna, by wdychać woń rozkładu.

– Mogę mieć do ciebie prośbę, Adunia? Załatwiłabyś coś dla mnie w twojej okolicy? – zapytała, nie patrząc jej w oczy.

– Co takiego? – Ada wyczuła, że dziewczyna ma z tą prośbą jakiś wielki problem, że wiele ją to kosztuje. Poczowała jakiś dziwny niepokój, przeszły ją ciarki. Odruchowo potarła ramiona, by się rozgrzać. Nic to nie dało. Do tego wraz z wtargnięciem Róży powietrze stało się jakby gęściejsze. Story były zapuszczone, a przy łóżku starszej pani paliła się lampka nocna. Elektryczna żarówka zamigotała niepokojąco.

Róża chrząknęła, dotknęła kwiecistego abażuru, po czym wpatrzyła się w czubki pomalowanych na krwistą czerwień paznokci. Adeli wydawało się, że za jej ramieniem mignął jakiś cień. Zmarszczyła brwi, usiłując wyteńczyć wzrok, ale niczego nie dostrzegła.

– Odbierz coś dla mnie, proszę. – Wsunęła w dłoń dziewczyny kartkę. – Tu masz adres. Powiedz... Powiedz im, że zapłacę później, jak będzie okazja. – Chciała coś jeszcze dodać, ale zrezygnowała.

Ada spojrzała na karteluszek. Zamarstynowska 14. Niezupełnie była to jej okolica, ale pomyślała, że ewentualnie może się przejść, jeśli to coś ważnego. Czy to nie na tamtej ulicy spotkała kiedyś Różę?

– A co to ma być? – chciała się dowiedzieć, ale w tej chwili staruszka obudziła się, wlepiła przerażone spojrzenie we wnuczkę i zaczęła bardzo szybko mówić coś w jidisz, czego Ada nie zrozumiała.

– Babciu, każdy ma jakiegoś dybuka. – Z tymi słowy Róża odwróciła się, chcąc wyjść z pokoju.

– Stój! Stój, nieszczęsna! – krzyknęła za nią babka. – To idzie za tobą!

Róża zatrzymała się i obejrzała na staruszkę. Ada mogłaby przysiąc, że w jej oczach dostrzegła cień lęku.

– Przestań, przestań natychmiast! – zażądała młoda kobieta.

Pani Dalia rozplakała się rzewnie. Powykręcane starością dłonie zacisnęła w pięści i biła nimi kołdrę.

– Ratujcie ją, ratujcie... – jęczała histerycznie. – Demon na jej ramieniu! Demon, czarny dybuk! Odepchnij go, dziecko...

Ada poczuła się nieswojo. Reakcja Róży ją zdumiała. Najwyraźniej się bała. Taka nowoczesna dziewczyna, kształcona na uniwersytecie, a wierzy w żydowskie zabobony? O dybukach gadały żydowskie matki na Zniesieniu, strasząc nimi dzieci. Bo dybuk, duch niespokojny, duch umęczonego lub skrzywdzonego za życia człowieka, szukał bezustannie ciała, którym mógł zawładnąć. Opętany robił i mówił rzeczy, których nie chciał, szaleństwo przywodziło go do zguby, do śmierci. Żydówki ze Zniesienia opowiadały o Cywce, którą dybuk zawiódł na Piaskową Górę i kazał skoczyć w dół. Ada Cywkę znała, ale była zdania, że zawsze była szalona...

Strach malujący się w oczach Róży i krzyki staruszki sprawiły, że Ada poczuła się nieswojo. Próbowwała uspokoić swoją podopieczną, ale ona wykrzykiwała coś w swoim języku, może jakieś zaklęcia, może groźby...

– Rabina sprowadźcie... – jęczała. – To wszystko przez to, że do synagogi nie chodzimy... Trzeba się wykupić, bo inaczej... Naszą rodzinę spotka kara... To się już zaczęło, Rojza, dziecko, ratuj się ty chociaż! Widzę go! Odejdź! – rozkazała nadspodziewanie mocnym głosem.

Na krótką chwilę wszystkie kobiety obecne w pomieszczeniu zamarły. Nie ruszały się, nie oddychały. Za to powietrze wydawało się mniej przejrzyste i falujące, jakby pokój znajdował się pod wodą. Z kątów powoli wypełzały cienie. Cisza była tak przejmująca i głęboka, że aż nie do wytrzymania. Cienie zbliżyły się do Róży, na której czole perlił się pot. Przerazona Adela była gotowa przysiąc, że dziewczyna walczy z czymś, zmagą się nadludzkim wysiłkiem, choć nie wykonała najmniejszego ruchu. Ada wmaiała sobie, że to nie dzieje się naprawdę, że uległa jakiemuś złudzeniu, że

zaraz obudzi się we własnym łóżku, w domu, obok którego przejedzie z gwizdem i łoskotem luxtorpeda do Tarnopola.

Pani Dalia nagle krzyknęła. Wysoki, nieludzki dźwięk rozdarł powietrze i... czas zaczął płynąć zwyczajnie. Róża oddychała głęboko, rozglądając się z niepokojem. Trochę też chyba ze wstydem. Staruszka płakała cicho, rzucając się na łóżku, skomlała i jęczała wyczerpana, zmęczona. Adzie zrobiło się jej żal, klękła przy wezgiłowiu, ujęła jej dłonie w swoje i trzymała je dość długo.

– Udało się tym razem, ale to wróci – wyszeptała starsza pani. – Będzie ją dręczyło, aż zadręczy. Wszystkich nas dopadną. Za grzechy Izraela... Zginiemy wszyscy...

Róża tymczasem odzyskała równowagę. Wyprostowała się i bez słowa wpatrywała w babkę. Ada podniosła się.

– Co to było? Co tu się przed chwilą wydarzyło? – zapytała Różę, szukając rozpaczliwie w jej twarzy dowodów na to, że uległy zbiorowej halucynacji.

Dziewczyna wysunęła do przodu podbródek, jakby chciała odeprzeć kolejny atak, tym razem zwykły, ludzki.

– Nie słyszałaś o dybukach? – odparła z kpina w głosie. – Żydom wiecznie się coś przywiduje. Najczęściej starym. Nie potrafią żyć bez poczucia winy, ze świadomością, że odnieśli sukces, że są wartościową częścią ludzkości. Muszą cierpieć. Zamartwiać się. Babka ma różne religijne fobie... Jak to stary człowiek. Wmawia sobie i innym, że dopadnie nas zemsta duchów, bo wyrzekliśmy się korzeni.

– Ale ja to widziałam... I ty też...

– Co? Co niby widziałas? – zaatakowała Róża. – Duchy? Dybuki? Jak o tym opowiesz matce i siostrze przy kolacji, uznają, żeś niespełna rozumu. TO nie istnieje. TO jest wytworem wyobraźni babki. Nie powinna mówić o swoich strachach na głos. Słowo ma moc stwarzania. Mówisz o strachu i on się pojawia. Dopada nas, gdy mu pozwolimy... A ja nie pozwalałam!

Odwróciła się i wyszła z pokoju.

Adela nie wiedziała, co sądzić o tym wszystkim. Może pani Dalia miała zdolności okultystyczne? Cholera, przecież ona nigdy nie wierzyła w takie rzeczy!

Starsza pani szlochała cicho, ale wytrwale. Od ataku czy też... zbiorowego przywidzenia, które miało miejsce w jej sypialni, minęła godzina. Ponieważ podopieczna nie uspokajała się, Ada postanowiła zatelefonować po doktora. Podał jej środek, po którym starsza pani zasnęła. Ada wiedziała, że teraz pośpi aż do kolacji, i postanowiła iść do domu. Od dwóch tygodni na noc wynajmowano pielęgniarkę, która pilnowała Kotkowskiej.

Przed wyjściem chciała zajść do Róży, dopytać, co też ma dla niej odebrać, ale drzwi do jej pokoju zastała zamknięte. Nie otwierała, gdy Ada zastukała. Miała wręcz wrażenie, że podgłośniła gramofon i dźwięki szlagieru *Tango Notturmo* popłynęły jeszcze wyraźniej. Wzruszyła ramionami, narzuciła sweterek i z ulgą zbiegła po schodach na ulicę wybrukowaną bazaltową kostką rozgrzaną po gorącym dniu.

A potem wynikła sprawa z Józką i Adeli zupełnie wyleciały z głowy strachy oraz to że miała pójść po paczkę na Zamarstynowską. Trudno.

Wieczorem, leżąc w łóżku, myślała o wielu sprawach. O Róży i jej dybuku, o Ablu, o Kacprze. O nim najwięcej. Czy wróci i się z nią ożeni? Czy wróci?... A może nie będzie żadnej cholernej wojny?

Pierwszy września wypadł tego roku w piątek. Dzieci nie poszły do szkoły.

Od samego rana podawano w radiu komunikat, że hitlerowskie Niemcy napadły na Polskę i że znajdujemy się w stanie wojny. Mimo to Lwów funkcjonował całkiem zwyczajnie, jeździły tramwaje, działały fabryki, kawiarnie. Od jakiegoś czasu nad miastem krążyły samoloty. Ludzie przekonani, że to ćwiczenia polskich sił lotniczych zapowiadane w komunikatach radiowych, nie odczuwali zaniepokojenia większego niż w ostatnich dniach. Czekali na coś, sami nie wiedząc, na co.

Adela z matką i Suczajową siedziały na ławeczce na podwórku. Nie poszła do pracy, bo ją straciła dwa dni wcześniej. Kotkowski zawiózł *mamele*

do Kulparkowa po tym, jak zaatakowała wnuczkę nożykiem do owoców.

Ojciec i Józka wybrali się do Barabasza po zakupy. Nelka bawiła się przy sztrece – wbiegała na nasyp i zjeżdżała po nim w starej miednicy.

Nagle usłyszały huk, potem drugi i trzeci. Suczajowa przeżegnała się.

– Mamo! Mamooo! – krzyczała Petronela.

Kobiety zerwały się i przez sień wybiegły na ulicę. W mig były przy stojącej na nasypie Nelce.

– Co to? Czy to bomby? – pytała dziewczynka, pokazując ręką w stronę Podzamcza. – Jak ładnie się błyszczą!

Od samolotów krążących nad miastem odrywały się błyszczące podłużne przedmioty. Spadały w dół, powodując huk i wybuchy. Nelka podskakiwała podniecona. Nie czuła strachu, obserwując nalot, bo nie widziała czegoś takiego nigdy przedtem, nie wiedziała, jakie skutki powoduje zrzucona bomba.

Na Szczepanowskiego pojawili się inni sąsiedzi, którzy wyszli z domów. Wszyscy wdrapali się na nasyp, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Boże, Boże, a jednak... – Julia zasłoniła twarz fartuchem. – To koniec. To już koniec. Boże, Boże... Gdzie ojciec i Józka? Gdzie oni są?

Suczajowa zegnała się bez przerwy i klepała pod nosem *Pod Twoją obronę*.

Do wszystkich zgromadzonych na sztrece dotarło już, że wojna we Lwowie jest faktem. Ktoś zapłakał, ktoś na głos, tak jak Julia, martwił się o bliskich. Jakieś dzieci dziwiły się, że bomby robią tyle hałasu i że z samolotu nie wylatują kolorowe balony. Najmłodszy tak wyobrażali sobie bomby...

Nagle powietrze nad Zniesieniem przeciął huk samolotu, a potem przeciągły wizg, po którym nastąpił ogłuszający wybuch.

– Baczewskiego szwaby trafiły! – krzyknął przytomnie stolarz Zapotoczny.

Rzeczywiście, od strony fabryki wódek i likierów podniosły się gęste mgły i ogromne kłęby dymu.

„Trafil w kotły” – domyśliła się Ada.

Potem buchnął wysokim płomieniem ogień. To wszystkich otrzeźwiło. Ludzie zaczęli krzyczeć i uciekać.

– Szybko, dzieci, do domu! – zarządziła Julia. – Tu nie jest bezpiecznie.

Wróciły do mieszkania. W krótkim czasie naloty ustały. Julia wyszła na ulicę, by czekać na Pawła i córkę. Raz po raz popatrywała na płonącą w oddali fabrykę. Pomyślała, że ten słup ognia wieszczy nieszczęście. Jedno lub kilka. Jest jak znak ze Starego Testamentu. Tamten ogień prowadził Izraelitów, a ten ostrzega, zapowiada najgorsze...

Z naprzeciwka nadbiegła Elwira Gołąb, sąsiadka z domu obok. Ciągnęła za sobą płaczącego sześciolatniego synka.

– Pani Szubowa, co się dzieje w mieście! – krzyknęła zdyszana. – Gródecka zbombardowana i dworzec też! Podobno ludzie widzieli, jak wiatr roznosi niepoprzecinane płachty banknotów prosto z mennicy! Byłam w zakładzie, wypłacili mi pobory za kilka miesięcy. A niby co ja za to teraz kupię? Jak jest wojna, pieniądze nie mają wartości... A koło Baczewskiego ulicą płynie rzeka spirytusu.

– Nie widziała pani gdzieś mojego Pawła?

Sąsiadka zaprzeczyła ruchem głowy, zabrała dziecko i pobiegła do kamienicy.

Julia z niepokoju odchodziła od zmysłów. Gdzieś w pobliżu ktoś z ochrony cywilnej komunikował przez megafon, że spodziewane są dalsze naloty. W przypadku, gdyby ludzie zdecydowali się opuścić swoje mieszkania, zaleca się zabezpieczenie szyb przed wypadnięciem przez oklejanie okien paskami papieru, a także uszczelnienie szybrów, by ustrzec się przed zanieczyszczeniem wnętrza sadzą.

– Spodziewany jest nalot, powtarzam, w najbliższym czasie spodziewany jest nalot niemiecki... W mieście nie jest bezpiecznie, kto może, niech opuści miasto...

Wreszcie Julia ujrzała biegnących od strony Wniebowstąpienia Pawła i Józię.

– Żyjecie – wyszeptała, łapiąc ich za ręce.

– Szybko, do domu! – poganiał ojciec.

Podobno w mieście po bombardowaniu powstało zamieszanie i wybuchła straszna panika.

– Zych wracał z roboty i mówił, że Łyczakowska ucierpiała od bomb – opowiadał Paweł. – Dzicz po Lwowie grasuje! Ludzie rabują sklepy, napadają na magazyny... Julio, ja muszę na dworzec, do sztabu...

– Ale dworzec zbombardowany!

– Tym bardziej trzeba mi tam biec. – Mówiąc, wrzucał do swojego starego plecaka różne rzeczy. – Wy musicie uciekać. Bomby tu będą lecieć, a jak nie, bandyci z miasta mogą wam krzywdę zrobić!

– Co?! Nigdzie bez ciebie nie idziemy! – sprzeciwiła się Julia.

Paweł zaprzestał gorączkowego pakowania, stanął przed żoną, ujął ją za ramiona i popatrzył jej w oczy.

– Tu nie jest bezpiecznie. Tu będzie piekło – powiedział stanowczo, lecz spokojnie. – Umówiłem się z Władkiem Drakiem, że możecie się schować u niego w Prusach. Pamiętasz Władka? Pracowaliśmy razem na Głównym.

Adela, która już się opanowała, przypomniała sobie, że to ona miała zostać tymczasowo głową rodziny.

– Tato, jak mamy się dostać do Prusów? Przecież pociągi nie jeżdżą – zauważyła trzeźwo.

Ojciec spojrzał na córkę z uznaniem. Powściągnęła swój strach i teraz znowu próbowała walczyć i działać. Cała ona.

– Skoro nie można pociągiem, pójdziecie pieszo.

– Wzdłuż torów? Będzie najszybciej...

– Broń Boże nie idźcie wzdłuż torów! Trzymajcie się jak najdalej od torów i wszelkich szos – pouczał Paweł. – Jak wrócą samoloty, będą bombardować wszystkie szlaki komunikacyjne. Musicie iść dookoła, najpierw na Dublany, potem dopiero na Prusy. Ada, dziewczynki, spakujcie ubrania, jedzenie i idźcie, nie mitręźcie czasu. Nelka, nie płacz już, weź się w garść.

– A moje kotki? Weźmiemy moje kotki? – dopytywała się, a kiedy usłyszała, że nie, pobiegła się z nimi pożegnać i zapewne udzielić im instrukcji

na wypadek nalotów.

Pożegnanie ojca z dziećmi było krótkie, ale serdeczne. Ada patrzyła na matkę, jak płacze i czepia się rąk męża, nie chcąc go puścić. Powtarzała wciąż, że bez niego nie da sobie rady. Nigdy nie widziała jej tak przerażonej. Dziwnie się z tym czuła.

– Tylko wróć! – poprosiła matka na ostatku, zbiegając za Pawłem po schodach. – Kocham cię.

– Wrócę – obiecał krótko, wyzwoliwszy się z jej objęć. – Niech was Bóg strzeże. Czekają na mnie.

Przed kamienicą stała grupka mężczyzn w milczeniu palących papierosy. Wyczuwało się napięcie bijące od nich. Julia patrzyła za nimi, dopóki nie zniknęli, skręciwszy w bocznice, która prowadziła do rzeźni miejskiej.

Pół godziny później one też wyruszyły. Szły Nowozniesieńską, po lewej stronie mając dymiącą fabrykę wódek i likierów, potem Żółkiewską i Wołyńską. Wyszły ze Lwowa, mijając osiedle dla pracowników Miejskich Zakładów Komunikacyjnych i zajezdnię tramwajową na Gabrielówce, a dalej piaszczystym gościńcem ruszyły w kierunku Dublan.

Nie szły same, w tej drodze towarzyszyły im tłumy innych uciekających przed bombami lwowian. Każdy niósł swój tobolek, matki pchały wózki z niemowlętami, których koła zapadały się w sypkiej nawierzchni drogi. Nie było w tym pochodzie mężczyzn, chyba że w podeszłym wieku. Ludzie wymieniali się informacjami i plotkami.

– Podobno, kogo stać, jedzie samochodem do Zaleszczyk... – mówiła jakaś kobieta. Miała na sobie dwie lub trzy spódnice, zapewne założyła na siebie tyle, żeby mieć mniej rzeczy do dźwigania. Ada zastanawiała się, jak ona daje radę w tym upale?

– Do Rumunii uciekają? Takim to dobrze, tyłki sobie wożą... – przygadał ktoś z tyłu. – Ci się na pewno uratują!

„A my nie?” – przeszło przez myśl wystraszonej Adeli.

Józka wciąż zadzierała głowę, wypatrując ze strachem samolotów. Na szczęście na razie niebo było czyste.

– Jak się zaczęło – powiedziała, łapiąc starszą siostrę za rękę – staliśmy z tatą przed sklepem w kolejce. Ciągnęła się aż na drugą stronę Wniebowstąpienia. I gdy nadleciały samoloty, Marysia Marcinkowska, która stała za nami, powiedziała, że to na pewno nasi ze Skniłowa ćwiczą. Ale tych samolotów było bardzo dużo, a potem zaczęły wybuchać bomby i... I ludzie krzyczeli. Tata i Bizub stwierdzili, że w pierwszej kolejności zbombardują pewnie tory, więc trzeba będzie uciekać, szczególnie że u nas na Szczepanowskiego domy niepodpiwniczone. I ja, ja... – rozpląkała się. – Chciałam wracać do domu. Ale tata z sąsiadami zaczęli się zmawiać, że kto jest w Straży, powinien iść do centrum po rozkazy. Mężczyźni zaczęli biegać od domu do domu i zwoływać się. A potem... Ada, kiedy my wrócimy do Lwowa?

Szubówna nie umiała udzielić konkretnej odpowiedzi na to pytanie. Czy w ogóle wrócą? Może nie będzie już do czego?

– Ale przynajmniej nie ma szkoły, Józia – zauważyła wymijająco.

Józefina nie odpowiedziała, zapewne rozważając, czy ta korzyść ma przewagę nad innymi niedogodnościami i strachem.

Doszli do Dublan prawie pod wieczór. Niektórzy ludzie odłączyli się wcześniej i pozostali w Malechowie, który znajdował się bliżej Lwowa.

Adela ulokowała Julię z dziewczynkami pod dziką jabłonką rosnącą przy drodze, a sama poszła na wieś szukać dla nich jakiegoś schronienia na noc.

– Ada! Adelka! – usłyszała. Gdy obejrzała się, zobaczyła, że przed jednym z gospodarstw stoi Otylka. Ucieszyła się szczerze na jej widok.

– Chodź tu! Tu nas przyjmą! Gdzie swoich zostawiłaś? – Koleżanka podbiegła, łapiąc ją za rękę.

Kwadrans później Ada przyprowadziła do gospodarstwa Julię i siostry, dziękując Zychównie za pomoc.

Gospodarze pozwolili uchodźcom przespać się w stodole. I choć świeżo skoszone siano pachniało równie słodko jak w Browarach u cioci Dosi, nikt

się tym razem nie cieszył z tego nocowania. Gospodyni ze strachem wypytywała o dzisiejsze wydarzenia. Oni też widzieli samoloty i słyszeli wybuchy, bali się.

Zdrożeni i zmęczeni strachem, wszyscy wcześniej ułożyli się w sianie do snu. Zychówna obok Szubów.

– Otylka, a gdzie jest Polda? – zapytała szeptem Ada.

Koleżanka dłuższą chwilę nie odpowiadała, Adzie zdawało się nawet, że już zasnęła.

– Ona jest chora i pani gospodyni pościeliła jej w domu – usłyszała w końcu.

– Chora? Na co? Może do niej pójde?

– Nie idź, ma tam dobrą opiekę. Jutro się z nią zobaczymy... Śpij, Adunia.

Ale sen nie przychodził. Dokuczało wszystkim zimno, bo noce zrobiły się chłodne. Ada, przytuliwszy się do pulchniutkiej i mięciutkiej Neli, rozmyślała o tym, co robi Kacper, co z ojcem? Gdzie jest ciocia Peła, czy żyje? Ludzie po drodze mówili, że od bomb poginęli w mieście ludzie... Jaka ta wojna będzie? Gorsza niż ta poprzednia, o której rozprawiali czasem dorośli?

Nad Kulparkowem też już zapadał zmierzch. Skończył się pierwszy dzień wojny, teraz zaczynała się noc. Można było pod jej osłoną pochować zmarłych.

Pani Dalia Kotkowska, niepilnowana przez nikogo już od kilku godzin, wyszła z zakładu dla nerwowo chorych. Ulice tonęły w ciemnościach, ale starsza pani wiedziała, że to nie jest zwykły mrok. Z ciemnej masy, która ją otaczała, co raz odrywały się czarne kształty i rozbiegały w różne strony miasta. Pochylały się nad ciałami zabitych, przyklejały do rozpaczających nad śmiercią bliskich... Demony wojny opanowały Lwów i będą teraz pasły się na ludzkim nieszczęściu i strachu. *Mamele* to wiedziała. Wiedziała, za-

nim przyszła ta wieczna noc, ostrzegała, ale nikt jej nie słuchał... Teraz jest już za późno. Teraz Lwów skona w męczarniach.

Kotkowska postanowiła uratować choć najbliższych. Znała na to sposoby jeszcze z czasów, gdy mieszkała w *sztetl*, małym miasteczku, w sąsiedztwie cadyka, który czynił cuda. Namaścił ją kiedyś i teraz ona miała moc. Nie tylko widzenia tego, co zakryte, ale i ratowania tego, co nie do uratowania. Syn i wnuczka nie wiedzieli o tym, w przeciwnym razie nigdy by jej nie oddali w to straszne miejsce, do szpitala dla wariatów. Teraz ona wróci do domu i ich uratuje.

Rozejrzała się, chcąc przeniknąć ciemność. Czy szła w dobrą stronę? Wiedziała, że powinna kierować się na sobór Świętego Jura.

Szła powoli. Nie widziała ludzi, wszędzie tylko demony. Tak ciężko w ich towarzystwie... One jej nie zobaczą, ale tak straszno na nie patrzeć...

Staruszka zatrzymała się na środku ulicy i zamknęła oczy, by choć na chwilę odpocząć od ich widoku. Nagle za jej plecami rozległ się warkot i przeraźliwe trąbienie. Jechała na nią ciężarówka zbierająca po mieście trupy.

Kotkowska próbowała się poruszyć, ale nie mogła, stała jak sparaliżowana.

Szofer nie wyhamował. Kotkowska poczuła tępy ból w całym ciele. Upadła, ciężarówka przejechała po niej.

Samochód zatrzymał się. Z szoferki wyskoczył kierowca, a za nim dwóch innych mężczyzn. Pochylili się nad staruszką, obejrzelili zakrwawioną głowę.

– Nie żyje... – powiedział jeden z nich.

– Kurwa, Wincent, jak jeździsz?! – zdenerwował się drugi. – Mało trupów dookoła, nowe będziesz produkował?

– Uspokójcie się, ona i tak długo by nie pożyła. Stara była. Na samochód z nią – zawyrokował trzeci.

Mężczyźni podnieśli kobietę, leciutką jak motylek, i rzucili na pakę. Potem wsiedli do auta i pojechali dalej.

Starsza pani obserwowała oddalający się samochód z niewielkiej wysokości. Unosiła się nad ulicą niczym podmuch wiatru. Czuła smutek. Nie udało jej się uratować Rojzy i swojego *bebele*. Szkoda. Poczekaj na nich tam, po drugiej stronie. Bo była pewna, że przyjdą. Już wkrótce.

Wiatr zawiął leciutko i pani Dalia poszybowała nad miastem okrytym nieprzeniknioną, złowrogą czernią. Uleciała w stronę gwiazd.

Rano nad Dublinami wstało piękne słońce, a uciekinierki wyszły na podwórze, by ogrzać się w jego ciepłe. Gospodyni wyniosła im mleko i chleb kulikowski, tutaj, w Dublinach przecież wypiekany. Julia rozmawiała z gospodynią, po czym oznajmiła dziewczynkom, że wróci na Szczepanowskiego po pierzynę i cieplejsze ubrania, bo nie wiadomo, jak długo przyjdzie się im jeszcze tułać, a noce przecież chłodne.

– Pani gospodyni pozwoliła nam tu zostać do jutra. Rano ruszymy do Prusów.

Nela i Józia rozplakały się, ale Julia uparła się, że pójdzie. I poszła.

Dziewczynki szybko się pocieszyły. Znalazły sobie koleżankę i biegały z nią po gospodarstwie, udając samoloty, w ten sposób oswajając to, co przeżyły poprzedniego dnia. Ada snuła się po podwórku i rozpytywała gospodarzy o dalszą drogę, o to, jak mają iść do Prusów, by ominąć szosę. Szukała też Otylki, która zawieruszyła się gdzieś zaraz po śniadaniu. Potem przeszła się po wsi, w innych gospodarstwach rozglądając się za sąsiadami ze Zniesienia. Znalazła ich wielu. Postanowili, że następnego dnia wyruszą razem.

Gdy wracała do swoich, na ławeczce w ogródku gospodarzy dostrzegła Poldę. Zawinięta w koc drzemała, wystawiając twarz do słońca.

– Poldziu, kochana, czyś ty chora? – Zaniepokojona pobiegła do niej natychmiast.

Koleżanka drgnęła i otworzyła oczy. Koc zsunął się z jej ramion. I wtedy Adela zrozumiała, dlaczego Zychówna źle się czuła. Pod sukienką rysował się okrągłutki brzuszec...

– Jesteś w ciąży? – zdziwiła się niemądrze, bo nawet dziecko by zauważyło, że tak.

Polda uśmiechnęła się blado.

– A na co ci to wygląda?

– Ale jak to? – dziwiła się Ada. – Przecież nic nie było widać...

– Bo się wiązałam, żeby ukryć dziecko – wyjaśniła półgłosem. – Bałam się, że mnie Sierakowa zwolni z ochronki. Ale teraz jest wojna, pracy nie ma, nie muszę się już ukrywać. Wiesz, jak wspaniale, że mogę nareszcie pogłaskać się po brzuchu? Zresztą wciąż łapałam się za brzuch i wydawało mi się, że wszyscy się już domyślają...

Ada milczała. Ani Otyłka, ani stary Zych słówkiem nie pisnęli... Jak to możliwe, że ona nic nie zauważyła? No ale ostatnio częściej się z Poldą sprzeczały, niż rozmawiały. Nagle zrozumiała, dlaczego przyjaciółka ostatnio tak wypiękniała – błogosławiony stan był tego przyczyną.

– A kim jest ojciec? – zapytała.

Dziewczyna westchnęła.

– Cała ty, wszystko musisz wiedzieć... Mogę ci powiedzieć, że Anzelm. I więcej nic.

– Wyjdiesz za niego?

Polda uśmiechnęła się, jednocześnie zaprzeczając ruchem głowy.

– Nie kocha cię?

– Ależ kocha, kocha. Ale jest... zajęty. Nie wszystko jest tylko czarne i białe, mój słowiczku kościelny.

– A co teraz będzie z tobą i dzieckiem?

Zychówna popatrzyła na koleżankę z powagą.

– A co teraz będzie z tobą? Z twoją rodziną? Z Suczajem? Z nami wszystkimi? Wojna jest, Ada, nikt nie wie, co będzie. I czy w ogóle będzie – to mówiąc, położyła obie ręce na brzuchu, który zaczął się śmiesznie poruszać. Uśmiechnęła się.

Adela po chwili wahania też położyła dłoń na brzuchu koleżanki. Polda nie odtrąciła jej, przełożyła ją tylko w dół brzucha. Ada poczuła ruch. Życie, które rozwijało się pod sercem przyjaciółki, dawało o sobie znać mocnymi kopniakami. Obie się roześmiały.

– Jak mocno! To pewnie chłopak! – mówiła wzruszona Ada. – Kiedy się urodzi?

– Na początku października. Szykuj się na chrzestną...

Koleżanki objęły się mocno, popłakały. Szubówna zdecydowała, że siostry pójdą razem z nimi i zatrzymają się u znajomych ojca. Otylia, która przyszła szukać Poldy, zgodziła się, bo innego planu i tak nie miały. Polda poprosiła Adę, aby zaśpiewała coś małemu. Najlepiej coś do snu, bo kręci się i kręci...

– *W górze tyle gwiazd, w dole tyle miast, gwiazdy miastom dają znać, że dzieci muszą spać. Ach śpij, kochanie...* – zanuciła.

Julia wróciła przed wieczorem. Do Dublan nie było daleko, ale podczas pobytu we Lwowie jeszcze próbowała znaleźć Pełę.

– Nie dotarłam do miasta, tramwaje nie jeżdżą, wszędzie nasze wojsko... Poza tym wciąż ostrzegają przed nalotami – relacjonowała.

Podobno Nowe Zniesienie było wyludnione. Przy budach wyły pozostałone przez uciekinierów psy, na ulicach pusto.

– Wyobraź sobie, Ada, że Goldmanowie zostali – mówiła półgłosem matka, tak żeby Nelka nie słyszała. – Sara pogrążona jest w jakimś letargu, wciąż płacze, Goldman bezsilny chodzi koło niej. Kopie dziurę w ziemi, w której rodzina ma się schronić w razie nalotu... Dziewczynki biegają z garnkami, którymi wyciągają ziemię z wykopu. Mówię ci, aż żal mi było patrzeć.

– A ojciec?

– Nie było go chyba w domu od wczoraj...

Gdy córka przekazała jej wieści o Poldzie, Julia poszła jej poszukać. Wróciła z niewesołą miną.

– Dobrześ zarządziła, Zychówny pójdą z nami – rzekła jedynie.

Tej nocy Szubówny spały przytulone do Julii, okryte przyniesioną z domu pierzyną. Rano ruszyły dalej.

Dziewczęta dźwigały rzeczy zabrane z domu. Słońce grzało mocno. Wśród ogołoconych po żniwach pól polnymi drogami ciągnęli całymi rodzinami ludzie. Było ich mnóstwo.

Nagle nad głowami dało się słyszeć przeciągłe buczenie.

– Samoloty! Nalot! Na ziemię, szybko! – ostrzegali się ludzie. – Kryć się!

Ale nie było gdzie się ukryć. Zboże ścięte i zebrane, przy drogach nie rosły żadne drzewa... Ada, niewiele myśląc, wepchnęła Józkę i Nelę do rowu, po czym sama w nim zanurkowała. Julia i Otylia pomogły się położyć ciężarnej Poldzie. Nakryły się pierzyną i tobołami, choć to przecież nie mogło zapewnić żadnej ochrony.

I wówczas nadleciały samoloty, siekąc do ludzi z automatów. Wszystko działo się bardzo szybko. Przestraszone dzieci płakały. Kiedy buczenie samolotów ucichło, wśród ściernisk rozległ się inny dźwięk. Podniósł się lament i zawodzenie. Opłakiwano tych, którzy nie zdążyli się ukryć...

– Chodźcie, szybko, idziemy dalej! – poganiała Ada, pomagając Poldzie wyjść z rowu.

Niemcy powtórzyli ostrzał jeszcze dwa lub trzy razy. Kiedy automaty cichły, zaczynał się płacz. Adela za każdym razem bała się otworzyć zaciśnięte mocno powieki, by sprawdzić, czy żadnej z nich nie stała się krzywda. Na szczęście kule ich nie dosięgły.

Droga dłużyła się, Józia i Nela wciąż szlochały, nie wiadomo, ze strachu czy ze zmęczenia, zresztą Ada się nie dopytywała, bo czy to nie wszystko jedno? Każda z nich niosła jakiś pakunek, tylko Polda nie została objuczona. Nelka uprosiła matkę, żeby wzięła ją na barana, Ada przejęła więc tobołek Julii. Wszyscy szli w ciszy, nasłuchując złowrokiego buczenia. Na szczęście jedynym dźwiękiem dochodzącym z góry były ptasie trele.

Późnym popołudniem dotarły do Prusów. Matka odszukała zagrodę rodziny Draków. W domu obecni byli tylko gospodyni i jej dwóch synów,

mniej więcej w wieku Nelki.

– Chodźcie, chodźcie, jeść zaraz dostaniecie.

Marianna Drakowa zakrzętnęła się i za chwilę na stole pojawiło się zsiadłe mleko oraz ziemniaki. Polda została położona do łóżka.

– Bardzo dziękujemy, Marianno. – Mama była wzruszona i zmęczona. – Bałam się, że już tu do ciebie nie dotrzemy. Ostrzeliwali nas... Nie mieliśmy gdzie się schować... Nie miałam jak ukryć dzieci, rozumiesz, chcieli nas jak kaczki wystrzelać!

Marianna położyła spracowane ręce na stole. Dłonie jej drżały.

– Tutaj też nadlecieli, strzelali... – powiedziała. – A co my tym Niemcom winne są? Niech walczą żołnierze na frontach, ale do kobit i dzieci tylko tchórze strzelają, ot, co!

Następnego dnia uciekinierki zbudziły się dopiero koło południa, kiedy odespały trudy drogi. Młodsze Szubówny znalazły wspólny język z małymi Drakami i razem z nimi biegały po obejściu. Ada, Otylka i Julia starały się odwdziżyć za gościnę i pomagały w różnych pracach – przynosiły jarzyny z pola, gotowały, oporządzały zwierzęta. Za to dzieci dokazywały jakby nigdy nic. Petronela wymyśliła sobie niebezpieczną zabawę – zjazd z kopycy siana wózkami drabiniastymi. Rozpędzony wózek raz uderzył w suszące się porcje torfu poukładane przy ścianie stodoły.

– Co ty mi tu, dziecko, narobiłaś?! – denerwowała się pani Drakowa, gdy zaalarmowana przez synów zajrzała do stodoły i zobaczyła rozrzucone siano oraz torf. – Skaranie boskie z tobą, tyle roboty zmarnowałaś! I kto to będzie sprzątał?

Julia surowo się z córką obeszała, wymierzając jej policzek.

– Jesteśmy tu w gościnie, więc się zachowuj, jak należy – pouczała. – Szanuj ludzi, którzy ratują ci życie!

Starsze Szubówny i Otylka pomogły posprzątać bałagan, ale od tej pory Petronela miała zakaz wstępu do stodoły.

Któregoś dnia najmłodsza córka Julii pobiegła z małymi Drakami na gminne pastwisko.

– Tylu krów naraz w życiu nie widziałaś – zachęcali.

Krótko po wyjściu dzieci wszyscy usłyszeli niski dźwięk zwiastujący nalot.

– Bożeż ty mój! – Przerazona Drakowa załamała ręce. – Tam sama trawa bez jednego drzewa czy krzaków, dzieci nawet nie będą miały się gdzie schować!

– Ada, leć po nich! – poprosiła Julia ze łzami w oczach.

Córka posłuchała. Biegła poboczem drogi pod drzewami. Samoloty leciały dokładnie nad nią. Gdy dotarła zdyszana na łąkę, zobaczyła z przerażeniem, że dzieci stoją na środku, pośród pasących się krów, bardzo dobrze widoczne. Nelka w białej sukience w niebieskie kwiaty stanowiła świetny cel... W tym samym momencie nad pastwiskiem pojawił się samolot z wymalowaną na skrzydle żółto-czarną szachownicą. Leciał coraz niżej. Ze swojego miejsca Adela widziała bardzo wyraźnie pilota siedzącego w kabine, jego słuchawki... Patrzył na jej siostrę, a ona patrzyła na niego. Stała nieruchomo, jak zahipnotyzowana. Nagle chłopcy zaczęli biec, krzycząc:

– Uciekaj, on będzie strzelał! Uciekaj!

Adela, niewiele myśląc, rzuciła się przed siebie, złapała dziewczynkę i powaliła ją na trawę. Rozległ się terkot karabinu maszynowego i ryk poranionych krów. Jedna upadła obok, wierzgając nogami w powietrzu. W mgnieniu oka, ciągnąc za sobą Nelę, Adela położyła się obok konającego zwierzęcia, kryjąc się przed kulami. Chłopcy natomiast z krzykiem przerażenia rozbiegli się w dwóch przeciwnych kierunkach i to prawdopodobnie uratowało im życie. Samolot jeszcze chwilę krążył nad pastwiskiem, po czym poleciał dalej.

Dziewczęta długą chwilę leżały obok krowy. W końcu przestała się ruszać.

Pierwsza zdecydowała się wstać Nela. Obeszła zwierzę i pogłaskała jego nieruchomy pysk.

– Ada, zobacz, ona płakała – powiedziała cicho. – Bolało ją...

Podeszła do innej, żyjącej krowy, uklękła przy niej i położyła małą rączkę na czole.

– Ona też płacze. Ciiicho, cicho, malutka...

Adela nie mogła się ruszyć, choć bardzo chciała. Wciąż widziała przed sobą zaciętą twarz pilota, który celował do jej małej siostry. Chciał zabić dziecko. Boże, co to za wojna?

Na pastwisko zaczęli się schodzić mieszkańcy wioski. Ranne krowy ryczały żałośnie.

– Trzeba je wyleczyć – powiedziała Nela do któregoś z gospodarzy, który pochylał się nad swoją Kaliną czy Maryną.

– A kto słyszał, żeby krowę leczyć? – ofuknął ją. – Dobić ją trzeba, żeby się nie męczyła. Fredek, leć po weteryniarza, będzie miał roboty dzisiaj...

I dopiero wtedy Petronela zaczęła płakać. Darła się i ryczała wniebogłosy. To otrzeźwiło Adę. Podniosła się i usiłowała ją uspokoić. Na szczęście wtedy nadbiegły Drakowa i Julia i zajęły się dziewczynką. Ada usiadła na skraju łąki i siedziała tam bez ruchu, aż ktoś powiedział jej, żeby poszła do domu, bo znowu mogą nadlecieć samoloty.

Niemcy wrócili tego dnia jeszcze dwa razy. Wszyscy siedzieli w izbie u Draków, nie zbliżając się do okien. Nie ruszali się, prawie nie oddychali ze strachu. Nela bezgłośnie płakała. Biedna, przekonała się, co to jest nalot.

Tej nocy śnił się Adeli samolot z żółto-czarną szachownicą na skrzydle i kamienny wyraz twarzy pilota siedzącego w kabinie. Krzyczała przez sen kilka razy.

Ponieważ naloty w Prusach zdarzały się coraz częściej, Julia i Marianna postanowiły przejść do sąsiedniej wsi, bardziej oddalonej od Lwowa. Następnego dnia znowu więc wyruszone w drogę, tym razem w składzie powiększonym o Drakową i jej synów. W gospodarstwie Marianna zostawiła informację o przenosinach dla męża i Pawła, których spodziewano się lada dzień.

Na szczęście Barszczowice leżały całkiem blisko Prusów. W wiosce mieszkał zakonnik, z którym Drakowie byli zaprzyjaźnieni. Zgodził się ich przyjąć, choć warunki, w jakich przyszło im mieszkać, były naprawdę spartańskie. Spali na podłodze, na wiązce siana rozłożonej na klepisku.

Ojciec Piotr trudnił się wypiekiem chleba. I właściwie chleb mieli za jedyne pożywienie podczas pobytu w Barszczowicach. Gdy pracował, śpiewał nabożne pieśni, a Ada razem z nim. Dzieci zafascynowane były umiejętnościami zakonnika – z okrawków chlebowego ciasta lepił figurki różnych świętych, a raz nawet zrobił zegar z kukułką.

– Ojcie, jakie to piękne! – zachwycali się Nela i chłopcy.

Ada modliła się często na różańcu zrobionym z wypieczonych na twardo chlebowych kulek. Modliła się o pokój. W tamtym czasie ta intencja, którą przecież tyle razy słyszała z kościelnej ambony, nabrała nowego wymiaru. Zrozumiała, co to znaczy tęsknić za codziennością. Za wychodzeniem rano do pracy, za wydzieraniem się na młodsze siostry...

Przebywając kilka dni w chacie tego zrównoważonego duchownego, Ada powoli odzyskiwała spokój ducha. Tu pachniało chlebem, a ten zapach przynosił ukojenie. W Barszczowicach czas nie istniał, wojny nie było.

Któregoś dnia do domku zakonnika zapukali ojciec i Władek Drak. Po wzruszającym powitaniu pełnym uścisków i łez mężczyźni podzielili się wieściami:

– Niemcy oddali miasto Sowietom – powiedział ojciec. – Idzie do nas Armia Czerwona. Azja nas pożre, zobaczycie.

Przestraszyły ich te słowa. Ojciec Piotr przeżegnał się.

Paweł zdziwił się i posmutniał, gdy zobaczył, że są z nimi Zychówny. Miał im do przekazania złą wiadomość. Ich ojciec zginął od wybuchu bomby.

– Co my zrobimy, Poldziu? Gdzie my się teraz podziejemy? – Otyłka rozplakała się.

Siostry, przytulone do siebie, opłakiwały ojca. Julia starała się je pocieszyć, przyrzekła, że na Szczepanowskiego zawsze znajdą dom. Adela do-

brze wiedziała, że w tej chwili nic nie jest w stanie osuszyć ich łez, że same muszą się rozprawić ze swoim bólem.

Wszyscy posmutnieli. Stefek Zych był dla nich pierwszą znajomą ofiarą tej wojny. Pierwszym straconym, pierwszym, którego będą opłakiwać.

Zakonnik pocieszał dziewczyny. Długo z nimi rozmawiał, a potem w trójkę uklękli przed krzyżem wiszącym w izbie i modlili się za duszę Zycha. Szubowie i Drakowie dołączyli do nich.

Na szczęście wieści o bliskich były dobre. Ciocia Pela żyła, cały czas spędzała w szpitalu, opiekując się rannymi. Ciocia Marynia i wuj Jan też cali, babka Aniela również.

Podczas gdy pan Drak i ojciec posilali się, wpadł do chaty miejscowy chłopak.

– Ojcie Piotrze, ojcie Piotrze, Ruscy idą!

Wszyscy wybiegli z chaty na drogę. Po jej obu stronach stali zaciekawieni mieszkańcy Barszczowic. Ada zauważyła, że tłum składał się głównie z kobiet, dzieci i starszych mężczyzn. „Młodzi pewnie walczą. Oby jak najdłużej” – pomyślała.

Chwilę po tym zza pagórka wyjechali konni żołnierze. Na głowach mieli czarne baranie czapy, ubrani byli w brudne, obdarte mundury, a niektórzy tylko w płócienne chłopskie ubrania. Za konnymi szła piechota.

– A jaka to czerwona armia, jak oni czarni są? – zauważyła Drakowa. – Łby czarne jak baranie...

Adela w milczeniu przypatrywała się Sowietom. Nie robili dobrego wrażenia, wręcz przeciwnie. Byli brudni, ich mundury pruły się w wielu miejscach, buty były w strasznym stanie. Nawet ich twarze miały tępy wyraz i grube, niezgrabne rysy. Wydawało się, że snuje się za nimi kwaśny, duszący smród.

– Kałmuki, kocmołuchy... – powiedziała otyła kobieta stojąca obok Józki. – I takie obdartusy, takie prostaki nas pokonały? Naszych malowanych chłopców? O mój Boże, miej nas w opiece...

Ludzie stojący przy drodze byli tego samego zdania, bo w tłumie zdarzały się śmiechy i lekceważące prychnięcia. To musiało rozsierdzić czerwonoarmistów, bo nagle padł wystrzał. Przestraszony tłum rozbiegł się. Uchodźcy ze Zniesienia również ukryli się u zakonnika, wyszli dopiero, gdy czarne wojsko przeszło.

W nocy ponownie miał miejsce nalot. Sytuacja była bardzo poważna, bo okazało się, że w schronie nie starczyło miejsca dla wszystkich. Na szczęście ciemności panujące w wiosce nie ułatwiały lotnikom sprawy i to pozwoliło ujść Szubom, Zychównym i Drakom cało.

Rano Julia powiedziała na głos to, o czym wszyscy myśleli od dawna.

– Wracajmy do domu, Pawle.

Ojciec spojrzał jej poważnie w oczy. Długo milczał.

– Może najpierw ja pójdę? – zaproponował. – Sprawdzę, czy mamy do czego wracać. Czy dom stoi jeszcze...

Julia westchnęła i pokręciła głową.

– Nie, my też pójdziemy – powiedziała z mocą. – A jak się okaże, że tam same gruzy, to co? A jak tam szabrownicy mieszkania plądrują? Jak cię... zastrzelą? Miałybyśmy u ojca Piotra zostać? Przecież nie możemy. Co z nami będzie? Musimy trzymać się razem. Jakby co, coś się wymyśli. Nie powinniśmy się rozdzielać.... – Zamilkła. – Nawet... nawet gdyby przyszło ginąć... – dodała po chwili – to razem.

Drakowa siorbnęła głośno, upijając łyk gorącej herbaty ziołowej, którą naparzyły do śniadania Zychówny. Odstawiła kubek z mocą.

– Ja też bym do siebie wracała. Co ty na to? – Spojrzała na męża pytająco.

Ten wzruszył ramionami.

– Wiecznie tu siedzieć nie będziem – stwierdził. – W razie nalotu i tak nie mamy się gdzie w Barszczowicach ukryć, bo schron za ciasny. Idziemy i my.

Po krótkiej naradzie postanowiono wracać do domu następnego dnia z samego rana.

Zakonnik, który przysłuchiwał się rozmowie z kąta przy wystygniętym piecu, podniósł się, podszedł do stołu, wziął bochenek chleba, nakreślił na nim znak krzyża i zaczął kroić.

– A więc ustalone. A teraz zjedzcie coś. Potem was pobłogosławię przed drogą – powiedział. – Wszystko i tak w boskich rękach...

W nocy Adeli śniło się, że znowu stoją wzdłuż traktu razem z mieszkańcami wioski i obserwują maszerujące w stronę Lwowa wojsko. Jednak w szeregach nie maszerują ludzie, a demony. Ich ciała są z czarnej mgły, tylko oczy mają czerwone, pałające. Wyglądają wypisz wymaluj jak dybuki z rojeń starszej pani Kotkowskiej... W pewnym momencie Adeli wydało się, że jeden demon wbija w nią rozżarzone spojrzenie. To bolało, jego oczy przeszły jej serce na wskroś, Ada otworzyła usta do krzyku, myśląc że umiera. Ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Ból zgiął jej kolana i upadła w piach drogi, wprost pod buciory upiornych czerwonoarmistów. W ostatniej chwili ktoś ją pochwycił, podniósł do góry za ramię. Była pewna, przekonana, że uratował ją Kacper, jednak gdy odwróciła głowę, by na niego spojrzeć, zobaczyła tylko wykrzywione wściekłością czerwone oczy demona... Wtedy dopiero krzyknęła, budząc się na twardym klepisku chaty zakonnika. Czyjaś dłoń głaskała ją po czole.

– Ciii... To tylko sen, dziewczyno – usłyszała szept ojca Piotra. – Módl się... Módl się i śpij... Zdrowaś Mario, łaskiś pełna...

Adela szeptała modlitwę, a jej oddech uspokajał się. W końcu zasnęła.

Wyruszyli następnego dnia rano. Jakiś czas szli razem, potem rozdzielili się – Drakowie wrócili do Prusów, a rodzina Szubów wraz z Zychównymi wyruszyła drogą w kierunku Lwowa. Gdy doszli do torów kolejowych, postanowili iść ich śladem, choć nie było to najbezpieczniejsze rozwiązanie.

– To najkrótsza droga – twierdził ojciec. – A Polda jest słaba. Musimy jak najszybciej wrócić do domu. Poza tym nie spotkamy Ruskich, bo oni idą gościńcem. Czort wie, czy weszli już do miasta, czy gdzieś marudzą po drodze...

– Zaryzykujemy – zgodziła się Julia.

Dzień był słoneczny i bardzo ciepły jak na drugą połowę września. Tory biegingy przez zielone łąki. W wysokich trawach grały świerszcze, brzęczały trzmiele. „Gdyby nie okoliczności, byłaby to bardzo miła wycieczka” – pomyślała Adela. Nie mogła uwierzyć, że trwa wojna. Przyroda jakby nie przyjmowała tego do wiadomości i wszystko szło utartym rytmem.

Jednak po paru godzinach marszu dziewczyna zmieniła zdanie... Wzdłuż torów w kilkumetrowych odstępach leżały ciała martwych koni. Przy jednym z nich z przerażeniem dostrzegli zwłoki żołnierza. Ada zauważyła polski mundur.

– Mamo, to prawdziwe trupy? – Józia zaczęła płakać.

Paweł podszedł do żołnierza i nakrył mu twarz kurtką. Poderwał tym gestem rój mieniących się tęczo-wo much ucztujących na truchle. Ada dostrzegła nieopodal stado kruków czekających na żer. Wzdrygnęła się. Pomyślała, że w lipcu w Jazłowcu oglądała tych malowanych ułanów żywych, a teraz... Teraz ogląda ich ciała...

– Pomódlmy się za jego duszę – powiedziała cicho Julia.

– I za dusze tych koni też – dodała Nela ze łzami w oczach.

Nikt jej nawet nie upomniał. Zresztą to była Nela. Ona tak czuła...

– Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci... – modlili się.

Potem w ciszy ruszyli dalej.

Adela starała się nie myśleć. O niczym. Potrzebowała, żeby ktoś wymazał z jej umysłu ostatnie dni, strach, sny, niepewność, tęsknotę za Kacprem. Marzyła, że wróca do domu i wszystko będzie jak dawniej. Ale dobrze wiedziała, że nic już nie będzie jak dawniej.

Pod samym miastem spotykali znajomych i sąsiadów, którzy tak jak oni uciekli pierwszego września przed bombami i teraz wracali do domu. Witali się oszczędnie, często bez słów, rzucając sobie tylko wystraszone spojrzenia. Bo i cóż mieli sobie rzec? O czym rozmawiać, gdy każdy czuł to samo? W tych prawie niemych niezdarnych powitaniach czaiła się obawa, że nic

nie zastaną na miejscu, że dom zburzony, spalony, zrabowany... A nawet jeśli nie, to i tak nie będzie to ten sam dom co kiedyś. Już nie ta dająca schronienie i poczucie bezpieczeństwa przystań, ale dom tymczasowy. Taki, z którego ktoś ich może wygnać. Taki, do którego wdarła się nieproszona przez nikogo wojna i rozstawiła domowników po kątach.

Szubowie doszli do Nowego Zniesienia późnym popołudniem, zdrożeni i wyczerpani. Julia na zmianę z Adą niosła opadłą z sił Nelkę, Paweł podtrzymywał wyczerpaną Poldę. Otylia szlochała, nie wiadomo, za ojcem czy ze zmęczenia i strachu, idąc pod rękę z Józką. Adzie wydawało się, że wszyscy idą na pogrzeb...

Mieszkanie na Szczepanowskiego stało nienaruszone. Nikt na szczęście się do niego nie włamał, bomba w nie nie trafiła. Mieli do czego wracać. Mama weszła do kuchni, usiadła ciężko na krześle. Józka wydobyła z tobołka chleb od ojca Piotra i położyła na stole. Adzie wydało się, że teraz jest jakby bardziej po domowemu. Normalnie. Ale wtedy matka zaczęła szlochać. To było niezwykle, niespotykane. Julia nigdy przecież nie płakała.

– Co teraz będzie? Powiedzcie mi... – wyszeptwała ze łzami w oczach.

Nikt jej nie odpowiedział.

Rozdział XI

W następnych dniach pod miastem stanęła Armia Czerwona. Ludzie czekali, kiedy Sowieci wejdą, i bali się, co wtedy będzie. Lwów czekał gotowy na najgorsze.

Ale jakoś trzeba było żyć. Najpierw wypadało pogrzebać zmarłych. W mieście trupy leżały w parkach i na skwerach. Zabici od bomb, od kul, umarli od ran... Tych przybywało najszybciej, bo szpitale nie miały środków, by leczyć. Któregoś dnia na cmentarzu Łyczakowskim odbyło się aż sto osiem pogrzebów.

Paweł i inni sąsiedzi ze Zniesienia pochowali Stefana Zycha na Starym Zniesieniu, na cmentarzu w zalesionym parowie. Pogrzeb zorganizowano po zmroku, był pośpieszny i skromny, gdyż wciąż obawiano się bombardowań. Stypy nie było. Dziewczęta zaczęły nosić żałobę, zresztą coraz częściej na ulicach widywało się lwowian w czerni. Przeważnie kobiety.

Ponieważ Zychówny wciąż jeszcze nie doszły do siebie, postanowiono, że tymczasem zostaną przy sztrece u Szubów, a potem się zdecyduje co dalej. Jednak nikt nie umiał sprecyzować, kiedy owo potem nastąpi.

Polda zamieszkała na dole u Suczajowej i Melanii, ponieważ w jej stanie łatwiej jej było choćby korzystać z wychodka i nie musiała wciąż pokonywać tylu schodów. Otylka została u Szubów na górze.

Ada miała nadzieję, że Suczajowa ma jakieś wieści od Kacpra, ta jednak nie wiedziała nic. Obie się łudziły, że brak wieści to też dobre wieści.

Drugiego dnia po powrocie Polda źle się poczuła. Wałkowała ciasto na makaron, gdy bolesny skurcz złamał ją wpół.

– Pani Antonino! Proszę... – krzyknęła i upadła na podłogę.

Przeszył ją okropny ból. Czuła, że coś rozrywa ją tam na dole. Próbowwała zaczerpnąć tchu, ale gdy oddychała głębiej, bolało bardziej.

Suczajowa przybiegła razem z Melką. Były u Goldmanów po wodę ze studni. Kiedy Antonina zobaczyła na podłodze zwijającą się z bólu dziewczynę w kałuży krwi, nakazała córce biec natychmiast po Julię. Ale Mela tak się przeraziła, że stała tylko, patrząc na cierpiącą. Suczajowa pobiegła więc sama.

Julia przysłała natychmiast razem z Adelą, Otylią i Józią, która zabrała Melanię do nich.

– Adela, leć po Paulinę, poród się zaczął! – nakazała matka, mając na myśli położną mieszkającą na Petrykiewicza.

W tym samym momencie powietrze przeszył rozpaczliwy dźwięk syreny z fabryki na Żółkiewskiej. Zaczął się nalot.

– Boże, miej nas w opiece... Teraz nigdzie nie pójdziesz – zdenerwowała się Julia. – Same musimy jej pomóc. Trzeba ją przenieść do łóżka. Zawołajcie Pawła, niech ją podniesie.

Operacja została przeprowadzona. Nikt nie zauważył, że za Szubą do mieszkania weszła Nelka. Przeraziła się krwi i weszła pod stół przykryty długą serwetą.

Polda, leżąc na wznak w łóżku, przeraźliwie krzyczała. Ada i Otylia trzymały ją za ręce, starając się ją uspokoić. Julia zadarła do góry jej skrwawioną spódnicę, siłą rozłożyła kolana i spojrzała między nogi.

– Dajcie mokrą szmatę, muszę jej przetrzeć krocze, bo nic nie widzę – zażądała, a Suczajowa posłusznie się zastosowała.

Julia przykucnęła, uważnie się przyglądając. Gdzieś w pobliżu rozległ się huk.

– Boże święty... Zginiemy! – Młodsza Zychówna rozplakała się.

Po chwili huk się powtórzył. Podłoga potężnie się zatrzęsała, w kredensie rozpaczliwie zadzwoniło szkło.

– Chyba za dużo tej krwi – powiedziała Szubowa, nie zwracając zupełnie uwagi na spadające bomby. – Ale już widzę główkę. Ada, chodź tu...

Wtedy rodząca zaczęła wrzeszczeć.

– To skurcz, Polda masz skurcz! Pomóż nam trochę, wiem, że boli, ale inaczej stracimy to maleństwo! Przyj, napnij się i wypchnij je z siebie, przyj!

Zychówna wydała z siebie nieludzki dźwięk, który zagłuszyła kanonada strzałów na zewnątrz i wybuchy bomb, jeden po drugim. Julia wiedziała, że poród nie idzie dobrze, bo krew wciąż płynęła. Za dużo jej było. I dziecko było zbyt duże. Postanowiła naciąć krocze. Wysłała najstarszą córkę na górę po ostry nożyk do jarzyn, każąc go od razu przetrzeć spirytusem. Potem nakazała wszystkim trzem kobietom, by trzymały Polde z całej siły, i pochyliła się nad pokrwawionym barłogiem.

– Napnij się z całej siły i przyj! – dyrygowała.

– Auuaaa! O Boże! Aaaa! – krzyczała rodząca.

Szubowa przyłożyła ostrze do posiniałej, napiętej skóry krocza i zdecydowanym ruchem nacięła ją.

– Mamo, ona zemdlą! – przestraszyła się Ada. – Polda, obudź się!

– Nie teraz, dziewczyno, nie teraz, teraz masz przeć! – krzyczała Julia, tracąc nagle zimną krew i kamienny spokój. – Bij ją po gębie, bij, Otylia, niech się ocknie, bo zostanie z tym dzieckiem w kroku! Boże...

Rodzącą ocucił następny wybuch bomby i wstrząs, od którego z sufitu posypała się biała struga tynku. Otworzyła oczy. Ada pogłaskała ją po mokrym od potu i łez policzku.

– Nie żyje, ono nie żyje, ono nie żyje, wiem to, wiem to! – zapłakała Zychówna, rzucając się po posłaniu.

– Przyj, Polda, proszę! – błagała Julia. – Możesz to zrobić!

Dziewczyna zacisnęła zęby i napięła się z wielkim wysiłkiem. Krzyczała przy tym tak nieludzko, że Suczajowa zasłoniła sobie uszy dłońmi.

Julia zobaczyła główkę, która wysunęła się na zewnątrz. Miała siny kolor, wokół szyjki zaciskała się pępowina. Dziecko nie żyło, Polda miała rację. Ujęła główkę i pociągnęła ją lekko ku sobie. Zadziałało. Noworodek ła-

godnie wypłynął spomiędzy drżących, zalanych krwią ud dziewczyny. Był ciepły i miękki, ale nie oddychał.

Nalot chyba ustał. W pokoju zapanowała cisza przerywana jedynie łkaniem Poldy. Julia odcięła pępowinę. Zawinęła dziecko w obrus, poczekała, aż urodzi się łożysko. Przełożyła je do miednicy.

– Polda, chcesz potrzymać dziecko, zanim...? – zapytała z wahaniem. – To chłopczyk.

Zychówna otworzyła oczy.

– Ada, podaj mi go – poprosiła.

Adela z ociąganiem spełniła tę prośbę. Wzięła od matki zawiniątko. Trudno jej było uwierzyć, że jeszcze kilka dni temu czuła pod dłonią ruchy tego maleństwa... Położyła zawiniątko przy przyjaciółce, odsłaniając twarz dziecka.

– Piękny... Jak jego ojciec – wyszeptwała tamta. – Dobranoc, malutki...

Ada przykucnęła przy łóżku. Najpierw cicho, potem coraz głośniejsze zaczęła nucić tę samą co ostatnio kołysankę. Sama nie wiedziała, czy śpiewa dziecku, czy Poldzie:

– *Ach śpij, kochanie, jeśli gwiazdkę z nieba chcesz, dostaniesz...*

Nelka dostała manto od ojca. Za to, że wlaźła pod stół i podglądała rzeczy, które nie były przeznaczone dla jej oczu. Za to, że pozwoliła, by zamartwiało się, że gdzieś się szwenda podczas nalotów. Na próżno przekonywała, że zbytnio się bała bomb i krzyków, by wyjść z bezpiecznej kryjówki, którą zapewniała kraciasta serweta.

Po południu położna z sąsiedztwa obejrzała Poldę i stwierdziła, że straciła dużo krwi i jest z nią krucho. Zszyła jej krocze, piersi kazała zawinąć ciasno płóciennymi bandażami, żeby powstrzymać wytwarzanie mleka. Więcej nic nie mogła zrobić. Ani odjąć fizycznego bólu jakimś środkiem, ani pozszywać porwanego na strzępy serca.

Szubówny i Suczajowa chodziły wokół położnicy na palcach. Ona przeważnie milczała. Płakała cicho, zmagając się samotnie ze swoim smutkiem.

Chłopczyka pochowano pod ogrodzeniem cmentarza Zniesieńskiego w trumience zbitej naprędce przez Pawła. Bez ceremonii, bo nieochrzczony.

Wkrótce rozpoczęła się we Lwowie nowa seria nalotów bombowych. Pierwszy miał miejsce w nocy.

– Wstawajcie, budźcie się! – Paweł jak w gorączce biegał po mieszkaniu, wyciągając dzieci z łóżek. – Uciekamy, szybko, samoloty lecą!

Nela i Józia już nie płakały, jakby zdążyły się przyzwyczaić. Posłusznie włożyły buty, płaszcze i zeszyły na dół za matką. Otylka i Ada pomogły wyjść z domu Poldzie, która była bardzo słaba.

– Musimy uciec jak najdalej od torów – mówił tata. – Szybko, szybko...

Na ulicach w kompletnych ciemnościach majaczyły sylwetki innych mieszkańców Szczepanowskiego uciekających ze swoich mieszkań. Wszyscy poruszali się w tym samym kierunku. Dla nich też było jasne, że bombardować będą szlaki kolejowe, zresztą ostrzegała przed tym obrona cywilna. Na Zniesieniu nie było schronu, domy z rzadka bywały podpiwniczone, więc nie było właściwie gdzie się schować. Roztrzęsiona Adela słyszała nad głową wizg zrzucanych bomb, co chwila gdzieś następował wybuch.

– *Pod Twoją obronę uciekamy się...* – modliła się szeptem, a znajome słowa ją uspokajały i pozwalały na chwilę skupić myśli.

Ludzie biegli przed siebie, byle dalej od obiektów kolejowych. Szubowie szybko znaleźli się na Żółkiewskiej i postanowili schronić się w bramie którejś z kamienic. Stojąc blisko siebie, w napięciu i trwodze czekali, aż wszystko się skończy. Ale koniec nie nadchodził. Zmęczona Nela usiadła pod ścianą na posadzce sieni wyłożonej kamiennymi płytkami tworzącymi wesoły kwiatowy wzór zupełnie nieadekwatny do grozy sytuacji i usnęła przy wtórze zrzucanych bomb...

Czas ciągnął się w nieskończoność. Ada myślała o tym, jak łatwo przyzwyczaiła się do ciągłego uczucia niepewności i strachu. Od pierwszego dnia wojny w jej głowie wciąż wyła ostrzegawcza syrena, nie cichnąc nawet w nocy. Zresztą sen już nie przynosił ukojenia. Od czasu ich wędrówki do Prusów śniła wciąż o samolotach wypuszczających pociski w stronę ku-

lących się w rowach, przestraszonych tłumów uchodzących z miasta. Gdy zamykała oczy, widziała trupy, słyszała płaczące dzieci, matki wołające rozpaczliwie po imieniu synów i córki, którzy już się nie podniosą ze skraju ścierniska... Jak wielu ludzi znika, jak to się szybko dzieje... Wojna zbiera plon. Nawet teraz, kiedy już dawno po żniwach.

Rano wszystko ucichło.

Gdy na ulicy rozległy się kroki i głosy, postanowili opuścić schronienie w bramie. Wracali przez Zniesienie z ciężkimi sercami. Spotkani po drodze ludzie mówili, że bomby spadły na kościół w budowie, niszcząc to, co zostało już zrobione. Poszli obejrzeć... Rzeczywiście, wokół porozbijanych murów wciąż jeszcze unosił się czerwony kurz. Ksiądz Maślanka nie tracił czasu. Chodził po rumowisku z kilofem, wyciągając z gruzów nieuszkodzone cegły, i odkładał je starannie na bok. Pomagało mu kilku małych chłopców, ministrantów. Julia podeszła bliżej, porozmawiała z duchownym, pocieszyła. Popatrzył na nią wzrokiem przepełnionym rozpaczą.

– Odbudujemy kościół i wszystko będzie dobrze – zapewnił bardziej siebie niż ją i powrócił do pracy. Adela widziała, jak ukradkiem ocierał łzy rękawem sutanny.

Poszli dalej.

Największy szok przeżyli, gdy zobaczyli, że na rogu Wniebowstąpienia i Nowozniesieńskiej, naprzeciwko sklepu Barabasza, zamiast domu inżynierstwa Koseckich znajdował się teraz głęboki dół.

– Bomba na nich spadła – powiedziała któraś z sąsiadek, robiąc znak krzyża w powietrzu. – Wszystkie się popalili...

Adela zastanawiała się, jak to możliwe. Przecież jeszcze niedawno bawiła się tu z dziećmi Erwina i Zuzanny... Podeszła bliżej zgliszczy i zajrzała do leja. Na dnie, wśród gruzu i szczątków mebli, leżały częściowo zwęglone zwłoki, mniejsze i większe... Rozpoznała jednego z chłopców po ulubionej zabawce, którą obejmował rączkami. Było to czerwone drewniane auto, również nadpalone...

– Nie patrz – poradziła zbolalym głosem Julia.

Dziewczyna odsunęła się od krawędzi. Nie potrafiła powstrzymać łez. Przecież ci chłopcy mieli przed sobą całe życie! Jeszcze nie tak dawno temu biegała z nimi po wzgórzach, śpiewali razem, oglądali pociągi... A teraz leżeli tam, w dole po bombie... Zakryła oczy dłońmi.

– Ludzie mówią, że tylko piastunka się uratowała – informowała dalej kobieta. – Stała z dzieckiem na ręku w pobliżu okna w kuchni i wybuch wyrzucił ją na zewnątrz razem z małym. Dziecku nic się nie stało, a opiekunka ma złamaną nogę. Widzicie, jakie nieszczęście?

„Przecież ona mówi o Marysi” – skojarzyła z opóźnieniem Adela.

– A gdzie ta opiekunka, nie wie pani?

Sąsiadka wzruszyła ramionami. Nie wiedziała.

Wrócili do mieszkania. Julia i Paweł unikali swego wzroku, jakby każde z nich obawiało się, że to drugie zapyta, co będzie dalej. A kto to mógł wiedzieć? Józia i Nela, przytulone w jednym łóżku, spały niespokojnie, rzucając się w pościeli, łkając, nie wiadomo, na jawie czy jeszcze we śnie. Adela karmiła Poldę cienkim barszczem, który naprędce upichciła Suczajowa. Właściwie ze sobą nie rozmawiano. Każdy w napięciu czekał, co będzie dalej.

Po południu przez Zniesienie przechodzili polscy żołnierze wracający do domu. Od nich Paweł dowiedział się, że wojna już właściwie skończona.

– Pełno Sowietów na trakcie winnickim i w Piaskach – mówili. – Lada dzień wkroczą do Lwowa.

Ludzie różnie się na to zapatrywali. Jedni twierdzili, że to koniec, że Lwów już się nie podniesie, że miasto zaleją hordy dzikich najeźdźców ze wschodu. Inni patrzyli na to z praktycznej strony. Mieli nadzieję, że przynajmniej sytuacja bytowa się polepszy, przecież Sowietci nie zechcą żyć w mieście bez prądu i wody.

– Może przynajmniej to się zmieni – zastanawiała się ciocia Pela, która wpadła na chwilę spojrzeć na Poldę i podać jej środek znieczulający. –

W szpitalu mamy jedną wielką umieralnię. Jak rannych ratować, gdy nie ma wody, światła, a aparatura nie działa?

Po wkroczeniu Armii Czerwonej przynajmniej ustały naloty.

Około dwudziestego września Niemcy rozpoczęli ewakuację swoich wojsk, ustępując miejsca Sowiecom. Dwa dni później do Lwowa weszło od wschodu wojsko radzieckie. Dla obrońców miasta wojna się skończyła. Polscy żołnierze masowo zrzucali mundury i składali broń. Bagnety i karabiny leżały często na bruku, bezpańskie. Zwyczajni ludzie, a także bandyci, zabierali tę broń. Dochodziło do rozbojów i kradzieży, do morderstw, samosądów. W mieście panował chaos, rządziło prawo silniejszego.

Niektórzy polscy żołnierze, uznając poddanie się za ujmę na honorze, odbierali sobie życie. Ci, którzy uwierzyli, że dowództwo sowieckie dotrzyma warunków kapitulacji i zwolni polskich oficerów, podporządkowali się zarządzeniom nowych władz wzywających do niezwłocznego stawienia się w punkcie zbornym. Polskie wojsko wyprowadzono ze Lwowa w kierunku Winnik, a potem załadowano do pociągów i wywieziono do Starobielska. Los większości żołnierzy był przesądzony...

Ulica płakała, obawiała się Sowieców. Ludzie wiedzieli, do czego są zdolni. Po mieście rozniosło się, co zrobili z grupą rozbrojonych polskich policjantów na ulicy Zielonej. Nieliczni, którym udało się zbiec, opowiadali, jak Ruscy ostrzelali funkcjonariuszy, a potem dobijali ich bagnetami i strzałami w tył głowy. I jak na koniec przejechały po nich czołgi.

Zwyczajni ludzie musieli jakoś sobie radzić. Trzeba było nauczyć się żyć w mieście ogarniętym wojną, w mieście pełnym czerwonoarmistów, czyli, jak ich tu pogardliwie nazywano, dziczy ze wschodu. W mieście bez prądu i wody. Mówiło się, że dyrektora elektrowni na Persenkówce Ruscy bestialsko zastrzelili, bo powiedział im, że naprawa potrwa dość długo. Na szczęście na Zniesieniu prawie każdy miał studnię przy domu. Korzystano z nich w tamtym czasie, nie uzależniając się od rzadkich przyjazdów cystern rozwożących wodę pitną. Wieczorami obowiązywało całkowite zaciemnienie zarówno w mieszkaniach, jak i na ulicach. Zaczęły się też problemy z zaopatrzeniem, wielu sklepów nawet nie otwierano ze względu na brak towa-

rów. Na razie jednak widmo głodu było dalekie, zaczynała się jesień, w ogrodach i na działkach zbierano ostatnie letnie plony, gospodynie miały w słoikach zaprawy. Jednak ze strachem zastanawiano się, co będzie, gdy tych zapasów zabraknie.

Sowieci panoszyli się w mieście, przerabiali je na swoje. Na ratuszu miejskim zawisły wielkie podobizny Stalina, Mołotowa, Chruszczowa i Woroszyłowa. Na Wałach Hetmańskich stanął obelisk ku czci konstytucji stalinowskiej zwany przez lwowian „wieżą”. Radio nadawało audycje wyłącznie po ukraińsku lub rosyjsku. Wojsko zaczęło rozdawać konserwy i smalec, co ludność przyjęła z wdzięcznością. Niektórzy lwowianie postanowili iść z prądem i w wielu oknach zaczerwieniły się sowieckie flagi. Sporządzano jej naprędce z flag polskich, odrywając po prostu białe płótno. Z wkroczenia Sowietów cieszyli się Ukraińcy, mając nadzieję, że uda im się pod patronatem zwycięzców utworzyć załączek własnego państwa. Żydzi również witali Armię Czerwoną z ulgą. Wierzyli, że to mniejsze zło. Przecież każdy wiedział, jak Żydów traktował Hitler. W centrum miasta odbywały się wiece ku czci wybawicielskiej Armii Czerwonej, przemawiali na nich socjalizujący przed wojną studenci, reprezentanci gminy żydowskiej i Ukraińcy. Większość Polaków spodziewała się najgorszego.

W połowie października na Zniesienie zaczęli ściągać mężczyźni zmobilizowani w sierpniu. Był wśród nich i Kacper. Ada wracała właśnie z pustymi rękami z kilometrowej kolejki przed piekarnią Kłos, wściekła, że nie udało jej się dostać chleba. Zobaczyła go z daleka i rozpoznała po chodzie. Cisnęła pusty koszyk na drogę i puściła się pędem ku ukochanemu. Rzuciła mu się na szyję i przyłgnęła mocno, całym ciałem, bez słowa.

– Udusisz mnie, Aduś! – Śmiał się, całując jej włosy i twarz.

Ale ona nie potrafiła rozluźnić uścisku. Każda komórka jej ciała czekała na to przez te wszystkie dni, od kiedy go zmobilizowali. Wdychała zapach jego potu, smakowała słoną skórę na szyi, czochrała włosy... Był, wrócił, jej ukochany!

– No już, puszczaj, wariatko, teraz ja się przytulę. – Odpychał ją na niby.

– Kacper, jak ja się bałam – szeptała, śmiejąc się i płacząc na zmianę. – O ciebie, o nich wszystkich... Jesteś, jesteś, Bogu dzięki, jesteś!

Kiedy już wreszcie odlepiła się od niego, pociągnęła go za sobą do domu. Suczajowa i Mela narobiły krzyku na jego widok, zbiegli się Oblatowie i wszyscy z mieszkania Szubów. Po chwili przyleciały Goldmanówny i nawet absztyfikant Józki, Karolek. Każdy chciał Kacpra dotknąć, sprawdzić, czy to naprawdę on. Każdy chciał wiedzieć, jak było. Więc Kacper opowiadał. Mówił, że nasze wojsko na Niemców z gołymi rękami szło, bo brakowało broni, umundurowania, wszystkiego... Zresztą to samo mówili chłopcy, którzy wrócili wcześniej do domu. Zdemobilizowani szeregowi żołnierze Wojska Polskiego na mocy sowieckiego rozporządzenia musieli oddać broń i mundury i mogli odejść wolno.

– Jaką ja broń miałem oddać? – śmiał się gorzko Kacper. – Dali mi w sierpniu jakiś zardzewiały karabin i kazali bronić Gródeckiej, jak Niemcy weszli. A gdybym wystrzelił, ten kawał żelastwa wybuchłby mi w rękę. Więc schowałem się, bo jak tu walczyć, jak nie ma czym? Ciskałem w Szwabów benzynę w butelkach, bo tego mieliśmy trochę. Takie to nasze wojsko świetnie wyposażone! Jak oni chcieli tę wojnę wygrać? Na śmierć nas wszystkich wysłali – żalił się, popijając biber, który ktoś przyniósł. – Aleśmy wierzyli mimo wszystko, że się uda, że Niemców do miasta nie wpuszczim... – Kacper zamilkł na chwilę. – Jeden z naszych oberwał od pociśku, dolną szczękę stracił...

– Jak to? Jak to możliwe? – wtrąciła się Petronela, przerażona, ale i po dziecięcemu zaciekawiona. – Czy język mu było widać przez dziurę w brodzie? Powiedz, Kacper, widziałeś jego język?

– Tak, okropność, nigdy czegoś takiego nie widział... Jak mu sanitariusz opatrzył już tę dziurę, to się ten młody pytał, na kartce pisząc, bo mówić przecież już nie mógł, czy może wracać na stanowisko! Rozumiecie? Bez połowy twarzy, a chciał walczyć, bo wciąż wierzył...

Kacper ukrył twarz w dłoniach. Adela objęła go, a on zaczął płakać. Suczajowa rzuciła jej krótkie, nienawistne spojrzenie, przecież miała przed nią pierwszeństwo, by syna utulić... Na szczęście zaniechała awantury.

– Dzielny z ciebie chłopak – odezwał się Paweł. – Robiłeś, co mogłeś.

– Wszyscy robiliśmy – podjął Kacper. – Ale słaby silnego nie pokona. Na żer nas rzuciła nasza Polska tym z Wehrmachtu. My bez broni nic zrobić nie mogli...

Obecnym zrobiło się nieswojo. Bez słowa podnosili się i odchodzili. Na końcu odeszła Antonina i Ada mogła nareszcie zostać sam na sam z ukochanym.

Usiedli na schodach prowadzących z korytarza na podwórko, przytulili się do siebie. Końcówka października była chłodna, więc Kacper wyniósł z domu koc i okrył nim siebie i Adelę. Teraz ona opowiedziała mu ich historię, jak uciekali przed nalotami, jak blisko byli śmierci, gdy do nich strzelano... Wyplakała mu się, opisując, jakie to uczucie trzymać w ramionach martwego noworodka...

– To co teraz będzie z Zychównymi? – zapytał.

Wzruszyła ramionami, bo sama nie wiedziała.

– Rodziny we Lwowie żadnej nie mają. Otylia chyba zostanie z nami, bo jeszcze jest z niej dzieciak. A Polda – westchnęła – jak już całkiem dojdzie do siebie... Nie wiem, może będzie chciała do tego swojego Anzelma?

– A kto on, wiesz?

– Nie mam pojęcia. Nie chce nic powiedzieć.

Siedzieli tak, nie mogąc się rozstać, do późnej nocy. Gdy już zabrakło słów, zostały pocałunki, gorące, namiętne, rozpalające wyobraźnię. Spragnieni siebie dotykali się pod kocem, dając sobie odrobinę rozkoszy. Chronił ich na tyle, że mogli to robić bezkarnie.

– Chodźmy do komórki, Aduś – prosił Kacper, paląc ją pocałunkami gorących ust.

– Nie, nie... Potem z tego dziecko może być... A teraz dnia ani godziny nie znamy, Kacper. Po co dziecko na taki świat sprowadzać... – broniła się, równocześnie pragnąc go z taką mocą, że niemal czuła, że zaraz skona, jeśli on jej nie dotknie w tamtym miejscu...

Nagle trzasnęły drzwi na piętrze. Ktoś od Szubów schodził po schodach. Odsunęli się od siebie. Ada starała się wyglądać na opanowaną.

Za nimi stanęła Józka z wiadrem.

– A tu są nasze gołąbeczki! Cóż wy tam robicie, kochani? Już się o ciebie niepokoją na górze. Przyszłam cię szukać – powiedziała z przekąsem. – Matka kazała przynieść drewna. Skocz, Ada, bo dla mnie za ciężkie.

– Sama sobie idź, smarkulo – burknęła starsza siostra.

– Jak pójdziesz, to powiem matce, że grzecznie siedzisz u pani Antoniny przy radiu i słuchacie pięknych ludowych pieśni rosyjskich. A jak nie...

Kacper zerwał się i wziął wiadro. Poszedł do komórki, napełnił je suchymi szczapami i podał Józce.

– Masz i zjeżdżaj – powiedział krótko i stanowczo. – I pamiętaj, Ada jest u mojej matki. Śpiewają razem *Oczy cziornyje* czy co tam teraz nadają na okrągło w radiu. Daj nam pół godziny.

Józka wróciła z wiadrem na górę. A oni wrócili do pieaszczot.

Po wyborach w październiku Sowietci zaprowadzili we Lwowie nowe porządki rodem z kraju-raju dla robotników. Tydzień zamienili z siedmiodniowego na sześciodniowy, tak że dzień wolny wypadał w sobotę, a pierwszy pracujący w niedzielę. Miało to utrudnić udział w obrzędach religijnych i uniemożliwić chodzenie do kościoła. Na parafie nałożono ogromne podatki, księża płacili dwa lub trzy razy większe rachunki za prąd.

Zreorganizowano szkolnictwo. Wykładowym językiem stał się ukraiński, wszystkie dzieci ze szkół powszechnych cofnięto do klasy niżej. I tak Nelka zaczęła ponownie drugą klasę, a Józka szóstą.

– I widzi mama? Po co kułam tę przekłętą geografię? Jest teraz tak, jakbym nie uzyskała promocji... – miotała się średnia Szubówna.

Zaczęły działać elektrownie i wodociągi, ale w całym Lwowie powszechnie brakowało artykułów pierwszej potrzeby. W sklepach jedna osoba mogła kupić tylko piętnaście deka cukru, po który ustawiały się kolejki już w nocy. Wprowadzono kartki na chleb, żywności nie wystarczało, do je-

dzenia były głównie suszone ryby, tych w sklepach nie brakowało. Jednak też nie za długo. W listopadzie lwowiakom w oczy zająrzył prawdziwy głód.

Ada intensywnie szukała pracy, ale nie sposób było znaleźć jakakolwiek posadę. Sowietci obsadzali wszelkie stanowiska swoimi ludźmi – Rosjanami, Ukraińcami lub Żydami. Pana Goldmana zrobiono nagle kierownikiem fabryki ultramaryny, w której pracował, i jego sytuacja się polepszyła. Zatrudnił więc w fabryce chłopaków ze Zniesienia, tylu, ilu mógł, także Kacpra.

Paweł wciąż pracował na kolei, lecz co z tego, że przynosił pensję? Nawet jak ktoś miał kopiejki, to nie było ich na co wydawać. Dniówka była śmiesznie niska i stanowiła równowartość ceny biletu tramwajowego.

Któregoś dnia Ada i Julia wybrały się na Krakidały po jakiś płaszcz dla Józki, bo znowu wyrosła ze starego. Sprzedających była moc, ale, o dziwo, nie byli to jak dawniej handlujący starzyzną ubodzy Żydzi. Handlowała głównie lwowska inteligencja pozbawiona nagle środków do życia. Ludzie pozbywali się dosłownie wszystkiego: prześcieradeł, ręczników, obrazów, łyżek, widelców, bielizny... Wśród kałmuków furorę robiły zegarki na rękę. Kupowali ich każdą ilość, czort wie po co.

Matka i córka przedzierały się przez tłum, pilnując pieniędzy. Słynni lwowscy kieszonkowcy nie próżnowali nawet za Sowietów i trzeba było mieć się na baczności. Adela z ciekawością przyglądała się kupującym. Były to głównie kobiety – żony, matki i córki sprowadzonych do Lwowa radzieckich oficerów i enkawudzistów. Niektóre wyglądały naprawdę dziwnie – ubrane w szlafroki zamiast płaszczy, w jedwabnych pidżamach... Byłoby to śmieszne, gdyby nie było takie straszne. Mówiło się w mieście, że te elegantki ze wschodu były tak nieobite i dzikie, że nie potrafiły dopasować ubrania do pory dnia. Podobno wśród Rosjan popularnym przysmakiem była... miętowa pasta do zębów.

Nagle ktoś zawołał Adę po imieniu. Rozejrzała się i wśród sprzedających ubrania dostrzegła Różę Kotkowską. A może, w nowej rzeczywistości, już znowu Katz. Wychudzona i bez makijażu, z podkrążonymi oczami już nie onieśmielała jak dawniej urodą, choć regularne rysy jej twarzy wciąż mogły

przyciągać męski wzrok. Włosy ukryła pod wełnianą chustką, która co raz spadała jej na zgaszone dziwnie i przymglone oczy. Poprawiała nakrycie głowy pięknymi niegdyś, teraz czerwonymi i spuchniętymi dłońmi. Przez chwilę Adzie wydawało się, że za lewym ramieniem dziewczyny czai się jakiś cień... Jednak gdy spojrzała uważnie, niczego nie dojrzała.

– Kochanie, co tu robisz? Jak dobrze, że żyjesz! – cieszyła się Róża. – Jak widzisz, mam nowy fach. – Rozłożyła ręce, wskazując na swój stragan.

Na obrusach leżały rozłożone stosy ubrań, butów, porcelany... Szubówna dostrzegła również płyty, których dawniej razem słuchały przy Szeptyckich.

– Co u twojego ojca? Co u babci? – dopytywała.

– Ojciec pracuje teraz jako kierownik spółdzielni mleczarskiej. – Zaśmiała się. – A do naszego mieszkania dokwaterowano jakiegoś oficera z rodziną, straszna dzicz, mówię ci. – Zniżyła głos. – Oni myją ręce w ustępie, wiesz?

– A pani Dalia?

Róża posmutniała.

– Nie wiemy, co z nią. W Kulparkowie jej nie ma, ktoś jej nie dopilnował i chyba uciekła... Szukaliśmy w szpitalach, pytaliśmy... Rozpłynęła się, rozwiła w próżni – powiedziała, nie wiedząc, jak bliska jest prawdy.

Adeli zrobiło się przykro. Lubiała starszą panią. Róża nie musiała mówić, że prawdopodobnie jej babcia nie żyje, to się rozumiało samo przez się. Jakie szanse na przeżycie miała ta krucha, szalona staruszka w mieście ogarniętym wojną? Nawet jeśli potrafiła odganiać dybuki, przed kulami nic jej ochronić nie mogło.

– *Skol'ko eto stoit?* – zapytała jakaś rumiana kobieta w futrzanej czapie, podnosząc ze stosu ubrań amarantową suknię z aksamitu.

– Pięć rubli – odparła Róża. – Jak dla pani, trzy i pięćdziesiąt kopiejek.

– *Eto malen'koje* – zmartwiła się Rosjanka, przykładając ciuch do siebie.

Nie dało się zaprzeczyć... Aksamitna kreacja nie pomieściłaby obfitych kształtów kobiety.

– Ale niech pani zaczeka – nie rezygnowała Róża. – Suknia jest zbyt długa... A gdyby skrócić dół, można by ją poszerzyć, wstawiając kliny po bokach...

– Eee, tyle roboty... – Rosjanka machnęła ręką.

Nagle Adzie przyszło coś do głowy i postanowiła zaryzykować.

– Ja to pani zrobię – powiedziała. – Bardzo tanio przerobię tę sukienkę.

Rosjanka patrzyła to na Adę, to na suknię, jakby oceniając, czy gra jest warta świeczki. W końcu uśmiechnęła się.

– *Da budiet tak.* – Kiwnęła głową i zapłaciła Róży.

Adela umówiła się z kobietą, że przyjdzie na Szczepanowskiego do przymiarki.

– Ależ ty masz głowę do interesu – pochwaliła Kotkowska. – Może ci inne ruskie eleganki przyprowadzi...

– Właśnie na to liczę. Szyć umiem, a one ubrań potrzebują. Jak widać – dodała, wskazując wzrokiem na przechodzącą właśnie damę o wschodnich rysach twarzy, której spod płaszcza wystawały obfite koronki, zapewne od koszuli nocnej.

Róża powiedziała jeszcze Adzie, że August mieszka u nich. Po demobilizacji zaczął pracować w fabryce konserw na Podzamczu. A rano i wieczorem przyjeżdża z wózkiem, pomagając jej rozłożyć i złożyć cały ten majdan.

Na koniec Róża wygrzebała jeszcze ze stosu ciuchów wełniany płaszcz i wręczyła go Adzie.

– Weź dla siostry. Tylko trzeba przerobić, bo pewnie za duży.

Szubówna podziękowała i serdecznie wycałowała koleżankę. Z niemałym trudem odszukała w tłumie matkę i opowiedziała jej, co właśnie zorganizowała. W Julii też obudziła się nadzieja.

– Pomogę ci – zapaliła się. – Przecież szyć potrafię.

Kilka dni później Rosjanka zjawiała się na Zniesieniu. Kiedy Ada brała z niej miarę, Nela zaprzyjaźniła się z Kolą, jej małym synkiem, pokazując mu koty.

– *Kakaja krasiwaja diewuszka!* – zachwycała się Nelą klientka.

Okazało się, że dama ma na imię Irina i jest żoną jednego z oficerów NKWD. Amarantowa kreacja potrzebna jej była na wiec do opery.

– A może pani potrzebuje jeszcze innych sukienek? Może garsonki, spódnicy? – dopytywała się Ada. – Ja mogę uszyć.

Okazało się, że ruska pani chętnie by się obszyła za bezcen. Stało na tym, że się zastanowi i da znać.

Następnego dnia na Szczepanowskiego pojawił się August, narzeczony Róży i były sublokator Suczajów. Ciągnął z wysiłkiem drewniany wózek, na którym znajdowała się maszyna do szycia.

– To dla ciebie i twojej mamy – powiedział, przytargawszy maszynę na piętro z pomocą wściekłego Kacpra. – Róża miała w piwnicy, ale ona szyc nie umie. Kazała oddać wam.

– Przecież mogła to sprzedać, dostałaby dużo pieniędzy. – Adela z namaszczaniem oglądała sprzęt.

– Eee, i tak by pewnie poszło za bezcen – stwierdził Gustek.

Gdy sobie poszedł, Julia i Ada zajęły się próbowaniem sprzętu. Kacper przyglądał się temu w napięciu. Widać, że coś mu nie dawało spokoju.

– Następnym razem, jak ci coś ten gołodupiec przyniesie, może się najpierw zapytasz mnie, czy możesz to przyjąć? – warknął w końcu do Adeli.

– To nie od niego, a od Róży – odparła ze spokojem. – O co ci chodzi?

– Nie chcę, żebyś z nim rozmawiała! – Podniósł głos. – Chyba mogę mieć coś do powiedzenia?

Zachowanie Suczaja oburzyło Julię i wyprowadziło ją z równowagi. Jak on śmiał zwracać się w ten sposób do jej córki?

– A co ty mi się tu wydzierasz? U siebie nie jesteś – upomniała go ostro, biorąc się pod boki. – Ada nic złego nie zrobiła.

Chłopak chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zrezygnował. Wyszedł bez pożegnania, trzaskając drzwiami.

Zdezorientowana Ada spojrzała na matkę. Ta na powrót pochyliła się nad maszyną.

– Utemperuj go, córciu, bo ci będzie z nim ciężko w przyszłości. Nie jesteś jego własnością. Niczyją własnością nie jesteś, zapamiętaj. No, to jak się tu nitkę nawleka?

Ale Ada ze zdenerwowania nie potrafiła trafić w oczko igły. Po co był ten wybuch? Z zazdrości? Kacper już od jakiegoś czasu był nieswój. Targał nim niepokój, miotał się, wściekał o byle co. Wiadomo, wszystkim było ciężko, każdy przeszedł przemianę i stał się kimś innym niż przed wojną. Ale Kacper... Wciąż się gniewał, krzyczał. Z czymś walczył. Adelę bardzo to wszystko martwiło. Wiadomo, w takich ciężkich warunkach z człowieka może wyjść bestia...

Kilka dni później Irina, ubrana w amarantową kreację, z zadowoleniem przeglądała się w lustrze w sypialni Szubów. Zapłacała, ile się należało, a dla Nelki przyniosła... żywego królika. Zamówiła także jeszcze dwie bluzki. Na jedną załatwiła nawet materiał. Wspomniała, że jej siostra też potrzebuje garderoby, bo się po ciąży roztyła, i że przyprowdzi ją w najbliższym czasie.

Zima 1939 roku była bardzo sroga, tak jakby pogoda zmówiła się z Hitlerem i Stalinem. Ludzie głodowali, marzli, bo nie było czym palić w piecach. Każdego dręczyły strach, pusty żołądek i zimno. Ludzie zasiadali do stołów, dzieląc się cebulą i ostatnimi kartoflami pieczonymi wprost na płycie kuchennej. Taki posiłek, zamiast napełniać, tylko drażnił żołądek, rozszerzał umysły.

Kacper również chodził wściekły. Ada myślała, że to dlatego, że wciąż mu odmawia siebie. W końcu krew nie woda. Kilka razy wspominał o ślubie, ale ona nie mogła się zdecydować. Odpowiadała wymijająco... Coś ją powstrzymywało, nie potrafiła sobie teraz wyobrazić ich wspólnego życia. Podświadomie czekała, aż będzie lepiej, aż... No właśnie, aż co? Sama nie wiedziała.

Suczajowa zaś myślała, że zły humor syna bierze się z pustego żołądka. W sklepach była tylko wódka i marmolada w niewielkich ilościach. Chleba

brakowało. Pieniądzy też. A chłop, wiadomo, jeść musi. Zresztą Mela też płakała z głodu jak małe dziecko.

Szubówny bardzo zeszczuplały, Józka często mdlała z głodu w szkole i Karol przyprowadzał ją wtedy wcześniej do domu. Sam też wyglądał jak szkielet obleczony w portki. Na obiad były przeważnie kartofle lub zmielone w maszynce do mięsa gotowane obierki z ziemniaków, które piekło się na blasze od pieca. Trzeba było czymś zapełnić brzuch, więc dziewczęta jadły i to, choć później obficie wymiotowały...

Czasem zdarzały się szczęśliwe zbiegi okoliczności. Kiedyś Otylka znalazła przy nasypie kolejowym pudełko zapalek, a w środku dwa ruble. Tego samego dnia kot spod szafki w kuchni wygrzebał dwadzieścia kopiejek. Akurat dwa dwadzieścia kosztował bochenek kulikowskiego. Ada pobiegła do Barabasha kupić pieczywo. Właśnie dowieźli. Najedli się wtedy, nawąchali błyszczącej, wypieczonej skórki. Piętkę zostawiła Ada dla Kacpra i wręczyła mu, gdy wrócił z roboty.

– Pół dam Meli – powiedział, odgryzając wielki kawał pieczywa.

Stali na klatce przy schodach.

Kiedy zjadł, zabrał się do całowania. Adela odsunęła się, czując od niego alkohol.

– Kirzyłeś? – zdenerwowała się.

– Jak wszyscy – odparł, łapiąc ją za pośladki.

Odskoczyła. To go rozsierdziło.

– Mogę chyba całować własną narzeczoną? – warknął przez zaciśnięte zęby. – Inne są bardziej chętne, wiesz?

– Jakie inne? – zapytała. Zabolało...

Zaśmiał się. Teraz w jego oczach dostrzegła mgłę od alkoholu.

– Inne, inne... Pełno ich. Ty się, Ada, tak cenisz, jakbyś panienką była. A nie jesteś, przypominam. Co, może myślisz, że jak się będziesz powstrzymywać, to ci z powrotem zarośnie? – Zaśmiał się.

Adeli krew uderzyła do głowy. Poczwała w piersi ucisk. Bardzo chciała dać mu w twarz, ale bała się, że wyniknie z tego awantura na cały dom. Ob-

latowa i tak już pewnie przez dziurkę od klucza podgląda.

Rozstali się w gniewie. Ale Kacper chleb dla siostry zabrał.

Tej nocy długo nie mogła zasnąć. Przypomniwał się jej demon z pałającymi oczyma, ten, który przyśnił się jej w Barszczowicach. Czyżby w takiego zmieniał się jej Kacper? Dotąd nawet przez myśl jej nie przeszło, że mógłby ją zranić, a nawet zdradzić. Jednak obecnie... Całkiem trzeźwo oceniła, że to możliwe, że sypia z inną. Albo nawet z innymi. Pomyślała, że jest głupia, bo wierzyła mu. Równie głupia jak Polda... Tylko że jej się udało i nie zaszła w ciążę. A Polda zapłaciła za swój romans bardzo wysoką cenę.

– Czemu się tak rzucasz w pościeli? – wyszeptała nagle Józka. – Źle się czujesz?

– Nie... Zimno mi – odparła, co nawet nie było kłamstwem. Matka paliła pod kuchnią tylko po to, by ugotować posiłek, a więc nawet nie codziennie. W mieszkaniu panował przenikliwy chłód.

– Przyjdę do ciebie – zdecydowała Józka i wgramoliła się bez zaproszenia do łóżka starszej siostry, nim ta zdążyła zaprotestować. Przytuliły się i chwilę leżały w ciszy.

– Ada... – wyszeptała znowu Józka. – Polda chyba znów do tego swojego chodzi... Znika co kilka dni i nie ma jej przez parę godzin...

– Może odwiedza grób synka? – podsunęła bez przekonania.

– Nie, sprawdziłam to przecież, za głupią mnie masz czy co? – prychnęła młodsza siostra. – Tam suche kwiatki od Zaduszek leżą wciąż te same... Mówię ci, ona do niego chodzi.

Ada też zauważyła, że pomimo ciężkich warunków, zimna i niedożywienia Poldzi wróciła chęć do życia. Może i Józka miała rację?

– To chyba prawdziwa miłość, nie? – drążyła siostra. – Po takich przejściach, kiedy wcale jej nie pomógł, wciąż do niego biega. Jak myślisz?

Ada wzruszyła ramionami, co siostra bardziej wyczuła niż zobaczyła.

– Nie będę z tobą o miłości bałakać – obruszyła się. – Zresztą Polda śpi w pokoju obok, więc nie wypada tak jej obgadywać... – ucięła i kazała Józce zamknąć jadaczkę.

Ale, leżąc z szeroko otwartymi oczami i wpatrując się w absolutną czerń rozlewającą się po pokoju, myślała, że zazdrości przyjaciółce. Tej pewnością, że Anzelm zasługuje na jej uczucie. Ona nie mogła powiedzieć tego samego o Kacprze. Już nie.

Tamtej zimy i wiosny lwowianie głównie zajmowali się zdobywaniem jedzenia. Szubówny wychudły, usta im posiniały, policzki pozapadały. Czasem dwie młodsze nie miały siły iść na lekcje. Nie wstawały nawet z łóżek. Julia, sama cierpiąc z niedożywienia, patrzyła na córki z wielkim bólem. Bo co może czuć matka, która nie ma czym nakarmić swoich dzieci? Zateśkniła za czasami, kiedy jeszcze były małe jak pisklaki. Jakie to wtedy było proste, wystarczyło odpiąć guziki bluzki i przystawić dziecko do piersi, by najadło się do syta. Czasem śniła, że karmi rumiane niemowlęta, a one posapują z zadowolenia. To były dobre sny, uspokajające. Ale potem się budziła i koszmar wracał.

Raz od kompletnego głodu uratował ich Karol. Przez Podzamcze kursowały pociągi z zaopatrzeniem dla wojska. Pewnego popołudnia Karol szedł akurat wzdłuż sztreki, kiedy z przejeżdżającego pociągu wypadł jakiś pakunek. Karol natychmiast podniósł go i odwinął. Okazało się, że to spory kawał salcesonu, co prawda trochę nadpsutego, ale jeszcze zdatnego do jedzenia. Zaniósł go do Szubów. Julia stwierdziła, że ugotuje salceson z garścią kaszy jęczmiennej, bo tyle jej zostało na dnie puszeki.

– Może się nie potrujemy – stwierdziła.

Wyszła jej z tego całkiem smaczna, choć cienka zupa, którą zapchali żołądki.

Najgorzej było na przedwiośniu. Adela szukała posady, ale oprócz dorywczych prac przy praniu u Rosjanek nic innego znaleźć nie mogła. Często wściekała się z tego powodu. Nie chciała być ciężarem dla rodziny, a nic na swoje położenie zaradzić nie mogła.

Nela i Józia tak osłabły, że Julia całkowicie zrezygnowała z posyłania ich do szkół. Zresztą sama bardzo w tamtym czasie kaszłała. Paweł nie mógł patrzeć na sine z głodu usta córek i żony. W końcu któregoś ranka zabrał

królika Nelki i poszedł z nim na podwórko. Wrócił z wiadrem, które wręczył Adzie.

– Masz, spraw go i ugotuj.

Kiedy Petronela zajrzała do wiadra i zobaczyła zakrwawioną kupkę futra, wpadła w histerię.

– Jesteś mordercą, podłym mordercą! – wyła. – W takim razie może jutro zjemy kota? Albo może następna w kolejności jestem ja, co? – szlochała.

Paweł słowa jej nie powiedział. Zresztą Nela wybiegła zaraz gdzieś na Zniesienie, być może do Goldmanówien, żeby się im wyżalić.

Gdy wróciła, rodzina posilała się już gotową potrawką z królika. Patrzyła, jak jedzą, przetykała głośno ślinę.

– Chcesz? Zostawiłam trochę dla ciebie – zachęcała ją najstarsza siostra.

Nela powoli pokręciła głową, odmawiając. Wiedzieli, ile wysiłku ją to kosztuje, bo zawsze była łakoma. Ale nie ruszyła.

Tamtego roku cudem dotrwali do wiosny.

Sowieci już od początku okupacji wywozili ludzi w głąb Rosji, na Sybir i do Kazachstanu. W pierwszej kolejności, już w lutym, pojechali „bieżeńcy”, czyli zamiejscowi, którzy przebywali we Lwowie, choć nie byli w nim zameldowani. Potem przyszła kolej na duchownych, pracowników kolei, leśników i innych. Powody zsyłki nie zawsze były jasne i nie zawsze w ogóle były. Zesłano na przykład znajomego rodziców, który przed wojną jeździł swoją taksówką. Oczywiście auto uległo konfiskacie na rzecz NKWD. A w kwietniu Julia dowiedziała się, że do zsyłki przeznaczono jej siostrę Marynię i jej męża. Nawet nie mieli czasu na reakcję. Wczesnym rankiem do ich domu zapukał enkawudzista i kazał się im spakować w dwie walizki. Potem zabrano ich na dworzec, zapakowano do bydłowych wagonów. I pojechali.

O wszystkim opowiedziała mamie sąsiadka wujostwa.

– Podobno donos na nich był – dodała jeszcze szeptem. – Że im się nowa władza nie podoba. Strach teraz, moja pani, usta otworzyć do kogo...

Julia płakała, bo bała się o Marynię. Syberia była jak wyrok śmierci, i to śmierci w męczarniach. Jan już przecież wiekowy, a tam podobno mróz, głód i nędza... Jak sobie dadzą radę? Czy zobaczy kiedykolwiek siostrę? Pomyślała, że trzeba by powiadomić Staszka. Ale siostrzeniec gdzieś przepadł w wojennej zawierusze. Marynia mówiła raz, że po wrześniu przedostał się do Warszawy. Gdzie go teraz szukać, jak poinformować? Rozpacz rozrywała jej serce.

W maju Adela się dowiedziała, że do Kazachstanu jedzie Polda.

– Ale dlaczego? – Nie rozumiała, kiedy przyjaciółka się jej z tego zwierzyła. – Za co?

– Za nic. Jadę za Anzelmem.

– Po co? Przecież on... On ci dziecko zrobił i miał to w nosie! Gdy straciłaś maleństwo, nawet się tobą nie zainteresował! To szuja...

Polda złapała koleżankę za rękę i mocno ją przytrzymała.

– Niestety go kocham – upierała się. – Nie mógł być przy mnie w tych wszystkich chwilach. Ale teraz, tam, na wschodzie, już zawsze będziemy razem, rozumiesz? Los tak chciał.

Adela rozplakała się. „Jaka ona głupia” – pomyślała.

Zychówna również się rozplakała, objęła przyjaciółkę.

– Powiem ci, jak jest – wyszeptła. – Powinnaś wiedzieć za tę całą troskę, którą mi okazałaś. Anzelm jest księdzem. Kocham księdza. Nosłam pod sercem dziecko księdza. I co ty na to?

Ada bardzo pragnęła coś w tamtym momencie powiedzieć, ale nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Polda wykorzystała to, by wyznać przyjaciółce całą prawdę.

Poznali się w sierpniu w Winnikach na odpuście. Anzelm po uroczystościach kościelnych, w których uczestniczył jako gość, przebrał się w cywilne ubranie, bo obiecał proboszczowi, że wejdzie na starą gruszę i natręsie owoców. Potem tak poszedł do wsi zobaczyć, jak się bawią ludzie.

– Wtedy się spotkaliśmy. Poprosiłam go do tańca. I tak przetańczyliśmy cały wieczór, poszliśmy na spacer... Zgubiłam was, więc zaproponował, że

odwiezie mnie do domu.

– Miał swoje auto? – zdziwiła się Ada.

– Anzelm jest zatrudniony w kancelarii kurii... Ten samochód należał do przełożonych, on ich często wozi. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że jest księdzem. Zaczęliśmy się spotykać, a jemu zależało na zachowaniu tajemnicy. Nawet mi się to podobało, mieliśmy prawdziwe schadzki, jak w romansach. – Polda uśmiechnęła się do wspomnień. – A potem mi to wyznał. Najpierw płakałam. Lecz stwierdziłam, że niczego ta wiedza nie zmienia w moim stosunku do niego. Kochałam go. Będę „księżą żoną”, pomyślałam, mało to takich po wioskach? Zresztą Anzelm miał dostać wkrótce wiejską parafię, wymyśliliśmy, że pojedę za nim. Wtedy okazało się, że jestem w ciąży. Czekałam, aż przypiszą mu parafię, ale wszystko się opóźniało. I wybuchła wojna. Myślałam, że to już dla nas koniec. Ale teraz myślę, że może jeszcze nie wszystko stracone.

Ukochanego Poldy już wywieźli. A ona wymyśliła, że do niego pojedzie. Uknęła diabelski plan działania i wierzyła, że się powiedzie. Kuzyn Poldy, komunista, był w komisji, która układała listy rodzin przeznaczonych na zsyłkę. Polda go podpytała. Wiedział, że Anzelma posłali do Kazachstanu. I wiedział, kto pojedzie w następnym transporcie. Los chciał, że na liście znalazła się znajoma Poldy, dziewczyna w zaawansowanej ciąży, oraz jej rodzice, brat i dziadek w podeszłym wieku.

– Ona chce się ratować, dziecko ratować... Ruskim obojętne, kto jedzie, byle liczba się zgadzała. Mój kuzyn powiedział mi, kiedy po nich przyjdą, dokładną datę podał. Jutro wieczorem idę do ich mieszkania i czekam na aresztowanie, a tamta ucieka do koleżanki na Wólkę. Z moją nową rodziną wsiadam do pociągu i jadę do Anzelma. Mam nadzieję, że nikt się nie zorientuje, że oszukałam NKWD... Proszę, opiekujcie się Otylką. Napiszę, jak tylko będę mogła.

– Nie boisz się, Polda?

– Boję. Ale teraz każdy w strachu. Co mi za różnica, czy poczekam tu na koniec wojny, czy wezmę się z życiem za bary? Dziecko mi Bóg zabrał...

Straszna to kara, być może za mój grzech... Ale ja się nawet Boga nie boję. Jedyne, czego się boję, to że Anzelma już nigdy nie zobaczę. – Umilkła.

Ada ścisnęła jej dłoń. Pożegnały się bardzo serdecznie. Rodzice Ady mieli o wszystkim dowiedzieć się dopiero po fakcie. Gdyby wiedzieli, nigdy by się nie zgodzili na ten wyjazd.

Szubówna czuła dla koleżanki ogromny podziw. W imię miłości jechała w nieznane, wszystko stawiając na jedną kartę. Czy ona by tak potrafiła? Gdyby ktoś zadał jej to pytanie w zeszłym roku, bez wahania odpowiedziałaby twierdząco. Ale dziś... Kacper nie był sobą. Nie chodziło już tylko o nich, o to, że ona ślubu nie chce. Kacper już coraz rzadziej pytał, kiedy za niego wyjdzie. Zdradzał ją, to było pewne. Już to przeboleła, tak bywa w dorosłym życiu, można wybaczyć, jeśli się kocha naprawdę. Przecież jej ojciec też... Ale w Kacprze jakby szalała burza. Miotał się, a przy tym krzywdził innych. Jego matka stwierdziła niedawno, że zachowuje się tak jak jego ojciec... Zresztą ludzie zauważyli, że ostatnio przestaje często z Mykołą, sąsiadem Zychów, Ukraińcem, który nigdy nie krył się z tym, do kogo według niego powinno należeć to miasto i te ziemie.

Adela wciąż uważała, że są parą, ale coś się w niej zmieniło. Wytworzyła w swoim sercu pancierz, który miał ją ochronić przed ciosem. Tym ostatecznym. Bo czyż nie tak kończą się wszelkie wielkie miłości? Tragedią, bólem, zadrą w sercu... A niektóre śmiercią.

Miała nadzieję, że jej to jednak nie dotyczy.

Pierwszy list z Kazachstanu przyszedł na Szczepanowskiego w październiku. Koperta zaadresowana była do Otylki, ale w nagłówku Polda nadmieniła, że pisze także do Szubów i żeby Otylka im ten list odczytała, jeśli uzna za stosowne. Dziewczyna najpierw sama go przeczytała, a potem, wypłakawszy się na ramieniu Pawła, poprosiła Adę o odczytanie go na głos rodzinie.

Moi Kochani!

Cud to prawdziwy, że do Was piszę, że żyję, że mam wciąż tyle siły, by ołówkę w palcach utrzymać. Moje dłonie wychudłe, szorstkie i popękane...

Aż trudno uwierzyć, że kiedykolwiek nosiłam na tych umęczonych palcach eleganckie skórkowe rękawiczki kupione za pierwszą wypłatę. Pamiętasz, Adelka? Zresztą już zimą 1939 sprzedałam je na Krakidałach...

Najpierw obowiązek. Stokrotnie dziękuję Pani Julii i Panu Pawłowi za opiekę i miłość, które mi od pierwszych dni wojny okazali. Bez Was bym zginęła, szeszła jak robak w pyłe. Otylia niech Wasze dłonie ucałuje za mnie i za siebie. I przeprosić mi wypada za to, że uciekłam bez pożegnania jak niewdzięcznica. Powody moje może Adela wytłumaczy, jeśli sama je pojęła do końca... Wybaczcie, ale ja zawsze robiłam, co uważałam za właściwe. I wydawało mi się, że jadąc za moją miłością, dobrze postępuję. A teraz... Teraz sama nie wiem.

Już sama jazda bydlęcym wagonem tyle dni, tygodni tyle, wyczerpała mnie prawie do ostatka. Traktowałam ją jak pokutę, karę za moje grzechy. Ale czemu Bóg tak karał innych, przecież chyba nie wszyscy byli winni? Starcy niedołężni, dzieci?

W pierwszym tygodniu podróży czuliśmy się jak bydło, a nawet może gorzej. Ściśnięci w ciasnocie, duchocie, smrodzie, bo załatwialiśmy się wszyscy – a było nas 43 osoby – do wiadra w kącie, próbowaliśmy łapać trochę świeżego powietrza przy odmykanych maleńkich okienkach. Ale nic to nie dawało. Słabsi omdlewali, dzieci płakały... Tych dzieci najbardziej mi było szkoda, bo cóż one winne, że je na taką poniewierkę wysłano, że całymi dniami na słońce nie patrzyły?

Na postojach nieczystości usuwano, ale myśmy nie mogli wychodzić na zewnątrz. Roznosili spleśniały chleb i wodę do picia. Pilnowali nas, jak kto podchodził do okienka, wtykali przez nie bagnet. Nocami marzliśmy, bo maj był wyjątkowo zimny, z przymrozkami po nocach. W wagonach stały żelazne kozy, ale palić czym nie mieliśmy. Marzliśmy, płakaliśmy, baliśmy się.

Prawdziwy koszmar się zaczął, jak ludzie zaczęli umierać. Pierwsze pięciomiesięczne niemowlę. Najpierw płakało z głodu nieprzerwanie dwa dni, bo jego matka straciła pokarm. A potem ścichło. Matka, w moim wieku dziewczyna, tuliła je wciąż do siebie, nuciła mu. Myślałam, że dziecko śpi.

Ale ono umarło... Na postoju zabrali je żołnierze. Nigdy, nigdy nie zapomnę wycia tej kobiety, kiedy odrywali od niej małego trupka.

W dalszej podróży okazało się, że postoje są głównie po to, żeby Ruscy mogli powynosić z wagonów martwe ciała. Układali je w stosy obok torów, a myśmy jechali dalej.

Kiedy już myślałam, że więcej nie wytrzymam, że umrę od patrzenia na te straszne rzeczy, okazało się, że dojechaliśmy na miejsce. Do piekła.

Kazachstan jest pusty. Bez drzew, bez wzgórz. Trawy i wypalona słońcem ziemia ciągną się po horyzont. Tylko ziemia i niebo, nic więcej. A między tymi dwoma potęgami my. Skazani na śmierć, już teraz jestem tego pewna.

Jak nas wypędzili z wagonów, ciemno było. Zostawili nas i odjechali. Gdy ludzie się zorientowali, że nie ma żołnierzy, zaczęli się cieszyć, planować ucieczkę. Mówili, że nam się poszczęściło. A kiedy się rozwidniło, radość wszystkim przeszła, bo okazało się, że nie mieliśmy dokąd uciekać. Bo tam było pusto, zupełnie nic, żadnej stacji, żadnych zabudowań. Tylko step. I wtedy już miałam pewność, że to największe na świecie więzienie, bez krat i strażników. Mogliśmy iść przed siebie, ale to była pewna śmierć...

Dotknęłam tej ziemi i wierzcie mi, była twarda i sucha. Nie było w niej życia. Nie tak jak nasza ziemia z działek na Pomiarkach – ciepła, żyzna, płodna. Ta ziemia nic nie rodziła, chyba tylko cierpienie i ból. Następne tygodnie pokazały, że wcale się nie myliłam.

Po krótkiej naradzie ruszyliśmy w stronę jakichś bud, które rysowały się w oddali. Myślałam, myśleliśmy, że to jakieś stajnie czy obory... Ale jakeśmy tam doszli, okazało się, że to wioska. Boże, u nas zwierzęta lepiej mieszkają.

Nikt się nami nie interesował. Mieszkańcy, od których próbowaliśmy dowiedzieć się czegokolwiek, to ubodzy, prości ludzie. Trochę dzicy. Ale nienastawieni wrogo, raczej obojętnie. Jeden z nich pokazał nam miejsce, w którym mieliśmy zamieszkać. Zatechłe lepianki pełne robactwa, zimne i ciemne, trochę oddalone od „wioski”. Później, kiedy już odnalazł mnie Anzelm, dowiedziałam się od niego, że zrobiono je z gliny i nawozu.

Gdyśmy się rozlokowali, ja z całą moją „rodziną” w jednej ciasnej budzie bez mebli, przyjechało ciężarówką kilku żołnierzy. Nasi strażnicy. Zro-

bili apel, krzyczeli, bili... Powiedzieli, że przyjechaliśmy uprawiać tu ziemię. Zapłata będzie zależeć od tego, ile zrobimy, czy normy wyrobimy. Jak ktoś nie będzie pracował, nie będzie jadł.

Nie wiem, czyście ciekawi, jak tu ze mną jest źle. Ale Wam napiszę, Tobie Otylko zwłaszcza, żebyś miała obraz tego, jak się tu żyje. Gdybym już nigdy nie miała Cię zobaczyć. Żebyś wiedziała, że ja, że my wszyscy, stale tu jesteśmy na granicy życia i śmierci. Wydaje mi się często, że ja już bardziej po stronie śmierci...

Wszyscy chodzimy w pole. Na step. Ten martwy, twardy step uprawiać. Chodzimy do orki wołami, która jest tak ciężka w tej twardej, trawą poroślej skale, że właściwie niemożliwa. Dzienna norma, którą nam narzucili, nie jest nigdy wyrobiona, bo kto by podołał? W związku z tym płacą nam grosze, które nie starczą nawet na jedzenie, a co dopiero na inne rzeczy. Wolny czas spędzamy na zbieraniu i suszeniu krowich placków. Tak, tak, służą tu one wielu dobrym sprawom. Można dzięki nim dom zbudować, można uchronić się przed chłodem, paląc nimi w piecu. Więc nieustannie gromadzimy ich zapas.

Pewnie jesteś, Otylko, ciekawa, czy spełniło się moje marzenie, to, po co tutaj przyjechałam. Tak, odnalazłam mojego Anzelma. A raczej on mnie odnalazł. Mieszka w osadzie oddalonej od naszej o dziesięć kilometrów. Tam co niedziela odprawia mszę w największej lepiance w wiosce. Pracuje jak inni, ale znosi to gorzej niż inni, bo on do żadnej fizycznej pracy nie nawykł przecież. Ale jest dzielny.

Pierwszy raz ujrzałam go kilka tygodni po przyjeździe tutaj. Ktoś mu powiedział, że Polaczków przywieźli. On za każdym razem sprawdzał taką wiadomość, mówił, że schodził wcześniej wiele kilometrów do innych wiossek, żeby mnie szukać wśród nowo przybyłych. I wreszcie mnie odnalazł.

Nie poznałam go. Stanął przede mną pochylony, wychudzony starzec z siwą czupryną i pomarszczoną twarzą wysmaganą wiatrem wiejącym bez przerwy ze stepu. Patrzyłam na niego długo, on na mnie również. Dopiero potem zdałam sobie sprawę, że ja też już mało przypominam tę elegantkę z lwowskiego przedmieścia, którą się starałam być! On też nie od razu mnie

poznał. Ale gdy się okazało, żeśmy się odnaleźli, przeżyłam najpiękniejsze chwile w moim życiu. Będę je pamiętać aż po kres. Tę radość, nagły spokój, który na mnie spłynął. Jestem z nim, moja siostrzyczko. Nic nie mów, niech Bóg się zajmie wymierzaniem kary, jeśli uzna za stosowne.

Nie wiem, czy ten list Was odnajdzie. Jeśli tak, pamiętajcie, że piszę z końca świata, z piekła prawdziwego. Tu się czuje, jak życie ucieka, jak gaśnie w człowieku, coraz słabsze. Tu ludzie umierają codziennie. Mrą na tyfus, który się szerzy za sprawą pluskiew i wszy, a także braku higieny. Dziś jestem, jutro mnie nie będzie...

Ściskam Was wszystkich serdecznie, Was, z innego świata, z domu, ze zniesieńskich zielonych wzgórz. Opiekujcie się Otylką i módlcie się za mnie.

Kiedy Ada skończyła czytać, w kuchni na Szczepanowskiego zapanowała cisza. Julia i Otylka szlochały. Julia myślała zapewne także o Maryni, od której nie było wieści, odkąd ją wywieźli gdzieś na Syberię. Paweł zapatrzył się w dal, paląc bez słowa. A Adela czuła na koleżankę taką złość, że najchętniej podarłaby list na strzępy. Po co Zychówna się tam pchała? Mało jej było wojny tutaj, we Lwowie? Zafundowała sobie ekstra okropności na tamtej nieludzkiej ziemi... Kochała tak bardzo? Po co jej ta cała miłość, skoro sama pisze, że wciąż jest na skraju śmierci?

– Kiedy wysłała ten list? – chciała wiedzieć Józia.

Ada popatrzyła na datę stempla. Koniec czerwca 1940.

– Cztery miesiące temu – odparła.

– Czyli ona może już... – Józka urwała, nie wypowiadając myśli, która chodziła po głowie wszystkim obecnym.

Otylia popatrzyła na nią szeroko otwartymi z przerażenia oczami.

Julia wstała, otrzepując fartuch, jakby w ten sposób pozbywała się złych przeczuć.

– Dajcie spokój – rzekła. – Trzeba być dobrej myśli. Naparzę nam mięty, bo herbata się skończyła. A potem spać, moi drodzy.

Wieczorem, zanim położyli się do łóżek, długo klęczeli wszyscy przed białą figurką Matki Boskiej Jazłowieckiej i odmawiali różaniec, modląc się za wiarołomnego księdza i jego kochanicę.

W marcu 1941 roku przyszedł jeszcze jeden list. Ucieszył wszystkich, bo to znaczyło, że Polda żyła. Tym razem zaadresowany był do Ady, więc dziewczyna przeczytała go najpierw w samotności.

Kochana,

ani słowa od Was nie otrzymałam, myślę więc o tym, czy żyjecie? Mam nadzieję, że tak...

Mój Anzelm nie żyje. Zgaśł pod koniec grudnia, umarł na moich kolacjach. Moja miłość. Gdybym umiała śpiewać tak pięknie jak Ty, w tych ostatnich godzinach nuciłabym mu kołysankę. Ale ja tylko płakałam. Jeśli jego śmierć była karą od Boga za naszą występłą miłość... to ją przyjmuję. Aduś, pięknie było mieć go do końca. Mogłam, jak prawdziwa żona, chłodzić jego rozpalone gorączką czoło, walczyć z nim o każdy oddech... Byłam. Kochałam. A teraz jest mi wszystko obojętne.

Anzelm przeziębł się, kopiąc groby dla dwójki dzieci, które mieszkały w jego osadzie. Biedne, zamarzyły którejs nocy... Ich rodzice już nie żyją, nie było nikogo innego, kto by się tym zajął. A zimy są tutaj okropne, mordercze, powietrze mrozi twarz i każdą część ciała, której ubranie nie zakrywa... Zmarłych chowa się bezpośrednio w ziemi, bez trumny, bo skąd wziąć deski, jak nie ma drzew? Dziki, zły kraj, martwa ziemia. I w niej już jest mój ukochany, a być może wkrótce i ja będę.

Ludzie mnie tu nie lubią. Rozumiem ich, uwiodłam im księdza, żył ze mną jak z żoną, kochał, jak Chrystusa kochać by nie mógł... Pluli na mnie, popychali, do najgorszej roboty odsyłali. Ale jak Anzelm odszedł, chyba mi zapomnieli, a przynajmniej dali spokój.

Niedawno w naszej osadzie odbył się taki targ – u nas po wsiach w ten sposób handluje się bydłem i końmi – tu wystawili nowo przybyłych z Polski. Rosjanie chodzili i wybierali pracowników. Poszłam i ja popatrzeć, żeby myśli czymś zająć... Wyobraź sobie, że wśród zesańców zobaczyłam

znajome twarze. Bolijczewa i jego córkę! Podeszłam się przywitać, ale on mnie nie poznał, dopiero Agnieszka. Iwan mi powiedział, że przyjechał, bo miał nadzieję, że dostanie swoją ziemię i się osiedli. Rozumiesz? Przyjechał jako wolny osadnik! Zdziwił się, gdy mu się zaczęłam histerycznie śmiać w twarz.

I co Ty na to wszystko, Ada? Brakuje mi naszych rozmów, nie mam tu żadnej bratniej duszy. Gdybym miała okazję, uciekłabym, wróciła do Lwowa... Ale chyba już tu zostanę. Do samego końca.

Adela też tęskniła za Poldą. Dobrze się rozumiały, choć nie zawsze zgadzały.

Napisała do przyjaciółki zaraz na drugi dzień. Chciała pisać jej o dobrych rzeczach, ale tych było jak na lekarstwo. Wyszedł więc list złożony z samych głupot, o tym, że w wigilię zeszłego roku mieli po jednym ziemniaku i suszonego dorsza, którego Józka wystąpiła w kilometrowej kolejce u Barabasza. I że to była prawdziwa uczta. O tym, że przez ten głód Nelka schudła nareszcie i już nie przypomina sznycla siekanego i widać, jakie ma rysy twarzy. I że do mamy jest bardzo podobna. Że Otylka cicha i popłakuje co rusz, tęskni za starszą siostrą i za ojcem... O znajomych ze Zniesienia i o krokusach kwitnących już na stokach Górki Baczelesa.

Nie pisała o sobie i Kacprze, bo i po co? Życie samo napisze, co będzie chciało...

Rozdział XII

Wiosną 1941 roku Rosjanie wciąż panoszyli się we Lwowie. Czuli się w mieście coraz bardziej u siebie. Byli jak pasożyty bytujące na miejscowej ludności. Polacy zastanawiali się, ile jeszcze mogą znieść upokorzeń, więzień, bicia, głodu i poniżania.

Mniej więcej na początku maja Szubowie wraz z Otylią postanowili opuścić kamienicę przy sztrece i przenieść się trochę dalej w głąb Zniesienia, na Krańcową 4, do mieszkania zajmowanego uprzednio przez Zychów. Na szczęście wciąż stało ono wolne, przynajmniej częściowo. Lokum przy samych torach stawało się coraz bardziej niebezpieczne. Szlak kolejowy biegnący nasypem był zarówno przekleństwem, jak i dobrodziejstwem. Na sztrece często stały na bocznicach wagony z zaopatrzeniem, naftą czy odzieżą. Ponieważ panowała skrajna bieda, wygłodniali mieszkańcy kradli z wagonów co popadło. To, czego nie można było zjeść, udawało się sprzedać na bazarze przy roгатce Żółkiewskiej czy na placu Krakowskim. Niestety, równie często śmiałkowie czy też złodzieje ginęli, dostrzeżeni przez żołnierzy pilnujących wagonów. Rodzina niejednokrotnie obserwowała z okna, jak strażnicy strzelają do ludzi. Nasyp był bardzo blisko domu, Julia bała się, że kiedyś coś może stać się córkom, że dosięgnie którąś zbłąkana kula, dopadnie bandyta i skrzywdzi, tak jak źli mężczyźni krzywdzą dziewczęta...

Dawne mieszkanie Zychów mieściło się na pierwszym piętrze domku, miało mały balkonik. Bliżej stąd było do kościoła i do sklepu Barabasza. Dół domku zajmowała właścicielka, Anna Hryńko, Ukrainka. Właśnie ten fakt oraz sąsiedztwo wrogo nastawionego Mykoły były powodem tego, że nie przenieśli się tu wcześniej. Jednak do mieszkania przynależał kawałek

ogródka za domem. Julia pomyślała, że uprawa własnych jarzyn może uratować ich przed głodowaniem i to przeważyło.

Ale najwyraźniej komuś ta przeprowadzka przeszkadzała.

Był czerwiec. Julia z Adą i Otylią pracowały w ogrodzie, podśpiewując. Dziewczyny, objedzone słodkimi czerechami, wystawiały twarze do słońca. Bo jak zrobiło się ciepło, nawet wojna wydawała się trochę mniej straszna. Józka i Nela jeszcze nie wróciły ze szkoły, Paweł miał pierwszą zmianę na Podzamczu. Nagle przed domem zatrzymała się wojskowa ciężarówka z paką krytą brezentem. Przez furtkę weszło dwóch enkawudzistów. Jeden z nich trzymał jakieś dokumenty.

– Czy tu mieszka Julia Szuba z domu Podhorecka? – zapytał po polsku.

Julia wyprostowała się, wycierając dłonie w fartuch.

– To ja – powiedziała niepewnie.

– Jesteś oskarżona o działanie na szkodę naszego państwa i jako wrogi element wyrokiem sądu skazana na śmierć – odczytał mundurowy z kartki. – Wyrok ma być wykonany niezwłocznie. Pójdiesz z nami.

– Nie, nie, nie! To jakaś pomyłka! – krzyknęła Ada. – Mamo, powiedz im, że na żadną szkodę nie działałaś!

Julia zbladła. Cała drżała. Przez jej głowę przelatywały tysiące myśli naraz: co zrobiła, kto doniósł, co teraz będzie, czy umieranie boli?

– Proszę pana, to na pewno pomyłka! – Ada przypadła do enkawudzisty i klęcząc, całowała go po rękach. – Niech pan mamę zostawi, ona nic nikomu nie zrobiła... Niech pan weźmie mnie!

– *Paszła won!* – zdenerwował się. – Pochodzenie ma niedobre baba, ot co! A ty się, *diewoczka*, opanuj! – To mówiąc, wymierzył Adzie potężnego kopniaka w brzuch.

Upadła, ale pomimo przeszywającego ją ogromnego bólu wstała natychmiast, podeszła do matki i objęła ją.

– Mamo, ja coś zrobię, gdzieś pójde... – mówiła, całując jej twarz. – Tak być nie może...

Julia patrzyła na córkę i chciała coś powiedzieć, ale nie mogła. „Co zrobisz, gdzie pójdziesz? Przecież już za późno” – myślała.

– Paweł... – wyszeptała zbielełymi z przerażenia ustami. – Powiedz mu, że ma się wami opiekować...

Mężczyzna popchnął ją w stronę paki samochodu. Sąsiadki, które wyszły zobaczyć, co się dzieje, odprowadzały ją wzrokiem w ciszy, niektóre płakały. Julia z trudem weszła na ciężarówkę i zajęła miejsce wśród innych skazanych, ludzi o tak samo poszarzałych ze strachu twarzach. Samochód ruszył. Ada wybiegła na ulicę i rzuciła się w ślad za ciężarówką. Biegła aż do końca Wniebowstąpienia, potem upadła w piach drogi. Gdy samochód skręcał, Julia usłyszała jeszcze jej rozpaczliwy krzyk:

– Mamoooo!

Ten krzyk rozdarł jej duszę. Zapłakała gorzko.

Jechali chyba na Zamarstynów, niezbyt daleko. Samochód zatrzymał się przed jakimś gmachem. Wysiedli. Żołnierze kazali wszystkim ustawić się na chodniku twarzą do ściany budynku. Mieli czekać.

Czekali więc. To czekanie trwało w nieskończoność. Julia modliła się i żegnała w duchu z najbliższymi. Dziękowała Bogu za Pawła, za każdą córkę. Wybaczała, rozgrzeszała, tłumaczyła, rozumiała wszystko. I czekała.

Czas mijał. Julia nie miała pojęcia, czy to były minuty, czy godziny... Jakaś kobieta zaczęła łkać. Nikt ze stojących pod ścianą nie zareagował. Bali się odwrócić głowę. Nie czuli potrzeb fizjologicznych. Byli jak martwi. Czekali tylko na znak, że to już, że mogą odejść. Na strzał. Ale nikt do nich nie strzelał.

Za ich plecami wciąż się coś działo. Jeździły samochody wojskowe, żołnierze się nawoływali, maszerowali, dokądś się spieszyli. Ktoś popchnął na ścianę mężczyznę z ich szeregu. Julia usłyszała głuchy dźwięk uderzenia kolbą karabinu, przekleństwa po rosyjsku i oddalające się kroki. Mężczyzna zatoczył się na ścianę i upadł. Leżał tak potem bez ruchu. Julia jednak czuła, że on żyje.

Wieczorem zapanowała dookoła dziwna cisza oraz bezruch. Od jakiegoś czasu nic się nie działo. Nagle usłyszeli odgłos szybkich kroków na bruku.

– Kacapy uciekają! – krzyknął ktoś. – Nic tu po was, jesteście wolni, zapomnieli o was! Niemce do Lwowa chcą wejść, to pognali w podskokach do siebie, ruskie skurwysyny!

Skazańcy nie wierzyli. W końcu któryś z mężczyzn odwrócił głowę, a potem wydał z siebie szloch. Usiadł na chodniku i płakał. Ludzie zaczęli się odwracać.

Julia oparła dłoń o mur. Był rozgrzany po ciepłym dniu. Za to jej ręka była lodowata, jakby ciało przygotowało się już na śmierć. Pomyślała, że to dość dziwne – żywa, ale martwa, pobiera ciepło od kamienia. Ów kamień w tamtej chwili miał w sobie więcej sił witalnych niż ona. Zaśmiała się, otarła łzy, które popłynęły jej z oczu, i ruszyła w dół Zamarstynowskiej.

*

Na Krańcowej panowała rozpacz. Dzieci łkały po kątach. Ada z brudną od ziemi i piachu twarzą, na której łzy wyłobiły białe ścieżki, siedziała otępiała i wpatrywała się w ścianę. Paweł położył głowę na stole. Zrezygnowany, zmęczony, załamany. Gdy Otylia przybiegła do niego na dworzec i powiedziała, co się stało, popędził do siedziby NKWD, aby wyjaśnić, że zaszła pomyłka, że jego żona nic nie zrobiła i muszą ją wypuścić. Ale tam nikt nawet nie chciał z nim rozmawiać, choć prosił i błagał. Chciał choć dojść, gdzie ją zawieźli – na próżno.

Ona była jego życiem. Zakochał się w starszej od siebie, pięknej, bardzo smutnej kobiecie. Jej dojrzałość go fascynowała. Jej rozważa też. Gdy się poznali, poczuł, że wszystko wreszcie wskoczyło na swoje miejsce. Pragnął jej, ale nie tym pełnym namiętności pożądaniem, które trawi młodych mężczyzn. Pragnął jej raczej jak... bogini. Tej, która daje życie. Gdy urodziły się ich dzieci, niby w żartach, tak jak one, mówił do niej „mamo”. Ale dla niego też była jak matka. I jak kochanka. I jak przyjaciółka. I jak kapłanka domu. Jego Julia.

Gdy ją zdradzał – a zdradzał nie raz – zawsze mu darowała. Wiedziała, że nic, co on uczyni, i tak nie będzie miało wpływu na to, co między nimi jest. Uczucie mocne jak bazalt, którym wyłożone były lwowskie ulice. A teraz go zostawiła. Przecież boginie są nieśmiertelne?

W pokoju panował już mrok, nikt nie zapalał lampy. Julia weszła cicho, zamknęła za sobą drzwi. Paweł ocknął się, podniósł głowę i zobaczył jej sylwetkę w słabym świetle przesączającym się przez firanki. Pomyślał, że jest duchem. Że już po wszystkim i przyszła się pożegnać.

– Czuję, że przyjdiesz – powiedział.

Podszedł do niej, wyciągnął rękę i dotknął czule jej policzka. Był ciepły. Zrozumiał, że naprawdę ma ją przed sobą.

– Dzieci, to mama!

Dziewczęta się ocknęły. Zobaczyły matkę i przypadły do niej.

– Ja żyję – powtarzała Julia. – Żyję...

Wyczerpanie spowodowane długimi godzinami spędzonymi pod murem dało o sobie znać i Szubowa opadła z sił. Paweł podtrzymał ją, a potem zaniósł do sypialni i ułożył do snu jak dziecko. Zasnęła natychmiast. Zmęczona bogini. Jeszcze nieśmiertelna.

Pocałował ją w czoło i położył się obok. Skąd mógł wiedzieć, że jego żonę uratował fakt, że hitlerowskie Niemcy napadły na ZSRR, zrywając pakt o nieagresji podpisany jeszcze w sierpniu 1939 roku przez Ribbentropa i Mołotowa?

Tej samej nocy przed czwartą nad ranem zaczął się nalot. Trwała wojna radziecko-niemiecka i o Lwów upomnieli się hitlerowcy. Zainicjowali ataki lotnicze. W tym samym czasie, wykorzystując sytuację, Ukraińcy zorganizowali powstanie. Rozczarowani i rozwścieczeni, że nic nie ugrali, ostrzelali wycofującą się Armię Czerwoną ze strychów, wież kościelnych, cerkwi. Ada wiedziała, że Kacper stanął po ich stronie, nie była jednak pewna, czy weźmie udział w walce.

Paweł już wcześniej umówił się z kolegą z pracy, który mieszkał na Starym Zniesieniu w kamienicy z piwnicą, że w razie niebezpieczeństwa schronią się u niego. Znowu więc przemykali w ciemnościach ulicami, a potem kładką nad torami, na południe miasta.

Piwnica była pełna ludzi. Modlili się głośno o ocalenie. Katolicy po polsku, a prawosławni po rusku. Ten dwugłos wzmagął się, gdy odgłosy wybuchów bomb i strzałów armatnich rozlegały się gdzieś blisko. Tamtą noc udało się im przetrwać.

Ponieważ walki trwały, nikt nie ruszał się z domu, który miał taką pojemną piwnicę. Głodni, przestraszeni, trwali w apatii, unieruchomieni przez strach. Tak było aż do pewnej nocy, kiedy nalot zaskoczył ich śpiących w mieszkaniu na piętrze. Adę obudził huk i silny podmuch wiatru.

– To bomba! – krzyczał ktoś. – Wybuchła w pobliżu...

Nagle wybuch powtórzył się. Rozległ się trzask, odgłos walących się ścian. „Boże, już po nas” – pomyślała przerażona Ada. Podłoga zapadła się i wszyscy wpadli do piwnicy. Dzieci krzyczały i płakały, dorośli próbowali zapanować nad sytuacją.

– Ja nie chcę umierać, nie chcę, nie chcę! – powtarzała Józia cała przysypana białym pyłem.

– Na razie żyjesz, zamknij się! – Otylia szarpnęła ją za rękaw.

Nikt się już nie modlił, nawet dzieci przestały płakać. W ciszy czekali, aż odgłosy kanonady i huk bomb ucichną. Kilka godzin później uspokoiło się na tyle, że odważyli się wyjść z budynku.

– Jeszcze raz się udało – powiedziała Otylia.

W milczeniu wracali na Krańcową. Mijali zrozpaczonych ludzi, którzy potracili wszystko. Niemcy bombardowali sztrekę, bo tam stały składy radzieckie zawierające wyposażenie, które miało być wysłane na front. Wagony paliły się, tory były w wielu miejscach uszkodzone.

– Patrzcie, nasza ulica! – Nela wskazała w stronę Szczepanowskiego.

Stali właśnie na kładce nad torami, skąd mieli dobry widok na okolicę. W wielu miejscach dopalały się pożary spowodowane wybuchami, Zniesie-

nie zasnuwał biały dym.

– Nasz dom zbombardowali! – krzyknęła najmłodsza, wyciągając palec w kierunku ulicy Szczepanowskiego.

– Matko Boska! – Julii zrobiło się słabo i poczuła skurcz lęku w żołądku. Ich dom, ich pierwsze prawdziwe gniazdo...

Poszli zobaczyć. Potem Paweł żałował, że pozwolił tam pójść dzieciom.

Z kamienicy numer dwanaście nie zostało prawie nic. Ada, oglądając kupę gruzu, która kiedyś była ich domem, poczuła dojmującą rozpacz. Gdzieś w głębi duszy miała nadzieję, że wrócą tu po wojnie. Wychowała się w tym domu, wciąż pamiętała jego zapach i widok z okna na sztrekę, dziką różę, w oddali Wysoki Zamek, Piaskową Górę i kopiec Unii... Zawsze, kiedy śniła o domu, śniła jej się właśnie ta kamienica...

Nagle zobaczyła Kacpra. Siedział skulony wśród ruin, rozglądał się ze strachem dookoła, spłoszony i wystraszony.

– Tato, tam wystaje czyjaś noga! – krzyknęła w tej samej chwili Nela.

I rozplakała się. Bo kawałek dalej spod gruzów wystawały jasne loki. Włosy Melki...

– Trzeba ją odkopać, tato, szybko! – Józia rzuciła się i zaczęła odsuwać na boki kawałki gruzu. – Melania, zaraz cię wyciągniemy! Pomóżcie, no już! – krzyknęła rozpaczliwie do rodziców. – Co tak stoicie?...

Julia podeszła do córki i siłą odciągnęła ją na bok.

– Mela nie żyje – powiedziała cicho. – Już jej nie pomożemy.

Józia zacisnęła mocno powieki, ale nic to nie dało, łzy i tak znalazły drogę na zewnątrz.

– Wiem, ja to wiem, mamó – załkała. – Ale nie zostawiamy jej tak, proszę... Będzie się bała...

– Nie zostawimy jej – przyrzekł Paweł.

Julia zabrała zrozpaczone dziewczynki. Na ruinach zostali Paweł, Ada i Otylka.

– Kacper, trzeba ją odkopać – powiedział ojciec, potrząsając chłopaka za ramię. – Kacper, słyszysz?

Ale on wpatrywał się tępo w jakiś punkt przed sobą. Adela nie wytrzymała, podeszła i objęła go. Przytulił się jak dziecko i zapłakał.

W wyniku tamtego bombardowania na Szczepanowskiego zginęli wszyscy mieszkańcy kamienicy.

Ada zdawała sobie sprawę, ile szczęścia miała jej rodzina, że się stąd wczasu wyprowadziła. Że nie ich ciała trzeba teraz wydobywać spod zwalów gruzów. Zginęli ludzie, wśród których się wychowała, z którymi łączyły ją dobre czy złe wspomnienia, gorsze i lepsze chwile. Stanowili część jej życia. A teraz ich nie było. Suczajowa już nigdy jej nie przygada, Oblatowa nie obszczeka przez drzwi...

Z pomocą sąsiadów odkopano ciała lokatorów kamienicy.

– Będzie problem z pochówkiem – rzucił półgłosem ojciec, który zrobił tymczasem rekonesans. – Kościół znowu zbombardowali. I... nasi księża nie żyją...

Podniósł się lament. Wierni kochali swoich księży, dobrych ludzi, oddanych.

– Bóg im w niebie wynagrodzi – powiedział ktoś, robiąc znak krzyża.

Tamtej nocy nikt na Krańcowej nie spał. Kobiety czuwały, odmawiając modlitwy za zmarłych. Nikt nie zapalał świecy, bo wciąż przecież obowiązywało zaciemnienie. Ada czuła niemal namacalną obecność śmierci, która czaiła się w mroku. Wczoraj cudem uratowała się matka, dziś zginęli najbliżsi sąsiedzi... A jutro? Kto zginie jutro? Ilu znajomych zabrała już ta wojna? Czy jej bliscy, ci, którzy siedzą w tym pokoju, jeszcze żyją czy już umarli? Cóż to za życie im zgotowano, niepewne, ciężkie, skropione krwią i łzami...

Zastanowiło ją, czy miasto, w którym się urodziła, którego ulice przemierzała od wczesnego dzieciństwa, jest jeszcze tym samym miastem? Wesołym, rozśpiewanym, beztroskim... Czy też Semper Fidelis umarło pierwszego września od nadmiaru okropności, od patrzenia na śmierć i poniżenie

swoich mieszkańców? Lwowskie dzieci, gdzie jesteście? Giniecie pod gruzami, umieracie z głodu, wywożą was bydłecy pociągami na wschód na pewną śmierć... Ale czy my, którzy tu siedzimy, jeszcze żyjemy? Czy też jesteśmy już tylko cieniami przemykającymi się bezgłośnie i ze strachem po tym cmentarzu, którym stał się nasz ukochany Lwów? A może miasto tylko zasnęło, by nie patrzeć, co wojna robi z jego mieszkańcami? Zamknęło oczy i otworzy je, gdy wszystko minie.

– Śpij miasto, nie patrz – wyszeptwała, a Julia podniosła na nią zdziwiony wzrok znad paciorków różańca. – Nie patrz, śpij...

Pierwsze dni okupacji niemieckiej mijaly pod znakiem grzebania zabitych.

Zmęczeni sowiecką biedą, a przede wszystkim straszliwym głodem, lwowiaczy mieli nadzieję, że teraz wreszcie coś się zmieni. „Niemcy przyjdą i szybko sobie pójdą – mówiło się na ulicy. – Sowieci planowali zostać na zawsze. Oni odejdą, nim się spostrzeżemy”.

Kiedy Rosjanie opuścili miasto, ludzie wzięli się ochoczo do zacierania śladów ich bytności. Przede wszystkim niszczyli pomniki ku czci, co nie było trudne, bo przeważnie wykonano je z tandetnych materiałów, takich choćby jak gips. Ludzie rozsprzedawali meble i rzeczy pozostawione w zajmowanych przez okupanta mieszkaniach, a nawet same mieszkania. Jednak jeśli chodzi o zaopatrzenie, nic się nie poprawiło. Przed sklepami nadal ustawiały się kolejki, trudno było dostać cokolwiek, nawet chleb.

Niemcy od razu wzięli się za ludność żydowską, nakładając na nią ogromne podatki. Żydów wyrzucano z mieszkań, zwalniano z pracy. Zaczęli się bać.

Goldmana zaaresztowano. SS Polizei przyjechała po niego do fabryki. Tak jak przedtem Julię, zapakowano go na przyczepę ciężarówki i wraz z innymi pojmanymi, również Polakami, powieziono do byłego więzienia NKWD przy Kazimierzowskiej, mieszczącego się w dawnym budynku klasztornym zwanym przez lwowian Brygidkami.

Aresztantów wprowadzono na więzienny dziedziniec. Zewsząd owionął ich mdły odór gnijącego mięsa. Goldman zobaczył na placu stosy trupów...

Były to ciała więźniów, głównie politycznych, których Sowietci zabili, zanim opuścili miasto.

Jeden z esesmanów, zakrywając nos chustką, wytłumaczył im, że mają pomordowanych układać na wózkach. Mężczyźni patrzyli na siebie skonsternowani. Nijak nie mieli ochoty dotykać ciał pokrytych plamami, rozkładających się już w upale, oślizgłych, pełnych rojącego się na nich robactwa... Nikt się nie ruszył. Rozwścieczyło to Niemców.

– *Raus, raus!* – krzyknął jeden z nich.

Wyciągnął z kabury broń i strzelił z niej do więźnia stojącego najbliżej. Tamten martwy padł na ziemię.

To otrzeźwiło pozostałych. Dwójkami podnosili trupy z ziemi i rzucali je na wózki. Gdy wózek się zapeśniał, był pod eskortą esesmanów wywożony na zewnątrz i opróżniany.

Mężczyźni pracowali w ciszy. Goldman zwymiotował przy piątym trupie. Inni byli twardsi, wymiotowali dopiero po siódmym, dziesiątym... Odór był nie do wytrzymania. Pod ciałami leżącymi na wierzchu znajdowały się następne. Te uległy już większemu rozkładowi, kończyny pokrywała śliska maź, przez co trudniej było je uchwycić. Zwłoki wypadały z rąk, mężczyźni podnosili je, ślizgali się na kolejnych trupach, upadali, taplając się w rozkładzie.

Goldman pomyślał, że tak musi wyglądać *szeol*, piekło. Wydawało mu się, że sam już jest trupem, śluz wchodził do ust, skapywał z umęczonych dłoni, wsącał się do nosa, do mózgu... By nie myśleć o tym, czym się właśnie zajmuje, Goldman zaczął przypominać sobie, jak przebiegają reakcje gnilne, wykreślał w głowie schematy, budował cząsteczki, grupował produkty powstałe z takich reakcji... Nagle wydało mu się, że jeden z zabitych otworzył oczy. Wzdrygnął się, odskoczył, ale zaraz się opamiętał. Udał, że ponownie targają nim torsje, zgiął się wpół i przykucnął tuż obok mrugającego trupa.

– Nie wydaj mnie – powiedział tamten prawie bezgłośnie. – Proszę...

Żyd niezauważalnie skinął głową. Sam zaciągnął żyjącego na wózek, przykrywając go starannie innymi trupami.

– Jak się uratujesz, leć na Uciętą i powiedz Sarze Goldman, że mają jej męża... – szeptał, układając ciała w taki sposób, by żyjący się nie udusił.

Potem odwrócił się i ruszył do pracy. Myślał o tym, jakie jest prawdopodobieństwo, że tamtemu się uda uciec, zanim Niemcy wrzucą wszystkie trupy do jakiegoś dołu... A może planują je spalić? I czy zabiją go zaraz po tym, jak wszystkie trupy znikną z dziedzińca? „Biedna Sara – biadał w myślach – sama nie da sobie rady z dziewczynkami”.

Kacper długo dochodził do siebie po śmierci matki i siostry. Poszedł do ukraińskiej ruchawki, zamiast się o nie zatroszczyć, i bardzo to sobie wyrzucał. Po pogrzebie przyszedł do Ady do ogródka szukać pocieszenia, ale go nie znalazł. Pomyślała, że źle zrozumiał tamten jej gest, tamto przytulanie na ruinach.

– Chciałam cię po prostu pocieszyć, po ludzku – tłumaczyła. – Nic poza tym.

Wyprostował się dumnie.

– Adela, zastanów się. Ja teraz Ukrainiec. My z Niemcami trzymamy. Z panami.

– To ty się zastanów, Kacper, co wygadujesz! – zdenerwowała się. – „Ja Polak”, za chwilę „ja Ukrainiec”! Nikim jesteś, wiesz? Nikim. Dla mnie na pewno.

Jej dłoń powędrowała do szyi. Mocnym ruchem zerwała z niej tasiemkę z gwiazdką, którą dostała od Kacpra na Boże Narodzenie. Tamte ostatnie święta przed wojną. Z gniewem rzuciła wisiołek na ziemię.

Mężczyzna zacisnął pięści i kopnął ze złością kamień.

– Nikim to ty teraz będziesz! – Zajrzał jej groźnie w oczy. – Cnotka, świętoszka! Chcesz na ołtarz, że się tak cenisz? Jakbyś mi dupy dała od czasu do czasu, to byłabyś bezpieczna, wiesz? I twoja rodzina też. Tknąć bym was nie dał. Już zapomniałaś, jak ci matkę chcieli rozstrzelać? Baby do dzisiaj sobie opowiadają, jakżeś wyła na ulicy!

Okrucieństwo jego słów bolało. Ale przynajmniej teraz Adela była zupełnie pewna, że postąpiła słusznie, odrzucając jego spóźnione umizgi.

– Zobaczysz, co się tutaj będzie teraz działo! Jeszcze gorzko pożalujesz, żeś taka!

Poszedł. Gdy zniknął za płotem, rozplakała się.

Rozdział XIII

Niemcy zaczęli w okupowanym Lwowie wprowadzać nowe porządki. Przede wszystkim zarządzili, że szkoła powszechna będzie sześcioklasowa. Polskie dzieci, które ją skończą, będą mogły kształcić się dalej wyłącznie w szkołach zawodowych lub iść do pracy. W związku z tym nagle okazało się, że Józia zakończyła edukację. Karol namawiał ją, by uczyła się dalej, tak jak on, na tajnych kompletach, ale jej do tego nie ciągnęło.

Początkowo Adela i Józka nie wiedziały, czym się zająć, jak zarabiać. Szycie odpadało, nie miały już klienteli. Sprzątanie i pranie po Niemkach też, żony esesmanów miały do tego darmową siłę roboczą w osobach Żydówek i nie musiały wydawać na te prace ani feniga.

Problem znalezienia zatrudnienia stał się nagle sprawą życia i śmierci.

Pewnego popołudnia do drzwi mieszkania na Krańcowej zastukała matka Karola. Julia akurat lepiła pierogi, bo Pawłowi udało się przywieźć od matki z Obroszyna trochę mąki i warzyw. Pierogi niby miały być ruskie, a tak naprawdę farsz składał się z samych ziemniaków i podsmażonej na lnianym oleju cebuli.

– Coś się stało? – zapytała na widok dentystki, choć już po jej minie widziała, że tak.

– Pani Szubowa, pracuję teraz w Arbeitsamcie jako sprzątaczką. Widziałam przypadkiem niemieckie listy przeznaczonych do wywiezienia na roboty przymusowe w głąb Niemiec – mówiła szybko. – Były na nich Adelka i Józefinka... Tylko dat nie zobaczyłam... Czasu nie ma, pani Szubowa, trzeba im szybko znaleźć pracę, żeby miały zaświadczenia o zatrudnieniu! Jak znajdą pracę, to ich nie wywiozą...

Julia z przerażenia usiadła. Otrzeźwił ją syk wody kipiącej z garnka na piecu.

– Stokrotnie dziękuję, pani doktor... Boże, jak mi dzieci zabiorą, serce mi pęknie...

– Ale teraz przynajmniej możecie działać. Byle szybko coś znaleźć!

Dziewczęta zaczęły więc gorączkowo rozpytywać o posadę, by uniknąć złego losu. Za to Otylia uparła się, że wyjedzie na roboty do Niemiec. We Lwowie wszędzie wisiały plakaty propagujące wyjazd – przedstawiały wesółych młodych ludzi wyglądających z okna wagonu pociągu pędzącego na zachód.

– Nic mnie tu nie trzyma – mówiła. – Jestem wam tylko ciężarem. Pojadę.

Nie umieli jej przekonać, by została. Zapisała się na listę, dostała bilet i skierowanie. Wyjechała dwa tygodnie później.

Ojciec poruszył niebo i ziemię i zatrudnienie dla starszych córek się znalazło. W fabryce mebli na Janowskiej.

Ada i Józia musiały wstawać bardzo wcześnie i iść piechotą około godziny. Na tramwaj znowu nie było ich stać. Szły więc niemal przez całe miasto. Praca w fabryce była bardzo ciężka. Siostry całymi dniami dźwigały drewniane płyty będące bokami szaf. Wiecznie głodne i bardzo słabe nie dawały rady. Do tego Józia miała tendencję do omdlewania. Adela nienawidziła tej fabryki, pracy ponad siły, dłoni pokrytych pęcherzami i otartych do żywego mięsa.

W dodatku droga do pracy prowadziła obok obozu Janowskiego, do którego przywożono Żydów z całego miasta i okolic. Dziewczęta nieraz, idąc do fabryki, widziały po drodze odkryte lory tramwajowe zapełnione ludźmi w różnym wieku. Jechały do końca Janowskiej i wjeżdżały za bramy obozu. Nierzadko mijaly je kolumny Żydów prowadzonych przez esesmanów do pracy w fabrykach. Ci ludzie byli wychudzeni, wygłodniali. Ada widziała raz, jak jeden z mężczyzn schylił się i podniósł uwalany w błocie ogryzek jabłka, który wepchnął sobie do ust.

Ada zastanawiała się, co się stało z ludźmi, dlaczego pozwalają na takie okrucieństwo. Dlaczego ona pozwalała? Przecież przechodziły z Józką codziennie wzdłuż wysokiego parkanu wykończonego drutem kolczastym, za którym metodycznie zabijano ludzi. To była ubojnia, rzeźnia ludzka. I nic nie mogły zrobić, nikogo uratować. We Lwowie wiedziano dobrze, że egzekucje Żydów odbywały się na Piaskach. Tam też zakopywano ich w zbiorowych dołach. Ludzie mówili, że czasem komuś udało się ukryć wśród ciał, przetrwać, przeżyć. Takich szczęśliwców Polacy wywozili na wieś. Kilkoro z uratowanych ukrywało się w lasach koło Hołoska, żyli w ziemiankach dokarmiani przez ludzi ze wsi.

Pewnego dnia do fabryki przybiegła zapłakana Petronela. Codziennie po szkole przynosiła starszym siostrąm posiłek przygotowany przez Julię. Czasem był to suchy chleb, czasem zupa w puszcze po konserwach. Dziś nie miała dla nich nic.

– Co się stało, Nela? – dopytywały zaniepokojone.

Kiedy dziewczynka się w końcu uspokoiła, opowiedziała, czego świadkiem była przed chwilą.

Szła Janowską wzdłuż ogrodzenia obozu. Nagle zauważyła jakiś ruch pod płotem. Z wykopanej pod parkanem jamy wyszła mała dziewczynka.

– Młodsza ode mnie, miała może cztery, może pięć lat – opowiadała siostrąm. – Miała na sobie granatową sukienkę i biały fartuszek. Na głowie fioletową chustkę. Zrozumiałam, że ta mała to Żydówka, która właśnie wy dostała się na wolność. Chciałam jej pomóc, zrobiłam kilka kroków w jej stronę... Ona mnie zauważyła, zaczęła do mnie biec. I wtedy na chodniku, zupełnie nie wiem skąd, pojawił się esesman... Wyciągnął pistolet i strzelił do niej! Upadła twarzą do ziemi. Zmartwiałam. Myślałam, że do mnie też strzeli... Ale on nawet na mnie nie spojrział. Podszedł do dziewczynki, kopniakiem odwrócił ją na wznak, upewnił się, że nie żyje, i poszedł sobie – zakończyła, płacząc. – Upuściłam z tego wszystkiego puszkę z krupnikiem, przepraszam was, prze-pra-szaaam...

Gdy po południu Szubówny wracały do domu Janowską, ciała dziewczynki już nie było.

Jeszcze latem 1941 część Zniesienia włączono do getta. Ulica Krańcowa leżała poza tym terenem. Wówczas dzielnica żydowska nie była ogrodzona, a obok siebie mieszkwały wciąż różne narodowości. Żydów można było poznać po obowiązkowej opasce z gwiazdą Dawida na ramieniu.

Jakież było zdziwienie Ady, gdy któregoś dnia, wracając do domu z kolejki po chleb, spotkała Różę.

– Kochana, co tu robisz? – zapytała, wyściskawszy ją najpierw.

– Jak widzisz, dopadli nas – wskazała na gwiazdę na ramieniu. – Mieszkamy z tatą u znajomych. August wynajmuje pokój na Długiej.

Jednak Niemcy szybko wyłączyli ten obszar z getta i Róża z ojcem, Goldmanowa z córkami oraz inni Żydzi zostali zmuszeni do zamieszkania w rejonie ulicy Zamarstynowskiej. Wyznaczono wtedy ściśle granice dzielnicy żydowskiej, otoczono ją drewnianym płotem. Aryjczycy mogli swobodnie wchodzić do getta przez specjalne bramy. Żydom wolno było wychodzić tylko z przepustką lub do pracy w zakładzie położonym po stronie aryjskiej.

Kiedy Goldmanowie i Kotkowscy znaleźli się za bramą, Julia często wysyłała do nich córki z jedzeniem. Jesienią nosiły więc kartofle, cebulę oraz chleb lub zwykłe podpłomyki z razowej mąki pieczone na blasze. Nie było tego wiele, ale zawsze coś. Czasem pod bramą Adela spotykała Augusta, który odwiedzał Różę.

Bramy do getta były zamykane raz w miesiącu, gdy zaczynały się tak zwane akcje. Wtedy do środka wchodziło gestapo i przy pomocy żydowskich policjantów wyłapywało ludzi. Część z nich była zabijana na miejscu. Zdolni do pracy trafiali do obozu janowskiego, niezdolni oraz dzieci do Bełżca, do komór gazowych. Kiedy Niemcy otwierali znowu bramy, często Polacy nie mogli już znaleźć swoich znajomych wśród żywych.

Kiedyś po jednej z akcji Adela przechodziła obok parkanu. Nie można było iść tą samą stroną ulicy, szła więc chodnikiem od strony wschodniej, aryjskiej. Nagle poczuła, że ma mokro w butach. Pomyślała, że wdepnęła w kałużę, spojrzała pod nogi. To była krew. Krew wypływająca spod parka-

nu. Widocznie ciała zabitych ułożono z drugiej strony pod płótem. Przerazona Adela pobiegła do domu co sił w nogach. Wpadła w panikę...

– Mamo, zrób coś, proszę, zabierz to, zabierz – powtarzała, zamykając oczy, by nie patrzeć na obcą krew.

Julia zdjęła jej buty i obmyła stopy w miednicy. Obie płakały.

Dziewczyna nie spała całą noc. Myślała, że przez swoją bezczynność każdy człowiek jest w tej żydowskiej krwi unurzany. I tych plam tak łatwo nie da się zmyć. Będą rosły i zostawiały ślady na sumieniu.

*

Polacy nauczyli się żyć ze świadomością, że naród żydowski ginie. Niektórzy próbowali temu zapobiec. Sąsiedzi w połowie 1942 roku nagle dorobili się trzyletniej dziewczynki. Nie wychodziła poza teren ogródka. Józka, aby się wprawić, uszyła dla niej chłopkę ze sztruksowej spódnicy w kwiaty, a Nela chodziła się z nią bawić.

– Ta mała nagle w trakcie zabawy zaczyna mówić *Zdrowaś Mario* albo *Ojczy nasz* i wszystko psuje – skarżyła się w domu.

Petronela bardzo tęskniła za córkami Goldmanów. Chodziła czasem do bramy getta, by z nimi porozmawiać. Ale to już nie były te same wesołe dziewczynki co kiedyś. Zresztą Nelka również bardzo spoważniała przez koszmary, które przyszło jej przeżyć. Ale one... Mało mówiły, patrzyły dziwnie poważnie, a w ich oczach czaiły się strach i rezygnacja.

Pewnego dnia przyszła z nimi Sara, by powiedzieć Adeli, że jej mąż zginął w Bełżcu.

– Miałam nadzieję, że jakoś się uratuje – szepnęła ze smutkiem Ada. – Tamten człowiek z Brygidek mówił, że pan Goldman aresztowany, ale myślałam, że posiedzi w więzieniu i wypuszczą go – mówiła trochę bez sensu, bo przecież każdy wiedział, że Żyd nie ma szans na zwolnienie z więzienia.

– Pojechał do Bełżca razem z naszym znajomym adwokatem... I teraz mi mówią, że zginął. Chciałabym już do niego pójść... Ja wiem, że tu umrę – dodała cicho. – Chciałabym jak najszybciej. Tylko tych dzieci mi szkoda. Co zrobią beze mnie? Proszę, niech je ktoś uratuje... Niech je ktoś wycią-

gnie z tego straszego miejsca. Może dorosną i zapomną o szczurach, głodzie, wszach, zwłokach... A ja nie chcę już żyć. Już nie mam siły, Ada.

Szubówna obiecała, że postara się coś zrobić, choć nie miała pojęcia, jak się do tego zabrać. Widziała, co się robi z Polakami, którzy pomagają Żydom. Niemcy ich wieszali, ich rodziny również.

W tamtym czasie przestały z Józką pracować w fabryce mebli. Znalazły zatrudnienie w fabryce grzebieni i guzików na Podzamczu. Gospodyni domu na Krańcowej, ta Ukrainka, miała kuzyna, który był tam kierownikiem, i to dzięki niej dostały posady. Nowe miejsce pracy bardziej dziewczynom odpowiadało. Przede wszystkim znajdowało się dużo bliżej domu, choć również bardzo blisko getta. Fabryka mieściła się w starym budynku, na którego dziedzińcu założono mały ogródek. Dziewczyny często tam siadały. Zresztą kierownik patrzył na to przez palce – kiedy były zbyt głodne lub zmęczone i słabe, by segregować grzebienie, pozwalał im posiedzieć na ławce przed fabryką. Ukrainiec miał też zwyczaj piec na blasze pieca w kantorku krążki cebuli, którymi częstował pracowników. Czasem ta cebula posmarowana olejem rycynowym stanowiła ich jedyny posiłek w ciągu dnia.

Załoga zakładu składała się głównie z Żydów z getta. To od nich Szubówny dowiedziały się, co oznaczają comiesięczne akcje. Po takich łapaniach wielu z nich już nie wracało do fabryki...

– Wy też zostaliście przyjęte na miejsce dwóch Żydówek – mówił kierownik. – Skoczyły z dachu, bo miały już dosyć. Hitler tych Żydków wszystkich wykończy, zobaczycie.

Adela wciąż miała nadzieję, że jakoś uda jej się wyprowadzić Rebekę i Chanę.

– Sama nie wiem, kogo by tu zagadać – zastanawiała się Julia. – Na pewno nikt za darmo się tego nie podejmie.

Pewnego dnia Szubówny wracały z pracy ulicą Balonową. Była ona podzielona parkanem – parzysta część numeracji należała do strony aryjskiej, nieparzysta do getta. Ada zauważyła, że przechodnie spoglądają w stronę parkanu. Spojrzała i ona. Zobaczyła głęboki dół wykopany przy płocie. Sio-

stry zatrzymały się i ostrożnie zajrzały do środka. W dole, który najpewniej był podkopem, leżały martwe dzieci, sześcioro lub siedmioro. Ktoś je zastrzelił, gdy próbowały się wydostać. Wśród nich była Rebeka Goldman.

– Poznaje moją starą sukienkę – wyszeptała Józia.

Julia podarowała ją kiedyś dziewczynce, gdy jej córka już z niej wyrosła.

Chana też tam pewnie była. Przecież zawsze chodziły wszędzie razem.

Nela przyjęła tę wieść bardzo źle. O dziwo nie płakała, ale nie odzywała się do nikogo przez dwa dni. A potem zaczęła wygadywać dziwne rzeczy.

– Goldmanówny były u mnie dziś w nocy – powiedziała, gdy rano jedli okropny komiśniak sprzedawany na kartki, cieniuteńko posmarowany margaryną, i zapijali go lurowatą herbatą. – Pytały, dlaczego Ada po nie nie przysłała, przecież ich mama prosiła...

Adela popatrzyła na Nelę z przerażeniem. Julia ze złością.

– Przestań się wygłupiać – upomniała. – Też sobie temat do żartów znalazłaś...

– Kiedy ja nie żartuję – zaklinała się Nelka. – Pytały też, czy mama ugotuje kiedy łazanek. Są bardzo głodne, od dawna nie jadły. Często z nimi rozmawiam. Wchodzą pod moją pierzynę, bo im zimno... Śpiewamy sobie kołysanki.

Nikt już nic więcej nie powiedział. Ale pewnej nocy Adela usłyszała, jak Petronela cicho nuci...

W getcie została jeszcze Rojza. Pewnego dnia poprosiła przez Augusta, żeby Ada ją odwiedziła. To było możliwe, Aryjczycy mogli wchodzić i wychodzić, okazując przy bramie dokumenty.

Ada miała dla koleżanki w torbie dwa jabłka z jabłoni w ogrodzie, więcej nic nie udało jej się zdobyć. August czekał na nią przy bramie, do getta weszli razem, sprawdzeni przez strażnika.

Ada rozglądała się ze zgrozą. Wszędzie było brudno i śmierdziało. Po ulicy biegały szczury. Pod ścianą domu siedział jakiś staruszek w łachmanach, wyglądał, jakby spał. Nagle przebiegł po nim szczur, a on się nawet nie poruszył.

– Nie żyje – potwierdził jej obawy Gustek.

Weszli do jakiejś bramy i po trzeszczących schodach wspięli na samą górę kamienicy, aż na strych. Tam pod ścianą na jakimś barłogu leżała Rojza. Wyglądała bardzo źle. Błada, wychudzona, z przerzedzonymi włosami. Była naprawdę przerażająco szczupła, przypominała śmierć.

– Jabłka ci przyniosłam. – Ada wyjęła owoce z torby. Po chwili włożyła je z powrotem, nie wiedząc, gdzie je położyć.

Rojza spróbowała usiąść, August musiał jej w tym pomóc, bo była słaba. Uśmiechnęła się blado.

– Adelka, chciałam się z tobą pożegnać – powiedziała. – Umieram.

Ada w pierwszym odruchu chciała zaprzeczyć, powiedzieć, że na pewno się myli, ale powstrzymała się. Nie było sensu kłamać koleżance.

– Ale chcę umrzeć na moich warunkach. Gusto, masz?

August zza paska spodni wyjął małą strzykawkę i szklaną fiolkę.

– Chcesz sobie wstrzyknąć truciznę? – Ada się przestraszyła.

Wiedziała, że znękanii Żydzi często wybierają tę drogę ucieczki na tamtą stronę. Sama знаła kilka dziewczyn, pracownic z Wybranowskiego, które w ten sposób odebrały sobie życie. Takie samobójstwo uważano za dobrą śmierć, człowiek mógł odejść z godnością. Niepowieszony przy parkanie, niezagazowany w obozie, niezakopany żywcem w dole, niezagryziony przez owczarka niemieckiego...

Nie chciała na to patrzeć.

– To lekarstwo, Aduś – zaśmiała się. – Pamiętasz, jak cię kiedyś prosiłam, żebyś coś mi odebrała na Zamarstynowskiej? Chodziło mi o morfinę. Tam można ją było dostać. Morfina – powtórzyła. – Lubimy się z tą panią, prawda, Gusto?

Adela czuła się nieswojo. Nie rozumiała, dlaczego musi na to wszystko patrzeć. Rojza sięgnęła pod materac i wyciągnęła stamtąd zawiniątko. To był jedwabny zielony szal, który podarowała Adzie w dzień urodzin.

– Zapomniałaś go wtedy. Ja też o nim zapomniałam, znalazłam go dopiero, gdy się tu wyprowadzałam. Chciałam go sprzedać, ale właściwie wola-

łam ci go oddać. Tak ci w nim ładnie. Przecież to prezent...

Ada wzięła szal. Boże, jak to dawno było, kiedy go przymierała. Jakby w innym życiu.

August zaciągnął płyn do strzykawki. Odszukał żyłę na szczupłej ręce dziewczyny i powoli wstrzyknął morfinę. Rojza zamknęła oczy.

– O tak, zaraz stąd ucieknę... Na pewno wystarczy, żeby zasnąć na zawsze, Gusto?

– Wystarczy, nie martw się. – Pocałował ją w usta.

– Szkoda, że nie mamy gramofonu – szepnęła. – Posłuchałabym muzyki. *Ostatnia niedziela* byłaby odpowiednia, co? Ada, zanuć mi, ty tak ładnie śpiewasz...

Jednak Ada odmówiła. Nie miała nastroju, by nucić.

– Szkoda... To posiedź przy mnie do końca, proszę.

Tę prośbę spełniła.

Wyraźnie widziała, jak cień na lewym ramieniu Rojzy rozrzedzał się i nikł. W końcu go nie było. Demon, który czyhał na dziewczynę, poddał się w obliczu jej samobójstwa, odleciał. Wreszcie była wolna.

Ada wyszła, kiedy twarz Rojzy znieruchomiała. August został jeszcze przy niej, a Ada powoli zeszła po schodach.

Kiedy szła do bramy, usłyszała, że ktoś gra na skrzypcach. Popatrzyła w stronę, skąd dobiegała muzyka i nie mogła uwierzyć własnym oczom. Na rogu kamienicy stał Abel i grał. Obok przechadzał się esesman i dyrygował mu. Śmiał się przy tym do rozpuku.

Ledwo go poznała. Abel wyglądał bardzo marnie. W chudej, prawie przezroczystej twarzy jego wielkie oczy robiły teraz przerażające wrażenie. Nagle stało się coś, na co Ada czekała od kilku lat. Abel spojrział na nią. Patrzył, a nawet lekko się uśmiechnął i skinął głową. Nareszcie. Adela też się uśmiechnęła. „Co za głupia sytuacja” – przeszło jej przez głowę.

Nagle rozległ się strzał. Abel upadł na chodnik.

Adela popędziła do bramy, pokazała kenkartę i wybiegła na ulicę. Dopiero tam się rozpłakała.

Rozdział XIV

Najtrudniej było przeżyć zimę. Latem można było jeść warzywa. Julia gotowała także zupę z młodych liści lebiody, która rosła na łące u sąsiadów. Dzieci znajdowały jaja dzikich kaczek na mokradłach pod Wysokim Zamkiem, zrywały poziomki... Ale zimą nie było niczego. Dosłownie niczego. Pewnego razu Paweł przyniósł martwą wronę. Julia oskubała ją i ugotowała. Zjedli, choć Nela potem wymiotowała. Raz z wagonów wypadły kurczaki. Trochę śmierdziały, ale dało się je zjeść.

Poza tym nie było czym ogrzać mieszkania. Dzieci chodziły na sztrekę szukać bryłek węgla, ludzie wyrąbywali parki i lasy miejskie. Rozebrano do szczytu zrujnowaną i tak skoczną narciarską, która na początku wieku stała na wzgórzach zniesieńskich.

Kiedyś Józia i Karol wrócili z poszukiwań na torach dworca Podzamcze. Szukali czegokolwiek, jedzenia, opału... Jednak znaleźli trupa.

– Leży tam, w zwężeniu bocznicy – łkała Józka. – Staruszek. Taki chudy, że myślałam w pierwszej chwili, że to kościotrup.

– Nagi jest – mówił z przejęciem Karol. – Pewnie wypadł z transportu do Bełżca.

– Dlaczego wiozą ich nago, mamó? – zapytała Józia. – Jak te kurczaki...

Julia nie odpowiedziała, bo i co miała rzec?

W lutym lub w marcu 1943 roku Julia dostała list od Dosi. Wysłany został miesiąc temu z okładem, ale zaadresowany był na Szczepanowskiego, więc pewnie długo krążył po okolicy, zanim ktoś go przekazał Szubom. Zawierał straszne wieści.

Julio – pisała Eudoksja – nie wiem, jak ci mam napisać, jakich słów użyć... U nas same potworności. Twoja chrzestna córka zabita. Bandydzi rozplatali jej brzuch i wyciągnęli wnętrzności. Ludzie, którzy widzieli, mówią, że najpierw zabili mojego zięcia w straszny, straszny sposób... Nie mogę... nawet nie mogę tego opisać, moja ręka się buntuje... Ona na to patrzeć musiała... Cud, że dzieci uciekły, do nas przyleciały, przestraszone, przerażone... My ciągle jeszcze płacemy. Nie wiem, czy do śmierci przestaniemy. Ale może śmierć już blisko, kto wie?

Na wsi u nas strasznie. Bandydzi polują na Polaków jak na zwierzęta. Podchodzą nocą pod zagrody, osaczają. Bywa, że podpalają chaty, a uciekających zarzynają.

Naszego proboszcza posiekli na kawałki. Na plebanii to się stało.

Na noc wystawiamy strażę, chłopcy chodzą z kijami i nożami. Jesteśmy zdani sami na siebie. Nikt nas nie obroni. Boimy się wszyscy.

Mam nadzieję, że Wy wszyscy żyjecie. Módlcie się za nas.

Julia długo płakała i modliła się, przeczytawszy list. Wiedziała, że ci bandyci, o których pisze Dosia, to Ukraińcy. O tym jednak wprost przyjaciółka pisać nie mogła, bo nie wiadomo, kto list po drodze będzie czytał.

Czy im też groziła taka śmierć? Sąsiedzi pochodzenia ukraińskiego, z którymi przed wojną rozmawiała, z którymi się lubiła, teraz patrzą na nią wilkiem. Oczywiście nie wszyscy. Na przykład ich gospodyni to dobra kobieta, choć Ukrainka. Jej kuzyn, kierownik z fabryki grzebieni, też ludzki. Nawet zdarzało się, że odprowadzał dziewczęta wieczorem po pracy aż na Zniesienie, żeby nic im się nie stało, bo przecież już dawno była godzina policyjna. Ale brat gospodyni należy do takiej bandy, o jakiej pisze Eudoksja. Ile razy się zdarzyło, że jak miał przyjechać, ona Szubów ostrzegała.

– Uciekajcie, bo on Polaków gorzej psów nie lubi – mówiła.

Pakowali się wtedy i uciekali. Przeważnie chronili się u kolegi Pawła na Gródeckiej, w domkach kolejarskich albo u cioci Peli, która teraz zamieszkała na Żółkiewskiej. Wracali, gdy niebezpieczeństwo mijało.

A Kacper Suczaj? Okazało się nagle, że to Ukrainiec. Zokrutniał, kto wie, ile ma już na sumieniu? Julia nie mogła uwierzyć, że z niego było takie dobre dziecko. I tak strasznie za Adelką był. Przecież się mieli ku sobie, chyba ślub planowali. A teraz? Gdy go mija na ulicy, on patrzy z taką nienawiścią... Jak to się stało? Dlaczego?

Ada również wiele razy zastanawiała się, czy Kacper byłby zdolny zrobić im krzywdę. Groził jej, ale przecież... Przecież tyle ich kiedyś łączyło...

Widywała go dość często. Był teraz kimś ważnym w fabryce ultramaryny, tej samej, do której za Sowietów ściągnął go Goldman. Zresztą podobno po tym, jak Goldman trafił do Brygidek, Suczaj zajął jego miejsce w zakładzie. Używał życia, Ada co rusz widywała go z inną panną.

Nigdy nie patrzył w jej stronę.

Latem 1943 roku Niemcy rozpoczęli akcję likwidacji getta. Gdyby starsza pani Kotkowska żyła jeszcze, widziałyby czarne chmury kłębiące się nad terenem wydzielonym przez nazistów na Zamarstynowie. Wisiały nisko, złowrogo, układały w niebezpieczne wiry... Stara Żydówka zakrywałaby sobie uszy, nie mogąc słuchać jęków i wycia dobywających się ze skłębionej masy czerni. A może widziała to wszystko, może przyglądała się skądś tam, z drugiej strony, i cieszyła, że zdążyła odejść wcześniej?

Polowania na ludzi, podpalenia i łapanki trwały kilkanaście dni. Żydzi bronili się, walczyli ostatkiem sił. Znajoma Julii z ulicy Balonowej, której okna mieszkania wychodziły na drugą stronę, opowiadała potem, że działały się tam dantejskie sceny. Niemcy wyciągali Żydów z kryjówek, z piwnic, strychów, kanałów. Wywlekali ich i zabijali bądź gromadzili w jednym miejscu, a potem wywozili, pewnie do Bełżca. Zdarzały się kamienice, w których Żydzi stawiali opór – zrzucali z okien butelki z benzyną, a nawet strzelali. Wtedy Niemcy podpalali dom lub wrzucali do niego granat.

– Czy Żydzi pójdą do nieba? – chciała wiedzieć Petronela. – Przecież giną w męczarniach, jak święci. Gdyby to ode mnie zależało, poszliby do nieba.

Ani Julia, ani Paweł nie potrafili odpowiedzieć córce. Może ksiądz Maślanka zaspokoiłby jej ciekawość, ale on już dawno był po drugiej stronie...

W połowie czerwca obszar getta był już „oczyszczony”. Polacy i Ukraińcy mogli wchodzić na jego teren. Przeglądali zgliszcza, szabrując, co się dało. Choć cóż tam mogło jeszcze cennego pozostać? Żydzi, by się ratować, oddali już przecież wszystko. Ale się nie uratowali... Pozostała po nich pustka. Pustka ziejąca grozą, czarna i bolesna.

Tych, którzy zostali, zabijał strach. I głód. Ogródki szabrowano, po złodziejach nie było już co zbierać. Dzieci szukały na łąkach niedojrzałych nasion chwastu, który nazywano chlebkiem świętojańskim, i zjadały go. Zbierały też szczaw i zioła, cokolwiek, co choć na chwilę oszukałoby głód.

Sąsiad, z którego pola wcześniej Szubówny rwały lebiodeę na zupe, który dawniej mówił im: „A bierzcie sobie tego zielska, ile chcecie”, teraz stał z kijem na straży i nie pozwalał zabrać ani jednej rośliny.

– Sam zielsko żreć zacząłeś, co? – rzuciła w jego stronę rozeźlona Józka.

Rzucił się na nią z kijem, ale na szczęście zdążyła schronić się za plecami matki.

Pierwszą i jedyną potrzebą ludzi stało się obecnie zaspokojenie głodu.

Pewnego sierpniowego dnia Nelka postanowiła sprawdzić, czy na mokradłach za Górką Baczelesa dzikie ptactwo nie złożyło jaj. Czasem zdarzało się, że ptaki przygotowywały się do drugiego chowu, Nela wiedziała takie rzeczy. Wspięła się piaszczystą ścieżką na drugą stronę wzniesienia. Doszła do stawu i ukryła się w sitowiu. Czekwała cierpliwie, wypatrując kaczek. Po krótkiej chwili dostrzegła gniazdo, na szczęście niezbyt oddalone od brzegu. Były w nim cztery jaja. Niewiele myśląc, zdjęła sfatygowane tenisówki, od dawna za małe, w których mama wycięła dziury na duże palce. Nie mogła przecież zmoczyć jedynego obuwia. Podkasała sukienkę i weszła do wody. Zbiornik nie był głęboki, jednak bardzo zamulony. Petronela ostrożnie stawiała każdy krok, zapadając się w błocie. Prawie miała jaja w zasięgu ręki... Kiedy zrobiła kolejny krok, straciła pod stopami oparcie ze śli-

skiego błota. Wpadła w muł do pasa, nawet nie zdążyła krzyknąć, gdy mętna woda zamknęła się nad jej głową.

Nelę to bardziej zdziwiło niż przestraszyło. Miotła się pod powierzchnią wody, próbując uwolnić nogi. Na darmo. Przy każdym ruchu czuła, że zapada się głębiej. W jej głowie powstała myśl, że jest okropną niezdara, była tak blisko tych jajek, a nie zdołała ich zdobyć... Siostry będą głodne...

Po omacku biła wodę, szukając jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Nagle poczuła, że ktoś stoi obok niej w wodzie. Chwyciła się tego kogoś z całych sił, objęła rękami i mocno wyszarpnęła nogi z mułu. Ruszyło, uwolniła kończyny i wystawiła głowę na powierzchnię. Zaczepnęła łąpczywie powietrza i otworzyła oczy. Zobaczyła przed sobą... twarz Rebeki Goldman.

– Uciekaj – powiedziała Żydówka. – To moje jajka. Uciekaj jak najdalej, biegnij pod górę, już, biegnij...

Po czym roześmiała się.

Nela łąpczywie oddychała. Gdy zamknęła oczy i ponownie je otworzyła, przyjaciółki już nie było. Spozrzegła, że obejmuje mocno kępę tataraku. To po niej wspięła się do góry.

Dziewczynka wyszła z wody i padła na trawę. Zamknęła oczy. „Rebeka mnie uratowała” – myślała gorączkowo. Dzięki niej żyła. Taka to przyjaciółka. Na wieczność.

Usiadła i zaczęła rozglądać się na trawie za tenisówkami. Nagle zobaczyła, że kilka metrów od niej stoi dwóch młodych chłopaków. Ubrani byli w białe koszule i pumpowate spodnie na szelkach. Jeden z nich trzymał jej tenisówki, w ręku drugiego coś błyszczało na słońcu. To był nóż.

– *Hände hoch!* – krzyknął i skierował nóż w jej stronę.

Nela w mgnieniu oka zerwała się na równe nogi. Młodzi Niemcy podszli bliżej.

– *Jude?* – zapytał ten, który miał jej tenisówki.

Pokręciła przecząco głową. „Skąd tu *jude*, wszystkich pewnie już zabiliście” – pomyślała.

Czas stanął w miejscu. Nela wpatrywała się w nich, a oni w nią. Nie bardzo wiedzieli, co robić, naradzali się półgłosem. Na oko byli od niej starsi o dwa-trzy lata. „Czy mnie zabiją?” – zastanawiała się. Nagle przypomniało się jej, co przed chwilą usłyszała od Rebeki. „Uciekaj... Biegnij pod górę, już!” Spojrzała na drogę. Jeśli zacznie uciekać, na pewno ją dogonią. Ale gdyby wspięła się bezpośrednio po trawiastym, stromym zboczu? To niebezpieczne, piaszczysty grunt mógł się osunąć. Ale ona była przecież lżejsza od dobrze odżywionych chłopców z Hitlerjugend... Może miała szansę?

Puściła się biegiem w stronę zbocza. Dopadła do niego, bose stopy z impetem wbijała w miękki grunt, dłonie czepiały się kępek trawy. „Do góry!” – krzyczała w jej głowie Rebeka. Oni z wrzaskiem ruszyli za nią. Próbowali się wspinać, ale tylko nieporadnie osuwali się po zboczu wzgórze. Nela miała przewagę, bo była boso. To ułatwiło jej sprawę. „Dobrze, że nie mają pistoletów” – pomyślała jeszcze, wskakując na szczyt i zbiegając z drugiej strony. Wiedziała, że tamci pobiegną drogą. Ale ona już miała nad nimi przewagę. Puściła się po zboczu, turlając się na dół. Przebiegła nasyp kolejowy, minęła ruiny ich domu na Szczepanowskiego i skręciła w wąskie uliczki Zniesienia. Uratowała się. Tamci nie mieli szans, by ją znaleźć.

Kiedy już uspokoiła myśli, kiedy weszła do ogródka na Krańcowej, dopadł ją strach. Na widok matki otwierającej jej drzwi rozpląkała się histerycznie.

Tej nocy śniło jej się, że bliźniaczki Goldman zjadają się jajecznicą, a jej nie chcą dać ani kęsa.

Pod koniec 1943 roku wśród Niemców we Lwowie powstał zamęt. Niepokoiły ich wieści o sukcesach ofensywy sowieckiej. Wiadomo było, że bardzo się boją Armii Czerwonej.

Polacy znowu zaczęli mieć nadzieję. Mężczyźni masowo wstępowali do Armii Krajowej, wierząc, że jak Niemcy opuszczą miasto, polska armia zdoła przejąć w nim władzę. To stawiałoby Polaków na dobrej pozycji – gdyby Sowieci weszli do miasta, traktowałiby Polaków jak gospodarzy.

Do AK wstąpił też Karol. Miał wtedy siedemnaście lat. Józka była z niego bardzo dumna. Julia widziała, że tych dwoje łączy uczucie. Bała się o Józię, nie chciała, by cierpiała...

W styczniu 1944 roku Lwów znowu przygotowywał się do spodziewanych nalotów. Okupanci zorganizowali Ochotniczą Służbę Przeciwlotniczą, siłą wcielali do niej Polaków i Ukraińców. Na Wysokim Zamku, w Rzeźni Miejskiej, na Gródeckiej i w kilku innych miejscach ustawiono działa przeciwlotnicze.

Pierwszy atak z powietrza Rosjanie przypuścili w kwietniu, w Wielkanoc. Następne miały miejsce w odstępach kilkudniowych. Prawdziwe piekło zaczęło się w maju. Bomby spadały na miasto, niszcząc je i zabijając wielu ludzi. Znowu zabrakło prądu i wody.

Szubowie już od Wielkanocy przebywali u cioci Peli na Żółkiewskiej. Gdy spadały bomby, schodzili do piwnicy. Głodowali. Do jedzenia nie było dosłownie nic. Nic. Córki Szubów nie miały nawet siły się ruszać. Gdy Ada patrzyła w lustro, widziała w nim wychudzoną twarz i oczy głodne jak u Rojzy tamtego ostatniego dnia.

Na ulicach trwał zamęt, Niemcy szykowali się do opuszczenia miasta.

– Boże, Boże! – lamentowała ciocia Pella. – Zostawią nas sam na sam z Ukraińcami i wtedy już nic nas nie uratuje. Wyrzną nas, zasieką jak córkę tej twojej Dosi...

Tego obawiali się wszyscy.

W lipcu rozpoczęły się walki na ulicach. Akowcy atakowali wycofujących się Niemców. Rozniosły się wieści, że hitlerowcy otworzyli magazyny z zaopatrzeniem, żeby ludność Lwowa mogła zabrać jedzenie, bo Sowietom nic nie chciano zostawić. Paweł poszedł sprawdzić te wieści, ale wrócił z pustymi rękami. Magazyny przy koszarach były już rozgrabione.

– Słuchajcie, pójdę na Krańcową, coś tam już pewnie w ogródku urosło – powiedziała Julia.

– Nigdy ci nie pozwolę – zaprotestował ojciec. – Ja pójdę.

– Paweł, posłuchaj mnie. Jeśli zginę, ty się zajmiesz dziećmi. Jeśli zginiesz ty, ja nie zdołam ich obronić. To prosta kalkulacja. Pójdę ja.

Ada wyprosiła, żeby Julia zabrała ją ze sobą. Wzięły poszwę z kołdry, żeby mieć w co zapakować warzywa, i poszły.

Dzień był słoneczny. W oknie jednego z budynków wywieszona była biało-czerwona flaga. Na tle błękitnego nieba walczyły ze sobą dwa samoloty. Ledwie uszły kilkaset metrów, usłyszały gwizdy szrapneli.

– Szybko, schowajmy się w jakiejś bramie! – krzyknęła Julia.

Wbiegły do najbliższej, ale była zamknięta. Tymczasem od strony Wysokiego Zamku odezwały się zenitówki – działa przeciwlotnicze wyrzucające w powietrze tysiące odłamków.

Matka i córka postanowiły więc przemieszczać się od bramy do bramy. Tak dotarły do Nowozniesieńskiej. Tu strzały się wzmogły. Adela zauważyła uchylone okno w jakimś warsztacie czy garażu. Weszły przez nie do środka i schowały się. Wyszły, kiedy Niemców już nie było.

– Szybko, teraz biegiem! – zdecydowała Julia.

Pognały w stronę Wniebowstąpienia. Dotarły do rogu z Krańcową, przystały pod sklepem Barabasa. Stąd było już całkiem blisko. Nagle dostrzegły jakąś postać kryjącą się pod płotem. Z Krańcowej wypadł mężczyzna z pistoletem. Wymierzył do kulącego się człowieka.

– Kacper... – Ada rozpoznała agresora. – Nie, nie rób tego!

Właściwie nie wiedziała, dlaczego krzyczy. Nie знаła mężczyzny, którego chciał zastrzelić Kacper. Ale wiedziała, że musi spróbować go uratować. Uratować Kacpra...

Ale Ukrainiec popatrzył na nią i strzelił do tamtego. Uśmiechnął się zwycięsko. Potem wymierzył do Ady. Stali tak chwilę, patrząc sobie w oczy.

– Puk, puk – powiedział, udając, że strzela. A potem odwrócił się i uciekł.

Julia pociągnęła córkę za rękę.

– Chodź, to nieważne – mówiła łamiącym się głosem. – Chodź, uda nam się...

Dziewczyna posłusznie poszła za matką.

W ogrodzie zbierały wszystko, co się nadawało do jedzenia. Zerwały żółtą fasolkę szparagową, marchew, rzodkiew, buraki, młode kartofle. Poszwa szybko pęczniała od jedzenia.

Nagle rozległ się przeraźliwy huk i powietrze wypełniło się czarnymi płatami i spadającymi fragmentami budynku. Wyszczono blok przy torach kolejowych. Ada instynktownie zasłoniła twarz ręką. Poczowała straszliwy ból. Odjęła dłoń od twarzy. Zobaczyła, że matka biegnie w jej stronę. Spojrzała na rękę, która piekła okropnie. Przywarł do niej płonący kawał plastiku.

– Ada, Ada! Nie ruszaj się, muszę to odlepić! – krzyczała Julia.

Plastik udało się oderwać. Ada rozplakała się, na ręce została czerwona rana od oparzenia.

– Opatrzymy cię u Peli – zdecydowała matka. – Teraz chodź.

Wracaly przez ostrzeliwane Zniesienie. Ada plakała, sama nie wiedziała, czy to przez rękę, która paliła żywym ogniem, czy przez Kacpra.

Sowieci weszli pod koniec lipca. Nowe władze nakazały usunięcie polskich flag, które wywieszono podczas akcji „Burza”. Akowcy zdali broń i wrócili do swoich domów. Na początku sierpnia oficerowie Armii Krajowej zostali aresztowani. Nadzieje polskie znów okazały się płonne.

Józka dostała od Karola wiadomość. Pisał, że razem z oddziałem próbuje się przedostać do walczącej Warszawy.

Czekaj na mnie, Józka. Jak wrócę, to się z Tobą ożenię. W razie, gdybyś nie wiedziała, gdzie jest Warszawa – sprawdź na mapie.

– Głupek – powiedziała, ucałowała karteluszek i schowała na sercu.

Aby zdobyć coś do jedzenia, najlepiej było wybrać się na któryś z lwowskich placyków, gdzie najczęściej z rana sprzedawano oskubany drób, parchate jabłka z sadów, mleko wydojonej bladym świtem krowy czy pieczy-

wo. W okolicach dworca i Gródeckiej takich placyków było kilka. Ada najbardziej lubiła ten przy kościele Świętej Elżbiety.

Któregoś ranka pochylała się nad drewnianymi skrzynkami z kartoflami, wybierając jak największe, bo Julia chciała usmażyć na obiad placki.

– Adela, a niech mnie kule biją! – usłyszała z tyłu.

Odwróciła się i zobaczyła gospodynię z Krańcowej, Ukrainkę. Lubiła ją nawet, więc uśmiechnęła się lekko.

– A co ty, ziemniaków potrzebujesz? – Pociągnęła Adę za rękę. – Zostaw to i chodź ze mną, dam ci kartofli z mojego... naszego ogródka, ze Zniesienia.

Ada wysypała ziemniaki z powrotem do skrzynki i poszła za sąsiadką. Tamta opowiadała, że od czasu do czasu handluje tutaj, żeby sobie dorobić.

– Warzywa mam, kury, jajka... – mówiła, pakując wiktuały do koszyka Ady. – Ciekawe, jak wam będą smakować, to tak samo wasze jak moje przecie!

Ada podziękowała, choć miała mieszane uczucia.

– A ty wiesz, że ten twój Suczaj się żeni? – powiedziała kobieta w pewnym momencie. – Oj, widzę, że nie wiesz... – dodała z satysfakcją, widząc minę Ady. W następnym tygodniu u Świętego Jura ślub ma być.

– Grekokatolicki? – wyszeptała tylko, żeby powiedzieć cokolwiek.

– A jak! On unita i ona też. Ona dopiero ze wsi przyjechała, ładna, liczko gładkie, biodra szerokie, do rodzenia zdatna i do roboty... Ładnie razem wyglądają, wiesz?

Ale Adela wiedzieć nie chciała. Podziękowała za warzywa i ruszyła w kierunku domków kolejarskich. Trudno jej było określić, co czuje. Jakby... jakby ktoś dał jej w twarz. Znowu. „Kolejny raz czuję się tak przez Kacpra” – pomyślała, idąc przed siebie. Dopiero w okolicach Słonecznej zorientowała się, że idzie w złym kierunku, że nie mieszka już na Zniesieniu. Zawróciła, otarła łzy i pobiegła na Gródecką.

Nie powiedziała ani słowa o tym, że Kacper się żeni. Nie chciała, by Julia to jakoś komentowała, by ojciec się denerwował. Kacper był jej zadrą,

jej drzazgą i tylko ją mógł ranić. Tylko ona mogła przez niego cierpieć.

W sobotę, walcząc ze sobą, poszła na wzgórze, na którym w otoczeniu zabudowań zakonnych królowała biała świątynia. Musiała zobaczyć tamtą. Chciała wiedzieć, kim Kacper ją zastąpił, co w niej było takiego, że postanowił dzielić z nią życie.

Weszła do cerkwi i usiadła z tyłu. Nabożeństwo już trwało. Ciemne wnętrze świątyni rozświetlało mnóstwo świec, głos rzewnie wyśpiewywanych modlitw unosił się pod sklepieniem. Gości było sporo, ale widać było po ich ubiorach, że większość pochodziła ze wsi. Kacper wydawał się jej kimś zupełnie obcym. Większy niż kiedyś, postawny, stał się prawdziwym mężczyzną. To już nie ten sam chudzielec, który dla niej był gotów oddać jedyne szelki obcemu dzieciakowi. Ten wielki obcy Kacper nie biegałby za nią po zniesieńskich wzgórzach, nie śpiewał piosenek przy ognisku z kolegami... Widziała za to teraz Kacpra pana, właściciela, posiadacza. Ukraińca, do którego należała tamta wielka kobieta, jej posag, a może nawet całe miasto...

Jego wybranka była pospolita. Ada odetchnęła na jej widok. Jasne włosy, rumiana twarz, którą ujrzała, gdy tamta odwróciła na chwilę głowę, szukając kogoś z rodziny. Duże silne ciało nie było powodem do zazdrości. Kacper na pewno jej nie kochał. Pewnie pożądał, ale nie kochał. Nie mógłby.

Była pewna, że nowożeńców nie łączy nic specjalnego, żaden płomień, żadne czary. Tylko interes, jakaś korzyść, którą odniosą, gdy powiedzą sobie „tak”. To ją uspokoiło. Kacper, ten Kacper, który stał tam, przy ołtarzu, nie był już jej Kacprem. Był obcy. Prymitywny. Jakby na zawsze zamknął w sobie i pogrzebał tamtego chłopaka, który kochał się w niej. Taki Kacper zupełnie jej nie interesował.

Wyszła z cerkwi spokojna i niemal szczęśliwa. Zbiegła ze wzgórza wprost na ulicę Szeptyckich. Jakaś rodzina z trójką dzieci patrzyła na nią z rezerwą. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że głośno się śmieje.

Do Lwowa przyjechało bardzo wielu Rosjan i Ukraińców z głębokiej prowincji. Sowieci sprowadzali ich umyślnie, by zruszyć miasto. Na ulicach znowu pojawiło się pełno prymitywów, którzy po raz pierwszy w życiu znaleźli się w wielkim mieście. Niszczyli mieszkania, w których ich zakwaterowano, chodzili brudni i obdarci, załatwiali się w bramach i na trawnikach... Żyli prawie jak zwierzęta. Lwowianie patrzyli na to z obrzydzeniem. Najgorsze jednak, że tamci czuli się tu jak u siebie.

Szubowie już wtedy nie mieszkali na Krańcowej, bali się. Paweł dostał kwaterunek w domkach kolejarskich na Gródeckiej. Tam było bezpieczniej, wszyscy mieszkali w kupie. Upowcy nie atakowali domów w śródmieściu.

Jeden pokój z ubikacją na korytarzu i zlewem w przedpokoju musiał im wystarczyć. Paweł wrócił do pracy na kolei, zaczął znowu zarabiać marne grosze. Adela też dostała posadę na dworcu, sprzedawała bilety w kasie.

Wszędzie panoszyli się Sowieci albo Ukraińcy. Julia nie poznawała tego miasta. Było poranione, wykorzenione. Już nie dawało poczucia bezpieczeństwa, schronienia. Przeczynała, że szykuje się jakaś zmiana.

Ponieważ wciąż były ogromne kłopoty z zaopatrzeniem, władze w różnych punktach miasta uruchomiły jadłodajnie dla ubogich. Każdy głodny dostawał tu talerz zupy i kromkę chleba. Józia znalazła zatrudnienie w takiej jadłodajni na Zamarstynowie. Kierowniczką była tam oczywiście Rosjanka. Wesoła, skora do śpiewu, bardzo Józkę polubiła.

Kiedyś zaproponowała jej, żeby zaopiekowała się przez tydzień dwójką jej małych synków. Rosjanka musiała pilnie gdzieś wyjechać. Józia zgodziła się i po ustaleniu stawki przeniosła się do mieszkania Rosjanki na Świętego Marcina.

Chłopcy chodzili już do szkoły. Józia rano wyprawiała ich z domu, szła do pracy do kuchni, a potem gotowała im obiad i pomagała w lekcjach. Spała u nich w domu, w łóżku ich matki.

Którejś nocy obudziły ją dziwne hałasy w przedpokoju. Chłopcy od dawna już spali. Ktoś wszedł do mieszkania. Przestraszona zaczęła się za drzwiami, trzymając w wysoko uniesionych rękach ciężki szklany wazon.

Z drzeniem nasłuchiwała zbliżających się kroków... Gdy drzwi się otworzyły, opuściła wazon na głowę mężczyzny.

Tamten zaklął po rosyjsku. Upadł. Przez chwilę leżał, trzymając się za głowę. Krwawił obficie, bo wazon rozbił się na kilka kawałków, któryś musiał go poranić. Józka planowała wcześniej, że ogłuszy napastnika i wybiegnie, zabierając ze sobą chłopców. Ale nie była w stanie się ruszyć. Wpatrywała się w Rosjanina, w jego wściekłą twarz i... chyba skamieniała.

Tymczasem tamten wstał. Podszedł do Józki i rzucił ją na łóżko. Mamrocząc pod nosem coś po rosyjsku, zaczął rozpinąć pasek u spodni. Wsadził rękę w rozporek i pogmerał w nim.

– *Nu, dupy dasz, dziewczka.* – Uśmiechnął się obleśnie.

Józka zrozumiała, co się szykuje, ale zbyt późno. Zerwała się z posłania, lecz tamten jednym ruchem powalił ją z powrotem. Podniósł z podłogi kawałek ostrego szkła, przyłożył jej do policzka. Czekala, kiedy ją potnie. Ale nie pociął. Gdy przestała się rzucać, odwrócił ją na brzuch, zadarł koszulę nocną. Poglaskał jej nagie pośladki, potem pochylił się nad nią i ugryzł w ucho. Krzyknęła.

– Ot, i o to mi chodzi – ucieszył się.

Wszedł w nią bardzo mocno. Józka krzyczała, krzyczała z całych płuc, z całej duszy, krzyczała jak zwierzę, wyła. Mężczyzna zaczął poruszać się w niej bardzo szybko, uderzał mocno. Bolało, bolało... Myślała, że tego nie wytrzyma, że zaraz ją rozerwie ten dziki potwór o skośnych oczach... W końcu pchnął ostatni raz i wysunął się. Z Józki wypłynęła lepka ciecz.

– Spierdalaj – wycedził do niej.

Gdy wstała, po udach pociekła jej krew. Całe ciało bolało. Nienawidziła w tamtym momencie swojego ciała. Nie chciała go, nie chciała...

W drzwiach sypialni stali dwaj chłopcy. Wyglądali na przestraszonych.

– *Papa, czto ty diełajesz?* – zapytał starszy.

Ojciec kazał im się wynosić.

Józka włożyła buty, wzięła z przedpokoju płaszcz i wyszła.

Na Gródeckiej podniósł się lament. Paweł miotał się, nie wiedząc, co ma zrobić. Chciał zgłosić gwałt na komisariacie, ale Józka prosiła, żeby tego nie robił.

– Już dość, już dość... – powtarzała.

Adela nie wiedziała, jak ma siostrę przytulić, jak pocieszyć. Nela patrzyła tylko wystraszonym wzrokiem.

Szubowa z bólu najchętniej by wyła.

– Nikt nie jest już bezpieczny, nikt – biadała.

Kiedy rano Paweł wyszedł znękany do pracy, matka i córki wykapały Józję. Obmyły ją z krwi i nasienia. Ale wspomnień zmyć nie mogły.

Ada poszła do pracy zrezygnowana i podszyta strachem.

Dla Polaków we Lwowie zaczęły się ciężkie dni. Ukraińcy czuli się bezkarni, tak jak przepowiedziała ciocia Pela. Napady na Polaków były na porządku dziennym. Bandy UPA grasowały na obrzeżach Lwowa, mordując okrutnie. Zginęło w tym okresie wielu księży, upowcy rozdierali ich końmi, podpalali żywcem... Polacy próbowali przeciwdziałać przemocy, bronić się. Akowcy, którzy oddali broń po akcji „Burza”, utworzyli tajną organizację samoobrony. Jednak niewiele to pomogło, przemoc i tak się szerzyła.

Józka po tamtych strasznych wydarzeniach zgasła, zapadła się w sobie. Praktycznie nie wychodziła z domu, bała się, gdy ktoś pukał do drzwi. Zaczęła się jękać. A gdy ktoś wspominał Karola, zanosila się szlochem.

W lutym 1945 roku po konferencji w Jałcie sprawa Lwowa była przesądzona. Nikt nie chciał Polaków w ukraińsko-sowieckim mieście.

Kiedy ogłoszono koniec wojny, chwilowa euforia ogarnęła wszystkich. Ale potem nasunęła się Polakom refleksja – co z nami będzie?

Towarzysze postanowili pozbyć się kłopotu. Jeszcze w maju powołano Polską Komisję Ewakuacyjną, która miała zajmować się przyznawaniem kart repatriacyjnych i wysyłać Polaków „do ojczyzny”. Jednak Polacy nie spieszyli się, by je odbierać. Bali się wyjazdu w nieznane, zresztą jak to tak, mieli opuścić swój dom, swoje miasto? A kiedy wrócą?

Rodzina Pawła i Julii była umęczona i poraniona. Mieli dość. Bali się. Ich Lwów, dobre miasto, zdeptano buciorami, rozjechano czołgami. Paweł dość szybko odebrał swój przydział. Chciał uciec, zacząć od nowa. Te ulice nie były już jego, straszyły zburzonymi domami, wspomnieniami strachu o życie. Na tych ulicach nikt już nie śpiewał. Na tych ulicach ludzie płakali i umierali. Nie prowadziły już do domu, żadna z nich.

Julia również chciała wyjechać, ale bardzo się bała. Ten sowiecki Lwów nie był jej domem. Więc gdzie on był? Tamtego roku czuła się już bardzo, bardzo stara... Także zbyt stara, by się sprzeciwić.

W sierpniu mieli jechać na Ziemię Odzyskane, czyli Dolny Śląsk. Do Breslau, z którego uciekli Niemcy, zostawiając przestronne, nowoczesne mieszkania, a w nich stoły nakryte do posiłku i wypraną pościel na sznurach. Aby to wszystko dostać, wystarczyło tylko wsiąść w pociąg, wejść do pustego mieszkania i zacząć od nowa.

Ada najpierw nie wierzyła, że można tak po prostu wszystkich wywieźć w inne miejsce na świecie i kazać im żyć dalej. Nie mieściło się jej to w głowie. A zresztą, co ona tego świata widziała? Nic.

Trzy dni przed terminem stawienia się w punkcie zbornym poszła na ostatni spacer. Szła Żółkiewską na Nowe Zniesienie. Nie bała się, że coś jej się stanie. Ukraińcy uspokoili się, odkąd okazało się, że Polaków przesiedlą. Dostali to, o co im chodziło.

Szła Nowozniesieńską. Mijała domy sąsiadów, którzy już tam nie mieszkali. Dotarła do ogrodu kościelnego, weszła na teren kościoła. Znowu go odbudowywano, ale teraz, gdy Sowietci zamykali kościoły, najpewniej będzie służył za magazyn. Przypomniała sobie, jak w 1937 roku zaczęli budowę. Ksiądz Maślanka był dumny, że Zniesienie będzie miało taką monumentalną i nowoczesną świątynię. Sprzedawano nawet kartki pocztowe z makietą gmachu...

Dalej wędrowała ulicą Wniebowstąpienia, skręciła w Krańcową. Ich ostatni dom stał na swoim miejscu. Wstąpiła do ogrodu, zerwała jabłko i ugryzła. Wyszła do niej gospodyni, zagadnęła, poczęstowała wodą. Pożegnały się, kobieta życzyła jej wszystkiego dobrego w życiu.

Na Szczepanowskiego Ada iść nie chciała. Za dużo wspomnień, za bardzo by bolało... Zresztą tam już kamień na kamieniu nie został.

Dotarła aż do torów. Przeszła kładką nad sztreką na Stare Zniesienie. Minęła cmentarz, potem spacerowała wąskimi ścieżkami przecinającymi Piaszkową Górę. Zdawało jej się, że słyszy śmiechy sióstr, koleżanek...

Minęła ruiny zamku i wspięła się na kopiec Unii Lubelskiej. Zmęczyła się, bo spacer był dość długi. Zaczynał się właśnie zachód słońca. Usiadła i patrzyła zachłannie na Miasto Lwa. Tam katedra łacińska, tam kościół Bernardynów, jezuici, rynek... Za plecami miała Zniesienie, na lewo od niego Żółkiewskie z Podzamczem. Dalej Zamarstynów z wypaloną dziurą po getcie, grobem tysięcy istnień.

Zamknęła oczy. Chciała zapamiętać na zawsze.

– Podobno wyjeżdżacie? – usłyszała.

Otworzyła oczy. Przed nią stał Suczaj. Zerwała się na równe nogi.

– Nie bój się, nic ci nie zrobię – zapewnił. – Zobaczyłem cię na Zniesieniu. Nie wiem, czemu za tobą poszedłem.

– Pewnie z przyzwyczajenia – powiedziała ostrożnie. – Zawsze żeś się za mną ciągnął jak ogon.

Spojrzała niepewnie. Dawnemu Kacprowi mogła zasunąć taką gadkę, ale teraz trochę pożałowała swoich słów.

Jednak on nie wyglądał na obrażonego. Nawet się uśmiechnął. Zapucił wąsy, przez co stał się podobny do swojego ojca.

– Jesteś zadowolony? Polacy uciekają jak psy z podkulonymi ogonami...

– Nie wiem – odparł. – Nie o to nam chodziło. Mamy tu teraz ZSRR.

– Przynajmniej zostajesz we Lwowie.

Długo milczał.

– Może mi nie uwierzysz, Ada. – Zadrżała na dźwięk swojego imienia wymówionego przez niego. – Ale ten Lwów bez ciebie już nie ten sam.

Zacisnęła usta. To mówi ten, który wszystko zepsuł. Morderca. Wiarołomca.

– Wojna wszystko zniszczyła. Nas, domy, ulice... – kontynuował. – Chciałem być po stronie silniejszych, ale czy jestem? Zrozum, nie mogłem cię mieć. Nie szanowałbym Polki. Jeszcze bym cię skrzywdził...

„A tak wcale nie skrzywdziłeś” – pomyślała, za wszelką cenę próbując się nie rozpłakać.

– Teraz powiem jak z wiersza. – Uśmiechnął się. – Tylko ciebie naprawdę kochałem. Tylko ty mnie znasz. Nikt więcej.

– Nawet twoja żona? – Ada nie mogła sobie darować.

Zaśmiał się i popatrzył z ukosa.

– Słyszałaś już, zem się ożenił? Ada, moja żona to prosta kobieta. Ukrainka, tak jak ja. Urodzi mi ukraińskie dzieci, które będą od początku wiedziały, kim są.

Adela stwierdziła, że ta rozmowa do niczego nie prowadzi. Ale zanim pójdzie, chciała wyjaśnić jeszcze jedno.

– Jak to jest zabić człowieka?

– Jeśli mówisz o tamtej sprawie podczas ostrzeliwania – domyślił się – to była zwykła szuja. Sprzedawał Niemcom Żydów, Polaków... Ktoś powinien go zlikwidować.

– A ty jesteś pierwszy sprawiedliwy?

– Nie jestem. I jeszcze jedno chciałem ci powiedzieć. To ja napuściłem NKWD na twoją matkę. Byłem wściekły, bo mi się wymykałaś. A ona powiedziała mi coś, już nawet nie pamiętam co, ale zaboląło. Powiedziałem im, że ona herbowa, że wróg systemu. Uwierzyli...

Adę zaboląły te słowa, rozdarły jej duszę. Jednak Bóg nad nią czuwa, nie pozwolił, by związała się z mordercą.

Wstała i zaczęła zbiegać z Wysokiego Zamku. Nie zatrzymała się, choć Kacper wołał ją jeszcze bardzo długo.

Zakończenie

Mieli jechać z dworca Podzamcze. Spakowani w walizkę i cztery toboły czekali wraz z innymi rodzinami na bocznicy. Jechali z nimi znajomi kolejarze. Niektórzy z oczekujących mieli za sobą długą podróż spod Lwowa. Niektórzy byli w drodze już od wielu dni.

Wszystkim udzielał się nastrój niepewności. Kobiety płakały, mężczyźni krążyli dookoła bagaży, palili, rozmawiali ze sobą.

Julia kaszłała. Czuła się źle już od kilku tygodni. Na dworze piękna pogoda, a ją łamało w kościach i jakiś ciężar przyginał do ziemi. Starość nie była dla niej łaskawa. Do tego jeszcze ten ciągły niepokój... Spojrzała na Józię. Zakutana w chustę po czubek nosa siedziała, patrząc w chodnik. Świat zbytnio jej nie interesował. Julia nie potrafiła jej pomóc. Józka sama musiała się uporać z krzywdą, którą jej wyrządzono. Matka miała nadzieję, że podróż do nowego miejsca zatrze złe wspomnienia i niedługo dla Józki będzie to tylko jak zły sen...

Nela jak zwykle miała dobry humor. Śpiewała sobie pod nosem jakąś pioseneczkę. Oglądała broszurowe wydanie *Pana Tadeusza*, to, które dodawano do „Prawdziwej Francka”. Jak to możliwe, że się ta książeczka uchowała?

Paweł niepokoił się o Pełę. Uparła się, że pojedzie z matką, która owdowiała podczas wojny. Bał się, że nie dadzą sobie rady same. Choć czy to możliwe, żeby Pela nie dała czemuś rady?

Adela milczała. Zaplatała warkocz Petroneli. Siostra miała długie włosy pszenicznej barwy. Zresztą tak samo jak Józka. Jak to możliwe, że tylko ona była brunetką?

Po kilkunastu godzinach oczekiwania wreszcie coś się ruszyło, ludzie zaczęli się podnosić z miejsc. Ze świstem podjechał pociąg towarowy. Każdy miał w nim przypisane miejsce. Zanim rodzina zajęła wagon, przechodziła drobiazgową kontrolę dokumentów.

– Paweł Szuba, syn Stanisława... i cztery osoby... Zgadza się – mamrotał urzędnik, wypełniając kartę ewidencyjną. – Koni nie przewozi, rogacizny, kóz, owiec ani świń też nie. Pługi, siewniki, żniwiarki są?

– Nie ma – odparł Paweł.

– Zboża, produkty zbożowe? – badał dalej.

– Nie ma.

– Przedmioty użytku domowego? Garnki, naczynia?

– Są... – włączyła się Julia jako lepiej zorientowana.

– Niech pani sztuki policzy.

– Będzie dziesięć sztuk.

– Dobra, wpisujemy... A teraz otwierać ten majdan, przeszukamy go.

Kontrola trwała dość długo, urzędnicy przetrząsali rzeczy, a potem jeszcze trzeba było na nowo je zapakować.

Kiedy karta została uzupełniona, a kontrola zaprotokołowana, urzędnik zaprowadził ich do wagonu. Pierwsza oczywiście wskoczyła Nelka.

– Tu jest okropnie. – Rozglądała się zawiedziona.

Wnętrze wagonu nie robiło imponującego wrażenia. Były w nim dwa piecyki żelazne i prycze do spania w kącie.

– A to co? – Nela otworzyła klapę w podłodze.

– Jakoś się musisz załatwiać, nie? – oświeciła ją Ada.

Nelę ta informacja najwyraźniej zaintrygowała. Zrzęda jej mina, gdy okazało się, że razem z nimi będzie podróżować jeszcze jedna rodzina.

Stali na Podzamczu kilka godzin. Wreszcie ktoś dał znak do odjazdu. Wsiedli do wagonu zdenerwowani. Ada drżała. Bała się tak, że aż odczuwała mdłości. Drzwi zasunięto. Paweł popatrzył na swoje kobiety.

– Przeżyliśmy wszystkie okropności wojny, to też przeżyjemy – powiedział, całując żonę w policzek.

– Lwowa już i tak nie ma – szepnęła Julia, a podróżująca z nimi kobieta zapłakała cicho.

Pociąg szarpnął. Jechali. Sąsiad rzucił się do otwierania małych okienek.

– Trza patrzeć, patrzeć, ile wlezie, oczy nacieszyć – rzekł wzruszony.

Podniósł do góry swojego synka, a on złapał się krawędzi otworu i wystawił na zewnątrz główkę.

Adela usiadła na pryczy, przymknęła oczy. Ona swój Lwów wiozła w sercu...

Lwów, koniec lat trzydziestych, dzielnica za Wysokim Zamkiem. To tu, w domku przy nasypie kolejowym oplecionym dziką różą, wychowała się Ada, najstarsza z trzech córek zubożałej arystokratki i kolejarza. Choć często brakowało im chleba, miłości zawsze było pod dostatkiem. Stojąca u progu dorosłości dziewczyna usiłuje wyrwać się z biedy, której doświadczają wszyscy wokół. Chce porzucić zablocone zaułki przedmieścia, marzy jej się

wielki świat. Przemierzając ulice Lwowa, odkrywa piękne i dumne miasto, ale także...
ciemną stronę ludzkiej natury. Jak pozostać sobą, gdy nawet najbliżsi
mają mroczne tajemnice?

Tę wyprawę po lepsze życie przerywa atak Niemiec na Polskę. Codziennością stają się tułaczka, głód i wszechogarniający strach. W tym ponurym czasie nawet pierwsza miłość, początkowo słodka jak miód, ma w sobie gorycz piołunu...

Przepiękny literacki obraz przedwojennego Lwowa, niezwykła pisarska wrażliwość, czułość wobec bohaterów i szacunek do czytelnika. Monika Kowalska jest malarką wśród pisarek, może się pochwalić świetnym warsztatem. Zazdroszczę, polecam, czekam na więcej.

Warto zwrócić uwagę na ten wyjątkowy debiut.

Magda Knedler, autorka m.in. *Położnej z Auschwitz i Nikt ci nie uwierzy*

To książka, w której są smaki, zapachy i dźwięki miasta. Jest śmiech i płyną łzy, a miłość przeplata się ze zdradą. Jeśli potrafisz czytać wszystkimi zmysłami, cenisz historie o zwykłych ludziach, umiesz współodczuwać radość i nie boisz się uczestniczyć w smutku, ta powieść jest dla ciebie. Żałuję, że nie ja ją napisałam.

Zofia Mąkosa, autorka *Wendyjskiej Winnicy*

Wciągająca, napisana z niespotykaną dbałością o szczegóły opowieść o domu, który został zburzony. Autorka nie boi się dosłowności, nie idealizuje, zmusza do przemyśleń o złożoności ludzkiej natury. Z niecierpliwością czekam na kolejny tom.

Sabina Waszut, autorka m.in. *Narzeczonej z getta i Emigrantów*

Patronat

